

Romain Sardou

**I odpuść nam nasze winy**

Z francuskiego przełożyła Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak  
Tytuł oryginału PARDONNEZ NOS OFFENSES

Dedykuję żonie...

## Prolog

Fragmenty przesłuchań spisanych w księgach Przenajświętszej Inkwizycji, prowadzonych przez biskupa Beruliusza de Noy w Sabarthes w Tarles we wrześniu roku 1290.

My, Awejron Quentin i Sydoniusz Meliesse, wikariusz biskupa de Noy i referent dworu biskupa Sabarthes, w wigilią narodzenia Marii Panny, w drugim roku panowania Filipa, króla Francji, potwierdzamy, iż zeznania złożone pod przysięgą przez Kretienotę Paquin, córkę Breanda Paquin, oraz Wilhelminę Got, siostrzenicę ojca Anzelma, jałmużnika z Domines, są godne wiary i uczciwe.

Zeznania spisane w przytomności Jego Ekscelencji biskupa de Noy potwierdzają zebrane dotychczas fakty, związane z morderstwami popełnionymi w diecezji Draguan. Otwierają wielki proces zgromadzenia dominikanów w Passier. Nakazano, by wszyscy świadkowie, mogący wnieść coś do sprawy, zostali wysłuchani i złożyli zeznania przed trybunałem kościelnym. Jego Ekscelencja biskup de Noy został z woli namiestników królewskich oraz prymasowskich jedynym sędzią w tej sprawie. W jego obecności spisywane będą zeznania i przed jego obliczem winni przyznają się do zbrodni.

Poniższy akt sporządzono w Tarles, w pałacu biskupim, w obecności dwóch asesorów i ojca inkwizytora. Spisał go na welinie referent Sydoniusz Meliesse, w dniu i roku podanych powyżej.

Zgodnie z obyczajem referent zasiadał po lewicy biskupa, przy niewielkim drewnianym pulpicie. Posiedzenie 7 września 1290 roku jeszcze się nie zaczęło. Inkwizytor właśnie zajmował miejsce pod ogromnym krzyżem; stojący przy drzwiach wikariusz Quentin przywdziewał czarną dominikańską pelerynę i poprawiał kaptur. Jeden tylko referent czekał w gotowości i od wczesnego ranka dreptał po sali. Na pulpicie, lekko nachylonym, leżały starannie ułożone karty, przytrzymywane ołowianym przyciskiem; obok czekało pięć zaostrzonych piór brenta, wypełniony po brzegi kałamarz, skrobak do skóry i naczynie z zimną wodą, która daje wytchnienie zdrewniałym palcom - skryba domyślał się, że czeka go długi dzień. Inkwizytorzy z Passier wzywali go wyłącznie wówczas, gdy przesłuchanie wymagało zachowania dyskrecji lub było utajnione. Referent Meliesse cieszył się poważaniem i słynął z rzetelności - pisał w tempie wypowiedzianych słów i potrafił sporządzić streszczenie drobiazgowego, trwającego kilka dni przesłuchania na jednej karcie. Langwedocką i prowansalską mowę świadków z południa Francji bezbłędnie przekładał na nieskazitelną łacinę i w tym języku zapisywał ich zeznania. Sposób ten, wysoko ceniony przez kościelne trybunały, pozwalał

sędziom z całego królestwa sprawić, by każde, choćby całkiem banalne zeznanie zapachniało stosem. Spod pióra Meliesse'a, sławionego przez jurystów jego epoki, wychodziły relacje pełne życia, czytelne, wolne od skreśleń. Sesja 7 września, na którą nie mieli wstępu bajliwowie okręgu, nie mogłaby odbyć się bez tego utalentowanego mężczyzny, grubasa pilnie pochylonego nad papierami, zawsze otulonego w poplamioną atramentem burkę.

Trybunał inkwizycyjny zbierał się w jednym z zadaszonych wewnętrznych dziedzińców arcybiskupstwa w Tarles. Była to przestronna sala, do której wiodły trzy portale. Miała ponad osiemnaście metrów szerokości i dwadzieścia prętów\* długości. Wysoko w górze zamykały ją wilgotne, naznaczone już zębem czasu sklepienia. Barwione solami kobaltu witraże sączyły niebieskawe światło. Środkowa część sali była pusta i każdy krok rozbrzmiewał na kamiennej posadzce głośnym echem, docierającym nawet do jej najdalszych zakamarków.

Ojciec inkwizytor de Noy był tak chudy, że siedząc w wysokim, wąskim fotelu, nad którego oparciem wznosiły się dwa gryfony, tworzył razem z nim niejako całość - wyniosłą, zimną jak lód, twardą jak marmurowa kolumna. Beruliusz de Noy słynął ze sztuki wydobywania prawdy z ust najbardziej przebiegłych grzeszników („uwalniał uśpione w nich owieczki boże", jak powiadano). Jak wszyscy biskupi z południa ubrany był w długą amarantową szatę z surowego jedwabiu.

Wikariusz i referent czekali, aż zwierzchnik otworzy posiedzenie. Ciszę przerywały jedynie odległe i słabe echa porannej pieśni Anioł Pański, śpiewanej przez mnichów z opactwa. Punktualny i pełen szacunku wobec obrzędu Noy nie zamierzał zaczynać procesu, dopóki zakonnicy nie zakończą hymnu.

Wikariusz Quentin, gdy tylko wybrzmiała ostatnia nuta, otworzył drzwi - za progiem stali już subdiakon i dwie panny. Dziewczęta tuliły się do siebie wystraszone, kolana uginały się pod nimi, zaciśnięte piąstki drżały. Ubrane były w długie do ziemi, wystrzępione koszule z grubego płótna, niezdarnie połatane i pocerowane. Na nogach miały ubłocone łapcie. Te dwie wieśniaczki były pierwszymi świadkami w sprawie z Draguan. Wprowadzono je do sali. Meliesse natychmiast sięgnął po pióro.

Sesja rozpoczęła się tuż po landzie w sali świętego Anastazego w biskupstwie Tarles. Przed obliczem Jego Ekscelencji biskupa de Noy stanęły doprowadzone przez subdiakona Amneville'a dziewczki - Paquin i Got. Subdiakon ów nie uczestniczył w przesłuchaniu. Kazał dziewczkom zasiąść przed Jego Ekscelencją. Paquin i Got przeżegnały się znakiem

---

\* Pręt - dawna miara, równa 4-5 metrom (przyp. tłum.).

krzyża, a następnie oświadczyły, iż gotowe są zeznawać. Biskup de Noy polecił im wszelako, by dodatkowo po dwakroć odmówiły Ojcie Nasz. Wypełniły ten rozkaz chętnie i bez śladu sprzeciwu.

Tak oto dziewczęta okazały, iż są dobrymi chrześcijankami. Biskup de Noy doskonale znał pokrętne ścieżki sprawiedliwości kościelnej i był świadom, iż lada wątpliwość może sprawić, że utraci powierzona mu władzę. Obawiał się, by nie połączono jego procesu z nowymi informacjami na temat herezji katarskiej, która to sprawa nie należała do jego kompetencji. Wierzenia te były szeroko znane i biskup wiedział, że żaden heretyk nie odmówi w spokoju ducha Pater noster ani Credo, świadom gniewu, jaki wzbudzi we wspólnocie i jej aniołach. Według katarów ciało człowieka jest nieczyste, a przez to on sam nie jest godzien wypowiadać imienia Boga lub modlić się, wznosząc święte inwokacje. Usta człowieka nie mogą służyć jednocześnie do przyjmowania ziemskiej strawy (którą potem to samo nieczyste ciało w odrażający i plugawy sposób wydalają) i do wyśpiewywania pełnym głosem chwały pańskiej. Pośród katarów imię boże rozbrzmiewało wyłącznie w myślach. Nakazując odmówić swym pierwszym świadkom po dwa Ojcie Nasz, Noy zapewniał sobie jednoznaczność sytuacji - prowadzona przezeń sprawa nie miała nic wspólnego z kwestią albigensów, waldensów, patarynów czy też dawnych bałkańskich bogomilów. Ta sprawa była jedyna w swoim rodzaju, miała zatem zająć należne jej miejsce w historii.

Biskup de Noy: „Świadkowie Paquin i Got, wysłucham was dziś w imieniu trybunału inkwizycyjnego. Waszym obowiązkiem będzie przedstawić trybunałowi bieg wydarzeń, które obserwowałyście w okolicach wioski Domines, kiedy to zaczęła się sprawa znana dziś jako »Megiddo«. Zaczynajcie łaskawie od podania panu referentowi waszych nazwisk, kondycji, wieku oraz płci, tak dziś, jak w dniu wydarzeń, o których mowa ”.

Biskup wskazał dłonią na Kretienotę Paquin. Była młodsza od towarzyszki. Miała duże jasne oczy, złociste włosy i mlecznobiałą cerę dziecka, którego buzia różowi się zdrowym rumieńcem. Ta niebiańska twarzyczka boleśnie raziała w posępnych murach klasztoru, przed złowieszczym trybunałem inkwizycji.

Kretienota Paquin: „Nazywam się Kretienota Paquin. Jestem młodszą córką szewca Breanda Paquin, pomocnicą tkacką w służbie Bruna Haliberta, od Wszystkich Świętych po słowie z Kajetanem Gauberem, tragarzem. Mam czternaście lat i jestem dziewicą. Wydarzenie miało miejsce w dziesiątym roku panowania świętej pamięci króla Filipa. Liczyłam naonczas siedem wiosen ”.

Wilhelmina Got: „Nazywam się Wilhelmina Got, jestem córką Ewerarda Barbeta. Niegdyś mieszkałam z ojcem w Tarascon. Obecnie jestem żoną ludwisarza Szymona Gota, mam troje dzieci i nie wiem, kiedy przyszłam na świat. Powiadają, że naonczas Uczyłam dziesięć, może dwanaście lat”.

Ludwisarzowa była bardziej butna niż jej towarzyszka. I bardziej zatwardziała. Jednak w słowach obu dziewcząt było wiele ostrożności. Obie też starały się wcisnąć jak najgłębiej w małe plecione krzeselka.

Biskup de Noy: „Powiedzcie nam teraz to, o czym od siedmiu lat powszechnie wiadomo w diecezji Draguan, a dziś musi zostać spisane przed trybunałem. Powtórzcie, co wyznałyście mi pod tajemnicą spowiedzi świętej, a zatem przed Panem Bogiem, przysięgając, iż wasze słowa wolne są od grzechu i kłamliwych przeinaczeń”.

Beruliusz de Noy był zręcznym inkwizytorem. Nigdy nie przesłuchiwał świadków pod przysięgą. Przypominał im jedynie o przysiędze złożonej niegdyś, choćby bardzo dawno temu. Ta drobna perfidia wytrawnego fachowca nieraz pomogła mu wydać surowy wyrok. Noy należał do tego typu sędziów, którzy wykrywali heretyka w Bogu ducha winnym biedaczynie. Nigdy nie uciekał się do tortur - jego obecność wystarczała, by skruszyć oskarżonych i zmusić ich do wyznania rzeczy, o których nie mieli pojęcia.

Kretienota Paquin: „Cała historia zaczęła się wkrótce po dniach krzyżowych Świętego Marka, kiedy to wiązy mają już duże liście”.

Wilhelmina Got: „Bawiłyśmy się obie nad brzegiem Montayou. W sekrecie, bo rodzice zabraniali dzieciom zbliżać się do najbliższego wioski tarliska”.

Kretienota Paquin: „Objawienie miało miejsce dokładnie przed drewnianą zaporą, którą zbudowali przodkowie Szymona Cłergues 'a. Właśnie rzucaliśmy otoczkami w ryby, które przypląnęły złożyć ikrę...”

Wilhelmina Got: „...i wtedy ukazało się to coś”.

Sydoniusz Meliesse nigdy nie słyszał o wydarzeniach, które rozślawiły diecezję Draguan. Docierały do niego plotki krążące pośród gminu, wiedział, jak fatalnie zakończyła się ta sprawa, słyszał opowieści o stosach kości, ale nie przypuszczał, że wszystko zaczęło się od dwójki chłopskich dzieciaków, które bawiły się nad wodą.

Kretienota Paquin: „Z daleka wyglądało to jak padle zwierzę, które unosi się na wodzie. Obracało się w wirach rzeki, zanurzało się i znów wyłaniało, poddane sile nurtu i obmywane przez fale. Podeszłyśmy jak najbliżej, a wtedy to coś utknęło między deskami zapory Cłergues 'ów”.

Wilhelmina Got: „Z bliska w niczym nie przypominało ścierwa łasicy ani martwej ryby”.

Kretienota Paquin: „Było długie, szare, miejscami mocno poczerniałe ”.

Zapadła cisza. Teraz dziewczęta musiały przywołać wspomnienia, które wprawiały je w przerażenie. Starsza przemówiła zdławionym głosem.

Wilhelmina Got: „To było ramię mężczyzny, Ekscelencjo. Okrutnie wyrwane ”.

Kretienota potwierdziła jej słowa skinieniem głowy. Wilhelmina Got wyjaśniła, że unoszenie się na wodzie umożliwiał mu nadmuchany jagnięcy pęcherz. Ten balonik unosił potworny strzęp na wodzie. Ludzki szczątek musiał od wielu dni płynąć z biegiem rzeki, bo gdy dotarł do zapory, pęcherz zdążył się rozciągnąć i uszła z niego połowa powietrza.

Biskup inkwizytor upewnił się co do ścisłości transkrypcji referenta, następnie dał znak wikariuszowi Quentinowi. Ten od początku przesłuchania czekał, opierając się o ścianę, tuż obok dużego drewnianego kufra. Posłuszny poleceniu, otworzył ową tajemniczą skrzynię i wydobyl z niej drelichowy worek -długi i owiazany sznurkiem. Rozwiązał go, stając tuż przed dziewczętami.

Nawet Meliesse zrobił się trupio blady. Biskup, o niczym nie uprzedzając, kazał zaprezentować świadkom wyżej opisany fragment ludzkiego ciała, przez minione lata przechowywany w Passier. Tkanki skurczyły się, wyschły, poszarzały. Kość mierzyła zaledwie trzy cale. Dłoń była złamana na wysokości stawu, przedramię w połowie długości. Było to złamanie otwarte, kość została częściowo zmiażdżona. Trzeba było niebywalej siły i okrucieństwa, aby ją strzaskać właśnie w tym miejscu. Składające zeznania dziewczęta zamarły, przerażone, ale potwierdziły autentyczność znaleziska.

Wikariusz zapakował dowód rzeczowy, nie przejawiając szczególnego zakłopotania takim traktowaniem ludzkich szczątków. Biskup kontynuował przesłuchanie.

Meliesse streszczał je dla zwierzchników de Noya.

Paquin i Got zapewniły, że nie wspomniały o zajściu rodzicom. Wróciły do domu, nie okazując śladu wzburzenia, choć były przerażone.

Nazajutrz znów poszły nad zaporę — rozkładająca się ręka wciąż tkwiła między deskami. Gdy postanowiły wyciągnąć ją z wody, pojawił się inny kształt płynący w dół rzeki. Także i on zatrzymał się na zaporze.

Dziewczynki uciekły, ile sił w nogach — było to drugie ramię człowieka, straszliwie porozrywane i unoszące się na wodzie za sprawą wypełnionych powietrzem bydlęcych wnętrzności.

Dzieci pobiegły do wioski, i tym razem trwając w milczeniu, ale wyraźnie przerażone. Były przekonane, że w końcu ktoś odnajdzie te szczątki ciała, a one nie będą musiały wyjawiać swej tajemnicy.

Nie zdradziły się ani słowem, choć żyły w strachu, nękane koszmarami, a nawet trawione gorączką. Mała Paquin ciężko zachorowała - jej czoło pokryły brunatne plamy, mówiła, że widzi młode wróżki ubrane w błękitne szaty. Znachor z wioski rozpoznał tę chorobę jako „ogień świętego Antoniego” - gwałtownie rozwijającą się słabość, którą wywołać i uleczyć mógł jedynie ów święty, wedle swej woli i mocą niebios. Odtąd dziewczynka nie chciała przemówić choćby słowem.

Przez trzy kolejne dni, nie bacząc na niebezpieczeństwo ani na pierwsze letnie burze, Wilhelmina Got samotnie chadzała w pobliże Montayou.

W tym czasie natrafiła w sumie na trzy inne ręce, znacznie mniejsze od pierwszych, a także na dwie nogi i dwa torsy. Wszystkie te szczątki były ludzkie, wszystkie odrąbano żywcem.

Meliesse skrupulatnie notował opis przedstawiony przez małą Got. Nie zapomniła o żadnym szczególe - podała barwę, kształt, stan rozkładu trupich szczątków...

Biskup de Noy: „Co skłoniło was do wyjawienia swego znaleziska ludziom z wioski?”

Wilhelmina Got: „Deszcz, Ekscelencjo. Montayou wzbierała. Trupie szczątki mogły lada dzień wydostać się za zaporę i popłynąć w dół rzeki, a nikt by tego nie spostrzegł. My jedne znałyśmy tajemnicę. Musiałam opowiedzieć o tych diabelskich sztuczkach rodzicom, albo wszystko by przepadło...”

Dziewczęta opisywały zdumienie wieśniaków z Domines. Sędzia Noy słuchał ich uważnie przez dwie godziny. Paquin i Got opowiadały o pełnych poruszenia dniach, jakie nastąpiły po ich wyznaniu.

Potem subdiakon Amneville wprowadził do sali ojców Meaulta i Abla, mnichów z diecezji Draguan. Potwierdzili oni słowa dziewcząt, uwiarygodniając ich zeznania, jak tego wymagała procedura ustalona przez inkwizycję, która zawsze żądała dwóch zgodnych świadectw i dopiero wówczas uznawała ich ważność.

Aby przekonać sędziów o swej prawowierności, zakonnicy musieli odmówić Zdrowaś Maryjo i potwierdzić, iż uznają władzę Rzymskiego Kościoła Apostolskiego. Następnie przedstawili swoją wersję wydarzeń.

Była ona całkowicie zgodna z zeznaniami dziewcząt.

Szczątki ludzkie niesione przez Montayou stały się obsesją wieśniaków z Domines. „Rytuał” pojawiania się trwał, jego regularność była iście piekielna - wyłowiono kolejny kadłub, potem czaszki, potem związane w pęczek ręce... każdą taką przesyłkę holował nadmuchany jagnięcy pęcherz, jelita albo pęcherz moczowy świni. Wszystko to kolejno wyławiano z wody.

W czwartym dniu po ujawnieniu sekretu przez Wilhelminę Got szczątki przestały przyplýwać.

Domines należało do legacji Draguan. Była to najmniejsza parafia biskupstwa, ubożuchnej diecezji, którą od trzydziestu lat kierował biskup Haquin. To on sprowadził cieszącego się sławą medyka z Sabarthes, mistrza Amelina. Ów uczony mąż całymi dniami badał ludzkie szczątki, schnące na pniu.

Był bardzo tajemniczy aż do zakończenia prac. Nazajutrz po siódmym dniu badań spalił fartuch i otworzył na oścież drzwi pracowni na szczycie niewysokiego wzgórze. Wówczas to biskup Haquin i jego owieczki osłupieli, ujrawszy na ogromnym drewnianym podeście trzy ludzkie ciała, całkowicie zrekonstruowane, odtwarzane kawałek po kawałku, niczym fragmenty drewnianej układanki, która ćwiczcy cierpliwość dziecka. Mistrz Amelin oznajmił, iż jego zdaniem ofiarami byli: mężczyzna oraz dziewczynka i chłopiec w tym samym wieku, zapewne bliźnięta.

Méliesse dyskretnie uniósł głowę, i zerknął na dużą skrzynię, obok której stał Awejron Quentin. Nie potrafił uwolnić się od myśli o stercie kości, najpewniej starannie oznakowanych i spoczywających o dziesięć kroków od niego.

Ten potrójny mord wywołał istną panikę wśród mieszkańców Domines. Sprawa pachniała piekłem i demonami. Bieg Montayou zaczynał się o kilka dni drogi na zachód. Źródła rzeki wypływały z bagien. Była to okolica całkowicie bezludna. Nikt nie mieszkał na tych obszarach, żaden dukt nie zbliżał się do koryta rzeki.

Niczego więcej nie było już trzeba, żeby rozbudzić strach w przesądnych wieśniakach.

Odprawiano msze, słano kurierów i ekipaże. Biskup Haquin wyprawił trzy ekspedycje -jego ludzie mieli strzec brzegów rzeki i otaczających ją terenów. Wyruszyli uzbrojeni.

W połowie dnia czterej świadkowie zakończyli składanie zeznań. Sydoniusz Meliesse zapisał siedem stronic i zużył dwa pióra. W oddali rozbrzmiewały głosy braci zakonnych, odśpiewujących już sekstę. Zebrani w sali ze zdumieniem uświadomili sobie, jak wiele spędzili tu godzin. Zatracili poczucie czasu. Wszyscy dali się wciągnąć w opowieść o wydarzeniach sprzed siedmiu lat, w posepne wspomnienia o tym, co miało stać się przyczyną tylu okropieństw.

Wszyscy z wyjątkiem Beruliusza de Noy. Biskup znał na pamięć te makabryczne historie. Dzięki jego uporowi i znajomości procedur dziś zostały one spisane i trafią do archiwów inkwizycji. Wiedział, że upłynie wiele miesięcy, zanim uda się zgromadzić zeznania i dokonać właściwej



interpretacji faktów. A przede wszystkim wiedział, że on pierwszy będzie miał możliwość ogarnąć wszystkie, czasem sprzeczne, elementy sprawy „Megiddo” i wyciągnąć wnioski. Był gotów. I pełen niecierpliwości.

Przed zamknięciem sesji ojciec Abel dodał:

Ojciec Abel: „Z czasem zidentyfikowano ciała wyłowione z Montayou. Pewien książe, i dwójka jego dzieci zaginęli, o czym informował opat z F. Wyruszyli z Clouzes do Pitie-aux-Moines. Choć rzeka była nieco oddalona od szlaku ich podróży, przypuszczano, że zboczyli z drogi i nieszczęśliwym trafem wpadli w...”

I tu, na rozkaz biskupa, Meliesse kończy swój raport. Dokumenty opatrzone symbolem „MEGIDDO-I”. To pierwszy z dziewiętnastu tomów, które zapełniły relacje ze śledztwa prowadzonego przez Jego Ekscelencję biskupa de Noy. Dokumenty te, podobnie jak załączniki, można dziś czytać w Bibliotece Narodowej. W kartotece manuskryptów opatrzone je numerem ISBN: 2-84563-076-X. Ich odrestaurowaniem, a także uporządkowaniem zajął się profesor Emmanuel Prince-Erudał.

Przytoczone tu fragmenty są autentyczne, jedynie ich język został nieco uwspółcześniony. Wszystkie historyczne dokumenty odnoszące się do prologu pochodzą z tomu zatytułowanego: „Część pierwsza: Rok 1283”.

## CZEŚĆ PIERWSZA

1

Dla przeważającej części Europy sroga zima roku 1284 stała się istną klęską. Mieszkańcy Draguan uznali ją za kolejne spadające na nich przekleństwo.

Figurka Matki Bożej, cała pokryta szronem, pękła, rozbijając pokrywającą ją od wielu tygodni lodową skorupę. Mróz unicestwił tę nieszczęsną alabastrową Maryję, która stała samotnie w szczerym polu, u zbiegu dróg wiodących do Domines i do Befayt.

Nikt nie zebrał szczątków figurki - pozostawiono je ku przestrodze, aby zniechęcić tych, którzy ośmieliliby się zapuścić na ziemie diecezji Draguan.

Takich „diabelskich mrozów” nigdy tu nie było. Mieszkańcy oddalonych od wioski chat chronili się w pobliskiej parafii, nad polami wzbijał się dym z ognisk - płomienie buchały z nich w górę niczym- ze smoczyc paszcz, dachy przykrywano natłuszczonymi szmatami i suchą trzcina, chaty okładano snopkami słomy i ciepłym łajnem bydła, które trzymano teraz w szałasach. Tego roku życie stało się cięższe niż w czasach wojennego głodu.

Nieco ponad rok od niepokojących wydarzeń na zaporze w Domines biskup Draguan, Jego Ekscelencja Haquin, opatulony jak wszyscy krajanie, w kapturze z bydlecej skóry, martwił się roztrzaskaną figurką Marii Panny i „piekielnym” mrozem, myśląc, że zbyt wiele sił sprzysięgło się przeciw jego małej diecezji.

Kiedy tylko pojawił się pierwszy szron, on także zmuszony był opuścić swoje biskupstwo i zamieszkać w małej celi na kanonii. Ciasna, o niskim stropie, świeżo pobielona wapnem, była łatwiejsza do ogrzania niż jego biskupi gabinet. Kapłan bez trudu dostosował się do nowych warunków życia. Skromna siedziba, w której znajdowały się jedynie krzesło, stół na jednej nodze i skrzynia, wszystko z surowych desek, w pełni zaspokajała potrzeby dostojnika. Jedynym bardziej wyrafinowanym sprzętem był wygodny biskupi tron, prywatna stalla, z którą starzec nigdy się nie rozstawał. Na poły relikwia, na poły talizman, drewniany fotel zawsze podróżował z biskupem. Tym bardziej dziś. Charakter Haquina wyraźnie się zmienił po odkryciu trzech ciał w Montayou. Dotąd wpływowy i pełen energii, stał się samotnikiem. W swym odosobnieniu pochylał siwą głowę nad świętymi księgami, pozwalając, by wierni powoli o nim zapominali. Jego oczy stały się nieprzeniknione, jak spojrzenie jasnowidzących z obrazów w kościołach: zmętniały, znieruchomiały, jakby wyrzeźbiono je w kości słoniowej. Nikt nie mógł pojąć, dlaczego dobry biskup tak mocno winił się za to, co spotkało trójkę topielców w nurtach Montayou, i dlaczego w sumieniu chrześcijanina uznał to za własny grzech.

2

O świcie 6 stycznia roku 1284 stary człowiek, jak co rano, siedział przy stole i pisał. Barwy dnia ledwie rozjaśniły niebo nad szczytami Pirenejów, widocznymi na horyzoncie. Wiatr hulał po uliczkach, uderzając o ściany domostw. Przenikał mroźnym podmuchem wszystko, co napotkał na swej drodze -licho odzianych przechodniów, świstał w szparach w oknie.

Celę Haquina, jedyną, w której o tak wczesnej porze paliło się światło, wypełniało skwierczenie świec -jednej wsuniętej do karafki i dwóch ustawionych w lichtarzu. Płomyki chwiały się z lekka.

Ktoś leciutko zapukał do drzwi. Wikariusz biskupstwa, brat Chuaquet, nieśmiało wsunął głowę i zapytał, czy może wejść.

Był to mężczyzna trzydziestoletni i jak wszyscy członkowie zakonu miał tonsurę, nosił habit z surowego płótna, a na ramieniu miał przypięty znaczek upamiętniający założenie Draguan przez zakon z Taboru. Wierny i odpowiedzialny, pełnił także funkcję brata ekonoma. Z poważaniem skłonił głowę przed zwierzchnikiem.

- Dzień dobry, Ekscelencjo.

Pochylony nad kościanym pulpitem starzec zdawkowo, nie podnosząc głowy, odpowiedział na powitanie. Chuquet przyniósł miseczkę lodowatej wody, by jak co rano postawić ją na rozpalonym piecu.

Ostrożnie zamknął za sobą dębowe drzwi, które nawet nie skrzypnęły - nie chciał przeszkadzać biskupowi w lekturze. Ledwie wstał, a już przystąpił do pracy, by przygotować domostwo do kolejnego dnia.

- Są wieści od naszego podróżnika? - zapytał biskup.

- Jeszcze nie, Ekscelencjo. Zima jest sroga. Koziarz Adso pięć dni temu wrócił z Passier; powiada, że wielka część królestwa tonie w śniegach. Nawet główne szlaki są nieprzetarte. Jak dotąd tylko nas ominęły potężne śnieżyce.

- Hm...

- Nie należy się go spodziewać, póki nie puszczą lody -dodał zakonnik.

- Zima dopiero się zaczęła. W najbliższych tygodniach może się nasilić.

- Wielka szkoda. Jaki mamy dziś dzień? Świętego Emie-la?... A zatem jeszcze nie wszystko stracone - powiedział biskup. - To będzie dobry dzień. Zresztą zobaczymy.

Wikariusz nie miał pojęcia o podaniach związanych z Emielem, ale nie był usposobiony do dysput. Pragnął jedynie upewnić się, że dobrze rozpałił w piecu, i wrócić do refektarza. Ogień palił się równo, roztaczając tę szczególną woń wystygłego popiołu. Mnich postawił miseczkę z wodą na płycie.

Przez jedyne okno izdebki wdzierało się światło budzącego się dnia. Jak co rano zakonnik sprawdził, czy zasuwka dobrze trzyma. Okno wychodziło na główny plac Draguan, gdzie wznosił się kościół i budynek kanonii, wciąż tak nazywany, choć w biskupstwie od dawna nie było kanonika. Stary biskup, trzech mnisi i pięciu księży na dwanaście parafii stanowili cały majątek Draguan, małego wiejskiego biskupstwa.

Na ulicach miasteczka nie było żywego ducha. Ciężkie chmury wisiały nisko nad ziemią, niemal połykając wieżę kościoła. Zazwyczaj przy takiej pogodzie nikt się tu nie pojawiał, jednak teraz Chuaquet dostrzegł na rogu uliczki światelko, które przesunęło się i niknęło w mroku poranka.

„I znów ktoś dopuścił się cudzołóstwa" - pomyślał wikariusz.

Poruszył zamkiem okna. Wszystko było w porządku.

3

Przechodząc obok biurka biskupa, wikariusz zobaczył iluminowany manuskrypt, którego lektura pochłonęła starca. Co prawda zakonnik nie grzeszył ciekawością, jednak zaintrygowało go skupienie zwierzchnika i szept, które dobywały się z jego ledwie poruszających się ust.

Karta była duża i delikatna, wypełniona ikonami i różnokolorowymi symbolami. Iluminacja wydała mu się niezwykła. Ten, kto ją wykonał,

użył jaskrawych barw, wymalował wiele symboli i miniaturowych postaci. Pojawszy skryte znaczenie tego dzieła, Chuaquet zbladł, jakby został przyłapany na grzechu. Pośrodku wielkiej stronicy widniały budzące odrazę scenki - grupki nagich kobiet, spółkujące istoty, małopokształtne potwory, hipogryfy, wrony pozbawione łbów, mroczne lasy plujące ludźmi, którzy uciekali po rozżarzonych węglach, stosy podsycane ludzkim ścierwem, przewrócone krzyże, które wbijały się w brzuchy spasionych księży o twarzach rozpusztników. Ten obrazek był z pewnością jednym z najbardziej wyrafinowanych wyobrażeń Zła, jakie kiedykolwiek wyszły spod ręki artysty. Jak to możliwe, że jego pióro nakreśliło wszystkie te łuki, te piekielne szkielety, a welin nie zajął się ogniem?

Chuaquet odwrócił oczy, starając się nawet przelotnie nie zerkać na świętokradcze potworności kryjące się w księdze. Niestety, także pozostałe lektury biskupa zalatywały siarką. Szatańskie bagna, rozprawy na temat Apokalipsy, iluminacje inspirowane świętym Janem, kalendarze Kalabryjczyka, bezecne wizerunki demonów, sukubów, a także urywki zaczerpnięte z Necronomiconu... Chuaquet nie wiedział, gdzie zwrócić oczy, by nie narazić na szwank swojej mnisiej skromności lub, co gorsza, nie złamać surowych ślubów zakonnych.

Biskup nie dostrzegł zakłopotania wikariusza.

„Bogu niech będą dzięki - pomyślał Chuquet. - W opactwie Gali takie wścibstwo przyplaciłbym zamknięciem w celi albo chłostą”.

Zakonnik postanowił dyskretnie wymknąć się z izdebki. Upewnił się, że woda zaczyna wrzeć, pokłonił się biskupowi i wyszedł. Biegiem ruszył w stronę refektarza, by dołączyć do dwóch innych braciszków z biskupstwa.

Wkrótce po jego wyjściu Haquin przerwał lekturę i wyjął z biurka puzderko, w którym z wielką dbałością przechowywał orzechy. W grubych skorupkach miąższ owocu przez całą zimę pozostawał miękki i soczysty. Biskup wybrał dwa orzechy i zanurzył je we wrzątku. Gdy uznał, że napój nabrał dość mocy, i chciał napełnić pucharek, jego uwagę przyciągnęły nieoczekiwane dźwięki - przed kanonią zarżał koń. Starzec zamarł w bezruchu, ale wokół znów panowała cisza. Wstał i podszedł do okna. Uchylił je, wysunął głowę na zewnątrz i w szarówce poranka ujrzał wierzchowca. Przed bramą, starannie uwiązany, rzeczywiście stał koń. Było to potężne, silne zwierzę, o mocnej szyi, w niczym nieprzypominające nędznych szkap, spotykanych w okolicy. Jego czarną skórę ochraniała kapa z grubej tkaniny, siodło było miękkie. Zwierzę ciężko dyszało, widać było, że ma za sobą bardzo długą drogę. Jeździec zdążył się już oddalić.

Uliczki Draguan były wymarłe.

Zamykając okiennicę, starzec zmarszczył czoło. Od wielu tygodni oczekiwał znamienitego przybysza, który jednak z pewnością nie podróżował na takim wierzchowcu.

Biskup chciał przywołać wikariusza, lecz powstrzymał go odgłos szybkich kroków zbliżających się do jego celi.

Znowu pojawił się Chuaquet, tym razem jednak ożywiony i czujny jak żołnierz.

- Proszę o wybaczenie, Ekscelencjo...

Mnich wszedł, nie czekając na przyzwolenie biskupa.

- Właśnie pojawił się pewien przybysz, prosi o widzenie z Waszą Ekscelencją.

- Doprawdy? Czy to nie nasz nowy...?

- Nie, ojciec - przerwał Chuaquet. - To nieznajomy. Pragnie jak najpilniej pomówić z Waszą Ekscelencją. Nie podał nazwiska.

Wikariusz był poruszony i pełen entuzjazmu. To, co się stało, w jego oczach nabierało cech zjawiska niezwykłego - ostra zima, wczesna pora i...

- Jak wygląda? - zapytał biskup.

- Jest wysokiego wzrostu, Ekscelencjo. Niemal olbrzym. Nie zdołałem dojrzeć jego twarzy, bo od stóp do głów otulił się opończą.

Ten baśniowy wygląd przybysza sprawiał, że spotkanie jawiło się niczym cud.

Haquin nie podzielał zapału wikariusza. Rozczarował się, nie tego bowiem dziwnego osobnika oczekiwał z niecierpliwością pośród mroźnej zimy. Ta wizyta nie wróżyła niczego dobrego.

- Wprowadź go do sali kapitulnej - polecił. - Przyjmiemy go z honorami należnymi przybyszom z daleka.

Braciszek aż podskoczył, zachwycony, że nadarza się okazja, by ujawnić, jak dziwny to gość.

- Och, nie, Ekscelencjo. Człek ów powtarzał z naciskiem, iż nie oczekuje od nas ceremonialnego przyjęcia. Nade wszystko pilno mu w dalszą drogę i pragnie tylko krótkiej rozmowy.

Biskup wzruszył ramionami.

- Skoro takie jest jego życzenie, wprowadź go tutaj. Przynajmniej ten szlachcic nie dba o konwenanse...

Chuaquet już zniknął. Biskup podszedł do biurka, zamknął kałamarz i ostrożnie ułożył wszystkie dzieła, weliny i rozprawy w wielkim drewnianym kufrze. Na blacie pozostawił jedynie kilka nic nieznaczących kart.

Gdy z korytarza dobiegł odgłos ciężkich kroków, Haquin odstonił schowany pod pelisą srebrny krzyż, który zdobił jego pierś i symbolizował rangę biskupią.

Tajemniczy przybysz podążał za Chuaquetem. Zakonnik nie skłamał: był to mężczyzna niezwyklej postury, szczelnie okryty ciemnymi, przemoczonymi szatami, pod którymi niknęły i jego ręce, i twarz, a nawet oczy, osłonięte kapturem. Biedny braciszek, onieśmielony wobec tak postawnego męża, a także szczękiem ostróg i klamer u butów, nie ważył się go zagadnąć.

Zbliżywszy się do drzwi biskupiej celi, cichutko w nie za-skrobał. Otworzył, gdy usłyszał przyzwolenie. Nieznajomy zatrzymał się tuż przed Haquinem, wciąż milcząc i nie odsłaniając oblicza.

- Zostaw nas samych, Chuaquet - polecił biskup.

Wikariusz, skłoniwszy głowę, zamknął za sobą drzwi.

Biegiem wrócił do refektarza, usytuowanego na parterze, tuż przy głównym wejściu. Tu czekali już na niego bracia Abel i Meault, dwaj pozostali mnisi z biskupstwa. Skupili się przy stole. Meault - grubas o czerwonej, okrągłej twarzy - teraz wyraźnie był podenerwowany. Abel, który do zakonu należał najdłużej, lepiej panował nad emocjami, lecz i on wyglądał na zaniepokojonego.

Skoro tylko Chuaquet wszedł do refektarza, zaczęli półgłosem wypytywać go, kim jest nieznajomy.

- Zapewne to wysłannik z Jehan lub wielkich sufraganów? - domyślał się Meault.

Gdy minionego roku w Domines znaleziono zwłoki, Jego Ekszelencja biskup Haquin zwrócił się z prośbą o pomoc do archidiecezji w Passier, ale spotkał się z odmową. Szukał też wsparcia u wyższej instancji - Jehan, z takim samym skutkiem, tyle że tym razem nawet nie zaszczycono go odpowiedzią. Trzeci posłaniec udał się do arcybiskupa. Przedłużające się milczenie rozwiało ostatnie złudzenia starca - instytucje kościelne nie zamierzały zajmować się sprawą Montayou.

- Być może działają bez pośpiechu i odprawili posłańca po długich naradach - wtrącił Meault. - Takie okrycia (miał na myśli zarówno konia, jak i czarną opończę przybysza) z pewnością osłaniają sutannę i zwiastują ważne nowiny.

Jego rozumowanie najwyraźniej nie przekonało towarzyszących mu zakonników.

- A może to dawny znajomy biskupa, który odnalazł go po latach? - podsunął dziekan Abel.

Lecz to przypuszczenie spotkało się z jeszcze chłodniejszym przyjęciem. Haquin, który przybył do diecezji w roku 1255, nigdy nie mówił o przeszłości. Czy pochodził z Paryża, czy też z diakonatu północnego albo któregoś prowincjonalnego biskupstwa? Nikt tego nie wiedział. Do Draguan zbyt rzadko zaglądali kościelni dostojnicy i

szlachta, by mogły tu dotrzeć echa przeszłości biskupa. I choć Haquin od trzydziestu lat piastował ten urząd, parafianie nic o nim nie wiedzieli poza tym, że ich biskup nie otrzymywał żadnej poczty prócz dekretów arcybiskupa Fougerolles lub pism prymasowskich z Passier i że przez z górą ćwierć wieku nie opuścił diecezji. Nikt obcy nigdy nie złożył mu wizyty, jakby całe życie Haquina ograniczało się do kierowania diecezją.

A przecież człowiek ten przejawiał talenty, które mogły się rozwinąć jedynie na zgoła innej niż kapłańska drodze życia. Haquin znał nowinki ze świata. Widocznie wiele podróżował. Uczył tutejsze kobiety, jak odtłuszczać wełnę z naturalnego łoju, a następnie natłuszczać ją masłem i czesać sposobem florenckich przadek; odlewał świece, stosując nową metodę, z użyciem taniny i żywicy; dzięki jego wskazówkom doprowadzono do końca budowę małego młyna wodnego - sławetnej maszyny rodem z krajów Północy, służącej do mielenia ziarna i wyrobu mąki bez trudzenia ludzkich rąk, a także do wałkowania płótna. I wreszcie to on uwolnił zwierzęta pociągowe od jarzma i wprowadził lżejsze chomąto. Dzięki temu wynalazkowi można było zorać trzykrotnie więcej ziemi niż dotychczas. Wieśniacy uznali to za istny cud. Jednocześnie biskup nadzorował budowę mostów, wytyczał drogi, kazał osuszać mokradła i uczył chłopów wyrabiać narzędzia rolnicze.

Jego energia i niezłomna wola wzbudzały szacunek. Wśród wieśniaków, którzy wiarę często mieszały z przesadami, szacunek znaczył wiele, znacznie więcej niż wiedza.

Pozostający na parterze brat Chuaquet zastanawiał się, co też by uczynić, żeby uszczknąć cokolwiek z rozmowy biskupa z nieznajomym. Podszedł do schodów i wyteżył słuch, lecz na próżno.

Spośród trzech mnichów on właśnie przejawiał najsilniejsze wzburzenie. Tkwiąc w Draguan od piętnastu lat, coraz dotkliwiej odczuwał monotonię egzystencji w małej wiejskiej plebanii. Był jeszcze młody, marzyło mu się bardziej ruchliwe życie. Zwłoki z Montayou zburzyły wprawdzie spokój w mieście. Może przybycie nieznajomego stworzy okazję do wyrwania się z tej dziury?

- Nie wierzę w twoje domysły - powiedział Abel, wracając do refektarza. - To nie jest zwykła kurtuazyjna wizyta. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ryzykowałby podróży o tej porze roku, żeby odwiedzić Draguan bez rozkazu zwierzchności lub nie wypełniając ważnego zobowiązania!

Biskupstwo Draguan leżało w zapadłym kącie królestwa. Jego nazwę często pomijano lub usuwano z map regionu. Kiedy poprzednik Haquina, Jorge Aja, porzucił biskupstwo, które uznał za zbyt ubogie, wierni przez trzy lata czekali na nowego biskupa. Nikt, ani dwór, ani okoliczne

klasztory, nie interesował się tym niewiele wartym biskupstwem. Wprawdzie diecezja obejmowała trzy rozległe doliny, ale liczyła zaledwie osiemdziesiąt dymów, rozrzuconych pośród cuchnących bagien i nieprzebytych lasów. Ziemie te, zagubione na podmokłych, niemal bezludnych terenach, nawet uprawiane z mszałem niewiele rodziły. Żaden ród królestwa, żaden baron nigdy nie zdecydował się sięgnąć do sakwy, aby związać ze swym nazwiskiem pustkowie, które nie obiecywało zysków ani nie miało znaczenia strategicznego. Draguan należało do tych nielicznych rejonów królestwa, które nie były uzależnione od żadnego wielmoży. Tutejsi ludzie nikomu nie musieli składać hołdu, nie musieli walczyć w niczyich barwach, nie mieli kapitana, który pobierałby czynsze i dziesięciny, nie musieli odrabiać pańszczyzny. Ta prowincja była wedle prawa wolna, czy, jak mawiano, „wyzwolona”.

Wolna, ale zarazem pozbawiona ochrony. Żaden zamek nie bronił jej przed najazdem; żaden oddział łuczników nie odstraszał grasujących po drogach rozbójników ani włóczęgów. Mieszkańcy Draguan sami musieli bronić tej ziemi, która odpłacała im skąpymi plonami. Rabusie i zbiegli żołnierze, którzy zapuścili się do Draguan, opuszczali tę krainę z pustymi rękami, przysięgając sobie, że nigdy więcej nie wrócą na bagna. Napadnięci wieśniacy tracili najwyżej sierp albo kosę, młódki - cnotę.

Jedyną władzą w Draguan był kościół. Uosabiał króla, doradcę, sędziego, nauczyciela, rodzinę i starszą siostrę i opiekuna. Wierni od dawna przywykli do tego. Wiedzieli, że nawa świątyni osłoni ich i obroni skuteczniej niż mury obronne zamku.

Meault wykręcał palce tak mocno, że aż trzeszczały w stawach.

- Kimkolwiek jest ten tajemniczy gość, nie wygląda na posłańca niebios!

Abel i Chuaquet nie mieli ani ochoty, ani czasu, by choć uśmiechem skwitować obawy brata - całym domostwem wstrząsnął potężny huk. Rozległ się w celi biskupa. Mnisi wybiegli z refektarza.

Nieznajomy zbiegał po schodach, skacząc po kilka stopni naraz. Roztrącił mnichów, wybiegł na zewnątrz, wskoczył na konia i galopem opuścił miasteczko.

Chuaquet pobiegł do celi biskupa. Starzec leżał na posadzce z roztrzaskaną czaszką. Pośród odłamków kości i krwawych strzępów twarz była nie do rozpoznania. Zupełnie jakby kapłan zginął od potężnego uderzenia maczugą. Nieszczęsny Chuaquet nie wierzył własnym oczom. Izbę wypełniał gęsty dym. Ostra, nieznana woń drażniła nozdrza.

Zakonnik zbliżył się do zamordowanego, szlochając. Gęstniejąca krew spływała po oparciu fotela, który był mu tak drogi. Na oparciu tego mebla z orzechowego drewna wyrzeźbiono kartusz, a na nim bogatą w detale



scenę - grupę uczniów, którzy z podziwem spoglądają na mistrza. Jego postać usytuowana w centrum wznosi ręce jak w modlitwie. Mistrzowsko wykonana płaskorzeźba, na pierwszy rzut oka banalna i nie-znacząca, przywoływała bogactwo skojarzeń: zgromadzenia pierwszych chrześcijan, szkołę jońską, wierzenia egipskie, kult Mirty, eleuzyjskie misteria.

Drewniane oparcie nie ucierpiało, lecz na tym cudownie rzeźbionym obrazie uczniowie otaczający mistrza byli teraz skąpani we krwi.

4

Wieczorem, po raz pierwszy tej zimy, opady śniegu dotarły także do Draguan. Przez cały dzień wszyscy mówili wyłącznie o śmierci biskupa. Noc nie uspokoiła wzburzonych umysłów. Ludzie zniknęli z zaśnieżonych uliczek, aby toczyć rozmowy w ciepłe kominków.

W ciągu tych kilku godzin opinia o poczciwym Haquinie uległa nieoczekiwanej zmianie - święty mąż okazał się zdrajcą i wiarołomcą. Nikt nie ubolewał nad jego śmiercią, lecz potępiano mordercę.

Wiść o nagłej wizycie „człowieka w czerni”, o potwornym huku i roztrzaskanej czaszce starca rozeszła się lotem błyskawicy. Żadna broń świata nie zdołałaby unicestwić w taki sposób istoty z krwi i kości. W oczach osieroconego, przesądnego ludu kapłan stał się nagle grzesznikiem, gdyż tylko niewybaczalny grzech mógł usprawiedliwić tak ciężką karę. Szeptano, że biskup padł ofiarą gniewu szatana. Jego mroczna przeszłość zaczęła intrygować. Jego milczenie, samotność, melancholia -wszystko to rozbudzało i podsycalo chorobliwe rojenia poszukiwaczy tajemnic. Uczyniono zeń potępieńca, zabójcę dzieci, poplecznika heretyków, sodomitę. Beatrycze, pierwsza gospodyni biskupa, przypomniała sobie, że w kufrze biskupa znalazła (wydarzyło się to przed z górą dwudziestu laty) sambenito, żółty w czerwone krzyże pokutny worek, który inkwizycja nakazywała nosić skruszonym grzesznikom. Ludzie żegnali się znakiem krzyża. Haquin był fałszywym biskupem! Przez trzydzieści lat ten renegat odprawiał msze, spowiadał i rozgrzeszał, chrzczył dzieci. Na myśl o tym wiernych ogarnęło przerażenie i wstyd, który przerodził się w gniew. Pasma nieszczęść, jakie spadały na Draguan od wyłowienia z Montayou trupów, nabrało nagle innego znaczenia, jawiło się w nowym świetle. Nawet za tę srogą zimę winiono teraz Haquina.

Każdy z mieszkańców Draguan miał swoje zdanie na temat tożsamości mordercy i okoliczności zabójstwa. Szło już tylko o to, kto poda nowy lub bardziej przekonywający szczegół. Szymon Clergues, tkacz, zapewniał, że na długo przed zbrodnią widział włóczącego się ulicami człowieka w czerni; szlifierz Haribald opowiadał o grupie jeźdźców w ciemnych szatach, którzy czekali ponoć u bram miasta (powtarzał z uporem, że ich rumaki były jaskrawoczerwone); karczmarka klęła się na wszystkie

świętości, że koń niósł dwóch ludzi - olbrzyma i karła (olbrzym prawdopodobnie zbiegł, karzeł z pewnością nadal przebywał w mieście). Snycerz Pelat zapewniał, że uciekający morderca trzymał w prawej ręce potworny zakrwawiony przedmiot... Balwierz Antelieu twierdził, że była to... głowa biskupa! Z upływem czasu mnożyły się sprzeczne i mrozące krew w żyłach opowieści. Ludzie byli coraz bardziej wzburzeni, ich gniew zwrócił się przeciwko świętościom. Łamali krzyże, deptali święte obrazy. Wystraszeni mnisi zabarykadowali się w biskupstwie i na kanonii.

- Człowiek w czerni mógł nas wszystkich wymordować! - wrzasnęła stara kobiecina, ciskając kamień.

Wieczorem wieśniacy wypuścili się na drogi wiodące z miasta, by wypatrywać czarnego jeźdźca, gdyby ten postanowił wrócić, a także złych mocy, które niebacznie wywołano w ciągu dnia. Jedni pragnęli chronić rodziny, inni chcieli czynem dowieść swego bohaterstwa.

Szymon Clergues, tkacz, zajął wraz z trzema ludźmi pozycję przy starej bramie północnej, za rozwalającą się przyporą murów obronnych, tworzącą zamkniętą z trzech stron redutę. W razie zagrożenia mieli wszcząć alarm i podjąć obronę.

Na kanonii wikariusz Chuaquet i jego dwaj towarzysze przygotowali się do oblężenia: zabarykadowali drzwi, opieczętowali lakiem te, które wiodły do celi i do gabinetu Haquina, wygasili wszystkie pochodnie i zapalili świeczkę za duszę biskupa. W domu zapanował półmrok i grobowa cisza. Okna, które nie były wyposażone w ołowiane okiennice, zabili deskami. Główne wrota wzmocnili potężnymi balami, podparli kuframi i żelaznymi sztabami.

Wszyscy trzej czuwali w małym refektarzu, wspólnej izbie, która służyła im jako kuchnia. Nie odśpiewali mszy wyznaczających porządek dnia, nie spożyli posiłku południowego ani wieczornego. Nie odprawili też mszy gregoriańskiej za duszę biskupa. Z dawna ustalony porządek modłów i nabożeństw poświęconych zmarłym został zakłócony, bo mnisi byli zbyt wzburzeni, aby z należytą czcią i w skupieniu wypełnić obowiązek pożegnania swego zwierzchnika, przez cały miesiąc odprawiając zań zwyczajową mszę.

Na dworze rozpętała się śnieżycą, wciąż przybierająca na sile, coraz bardziej dokuczliwa. Wkrótce liche schronienie Szymona Clergues'a zostało całkowicie zasypane, zniknęło pośród pobielających zarośli i gałęzi drzew. Tkacz i jego kompani tkwili za załomem muru, przytupując dla rozgrzewki, tuląc się do wilgotnej ściany.

Oprócz grup pełniących wartę u bram miasteczka okolicy strzegli dwaj potężnie zbudowani mieszkańcy Draguan. Byli to niejaki Liprando i Grosparmi, drugi szlifierz z Draguan. Ten ostatni miał baczenie na

północną rondę. W regularnych odstępach czasu przechodził obok reduty Szymona Clergues'a przy bramie północnej, leśnymi duktami zmierzał ku rozwidleniu dróg do Domines i Befayt, przy którym niedawno pękła na mrozie figurka Marii Panny, i dalej ku chlewniom. Opatulony w wysmarowaną rybim tłuszczem kapotę z kapturem, cuchnął odrażająco, ale taki ubiór nie przepuszczał wilgoci. Olbrzym dzierżył w rękach nabijaną żelaznymi kolcami pałkę do kruszenia kamieni. Właściwie posługiwał się nią, by rozbijać twarde grudy ziemi, które stawały mu na drodze, kiedy orał pole. Jednym uderzeniem mógłby nią zwalić z nóg, a nawet zabić największego osiłka.

Grosparmi szedł równym krokiem. W wyznaczone miejsca powracał z regularnością wysuwającego się na tarczę zegara i wybijającego godziny ołowianego rycerza. Wzrok mu się wyostrzył i gdy przywykł do mroku, dostrzegał lada poruszenie, każdą zmianę. Nic nie mogło go zaskoczyć. A raczej -prawie nic.

Kiedy ten zbrojny mąż po raz kolejny mijał rozwidlenie dróg i znalazł się przed kapliczką Marii, ze zdumieniem spostrzegł, że figurka stoi jak dawniej. Ktoś złożył odłamki w całość i zespolił je ubitym śniegiem. Posążek odzyskał dawną postać! A przecież, kiedy Grosparmi był tu ostatnio, odłamki leżały pod śniegiem. Dałby głowę, że tak właśnie było.

Grosparmi wzniosł broń. Tuż przy kapliczce dojrzał ślady stóp, które nieco dalej zwały się z jego własnymi śladami, tak jakby szła tędy tylko jedna osoba i podążała prosto do Draguan.

Szlifierz zaklął i przyspieszył. Nie odrywał oczu od śladów na śniegu. Nieznajomy stawiał długie kroki. Dłuższe niż on. Grosparmi szedł równolegle do tropu; był czujny i gotów podjąć walkę. Nagle ślad się urwał. Na samym środku drogi. Jakby ten ktoś rozpląnął się we mgle.

Grosparmi podniósł wzrok. Krew pulsowała mu w skroniach. Dobiegł go niewyraźny szmer, jakby świst powietrza, i niemal w tej samej chwili osunął się na ziemię, wyjąc jak zarzynane zwierzę.

Echa jego krzyku dotarły aż do północnej bramy, oddalonej od rozwidlenia dróg o strzał z kuszy. Tkacz i jego ludzie poderwali się z miejsc. Chwytając za broń, wybiegli z ukrycia.

W odległości dwudziestu metrów, za skarpa, wśród ośnieżonych drzew, ujrzeli potężną sylwetkę mężczyzny, który zbliżał się do Draguan.

„Człowiek w czerni” wrócił.

Ten diabeł wciąż krył się pod czarnym płaszczem z głębokim kapturem, który osłaniał mu twarz. Wyglądał jak nocny ptak. Szedł, podpierając się kijem, do którego przytroczony był niewielki węzełek. Spoglądał w ziemię.

- Pozbył się konia - szepnął Clergues. - Zapewne chce niepostrzeżenie wśliznąć się do miasta pod osłoną nocy... a może jego rumak padł z wychłodzenia.

Czterej stróże północnej bramy inną drogą pognali ku miastu. Chaty w Draguan przylegały ciasno do siebie, niektóre z nich połączone zostały wewnętrznym przejściem, zastawianym zwykłą deską. Wieść o powrocie zabójcy rozeszła się lotem błyskawicy. W ciągu paru sekund sąsiad uprzedzał sąsiada. Natychmiast wygaszono wszystkie pochodnie, umilkły wszelkie rozmowy...

Ktoś pobiegł na kanonię zawiadomić mnichów. Zapukał do drzwi i podenerwowanym głosem oznajmił: „Wrócił! Ten człowiek! Obcy wrócił! Ten, który przybył tu rano! Ten od biskupa! Zaatakował Grosparmiego...”

Dokładnie wtedy morderca wszedł do Draguan. Szybkim krokiem zmierzał w kierunku kanonii.

Grupa mieszkańców Draguan, których uprzedzono o obecności intruza, zeszła z piętrzyny i ruszyła za nim w pościg. Woleli jednak trzymać się w bezpiecznej odległości. Nieznajomy, choć nie mógł wiedzieć o tropiących go ludziach, przyspieszył kroku.

Tymczasem drugi z wartowników, Liprando, odnalazł w lesie leżącego w śniegu Grosparmiego. Nie ruszał się, ale żył. Szeptał nieskładne zdania o jakimś cieniu... Cieniu, który tropił go od rozwidlenia dróg... a potem zniknął. Pozostał tylko ból. Obezwładniający, przejmujący ból bez końca.

5

Chuaquet, Abel i Meault czuwali w refektarzu, wyczerpani i przybici. Nogi posiniały im z zimna od klęczenia na kamiennej posadzce, mimo to nie przestawali się modlić. Trzej zakonnicy stali się więźniami własnych konstrukcji obronnych, i nie mogli uciec.

- Salve, Regina, mater misericordiae; Vita, dulcedo et spes nostra, salve  
- szeptali, błagając Matkę Boską o opiekę. Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi.

- Ad te clamamus, exules filii Evae.

Ad te suspiramus, gementes et flentes

In hac lacrimarum valle.

Znów rozległo się stukanie. Dwa mocne, głuche uderzenia. Rozmodleni mnisi nie poruszyli się, wciąż wzywając pomocy Matki Bożej.

- Eia ergo, advocata nostra,

Illos tuos misericordes oculos

Ad nos converte.

Et lesum, benedictum fructum ventris tui,

Nobis post hoc exilium ostende.

Drzwi drgnęły, tym razem mocno, jakby natarł na nie rozjuszony tryk. Bracia Meault i Abel chcieli uciec do podziemi, ale Chuaquet powstrzymał ich władczy gestem. Rozmyślał. Sam dokończył głośne modły, które zaczęli wspólnie.

- O clemens, opia, o dulcis Virgo Maria.

O clemens, opia, o dulcis Virgo Maria.

Umocniony modlitwą do Marii Panny, Chuaquet skierował się ku drzwiom, przeciskając się wąskim korytarzykiem, który brat Meault pozostawił między tworzącymi barykadę sprzętami. Dwaj mnisi zamarli z przerażenia, raz po raz żegnając się i próbując pojąć tak nieodpowiedzialne zachowanie wikariusza.

Ten zaś uchylił drewniane okienko w masywnych drzwiach, chronione kutą żelazną kratą. Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności. W smudze światła wirowały płatki śniegu.

- Czego sobie życzysz?

- Pragnę wejść!

Głos był ostry, rozkazujący. Chuaquet nie widział przybysza, który stał zbyt daleko.

- Nie jestem z wioski - ciągnął głos. - Otwórzcie mi.

Wikariusz chciał podejść bliżej, żeby przyjrzeć się obcemu. Równocześnie nocny gość postąpił krok do przodu i znalazł się w smudze światła. Mnich aż podskoczył, gdy rozpoznał „człowieka w czerni”. Opończa, habit, potężny wzrost, twarz ukryta pod kapturem...

Chuaquet zamarł. Przybysz wydobyl spod opończy pomięty papier i wsunął go między kraty okienka. Wikariusz chwycił go i zaczął czytać. Potem zatrzaskało okienko.

Stojąc samotnie w ciemnościach, mężczyzna poprawił opończę. Rozejrzał się wokół, ale nie tropił go już żaden wieśniak. Wszyscy zniknęli.

Ciężkie drzwi uchyliły się ze zgrzytem. Gość przecisnął się przez szparę i znalazł w dużym przedsionku kanonii. Chuaquet, Meault i Abel z lękiem spoglądali na mroczną postać, którą widzieli już o świcie. Nieznajomy nosił ciepły przyodziewek, a cały jego bagaż stanowiła mała sakwa przerzucona przez ramię. Opończa i wywijane buty były zaśnieżone i przemoczone. Zapewne przez wiele godzin szedł po oblodzonych drogach, aby tu dotrzeć. Wikariusz zbliżył się do niego.

- Nazywam się Chuaquet - powiedział. - A to bracia Abel i Meault.

Mnisi ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy powitali nieznajomego.

- Wybacz naszą podejrzliwość, ojcze - podjął Chuaquet. -Dlaczego jednak nie przedstawiłeś się od razu?

- Nie byłem pewien, jak mnie powitacie. Odkąd przyjechałem, ktoś mnie śledził, a nawet próbował zgładzić. Chyba złamałem mu nogę.

- Doprawdy? - wymamrotał zaskoczony Chuaquet...

Gość odłożył sakwę, rozpiął kaptur i zsunął opończę. Na widok dębowego kija, dużego krzyża z drzewa oliwnego, podbitego lichą wełną habitu i przewiązanego wokół pasa różańca Meault i Abel otwarli usta ze zdumienia.

- Jestem ojciec Henno Gui - powiedział z prostotą. - Będę waszym proboszczem. Do diecezji ściągnął mnie Jego Eksceleńcja Haquin.

Twarz nowo przybyłego znalazła się w kręgu światła. Był młody, mógł liczyć najwyżej trzydzieści lat. Rysy zachowały młodzieńczą miękkość, jednak oczy były przenikliwe i zimne. Skóra na policzkach mężczyzny była napięta, posiekana mrozem i zmęczona.

Wikariusz i nowy proboszcz weszli do celi na parterze, służącej Chuaquetowi za gabinet.

Mnich wskazał księdzu małe krzesło przy stole. Zamknął drzwi na klucz, upewniwszy się, że nikt za nimi nie szedł.

Henno Gui zdjął opończę. Podeszedł do stołu, na którym Chuaquet postawił miskę z ciepłą wodą, aby gość mógł się umyć po podróży. Kapłan podziękował za troskę.

- Wybacz, że tak cię przyjęliśmy - rzekł Chuaquet. - Nie spodziewaliśmy się ciebie. Chciałem powiedzieć... że przybędziesz w taki styczniowy mróz. Tylko biskup wierzył, że odważysz się podróżować zimą.

- Wyruszyłem z Paryża w październiku, tuż po święceniach. Wysłałem list powiadamiający was o tym.

- Otrzymaliśmy go, byliśmy jednak przekonani, że ze względu na ostrą zimą przybędziesz dopiero wiosną.

- Liczyłem, że zdążę przed mrozami, ale nadeszły tak niespodziewanie. Większość wozów utknęła w śniegu, inne zawróciły z oblodzonych duktów. Odbyłem podróż pieszo. Musiałem przywyknąć do trudów wędrownego życia.

Chuaquet zerknął na skromną sakwę księdza.

- Szedłem sześć tygodni - ciągnął Henno Gui - i w tym czasie dziewięć razy napadli mnie rabusie. Wikariusz drgnął.

- Skoro mróz nie zdołał przeszkodzić kapłanowi w wędrówce, dlaczego mieliby go spłoszyć zbójce? Zresztą mniejsza o to. Wiem już, jak wymknąć się sforze wilków, nie boję się też ludzi. Leczą ci, którzy próbowali napaść na mnie o parę kroków stąd, wciąż mnie szukają.

- Och, to nie są zbójcy, ojczy. Cóż... ostatnio zaszło tu wiele niezwykłych wydarzeń. Ludzie są bardzo wzburzeni i...

Chuaquet nie wiedział, co powiedzieć. Niezgrabnie przysiadł na krześle. W ręku nadal trzymał pomięty, wyblakły list, który przybysz podał mu przez kratę - własnoręczne pismo Haquina. Powierzał w nim Hennowi Guiemu funkcję proboszcza i szczegółowo opisywał szlak, który miał go przywieść do Draguan.

Młody ksiądz pochylił się i zerknął na swe buty. Otworzył sakwę i wydobył z niej parę nowych sandałów. Rozwiązał taśmy podtrzymujące długie, zniszczone buty, przemoczone, zdarte na lodzie i kamieniach.

Henno Gui był mocno zbudowany, ale smukły. Miał wysokie czoło, ciemne, niemal czarne brwi i oczy. Chuaquet dostrzegł w nich pierwszą niezwykłą cechę - spojrzenie przybysza nie współgrało z jego wiekiem. Widać w nim było determinację starego wojaka, żelazną wolę, niemal nieprzystającą do twarzy, która tak niedawno zatraciła pacholece rysy. Za łagodnością oblicza kryła się dusza śmiałka, zdolnego przemierzyć tonące w śniegu ziemie królestwa...

- Jego Ekscelencja biskup zginął dziś rano z ręki zabójcy - wyznał bez ogródek Chuaquet i sam zdumiał się swą brutalnością.

Młody człowiek z wolna uniósł głowę.

- Śmierć nastąpiła natychmiast - dodał wikariusz i głos uwiązał mu w gardle

- Jak to się stało? - zapytał Gui.

- O świcie przybył tu konno mężczyzna i poprosił o rozmowę z biskupem. Osobiście wprowadziłem go do gabinetu Jego Ekscelencji... Po chwili rozległ się przerażający huk, jakby grzmot. Kiedy nadbiegliśmy, naszym oczom ukazało się nieruchome ciało biskupa. Jego głowa była bestialsko roztrzaskana, właściwie wcale jej nie było.

- Grzmot?

Oczy Guiego nie zdradzały poruszenia. To opanowanie w obliczu strasznej nowiny było godne podziwu i zarazem niepokojące.

- Nie znałem biskupa Haquina - wyjaśnił. - Wymieniliśmy ledwie kilka listów, dotyczących wyłącznie mej funkcji. Sprawił na mnie wrażenie kapłana godnego i wielkodusznego. Będę się modlił za spokój jego duszy.

- Dziękuję, ojcze. Biskup był wspaniałym człowiekiem. Ksiądz, jakby nigdy nic, znów pochylił się nad butami.

- Kto ma zająć jego miejsce? - zapytał. Zadał to ważne pytanie ostrym, niemal brutalnym tonem. Chuaquet jeszcze się nawet nad tym nie zastanawiał.

- Cóż... Tego nie wiem... Jest nas tu niewielu... Brak nam zwierzchników... Jutro wyruszę z ciałem biskupa do Paryża. Dotarłszy tam, jak najszybciej powiadomię nasze władze o tym, co się stało. One podejmą stosowne decyzje.

- Nie pogrzebiecie biskupa w jego diecezji?

- Prawdę rzekłszy... W tych okolicznościach... Tutejsi ludzie są nieokrzesani i przesądni. Wierni z południa różnią się od tych z północy. Po tym tajemniczym mordzie rozпалиły się umysły. Nawet my musieliśmy się chronić. Nie chcielibyśmy, żeby...

- Pojmuję.

- Czy podać coś ciepłego? - zapytał wikariusz, z ulgą stwierdzając, że młody kapłan oszczędzi mu dalszej rozmowy na ten przykry temat. - Robimy tu wyborne napary z ziół.

- Chętnie skosztuję.

Chuaquet wydobyl z puszki woreczek z ziołami. Wsypał szczyptę suszu do ciepłej wody i dorzucił chrustu do ognia.

- Co się zaś tyczy mojego położenia - odezwał się ojciec Gui - czy muszę czekać na przybycie wyznaczonego przez zwierzchność następcy biskupa, aby objąć parafię?

- Nie... nie sądzę... W istocie...

Chuaquet zawiesił głos, jakby się wahał. Po chwili zaczął mówić niemal szeptem:

- Oprócz biskupa i mnie nikt nie wiedział o przyjeździe księdza. Niektórzy domyślali się tego, ale Haquin nie potwierdził tych pogłosek. Teraz pojmujesz, ojcze, podejrzliwość, z jaką witali cię bracia Meault i Abel, kiedy się tu pojawiłeś.

- Biskup nie ujawnił żadnych informacji o mojej nowej parafii. W swych listach wydał mi się niezwykle powściągliwy.

- Pisałem je pod dyktando biskupa Haquina. Istotnie, w korespondencji z tobą był bardzo ostrożny.

- Dlaczego?

Wikariusz znowu się zawahał.

- Doprawdy, pragniesz, ojcze, abym wyjaśnił ci to wszystko dzisiejszego wieczoru? Jesteś u kresu sił, a...

Pomimo malującego się na twarzy strudzenia Henno Gui rzucił wikariuszowi spojrzenie, które zmusiło go do przełamania własnych obaw.

- Trzeba by... - wydusił wreszcie Chuaquet - trzeba by wejść do celi biskupa... lecz tam właśnie...

Od chwili odkrycia zwłok Haquina nikt nie przekroczył progu izby. Mnisi przenieśli ciało biskupa do krypty w podziemiach kościoła, lecz żaden z nich nie zdobył się na wykonanie pracy tak przykrej jak wysprzątanie celi. Po prostu zamknęli drzwi.

Gui wstał. Jego nowe sandały leżały jak ulał.

- Chodźmy, bracie Chuaquet. Prowadź.



Myśl o wejściu do celi biskupa była dla wikariusza niemiła, lecz nie miał wyboru. Poprowadził młodego księdza na piętro.

Wiodąc Henna po schodach, których na poły spróchniałe stopnie ruszały się pod nogami, i przyświecając mu, Chuaquet uśmiechał się, zakłopotany. Ksiądz ukrył dłonie w rękawach habitu i szedł, nie zważając na stan budynku. Ani wędrówka po mrocznych wnętrzach, ani zaniedbanie tego miejsca nie robiły na nim wrażenia.

Mężczyźni minęli jedną z cel. Drzwi były uchylone. Mnisi Meault i Abel szeptali coś między sobą, wyraźnie poruszeni, siedząc w słabym blasku świeczki. Wyglądali jak spiskowcy rodem z modnych romansów, które wzbudzały lęk czytelniczek z Luwru i ich grzesznych kapłanów. Mnisi zamilkli. Poczekali, aż wikariusz i jego gość nieco się oddalą, i dopiero wtedy podjęli rozmowę.

Gui i Chuaquet zatrzymali się przed zwieńczonymi łukiem drzwiami celi Haquina. Wikariusz wyciągnął z kieszeni habitu sztylet z drewnianą rękojeścią i skruszył pieczęcie chroniące zamek przed otwarciem. Każde uderzenie zdawało się trafiać go w samo serce. Dźwięk, który rozbrzmiał, gdy metal ostrza uderzył w zasuwę - przejmujący, metaliczny zgrzyt przypominał mu odgłos kroków mordercy na kamiennej posadzce korytarza.

Zmagając się z takimi myślami, Chuaquet po raz ostatni uderzył w zamek i pchnął drzwi barkiem.

Z wnętrza wionęło na nich lodowatym, cuchnącym powietrzem. Przeciąg o mało nie zgasił płomyka świeczki, którą wikariusz trzymał w ręce.

Od śmierci biskupa nic się tu nie zmieniło. Stół, wysoki fotel, kufer, pulpit, kałamarz, dwa świeczniki, piec - każda z tych rzeczy pozostała na swoim miejscu. Tylko lufcik nie oparł się podmuchom wiatru. Z pieca dobywała się woń wystygłego popiołu i nadpalonych drew, jednak izbę wypełniał inny, przykry odór - rozkładającego się ciała biskupa. Chuaquet, jako człowiek wrażliwy, osłonił nozdrza kołnierzem habitu. Gui nie reagował.

- Przywykłem do takich zapachów - powiedział. - Zupełnie jakbym wrócił do uniwersyteckiej sali.

Chuaquet aż podskoczył, oburzony tym absurdalnym porównaniem.

- Miałem na myśli lekcje anatomii - wyjaśnił ksiądz. Podeszedł do okna i szybko zamknął lufcik. Potem rozniecił ogień w piecu. Tymczasem Chuaquet zapalił obie świece.

- Gotowe - stwierdził Gui.

Wikariusz w osłupieniu obserwował jego spokój i opanowanie. Młody ksiądz podeszedł do biskupiego fotela, bez oporu depcząc po zaschniętych

śladach krwi na kamiennych płytach posadzki. Na jednej z tych plam, wciąż jeszcze wilgotnej, odbił się ślad podeszwy Guiego. Nieszczęsny Chuaquet doznał konsternacji, nad którą górę wzięła jednak konieczność pohamowania gwałtownych mdłości.

- To bardzo stary sprzęt - wydusił z siebie, widząc, że Henno Gui przygląda się biskupiemu tronowi z drzewa orzechowego i niezwyklej płaskorzeźbie. - Jego Ekscelencja był do niego głęboko przywiązany. Sądzę, że to włoska robota.

- Tak? Rzekłbym raczej, że fotel pochodzi ze Wschodu... Zapewne z Katalaju...

- Z Chin?

- Bracie, podaj mi nóż.

Chuaquet spełnił prośbę. Henno Gui przystąpił do oskrobywania obrzeży płaskorzeźby. Zebrał na otwartą dłoń szczyptę czarnego proszku i zlizął odrobinę ciemnego osadu.

- Z Chin! - stwierdził, posmakowawszy. - Poza granicami Państwa Środka nigdzie w świecie nie znajdziesz tego niepalnego proszku. W niczym nie przypomina zwykłego prochu, jakiego używają do armat armia francuska i hiszpańska. Ta mieszanina nafty, siarki i węgla jest bez porównania skuteczniejsza. Nie wiedziałem, że dotarł już na ziemię chrześcijańskie.

Henno Gui powiódł po izbie wzrokiem i zauważył plamy krwi, a także strzępy ciała w jej odległych zakątkach.

- Również broń, którą zabito waszego biskupa, jest niezwykła - powiedział.

- Wprawiała nas w przerażenie, ojcze... Miejscowi mówią o ogniu piekielnym.

- I mają rację. Przenośne strzelby to najnowszy wynalazek, jeszcze w fazie prób. Plują ogniem łatwiej, niż kusza wyrzuca strzałę, a proca kamień. Żelazna kula, krzemień i gotowe. Trzeba jeszcze lontu, żeby podpalić proch. Za sprawą tej strzelby wkrótce każdy będzie mógł ziać piekielnym ogniem. Nasi przodkowie zachwycali się wynalazkiem kuszy i nawet się nie domyślali, jak ta nowa broń odmieni rycerską walkę. Jego Ekscelencja Haquin jest najpewniej pierwszą ofiarą tego heretyckiego narzędzia, pochodzącego z Orientu.

- Nie pojmuję, ojcze...

- Nie kłopotz się tym. Wiedz tylko, że twój biskup został zamordowany z rozmysłem. Gdy powiedziałeś mi o zbrodni, sądziłem, że idzie o zemstę parafianina rozgniewanego odmową udzielenia odpustu lub kogoś, kto żałuje, że wyznał grzech, który za sprawą niedyskrecji spowiednika mógłby zaważyć na jego dalszym życiu... Powodów, dla których ktoś

pragnie śmierci kapłana, może być wiele. Z pewnością jednak żaden chrześcijanin z tej zapadłej krainy nie mógł wejść w posiadanie tej straszliwej broni. I po cóż miałby pojawiać się o tej porze roku jako zamaskowany rycerz? W tej niewielkiej krainie niełatwo zdobyć wierzchowca, którego nikt by nie rozpoznał, a odgaduję, że w Draguan spotkam nieokrzesanych wieśniaków, lecz nie zbirów. Ma się rozumieć, dwaj tacy mogliby wspólnie działać na zgubę biskupa, jednak obrona metoda zawsze zdradza zabójcę. Konia z rzędem temu, kto odnajdzie nieznanego jeźdźca. Uwierz mi, bracie Chuaquet - wczoraj zwrócono się przeciw biskupowi, nie zaś biskupstwu. W istocie to jedno powinno nas zaprzętać. Przede wszystkim urząd. Kościół pozostaje czysty, choć grzeszni są jego wierni. I to jego musimy bronić.

- Wszak Jego Ekscelencja nie miał wrogów - zaproponował Chuaquet. - Był szlachetnym mężem i Kościół może się nim szczycić.

- Kościół należycie uczci jego pamięć i zasługi, bądź spokojny. Z pewnością należycie go uczci.

Henno Gui oddalił się od fotela Haquina, otrzepując z rąk spalony proch.

- Czas zająć się naszymi sprawami - rzekł.

Usiadł na krześle przy biurku.

Wikariusz niechętnie skierował kroki ku kufrowi biskupa.

Mebel stał za biurkiem, tuż pod ścianą, i także nosił ślady czerwawocznego pyłu... Mnich westchnął, przesunął rygiel i otworzył pokrywę.

Kufer sięgał powyżej kolan mężczyzny. Stał na czterech okutych żelazem kołach, by łatwiej go było transportować, i był wypełniony po brzegi. Chuaquet wysunął pierwszą szufladę, podtrzymywaną przez ruchome drewniane wsporniki. Ujrzał mnóstwo dziwnych papierów, niezrozumiałych zapisków, narzędzi pisarskich - piór, kałamarzy, piasku do osuszania pisma - szkło powiększające, a na samym wierzchu bogato iluminowaną kartę, która tak go zafascynowała o brzasku. Chuaquet postawił szufladę przed księdzem, którego wzrok przyciągnęła iluminowana karta. Podziwiał zręczność rzemieślnika, delikatną, wspaniale wyprawioną skórę i śmiałe połączenie złocień, sjeny i cynobru, jakim mogło się poszczycić niewielu kolorystów.

- Ostatnimi czasy - głos wikariusza zdradzał, że pragnie usprawiedliwić swego zwierzchnika - Jego Ekscelencja interesował się dość mroczną sztuką religijną. Kierował nim jednak tylko kaprys - starcza ciekawość, nic więcej.

- Wierz mi, ja z pewnością nie czyniłbym mu wyrzutów z tego powodu.

- Ma się rozumieć... Ja również nie...

Henno Gui odłożył iluminowaną kartę, nie komentując zuchwalstwa jej twórcy.

Chuaquet wysunął z kufra drugą szufladę. Panował w niej idealny porządek. Grube księgi parafialne były starannie oprawione i ułożone. Na ziarnistych grzbietach ksiąg widniały daty, poczynając od roku 1255, kiedy Haquin przybył do Draguan, aż do 1284, czyli do chwili obecnej.

- Nie obawiaj się, ojcze, to nie są księgi ze skargami - powiedział wikariusz. - Te manuskrypty to annały pięciu ubogich probostw należących do diecezji. Biskupstwo Draguan obejmuje dwanaście małych parafii, bardzo oddalonych od siebie i wielce się między sobą różniących. Jego Ekscelencja Haquin troszczył się o swych parafian i chciał znać ich powszednie problemy. Dlatego każdy proboszcz, zajmując się co najmniej dwoma kościołami, miał obowiązek starannie notować czyny i słowa swych owieczek, wedle wagi i chronologii. Dzięki temu biskup wiedział o wszystkim, co się wydarzyło na tak rozległym i trudnym do nadzorowania obszarze. Zdziałał tu istne cuda. Znał swoich wiernych, toteż mógł nagradzać lub osądzać każdego na podstawie jego czynów i słów. Zapewne jego następca nie zechce podtrzymać tego zwyczaju. Oszczędzi ci to, ojcze, sporo trudu. No cóż... Znalazłeś się w dość szczególnym położeniu.

Henno Gui pochylił się nad biurkiem.

- Czy mógłbym przejrzeć księgę mego poprzednika? - zapytał, wskazując stos raportów.

- W istocie... to niemożliwe, ojcze. W tym tkwi problem. Nie miałeś poprzednika.

Zapadło milczenie. Chuaquet wydobył z dna kufra dokumenty wsunięte między dwie skórzane okładki.

- Oto i one! - rzekł z ulgą.

Był to kościelny raport dotyczący Henna Guiego.

Jak każde świadectwo wydawane przez seminarium lub klasztor, zawierał szczegółowe informacje o pochodzeniu i przeszłości osoby, a także o jej temperamencie i zaletach.

Wikariusz przeglądał już kiedyś ten gruby raport. Zaskoczyły go zawarte w nim informacje. Gui był wytrawnym teologiem. Mimo młodego wieku zdobył najwyższe oceny z mistyki za rozważania encykliki Super Specula Honoriusza III, a także z prawa kanonicznego, prezentując Decretales Teodora. Uzyskał dwa dyplomy w Antwerpii, z kosmografii i anatomii, ponadto przejawiał nieprzeciętne zdolności w uczeniu się języków obcych, w tym starożytnych. Wrodzony talent pozwolił mu na opanowanie reguł języka aramejskiego w ciągu zaledwie czterech dni. Ten wielce obiecujący student wzbudzał podziw profesorów całkowitym

posłuszeństwem, cnotą jakże rzadko idącą w parze z bystrym umysłem. Gui dużo się modlił. Dwukrotnie otrzymał wyróżnienie Wyższego Seminarium w Sargines. Świecenia kapłańskie otrzymał 10 października minionego roku, w wieku dwudziestu siedmiu lat. Znamienity i już szeroko znany doktor miał przed sobą karierę kardynała-diakona przy arcybiskupie Matignon, lecz zdecydowanie ją odrzucił. Wbrew wszelkim oczekiwaniom Henno Gui zgłosił swą kandydaturę na stanowisko proboszcza skromnej wiejskiej parafii. Nie stawiał żadnych wymagań, pragnął jedynie znaleźć się jak najdalej od Paryża i tamtejszych uczelni.

Właśnie ta cecha charakteru Henna zachwyciła Jego Ekszelencję Haquina. „Wspaniały człowiek! - orzekł. - Miał służyć staremu prałatowi wybrał służbę Bogu i wiernym! Chylę czoło przed nowym heroldem Chrystusa!”

Biskup Draguan od wielu tygodni oczekiwał młodego proboszcza. Codziennie pytał o niego... Wikariusz wyraził ubolewanie, że tylko on mógł powitać przybysza, który spóźnił się o kilka godzin.

Wśród dokumentów Henna Guiego znajdowały się także zapiski poczynione na jego temat przez biskupa i nominacja, którą Haquin miał podpisać po przybyciu księdza.

Nadeszła pora, by Chuaquet otwarcie przedstawił mu sytuację parafii.

- Jak już mówiłem - zaczął drżącym głosem - Jego Ekszelencja Haquin doskonale znał dwanaście podlegających mu parafii. Przemierzał te ziemie po wielekroć. Był wspaniałym biskupem, nie zapominał o żadnej wiosce.

- Nie wątpię.

- A jednak okazało się...

Wikariusz zawiesił głos.

- Co takiego? - zainteresował się ksiądz.

- ...że minionego roku, w dość makabrycznych okolicznościach, odkryliśmy istnienie trzynastej wioski. Od lat całkowicie zapomnianej i opuszczonej przez Kościół.

W kilku listach, jakie otrzymał Henno Gui, biskup zawsze napomynał o szczególnym charakterze jego parafii. Lecz młody kapłan nie podejrzewał nawet, jak bardzo jest ona „szczególna”.

Chuaquet mówił dalej:

- Osada leży w najdalszym, najbardziej... by tak rzec... niezdrowym zakątku diecezji. Jest oddalona o cztery dni jazdy konnej stąd. Od z górą półwiecza tamtejsi ludzie są całkowicie samowystarczalni, żyją bez opieki kapłana, bez styczności z resztą wiernych. To wręcz niebywałe. Ostatni raz kapłan pojawił się w tej maleńkiej parafii w roku... tysiąc dwieście trzydziestym trzecim. Był nim niejaki ojciec Kosma.

- Jakże to możliwe? - zapytał spokojnie Henno Gui. - Jak Kościół mógł zagubić... zapomnieć na poświęconej ziemi o parafii, w której mieszka choćby garstka wiernych?

- Przyczyniło się do tego niezwykle położenie tych ziem. Osadę otaczają mokradła, bagna i torfowiska. Przybierająca woda pochłonęła dukty wiodące do osady. Na domiar złego na początku stulecia Draguan wielokrotnie nawiedzała epidemia dżumy i zawsze pierwsze przypadki tej choroby pojawiały się w tej podmokłej diecezji. Ludzie szybko skojarzyli fakty. Mieszkańcy Draguan zaczęli omijać tę przeklętą ziemię... Uciekły stamtąd nawet zwierzęta. Pewnej wiosny, po niezwykle mroźnej zimie, mieszkańcy wioski na moczarach nie dawali znaku życia. Sąsiedzi uznali, że wszyscy wymarli z zimna albo z powodu kolejnej epidemii dżumy... Dziś wiemy, że nikt wtedy nie sprawdził trafności tych domysłów.

- A ów ojciec Kosma?

- On także zachorował i wrócił do domu, do Sauxellanges, by się leczyć. Podobno w latach dwudziestych cudem przeżył epidemię dżumy, lecz tymrazem choroba zawładnęła także jego miastem, a proboszcz nie wyrwał się już z jej szponów. Nikt nigdy nie przejął jego funkcji.

Gui słuchał w milczeniu. Wiatr uderzał w okno, świstał w szczelinach muru.

Chuaqueta ogarnęły skrupuły. Pomyślał, że zbyt brutalnie zrzucił ciężar tej wiedzy na barki młodego księdza. Żałował, że przybrał akademicki ton i sprowadził opowieść do czystych faktów.

- Ilu mieszkańców pozostało w osadzie? - zapytał Gui.

- O ile się nie mylę, dwudziestu sześciu.

Chuaquet zerknął na kartę, którą wyjął z kufra.

- Trzynastu mężczyzn, jednaście kobiet i dwoje dzieci. Czternaście dymów.

- Jak dowiedzieliście się o istnieniu tych ludzi?

- Po części za sprawą wpływów z dziesięciny.

- Dziesięciny?

- Tak. Oprócz funkcji wikariusza sprawuję i tę - pobieram dziesięcinę. Porównując wpływy z poprzednich lat, zauważyłem, że po roku tysiąc dwieście trzydziestym trzecim dziwnie zmalały. Część wiernych przestała uiszczać należność, a ja nie natrafiłem na adnotacje potwierdzające, że zostali opatrzeni sakramentami czy pogrzebani, ani na oficjalny wpis o zgonie. Gdy poinformowałem biskupa o znalezisku w archiwum, wyprawił w drogę zakrystiana Premierfaita. To dawny pasterz, człek silny i wytrzymały. Dzięki starym zapiskom odnalazł drogę do wioski. Sądził, że zostanie tylko ruiny, lecz okazało się, że żyją tam ludzie z krwi i kości.

Gui uśmiechnął się gorzko.

- A zatem zyskają pasterza dlatego, że w kościelnej skarbonce zabrakło ich pieniędzy! Dziwny sposób opieki nad zagubionymi owieczkami Pana!

Chuaquet nie wiedział, jak ma rozumieć te beczelne słowa.

- Jego Ekscelencja Haquin odwiedził wioskę? - zapytał ksiądz.

- Nie. Zbyt trudno tam dotrzeć. Biskup nie chciał wyruszać w drogę tylko po to, by odwiedzić wieśniaków, niczego im nie dając, ale dopiero wraz z nowym duszpasterzem. Zgodnie z poleceniem biskupa, zakrystian Premierfait przez wiele dni z ukrycia obserwował wioskę. Nie dopuścił, by ktokolwiek spostrzegł jego obecność. Wieśniacy nie wiedzą, że ich odnaleźliśmy. Jego Ekscelencja Haquin oczekiwał cię, ojcze, aby do nich wyruszyć. Pokładał w ojcu wielkie nadzieje. Mawiał, że tym wieśniakom trzeba apostoła, a nie zwykłego proboszcza. Człowieka zdolnego na nowo wprowadzić Chrystusa między ludzi, o których dzisiejszej religii nic nam nie wiadomo... Te „porzucone owieczki boże” niewątpliwie odstąpiły od wielu naszych zasad. Ich wiara jest nam obca, odmienna od prawdziwej - mawiał biskup. Czeka cię trudne kapłaństwo, ojcze...

- Mówiłeś o dziesięcinie, bracie, lecz wcześniej wspomniałeś o przerażających okolicznościach, w jakich powróciła pamięć o osadzie.

- Tak - rzekł Chuaquet. - Przyznaję, iż postąpiłem niezręcznie. Tę opowieść można by odłożyć na później... Ksiądz nie zamierzał czekać.

- No cóż... Zeszłego roku pewien szlachcic zabłądził z dwojgiem dzieci w okolicy osady... Ciała wyłowiono z rzeki nieopodal Domines, jednej z naszych parafii. Wszystkie trzy ofiary zostały poćwiartowane. Stało się to przed wyprawą zakrystiana Premierfaita. Wtedy to Jego Ekscelencja Haquin rozkazał swym ludziom wyruszyć w górę rzeki w poszukiwaniu śladów tej potwornej zbrodni, lecz na próżno. Tylko upór i wiara biskupa oraz moje spostrzeżenia dotyczące dziesięciny sprawiły, że odnaleziono wioskę. Reszty dokonał Premierfait. Jednak jak dotąd nic nie wskazuje, iżby ci ludzie mieli być sprawcami tak barbarzyńskiego czynu. Zresztą...

- Zdziwia mnie - przerwał Gui - że parafianie nigdy wcześniej nie wspominali o tej osadzie. Wszak pamięć ludu wiejskiego nie umiera tak szybko, choć niekiedy prawda miesza się z bajaniem.

- Nie mówiło się o niej - odparł Chuaquet. - W tej krainie wspomnienia szybko ulatują, ojcze. W przeciwieństwie do miast wioski nie mają swoich annałów. Przodka zmarłego przed dwudziestu laty łatwo pomylić z innym, który żył przed setkami lat. Tak właśnie rzecz się miała z zapomnianą parafią. Dziś trudno uwierzyć w jej istnienie, podobnie jak w starą legendę. Nic nie podtrzymuje pamięci o niej. A znaną nam datę — rok tysiąc dwieście trzydziesty trzeci - odnotowano w księgach kościelnych. Nie muszę ojcu tłumaczyć, że od wyłowienia w Domines trupów i

odkrycia wioski, co wywołało poruszenie wśród wiernych, po Draguan i jego parafiach krążą najdziwniejsze opowieści.

Poculi bijące od pieca ciepło. Powietrze w izbie było coraz przyjemniejsze. Chuaquet odłożył dokumenty przedstawiające sylwetkę księdza i przystąpił do układania rzeczy w biskupim kufrze.

- Ojciec - podjął wikariusz, zamknąwszy skrzynię - nie mnie domyślać się, jakich słów użyłby w rozmowie z tobą biskup, jestem wszak tylko skromnym sługą. Pragnę jednak, byś wiedział, że my tutaj... że doskonale cię zrozumiemy, jeśli odrzucisz tę niezwykle trudną służbę...

- Jak zwą tę osadę?

- Heurteloup. Powiadają, że nawet wilki wolą trzymać się z daleka od tego diabelskiego gniazda.

- Wybornie. Ci głupcy zaczynają mnie męczyć. Kto wskaże mi drogę do parafii?

- Cóż... Z pewnością twym przewodnikiem może zostać zakrystian... Ten, który odkrył wioskę. Lecz trudno go będzie skłonić do odbycia powtórnej podróży. Wszystko, co wiąże się z tą sprawą, jest dla niego bardzo przykre. Ponadto pora roku nie sprzyja dalekim wędrówkom. Drogi są...

- Znajdę słowa, które do niego trafią - przerwał wikariuszowi Henno Gui, podnosząc się. - Nie troszcz się o to, bracie. Nie zamierzam trwonić czasu w Draguan. Powrócę, gdy pojawi się tu następca Haquina. Zakrystian jutro poprowadzi mnie do wioski.

Chuaquet skinął głową, nie wając się oponować. Zostawił na biurku biskupa dokument potwierdzający nadanie kapłanowi parafii oraz pełnomocnictwo udzielone przez biskupa. Henno Gui bez wahania podpisał oba dokumenty.

Wikariusz obserwował go, usiłując uchwycić cień poruszenia, lecz na darmo. Oblicze Henna Guiego było niezmiennie obojętne, niczym woskowa maska. Malował się na nim niewzruszony spokój wielkich ojców kościoła i eremitów oddających się medytacjom w swych pustelniach. W każdym razie Chuaquet tak właśnie wyobrażał sobie tych świętych mężów. Kiedy rozmawiał o nich z Haquinem, biskup zawsze powtarzał: „Oni nie są ludźmi, Chuaquet. Oni są osobistościami”.

6

Nazajutrz Henno Gui spał jeszcze długo po wschodzie słońca. Ani Chuaquet, ani żaden z dwóch pozostałych mnichów nie śmiał budzić go na prymę, nawet na tercję. Księdzu przydzielono małą celkę na pierwszym piętrze. Była to skromna sypialnia, częściej służąca chorym z diecezji niż podróżnym. Zakonnicy zabili deskami jedyne okno, przez które do pokoiku docierało światło. Wieczorem, ledwie przekroczywszy próg celi,



Henno Gui silnym szarpnięciem oderwał deski i długo wpatrywał się w uliczki spowite mrokiem nocy i rysującą się na horyzoncie ścianę lasu. Rankiem izbę zalało jasne, łagodne światło. Śnieżyca ustała. Uliczki Draguan błyszcząły w słońcu jak szkło.

Klękając u wezłowania łóżka, kapłan odmówił modlitwę. Ogolił brodę i tonsurę, umył się w zimnej wodzie, którą przyniesiono mu w konwi, a potem wyszedł, ubrany w sutannę ocieplaną wełną i skórzane sandały. Zabrał ze sobą pustą miseczkę po naparze z ziół i sakwę, w której Chuaquet przyniósł mu wieczorem jadło.

Długie korytarze kanonii świeciły pustkami. Solidne okiennice nie wpuszczały do wnętrza chłodu. Dym z palących się świec unosił się pod łukami sklepień niczym mgła.

Kapłan odnalazł drogę do refektarza. Izba wciąż jeszcze była nagrzana, bo palenisko, na którym przygotowano poranny posiłek, nie całkiem wystygło. Stoły były wytarte do czysta, naczynia starannie ustawione. Gui skosztował ciepłego bulionu na solonym mięsie. Potem ukroił sobie kromkę ciemnego chleba. Po posiłku zebrał ze stołu okruchy.

Z zewnątrz dobiegł go odgłos uderzeń. Uchylił drzwi refektarza - wychodziły na kwadratowy dziedziniec. Zobaczył braci Meaulta i Abła zajętych pracą w drewni. Szykowali właśnie prowizoryczną trumnę dla biskupa. Przerwali pracę, by powitać księdza. Henno Gui rozpoznał w nich mnichów, którzy wczoraj wieczorem ze sobą szeptali.

Odpowiedział im skinieniem głowy, zamknął drzwi i skierował się ku głównemu wejściu, wciąż jeszcze zabarykadowanemu.

Nie bez trudu Henno Gui utorował sobie w końcu drogę i znalazł się na otwartej przestrzeni rynku miasteczka. Ulice były wyludnione. Choć świeciło słońce, mróz szczypał zupełnie tak jak wczoraj. Śnieg przykrył zbocza, przyzmy węgla i ogrody. Przed domami dreptały zwierzęta, gotowe, gdy tylko nadarzy się okazja, wrócić do chat, by wylegiwać się na słomie, w ciepłe paleniska.

Henno Gui rozejrzał się wokół i, zdając się na los, skręcił w pierwszą uliczkę.

Nieco dalej natknął się na grupkę wieśniaczek. W długich tunikach, opatulone w chusty z owczej wełny, rozprawiły o czymś z ożywieniem. Kiedy dostrzegły księdza, rozpierchły się jak stado kawek.

Na miejscu zostały tylko dwie najmłodsze, właściwie dziewczynki. Starsza miała jasne oczy i ciemne włosy, młodsza była złotowłosa i zielonooka. Ojciec Gui zatrzymał się przy nich. Dziewczynki trzymały się za ręce, nieruchome jak posążki. Nie wydawały się zaniepokojone spotkaniem z nieznanym.

- Witajcie. Jestem księdzem. Nazywam się Henno Gui. Dziewczynki nie odpowiedziały.

- Nie lękajcie się, mówcie śmiało - zachęcał. - Nie zamierzam was krzywdzić.

Starsza wzruszyła ramionami.

- Mam na imię Wilhelmina. Jestem córką Ewerarda Barbeta. A to moja przyjaciółka, Kretienotka.

- Mieszkacie w Draguan?

- Nie - odparła Wilhelmina. - Jesteśmy z Domines, to w lesie. Na zimę przeniosłyśmy się tutaj, do naszej matki chrzestnej, Beatrycze.

- Z Domines? - Henno Gui zapamiętał nazwę wioski, o której wieczorem wspomniał Chuaquet, opowiadając o trupach w rzece. - Czy to daleko stąd? - zapytał.

- Wszystko jest daleko stąd, ojcze.

Sądząc z tonu, Wilhelmina puszyła się i udawała dorosłą. Mała Kretienotka milczała, chowając się za plecami przyjaciółki i mocno ściskając ją za rękę.

- Szukam chaty zakrystiana - powiedział ksiądz. - Czy mogłybyście wskazać mi drogę?

- Premierfaita? A czego od niego chcesz, ojcze?

- Muszę z nim pomówić. Wiecie, gdzie mieszka?

- Może...

- Dobrze. W takim razie prowadźcie!

Kapłan ujął małą Kretienotkę za rękę i pociągnął ją za sobą. Postanowił, że nie pozwoli dwóm małym dziewczynkom dłużej wodzić się za nos. W tempie narzuconym przez Henna zapuścili się w płataninę uliczek.

Przechodząc pod oknami domostw, dziewczynki z obawą wypatrywały mieszkańców, może jakiejś znajomej twarzy. Gui zasypywał je pytaniami. Kretienotka wciąż milczała, za to Wilhelmina mówiła za dwie. Szczegółowo opowiedziała o śmierci biskupa, oczywiście tak, jak wyobrażali ją sobie ludzie z miasteczka, o mordercy na czarnym koniu i o diabelskich igraszkach Haquina, których ofiarą od miesięcy padali mieszkańcy diecezji. Niemal słowo w słowo powtarzała dysputy zasłyszane minionego wieczoru.

- Ano właśnie — zatrzymała się nagle — czy to nie ty, ojcze, jesteś naszym nowym biskupem?

- Nie, dziecko - odparł Gui. - Nie spotkał mnie ten zaszczyt.

Na ulicach nie było nikogo. Starsza dziewczynka opowiedziała mu, jak niejaki Grosparmi, wartownik, został minionej nocy zaatakowany przez tajemniczego zabójcę biskupa, który wrócił do Draguan, jakby nie dość było podłości, jakiej dopuścił się rankiem.

- Powiadasz, że jak go zowią?
- Grosparmi. Pomocnik szlifierza.

Rany odniesione przez tego człowieka były jedynym namacalnym śladem nocnego powrotu zabójcy. Nikt nie mógł pojąć, jakim cudem zniknął tak nagle, choć tropiono go, odkąd przekroczył bramy miasta. To musiała być jakaś diabelska sztuczka. Od tamtej pory ludzie z przerażeniem myśleli, że ten potwór ukrywa się gdzieś pośród ich domostw.

- A wy się nie obawiacie? - zapytał kapłan.
- Nie. Nauczyliśmy się bać tego, co widać, a nie tego, co słyhać.
- To bardzo dojrzałe słowa.

Wilhelmina nic nie powiedziała. Henno zwrócił spojrzenie na Kretienotkę.

- A czy ty nigdy się nie odzywasz? - zażartował.
- Odebrało jej mowę - wyjaśniła starsza. - To trwa już z górą rok. Od tamtej pory nikomu nie udało się skłonić jej, aby coś powiedziała.
- Tak... nikomu oprócz ciebie. Z pewnością jednak rozmawiacie, gdy nikt nie słyszy. Macie swoje sekrety i kryjówki. Dzieci kochają tajemnice.

Wilhelmina obrzuciła młodego księdza piorunującym spojrzeniem, on jednak udał, że tego nie dostrzega, podobnie jak przelotnego uśmiechu na buzi Kretienotki.

- Zastanawiam się, co ojca tu sprowadza... - rzuciła Wilhelmina.
- Jestem nowym proboszczem, moja mała - wyjaśnił ksiądz. - Heurteloup to moja nowa parafia.

Na te słowa obie dziewczynki zeszywniały. Wilhelmina nie odezwała się już ani słowem.

Stanęli przed niziutką drewnianą chatką, wciśniętą w róg zaułka. Podobnie jak inne otoczona była ogródkiem pokrytym śniegową pierzyną.

- Tu mieszka Premierfait ze swoją żoną.
- Dziękuję - powiedział Gui. - Dziękuję wam obu.

Kapłan chciał je pobłogosławić, lecz starsza gwałtownie chwyciła go za rękę.

- Nie trzeba, ojcze... Dobrze wiemy, że łżesz.

Gui przypatrywał się jej, nieco zaskoczony takim zuchwalstwem.

- Heurteloup nie istnieje - rzuciła. - To bajka, którą opowiada się dzieciom, żeby je nastraszyć. Tak jak wilkołaki i upiory. Wszyscy o tym wiedzą.

Ksiądz tylko się uśmiechnął.

— Miej się na baczności — ciągnęła dziewczynka — żebyś i ty nie został potępieńcem. Jak biskup. Jak ludzie z wioski. Jak każdy, kto waży się zapuścić zbyt daleko na nasze ziemie.

To ostatnie zdanie Wilhelmina wykrzyczała. Biegła już, ciągnąc za sobą przyjaciółkę. Henno Gui patrzył, jak znikają za rogiem ciemnej uliczki niczym dwie małe wróżki. Wokół siebie raczej wyczuł, niż spostrzegł pierwszych ciekawskich, którzy zerkali na niego przez okna.

Henno Gui zapukał do drzwi chaty Premierfaita. Gdy otwarły się na oścież, ujrzał w nich niską, tęgą kobietę o odrażającej twarzy. Miał przed sobą Godylenę, żonę zakrystiana. Dziwna to była osoba - przypominała czarownicę. Miała krótkie kaczki nogi obute w chodaki, szerokie bary i przygarbione plecy, wydatne czoło omotane niebieską chustką, małe oczy i zrosnięte brwi. Godylena zwykle otwierała przed gośćmi drzwi z taką miną, jakby chciała splunąć im w twarz, teraz osłupiała na widok nieznanego księdza.

- O co chodzi? - zapytała.

- Ojciec Henno Gui - przedstawił się ksiądz. - Przychodzę prosić zakrystiana o pomoc.

- Ma się rozumieć, ojcze. Proszę! Zapraszam do chaty!

Początkowa nieufność Godyleny w jednej chwili przemieniła się w życzliwość nabożnej gaduły. Raz po raz wzdychała: „Och! Mój ojcze!” Usadowiła Henna przy stole, postawiła przed nim talerz rzepy i miskę ciepłego mleka, starając się jak najlepiej pełnić honory domu. Trzeba zaznaczyć, że wewnątrz idealnie pasowało do tej przysadzistej i nieokrzęsanej chłopki: człowiek przeciętnego wzrostu sięgał tu głową powały, meblem były za małe, dom zagracony, a wszystkie sprzęty pospolite i stare jak świat.

Kiedy zawołała męża przenikliwym głosem, można było pomyśleć, że jest to potulny nieborak wątłego zdrowia. Tymczasem do izby wszedł postawny wieśniak, który musiał pochylić głowę, by nie uderzyć nią o belki stropu. Zbudowany na miarę jego małżonki dom zmuszał go do ciągłego garbienia się.

- Zakrystian Premierfait to wy?

- Ano, on - odparła kobieta.

- Nazywam się Henno Gui, jestem księdzem ściągniętym do waszej diecezji przez Jego Eminencję biskupa Haquina.

Wieśniacy przeżegnali się.

- Niechaj Bóg ma w opiece jego duszę - szepnęła Godylena.

- Wezwał mnie, abym zajął się parafią.

- Słusznie postąpił - powiedziała kobieta. - Tej przeklętej krainie przyda się kapłan. Bóg natchnął Jego Wielebność... Boże, miej w opiece jego duszę - powtórzyła.

- Brat Chuaquet powiedział mi w zaufaniu, że wy jedni wiecie, gdzie leży moja nowa parafia.

Na te słowa małżonkowie pobledli.

- Musicie mnie tam zaprowadzić, zakrystianie - podjął ksiądz. - I to już dziś.

Małżonkowie poczęli tak gwałtownie żegnać się znakiem krzyża, że wyglądało to wręcz komicznie.

- Wiecie, o której parafii mówię? - zapytał Gui.

- A jakże - odparła kobieta podniesionym głosem. - Ale mój mąż więcej nie postawi nogi na tej ziemi, ojcze. Wierżaj, przykro nam odmawiać. Jego Eksceleńcja Haquin wielkodusznie pragnął przywrócić tym dzikusom księdza, ale niechaj to się stanie bez udziału Premierfaita.

- Doprawdy? Jest wszak zakrystianem w diecezji - powiedział kapłan. - Nie pojmuję, czemu sądzi, że wolno mu odmówić księdzu i nie poprowadzić go do parafii. Udaję się do tych ludzi, by przywrócić im Chrystusa. Wspieranie bożego dzieła nie jest złem.

- Bajanie! Cała ta sprawa cuchnie złem! - burknęła kobieta. - Wierżaj mi, ojcze, dość już wycierpieliśmy, żeby się o tym przekonać.

- Co wycierpieliście? - zdziwił się kapłan.

- Odkąd Premierfait zapuścił się na te mokradła i zbliżył do dzikusów...

- Ejże! - sprzeciwił się chłop. - Trzymałem się od nich z daleka. Do żadnego się nie zbliżyłem!

- Co za różnica, na jedno wyszło. Wystarczyło, żeby cała diecezja się od nas odwróciła. Od jego powrotu, ojcze, nikt nie odezwał się do nas ani słowem. Umykają przed nami, jakbyśmy byli zadżumieni. Zabili przejście łączące naszą chatę z sąsiednimi, nie chcą kupować naszej wełny ani mleka! Powiadają, że mój chłop przywłókł z tamtej wioski jakąś chorobę czy klątwę, która ciąży nad moczarami, a teraz z jego winy spadnie i na nasze ziemie. Mówią, że w tej zapomnianej osadzie mieszkają tylko zjawy, ludzie dawno powymierali, że Premierfait oszalał, zatrąły go bagienne wyziewy i od tego postradał rozum! Banda niewdzięczników, kpy, podlece! Pomyśl tylko, ojcze, co by się działo, gdyby znowu tam poszedł! Nie wróci tam, choćby trzeba było wskazać drogę samemu papieżowi! Ludzie tam stali się równie odpychający jak otaczające wioskę moczary. Są brudni, nieokrzesani, istne potwory... Używają mowy, której nie rozumiemy. A ryby? Właśnie, Premierfait, opowiedz księdzu o rybach! Jedzą ryby z bagien, ojcze! Szpetne stwory, dziwadła, jakich ludzkie oko nie widziało... Roślinność, drzewa, trawy, wszystko tam jest nasycone

jadami! Wierzaj mi, ojczy, sam diabeł wybrał sobie to miejsce na siedlisko! Diabeł!

- Dziękuję ci, pani - odparł Henno - lecz sam wyrobię sobie opinię na temat obecności demona w mojej parafii.

- Ano właśnie, sam... Nie próbuj nas w to wciągnąć, ojczy, nie zmienimy zdania.

Ksiądz napił się mleka.

- Nie ustąpicie?

- Nigdy! Nie chcemy napytać sobie biedy. Uwierz mi na słowo, ojczy, ja zawsze wiem, co jest dobre, a co nie. Taką mam naturę.

- Proszę, proszę - powiedział Henno i oczy mu rozbłysły. - Posiadłaś zatem rzadki dar - filozofowie od niepamiętnych czasów dążą do uzyskania tej mądrości. Do dziś rozróżnienie dobra od zła zaprzęta najtęższe głowy. Skoro jednak tak nieomylnie wykorzystujesz swój talent, pani, może zechciałabyś i mnie oświecić?

Schwytawszy rozmówczynię w jej własne sidła, ksiądz zadał jej kilka pytań w sokratycznym duchu. Zwiedziona na manowce, nieszczęsna wieśniaczka nawet nie spostrzegła, jak z każdą odpowiedzią coraz wyraźniej zbliża się do punktu widzenia, a zarazem celu, jaki obrał Henno Gui. I wreszcie oboje stwierdzili, iż jest absolutnie konieczne, by zaprowadzić kapłana do wioski, choć żona zakrystiana w żadnej z odpowiedzi nie zaprzeczyła swym początkowym przekonaniom. Ta dyskusja okazała się dziecinnie łatwa.

- A zatem wszystko jest ustalone - podsumował ksiądz.

Słowa te zamykały pochlebną tyradę poświęconą rozumowi Godyłeny.

- Tak, ale to wszystko była tylko gadanina - odparła nieoczekiwanie. - I nijak się ma do czynów.

- Czyżby słowa i czyny nie szły ze sobą w parze?

- Skądże! To by było zbyt proste! Dobro i zło, o którym ksiądz mówi, to jedno, a to, o którym ja mówię, to drugie.

A potem, stosując rozbijające, zdroworozsądkowe argumenty, ta wieśniaczka bez żadnego wykształcenia, punkt po punkcie obaliła logikę Platona, czyniąc to równie skutecznie jak jego uczeń Arystoteles.

- Niech i tak będzie - odparł Henno Gui, rozbawiony takim obrotem sprawy. - Przyznaję, że użyłem w naszym sporze nowej metody, której stosowanie wobec parafian od niedawna zaleca nam Kościół. Nazywa ją dialogiem i poprzez rozmowę zmusza, by zanim zapadnie ostateczna decyzja, kapłani szukali porozumienia z wiernymi. Nie działać gwałtownie, nie narzucać niczego siłą, jak dawniej. Widzę wszelako, że trafiła kosa na kamień. Moja rozmówczyni ma swój rozum i nie da się tak łatwo zwieść.

- Racja - mruknęła Godylena, nie bardzo rozumiejąc, i dała kuksańca swemu głupawemu mężowi.

- Przyznaję, że wobec was lepiej używać dawnych metod kleru - powiedział ksiądz.

- Właśnie. Niech ojciec zachowa te nowinki dla innych! My, tutejsi, wolimy, kiedy rozmawia się z nami po staremu, słowami, które rozumieli nasi ojcowie, bez mnóstwa pytań i mnóstwa pułapek kryjących się w każdym zdaniu!

- Rozumiem.

Henno Gui spokojnie dopił mleko, a potem wstał. Zsunął kaptur i zwrócił wzrok na Premierfaita. Na jego twarzy malowały się srogość i zdecydowanie.

- Premierfait - oznajmił twardo - jeżeli odmówisz i nie ruszysz dziś ze mną do Heurteloup, sprawię, że będziesz traktowany jak banita we wszystkich kościołach diecezji. Będziesz żył bez sakramentów, udzielanych w imię boże. Nie weźmiesz udziału w nabożeństwie, nie wyznasz grzechów spowiednikowi. Zostaniesz wykluczony ze wspólnoty duchowej i chrześcijańskiej, na zawsze wyjęty spod prawa Kościoła. Będziesz dźwigał coraz cięższe brzemie grzechów, nie mając nadziei na ich odpuszczenie. A gdy słońce twego żywota pocznie się chylić ku zachodowi, czeka cię sąd bez rozgrzeszenia - wtedy zdasz sprawę z grzechów, także z tego, że dziś odmówiłeś pomocy osamotnionym owieczkom Pana Naszego oraz błagającemu cię kapłanowi.

- Ale... - szepnęła kobieta.

- Za tę odmowę płacić będziesz także na tamtym świecie, Premierfait!

- Ale...

- Czy nadal wolisz dawne metody, pani? - zapytał Henno słodkim głosem. - Jeżeli odprowadzisz mnie do parafii - zwrócił się do zakrystiana - niczego więcej od ciebie nie zażądam. Zostawisz mnie na granicy wioski, a potem wrócisz do żony.

- Ale ci przeklętnicy... - bełkotała zrozpaczona kobiecina.

- Przeklętnicy to moja sprawa! - huknął Henno Gui. - Premierfait? Zrozumiałeś?

- Tak, ojcze.

Kapłan z zadowoleniem skinął głową, a potem, nie czekając na reakcję despotycznej gospodyni, ruszył ku drzwiom. Ona zaś cisnęła za siebie garść bobu, żeby oddalić uroki.

Przed wyjściem Gui zapytał:

- Czy w tej wiosce, w Heurteloup, jest kościół?

Premierfait wahał się przez chwilę. Zerknął na żonę, a ta wzniosła oczy ku niebu, dając do zrozumienia, że teraz już nie ma znaczenia, co powie.

- Tak, ojciec - rzekł. - Jest. A oni zdają się nawet często do niego zaglądać...

- To prawda?

Potem Henno Gui zapytał, gdzie mieszka Grosparmi.

- Niedaleko stąd - odparł Premierfait. - W chacie z czerwonej cegły, trzy uliczki dalej. Trzeba skręcić w lewo. Nie sposób pomylić drogi.

Kapłan pożegnał ich i wyszedł.

7

Zakrystian mówił prawdę. Henno Gui stanął przed wąskim domkiem z krwistoczerwonej cegły, wciśniętym między dwa wysokie, walące się domy.

Wydeptane na śniegu ścieżki przed chatą szlifierza dowodziły, że nieszczęsnej „ofierze” mordercy w czerni składano liczne wizyty.

Za plecami księdza zaczynały się zbierać grupki ludzi, którzy podążali za nim, rozmawiając szeptem. Henno Gui nie zważał na nich. Bez pukania wszedł do domu Grosparmi.

Wewnątrz usłyszał pojękiwania rannego, który leżał na posłaniu z obrzmiałą prawą nogą. Wczorajszego wieczoru Henno Gui wziął go za kolejnego rabusia i roztrzaskał mu kolano pielgrzymim kijem, naruszając nerw kulszowy.

Ksabertyn, stary znachor z Draguan, przez całą noc doglądał szlifierza. Nie zdołał dobrać ani ziele, ani maści, które zmniejszyłyby opuchliznę lub ukończyły ból.

Zaraz po przyjściu Henno Gui wyjął z sakwy ziele jujuby, przygotował odwar, zdjął przetłuszczone bandaże, posmarował nogę maścią sporządzoną wedle farmakopei i odmówił modlitwy, które zabrzmiały obco w uszach osób zgromadzonych przy łóżku cierpiącego. Zabiegi kapłana, dyskretnego i milczącego, zmniejszyły obrzęk i przywróciły elastyczność zaczerwienionej skóry. Skutki jego kuracji były szybkie jak diabelskie sztuczki. Wieśniacy zegnali się nabożnie. Niektórzy wybiegli z domu, żeby opowiedzieć o tym zgromadzonemu na ulicy tłumowi. W izbie Henno kończył opatrywanie nogi, pozostawiając dostęp powietrza do rany.

- Twierdzą, iż należy pozwolić, by natura naprawiła to, co zniszczył człowiek - rzekł. - Nasze ciało zna się na sztuce leczenia lepiej niż niejeden wykształcony medyk.

Nikommu z obecnych nie umknął pewien istotny element tego zdania - młody ksiądz powiedział: „natura”, nie „Bóg”.

Prosząc swą ofiarę o wybaczenie, Henno Gui pobłogosławił szlifierza i zalecił mu odpoczynek. Ruszył drogą wiodącą na kanonię, nie zważając na tłum gapiów i komentarze czynione na jego temat.



Przechodząc obok domu Premierfaita, kapłan zobaczył przed wejściem dorodną gniadą klacz i solidny wóz. Zakrystian szykował się do podróży.

8

Tymczasem na kanonii przygotowania do wyjazdu czynił także wikariusz Chuaquet. Wziął trzy konie - wszystkie z biskupiej stajni. Potem dyskretnie wszedł do gabinetu Haquina, zamkniętego od pierwszych dni zimy. Przewertował stare księgi, wziął sakiewkę złota na podróż i odszukał korespondencję biskupa. Chuaquet postanowił przewieźć zwłoki swego zwierzchnika do Paryża z trzech powodów: po pierwsze, lękał się, że miejscowa ludność mogłaby zbezcześcić ciało; po wtóre, nie miał zaufania do archidiecezji w Passier, której podlegało Draguan - ciągłe lekceważenie problemów diecezji oraz nieufność, jaką okazywał wobec przełożonych Haquin, umacniały go w przekonaniu, iż nie powinien zwracać się do nich, lecz wprost do Paryża. I wreszcie, do tego wielkiego miasta prowadził jedyny ślad dotyczący dawnego życia Haquina, na jaki Chuaquet zdołał natrafić. Przez piętnaście lat służby wikariusz tylko raz odnotował prywatny list do biskupa. Przesłano go z arcybiskupstwa paryskiego, a opatrzony był podpisem tajemniczego Alchera de Mozata. Chuaquetowi pozostało tylko podążyć tym niepewnym tropem i poznać przeszłość swego mistrza, by zapewnić mu godny pochówek w rodzinnej ziemi.

Chuaquet często marzył, by choć trochę odmienić bieg swego życia... I nagle nadarzyła się okazja, by tego dokonać.

W godzinę po spotkaniu Henna Guiego ze szlifierzem Grosparmim dwa pojazdy - Chuaqueta i proboszcza - stały gotowe do drogi.

Bracia Meault i Abel zaprzęgli kryty wóz, na który załadowali trumnę ze zwłokami biskupa, niewidoczną pod plandeką, która miała zapewnić Chuaquetowi ochronę przed chłodem, zwłaszcza nocą. Trzy konie w zaprzęgu powinny podołać trudom dalekiej i ciężkiej drogi do Paryża.

Obok stał wóz Premierfaita i Henna Guiego, którzy zabierali ze sobą tylko ciepłe okrycia i żywność.

Dzień był słoneczny i piękny. Młody ksiądz godzinę przed wyjazdem spędził na modłach w absydzie kościoła.

Ustalono, że trumna Jego Ekscelencji Haquina opuści miasteczko jako druga, po kapłanie, boczną drogą, aby nie wzbudzać zainteresowania mieszkańców.

Abel i Meault z daleka pobłogosławili proboszcza. Chuaquet obiecał Hennowi Guiemu, że odwiedzi go po powrocie z Paryża.

- Modlę się do Boga, by miał cię w opiece podczas podróży i pozwolił szczęśliwie powrócić - powiedział.

Gui wiedział, że czeka go od czterech do pięciu dni drogi. Premierfait utrzymywał, że doskonale zna drogę do wioski, wiodącą przez trzy doliny i cztery rozległe lasy. Ileż razy przemierzał ją w myślach w długie, bezsenne noce po powrocie z Heurteloup!

Siedząc na ławce wozu, Henno Gui oddawał się modlitwie, nie spoglądając nawet w stronę Draguan.

„Et dixit dominus michi quod volebat quod ego essem novellus passus in mundo...” - woła Pana jest, abym utorował Mu na nowo drogę do tej społeczności i przywrócił ją chrześcijaństwu... - myślał.

Wiedział, że na jego temat będą krążyć po miasteczku różne pogłoski, może nawet zrodzi się legenda o kapłanie, który przybył Bóg wie skąd. Musiał być niespełna rozumu, skoro zgodził się iść między potępieńców i niebezpieczne bestie. Po trosze medyk, po trosze czarownik. Czy istniał naprawdę, czy zrodził się w gminnych opowieściach, tego po latach nie da się ustalić.

Cokolwiek dziś opowiadają mieszkańcy Draguan, wtedy byli przekonani, że jeśli nie stanie się cud, nigdy już nie ujrzą księdza Henna Guiego pośród żywych...

## CZEŚĆ DRUGA

1

Wielkie niczym szczątki antycznych budowli bryły lodu płynęły z nurtem Tybru, napierając na barki i nabrzeża.

Także i w Rzymie tegoroczna zima była sroga. Nie tak zabójcza dla ludzi i zwierząt i nie tak okrutna jak w północnych krainach (biskupi włoscy nieustannie o tym przypominali), chłostała jednak mrozem i śnieżycami półwysep i Stolicę Piotrową. W piecach palono resztkami zapasów drewna. Strychy i spichrze pustoszały.

Mimo to tego styczniowego ranka roku 1284, jak co dnia, przemarsz czarnych sutann i biskupich fioletów przebiegał w niezakłóconym rytmie. Po oblodzonych stopniach Lateranu duchowni wstępowali do siedziby papieskiej. Monumentalne schody wiodły na dziedziniec. Wewnątrz galerie, kuluary, przedsionki nigdy nie pustoszały. Zimą cała Europa drzemała, ale Rzym był wyjątkiem. Wojny między królestwami ustawały, by wybuchnąć na nowo dopiero wiosną, a politycy Kościoła wykorzystywali czas pokoju, by dać wyraz swemu stanowisku.

Halabardnicy i łucznicy strzegli placu i wiodących ku Lateranowi dróg. Papież miał własną armię, rycerzy Klucza, i doborową straż, Provisa Res. Tego ranka żołnierze zajęli wyznaczone posterunki wokół Lateranu, posłuszni rozkazom dowódcy, Sartoriusza, człowieka surowego i wymagającego.

Jeden z młodych rekrutów, Gilbert de Lorris, stał u stóp szerokich schodów. Miał zaledwie siedemnaście lat i dopiero w tym tygodniu wstąpił w szeregi straży. Stał sztywno, starając się nawet nie drgnąć, niepewny, ale bardzo z siebie dumny, jak to często bywa z nowicjuszami i terminatorami. Wysokie buty lśniły na jego nogach, wypolerowane w pocie czoła, ostrze starej halabardy połyskiwało jak nowe.

Młodzieniec śledził wzrokiem tłum przechodniów i eminencji przed Lateranem. Nic nie umykało jego uwagi. Zresztą on właśnie jako pierwszy i jedyny zainteresował się tajemniczą postacią w staromodnym stroju, przechadzającą się pod murem na wprost pałacu. Nieznajomy trzymał się na dystans, także obserwując wchodzących i wychodzących z Lateranu. Chwilami wydawało się, że zamierza wejść na schody, lecz coś go powstrzymywało. Był to mężczyzna dość wysoki, barczysty, o dumnej postawie. Ze swego miejsca Gilbert nie widział wyraźnie jego twarzy. Jedno było oczywiste - ów przechodzień nie był jednym z dworzan. Jego piękne szaty były nowe, uszyte przez zręcznego krawca, lecz krój świadczył o tym, że uczynił to przed z górą trzema dziesiątkami lat. Tylko człek starszej generacji mógł pokazać się w rozszerzanych do kolan spodniach, czepcu z pęknięciami, wykonanym na modłę saraceńską, we francuskich spinkach czy burgundzkim birecie. Gilbert uznał, że człowiek ten musi być bogaty, może nawet z „nazwiskiem”, jak mawiano o szlachcicach.

Nieznajomy nadal przechadzał się nieopodal pałacu. Gilbert pomyślał, że nigdy nie odważy się wejść. Nie byłoby w tym zresztą nic nadzwyczajnego - wokół Lateranu nieustannie krążyło wielu petentów, których lada co płoszyło i którzy umykali na widok dostojnych osobistości.

Wkrótce jednak strażnik zmienił zdanie.

Nieznajomy nosił długą pelerynę. Gdy szybkim ruchem obrócił się w prawo, poła odchyliła się i Gilbert dostrzegł zarys miecza, który ten człowiek usiłował ukryć.

Sytuacja uległa zmianie. Żołnierz dobrze znał kodeks pałacu wydany przez Sartoriusza: do papieskiego domu nie wolno było pod żadnym pozorem wnosić broni, jedyne odstępstwo czyniono dla posiadaczy specjalnych przepustek. Złamanie zakazu było surowo karane.

Gilbert rozejrzał się wokół - dowódca oddalił się, aby dokonać inspekcji wart. Dwaj strażnicy stali u szczytu schodów. Był sam.

Nieoczekiwanie na piazzie i schodach Lateranu pojaśniało. Sutanny i mitry zwolniły nieustający marsz. Gilbert był pewien: teraz nieznajomy podejmie próbę wejścia do środka. Nie mylił się. Podejrzany mężczyzna

ruszył w stronę pałacu krokiem tak pewnym i sprężystym, że zmylił czujność wartownika. Gilbert wahał się przez chwilę.

- Stać!

Nieznajomy już go minął i szedł po schodach. Udał, że nie słyszy rozkazu.

- Stać!

Gilbert podbiegł i szybko zrównał się z nieznajomym.

Mężczyzna zatrzymał się. Zwrócił twarz ku strażnikowi. Gilbert nie mylił się - miał przed sobą starszego człowieka. Jego wysokie czoło ostro zamykały łuki jasnych, krzaczastych brwi. Cerę miał matową, spękaną jak stara skórzana sakwa. Spojrzenie szczere, przenikliwe, męskie, lecz jasne niczym źródłana woda. Gilbert wyprężył się odruchowo. Nieznajomy roztaczał istic pański majestat i łaskawość. Młodzieniec wyobrażał sobie, że zetknie się ze starym ekscentrykiem, nieśmiałym i śmiesznym dziwakiem - tymczasem ku swemu ogromnemu zdziwieniu stanął oko w oko z człowiekiem przebiegłym.

- To mnie zamierzałeś zatrzymać, młodzieńcze? - zapytał. Gilbert zamarł.

Ten głos również nie brzmiał jak mowa zwykłego kupca. Pobrzmiwał w nim lodowaty ton dowódcy.

- Panie... Przybywasz zbrojny... wielmożny panie... -jąkał się zmieszany Gilbert. - Aby wejść do Lateranu, musisz mieć przepustkę.

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Zaiste, dobrze wypełniasz swoje obowiązki, chłopcze.

Rozchylił pelerynę, odsłaniając miecz w pochwie obciążonej czarnym aksamitem i skórzany pancerz rycerski. Na szyi miał zawieszony na złotym łańcuchu Trójkąt Świętego Ducha - mały, lecz cenny symbol, otwierający wszystkie drzwi dworu papieża Marcina IV. Zgodnie z rozkazem należało wpuścić każdego, kto okazał ten znak, choćby był uzbrojony jak do szturm.

- Przybyłem, aby spotkać się z Jego Eminencją Artemidorem - podjął, unosząc Trójkąt. - Z kanclerzem Ojca Świętego.

Gilbert cofnął się o krok i opuścił broń. Wiedział, że musi usłuchać.

- Zechciej wybaczyć, wielmożny panie.

Trójkąt Świętego Ducha znaczył bardzo wiele, lecz biednym Gilbertem bez porównania silniej wstrząsnął inny symbol. Również na złotym łańcuchu młody strażnik ujrział Krzyż Braci Tunezyjskich. Oniemiał. Był Francuzem i doskonale wiedział, co symbolizuje taki krzyż. Za ledwie sześciu mężów otrzymało go z rąk Ludwika IX. Ustanowił ten order przed piętnastu laty, jako drugi po orderze Genesta, podczas swej drugiej krucjaty, kiedy konał na dyzenterię pod murami Tunisu. Czyniąc ten gest,

król pragnął wyróżnić swych najwaleczniejszych krzyżowców, najwierniejszych druhów, swych, jak powiadał, „apostołów”.

Krew Gilberta, jeszcze przed chwilą wrząca, zastygła w żyłach. Ten chłopski syn przez lata chłonał opowieści o legendarnych postaciach sześciu wspaniałych. Ich czyny opiewano na równi z dokonaniem rycerzy króla Artura, ich dzieje jeszcze za życia spisywano na iluminowanych welinowych kartach.

- Jesteś nad podziw oszczędny w słowach, przyjacielu -przerwał milczenie mężczyzna. - Prowadź mnie do izby Rady. Dawno nie byłem w Rzymie.

Gilbert rozejrzał się wokół. Był sam. Sartoriusz wciąż nie wracał. Przy odrobinie szczęścia — pomyślał strażnik — nie zauważy, że się oddalił.

Skinął głową i poprowadził znamienitego gościa.

U szczytu schodów podążyli perystylem, który otaczał gmach i prowadził do północnego skrzydła pałacu - skrzydła papieskiego, gdzie mieściła się kancelaria.

Gilbert stapał wolnym krokiem. Słyszał, jak za jego plecami ciężkie buty wojownika uderzają o posadzkę. Nie wiedział, że ten znów postawił kołnierz, zakrywając twarz.

Młodzieniec nie ustawał w wysiłkach, by przypomnieć sobie imiona sześciu legendarnych kompanów Ludwika Świętego. A byli to Odo z Bretanii, olbrzym, który w pojedynkę przedarł się przez mury fortecy Mansura, Symeon Lambal, który w tajemnicy odkupił cierniową koronę Chrystusa, pertraktując za pośrednictwem weneckich kupców z Bizancjum; Oreyac z Tuluzy, który poprowadził z Aigues-Mortes pierwsze oddziały; Daniel Mądry, który doradzał dobremu królowi Ludwikowi pod dębem sprawiedliwości; Ore Saksończyk, który podczas pierwszej krucjaty Ludwika IX wyprowadził z niewoli blisko tysiąc krzyżowców; i wreszcie... i wreszcie...

Do diaska! Zbliżali się już do izby Rady, a Gilbert wciąż nie mógł przypomnieć sobie imienia ostatniego z herosów. A przecież znał jego gesty na pamięć: to on czuwał nad królem złożonym gorączką pod Taillebourgiem, on dwukrotnie służył całym osobistym majątkiem, by wspomóc finansowanie świętych wojen, on wreszcie, gdy nadeszła ostatnia godzina królewskiego przyjaciela, poddał genialną myśl, by ułożyć konającego władcę na usypanym z popiołu łożu w kształcie krzyża.

Jakże się zwał? Wszak tylko on jeden miał dziś możliwość przybyć do pałacu Marcina IV! - myślał młodzieniec. Odo zginął z rąk opętanego wieśniaka w Bayeux, Symeon skonał u bram Grobu Świętego, Oreyac wyzionął ducha w opactwie Fontfroide, Daniel skonał, doznając jednej z wizji w Saint--Pons-de-Thomieres, a Ore Saksończyk spoczął niedawno w

grobie przy klasztorze kartuzów w sercu Alp. Mąż, który usypał krzyż z popiołów, był ostatnim żyjącym spośród sześciu bohaterów.

Gilbert zatrzymał się przed wysokimi, nabijanymi metalem wrotami, których strzegli dwaj wartownicy. Zwrócił się do przybysza:

- Jesteśmy na miejscu, panie. Zbrojny wartownik nie ma prawa przekroczyć tych progów. Bez trudu znajdziesz, panie, drogę. Biura kanclerza mieszczą się na końcu galerii.

- Dziękuję, młody przyjacielu - rzekł gość.

I gestem wolnym od wszelkiego grubiaństwa, tyle bowiem kryło się w nim szlachetności i życzliwości, stary człowiek wsunął mu do ręki małą brązową monetę Ludwika. Gilbert ze wzruszeniem spoglądał na ten stary, dawno niewidziany pieniążek, którego awers zdobił cudownie wyrzeźbiony profil króla i kwiaty lilii oplatające krzyż.

I właśnie widok tej monety, przywołujący tyle wspomnień z Francji, ożywił jego pamięć.

— Dziękuję — rzekł, a jego oczy rozbłyły. - To dla mnie wielki zaszczyt, wielmożny panie... Jestem Francuzem, nieobce sami czyny kawalera Enguerr...

Lecz stary człowiek gestem nakazał mu nie wypowiadać swego nazwiska. Położył palec na ustach, a drugą ręką wskazał na monetę w dłoni młodzieńca. Ten zrozumiał rozkaz.

Gość odwrócił się i wszedł do pałacu.

Drzwi zamknęły się ciężko. Gilbert przez chwilę stał nieruchomo, wstrząśnięty spotkaniem.

Właśnie otarł się o legendę. Spotkał bohatera swego dzieciństwa, Enguerrana III du Grand-Cellier. Jednego z sześciu walecznych. Zwano go Lazurowym Rycerzem.

2

Antyszambrem kancelarii Artemidora była ogromna, całkiem pusta izba. Enguerran w ułamku sekundy uświadomił sobie, że człowiek, nawet silnej postury, jest drobiną w tym imponującym i wielkim wnętrzu. Każdy jego detal służył upokorzeniu tych, którzy przybywali pełni pychy. Całe umeblowanie izby stanowiły dwie małe niewygodne ławki i biurko sekretarza przy wysokich drzwiach kancelarii.

Stary Enguerran usiadł na jednej z ławek, za jedynego kompana mając wartownika w dworskich barwach, lecz i od niego dzieliło go trzydzieści metrów. Przy biurku sekretarza nie było nikogo.

Dawnymi czasy Grand-Cellier nie zachowywałby się jak onieśmielony dyplomata. Oczekiwałby, stojąc, pełen dumy, podzwaniając ostrogami o marmury, z dłonią na rękojeści miecza, i nie kryłby zniecierpliwienia, tak charakterystycznego dla możnych z jego ojczyzny.

Lecz dziś nie mógł sobie pozwolić na okazywanie pychy. Opuścił zaciszną siedzibę w Morvilliers, aby przybyć do Rzymu, nie bacząc na srogą zimę i własny wiek, i teraz musiał przełknąć zniewagę.

On, waleczny krzyżowiec, towarzysz króla, który oczekiwał na kanonizację, z zamartwionym sercem prosił, by jakiś prałat zgodził się udzielić mu audiencji. Enguerran wiedział, że ta rozmowa rozstrzygnie o jego losie, a zwłaszcza o godności jego imienia. Kanclerz Artemidor listownie wyraził zgodę na to spotkanie. Kardynał był starym znajomym Enguerrana. Dawniej nazywał się Aures de Brayac. Jako młodzi rycerze razem żeglowali po Morzu Tyrreńskim. Artemidor, dziś kanclerz Marcina IV, niemal papież, był mu winien przynajmniej tę rozmowę. Czyż Enguerran nie ocalił mu dwukrotnie życia podczas walk na Malcie?

Rycerz żywił nadzieję, że ten dzień przyniesie kres długiemu pasmu poniżeń. Mylił się.

Najpierw kazano mu czekać całymi godzinami, jak prostemu petentowi. Musiał znosić drwiące spojrzenia młodych kleryków, którzy przechodzili przez przedpokoje. Często odwracał twarz, unikając wzroku znajomego nuncjusza, nie chciał bowiem, aby wieść o jego przybyciu rozniosła się po pałacu. Tak samo zachowywał się, stojąc w pobliżu schodów laterańskich, gdzie dostrzegł aż nazbyt wiele znajomych twarzy.

Trzej franciszkanie weszli do antyszambru i usiedli, podobnie jak on czekając na posłuchanie. Biła od nich siła i władczość, którą Enguerran uznał za nieprzystającą do żebraczych habitów braci od świętego Franciszka. Nie zagadnęli go nawet słowem. Stary rycerz zauważył, że i oni noszą Trójkąt Świętego Ducha papieża Marcina IV. Wkrótce po ich przybyciu otworzyły się drzwi gabinetu Artemidora. Grand-Cellier oraz zakonnicy wstali. Młody diakon stanął w progu. Obrzucił oczekujących przelotnym spojrzeniem.

- Wejdźcie - powiedział obojętnie.

Zaproszenie dotyczyło franciszkanów. Enguerran przyjął to ze spokojem. Usiadł, zanim jeszcze zamknęły się drzwi.

Kiedy nadeszła pora zmiany warty przed gabinetem, ujrzał żołnierza w dworskich barwach, który wprowadził go tu przed czterema godzinami. Obojętne spojrzenie młodzieńca sprawiło, że Enguerran du Grand-Cellier, honorowy generał siódmej krucjaty, były gubernator prowincji Jezusowych, uświadomił sobie głębię swego upadku.

Przyszło mu czekać jeszcze dobre trzy kwadransy. Drzwi kancelarii otworzyły się jedynie, aby wypuścić braci od świętego Franciszka. Tym razem Enguerran już nie wstał. Diakon nawet nań nie spojrział. Pojawił się znowu dopiero po dwudziestu minutach.

I wreszcie zezwolił Enguerrenowi wejść.

Gabinet kanclerza nie przypominał zwykłych wnętrz, w których urzędowali inni dostojnicy Kościoła. Można by raczej pomyśleć, że to kwatery główna wodza armii. Na pulpitach leżały wojskowe mapy, ściany zdobiły batalistyczne freski, na marmurowych konsolach stały relikwie. Enguerran rozejrzył się po gabinecie świadczącym o złym smaku gospodarza, zbyt zaprzątnięty własnymi problemami, by przywiązywać wagę do takich drobiazgów.

Kanclerza Artemidora nie było.

Na jego miejscu przy biurku zasiadł młody diakon. A zatem jeszcze jedna zniewaga. I to znacznie cięższa od poprzednich - Brayac, przyjaciel z lat młodości, kanclerz Marcina IV, nie zechciał osobiście przyjąć Grand-Celliera.

Rycerz i tym razem powściągnął gniew. Zmierzył diakona spojrzeniem. Młody kapłan nosił biało-czerwoną sutannę i łańcuch świętego Piotra. Miał tłustą cerę i posępne spojrzenie człowieka, któremu niepisane są awanse. Jednego z tych, których Enguerran zwykł był usuwać z szeregów swojej armii za lada wybryk. To było spojrzenie tchórza i zdrajcy, który w najlepszym razie obrastał w sadło, unikając boju.

- Nazywam się Fauvel de Bazan - odezwał się diakon. - Jestem sekretarzem kanclerza Artemidora. Prosił, abym cię wysłuchał, panie.

- Czy podał powód, dla którego nie zechciał mnie przyjąć? - zapytał Grand-Cellier.

- Nie.

Bazana przepełniała duma, którą wyczuwało się w jego zaczepnym tonie, w drwiącym spojrzeniu, w fałszywej grzeczności.

- Zechciej spocząć, panie - poprosił. Enguerran nawet nie drgnął.

- Przyszedłem w sprawie syna - oświadczył.

- Wiem. Aymarda du Grand-Cellier.

- Dowiedziałem się, że król Francji nie chciał rozstrzygnąć jego sprawy, składając jego los w ręce Ojca Świętego.

- Zaiste, sprawa jest bardzo poważna. Dotyczy znamienitych nazwisk - rzecz jasna, także twego, panie - toteż wymaga szczególnej wnikliwości i dyskrecji.

- Przybyłem, aby naprawić krzywdę wyrządzoną mojemu imieniu, królowi i Kościołowi.

- Gdzie przebywa obecnie twój syn, panie?

- Jest uwięziony w moim zamku w Morvilliers.

- Uwięziony?

- Właśnie tak. Rozkazałem, by strażę go zabiły, gdyby próbował ucieczki. Moi ludzie pilnują celi dniem i nocą. Ręczę, iż będą mi posłuszni.



W głosie Enguerrana wyczuwało się siłę i zdecydowanie. Onieśmielał Bazana.

- Nie wątpię, iż moje imię jest ci znane, młodzieńcze -podjął stary krzyżowiec. - Przez wzgląd na czyny, których dokonałem ku chwale Kościoła, uważam, iż wolno mi wiedzieć, jaki los czeka mego dziedzica.

- Czy wiesz, panie, jakie oskarżenia ciążyą na twym synu?

- Wiem.

3

Aymard du Grand-Cellier był sprawcą jednego z najbardziej posępnych skandali w dziejach francuskiej młodzieńczej szlacheckiej.

Z natury nieustraszony, porzucił błyskotliwą karierę wojskową i niespodziewanie wstąpił do klasztoru. Choć był jedynym dziedzicem, Enguerran z dumą przyjął decyzję syna o poświęceniu się Bogu. Wszak Ludwik IX, święty król, był jego chrzestnym ojcem. Lecz stary Enguerran nie domyślał się, jak posępne chmury przesłonią wkrótce słońce nagłego „powołania”.

Aymard był bystrym chłopakiem. W seminarium dokonywał cudów, podobnie jak wcześniej w wojsku. Okryte sławą nazwisko rodowe umożliwiło mu bezzwłoczne przyjęcie święceń. Młody braciszek zgłosił wkrótce chęć założenia nowego zakonu mniejszego, na wzór licznych bractw żebraczych i kaznodziejskich, które powstawały na zachodzie Europy, dla których wzorem stali się Franciszek z Asyżu i Dominik Guzman. Przyszły „opat” du Grand-Cellier pragnął objąć opieką kaplice i małe prywatne klasztory francuskiej szlachty.

Trzeba bowiem wiedzieć, iż każdy wielki ród posiadał na swych ziemiach świątynię wzniesioną choćby po to, by w niej błagać o swe zbawienie i modlić się za dusze zmarłych przodków. Obrządek religijny sprawowano w tych świątyniach zgodnie z potrzebami. Rzym niechętnie spoglądał na tę niezależność, a Aymard chciał zaprowadzić w nich własny ład i poddać swą władzę pełnej kontroli Kościoła. Wraz z braćmi wziął na siebie także trud gromadzenia pieniędzy, które miały posłużyć niesieniu pomocy ubogim. Jego zaangażowanie i okryte sławą nazwisko działały cuda. Narodzinom Zakonu Braci Początku towarzyszyła radosna atmosfera, przedsięwzięcie popierał król, sprzyjały mu możne rody, a papież wydał specjalną bullę.

Zakon Aymarda szybko się rozrastał. Zewsząd napływały hojne datki i dzięki temu strumieniowi złota wkrótce liczył już z górą czterdziestu księży oraz wędrownych mnichów. Z pozoru zamierzenie młodego Grand-Celliera spełniło więc wszelkie jego marzenia. Najznamienitsze rody powierzały swe kaplice braciom początku, ludzie powtarzali, z jaką wdzięcznością chłopcy z biednych wiosek mówią o zakonnikach, którzy do

nich zawitali. Wszyscy się cieszyli. Po roku zaczęły się rozchodzić niepokojące pogłoski.

Na czele swego zakonu Aymard postawił zwartą grupkę przyjaciół, hultajską bandę, z którą związał się jeszcze za czasów rycerskiej przygody. Złe języki powiadały, że to istni bezbożnicy, którzy, będąc we własnym gronie, nie wzdragali się nawet przed bezczeszczeniem rodzinnych cmentarzy, choć zobowiązali się sprawować nad nimi pieczę, ani przed sprzeniewierzeniem pieniędzy z tacy. Hojność zakonu okazała się pozorna wobec fortun przekazanych braciom początku przez grandów Francji. Oburzenie wywoływały coraz bogatsze szaty mnichów podających się za żebrzących. Lecz początkowo ataki pozostawały bezskuteczne. W owych czasach powszechną rzeczą było piętnowanie zakonów ubóstwa, wbrew regule zbijających majątek.

Aymard i jego przyjaciele, wzorem braci cluniackich, powołali „nakrycie ubogiego krzesła”. Odtąd w domach seniorów, którzy gościli braci początku przy okazji spadającej na ród żałoby, podczas posiłków stawiano na stole dodatkowe nakrycie. Przy stole zasiadał i był karmiony biedak z okolicy, którego traktowano z takimi względami jak zmarłego krewnego. Obyczaj wychwalano w całym królestwie. Pozwolił on zamknąć usta złośliwcom.

Aymard du Grand-Cellier zręcznie to wymyślił, ale ludzie blisko związani z zakonem doskonale wiedzieli, że najwyżej postawieni członkowie zgromadzenia w najlepsze i całkowicie bezkarnie dawali upust najohydniejszym skłonnościom wykołejonych żołdaków. W kościółkach i kaplicach urządzali pod krzyżem orgie, na które sprowadzali młode kobiety i upijali je winem, a potem krępowali. To, co początkowo zdawało się eksplozją młodzieńczego temperamentu, rychło przerodziło się w szal rozpasania i zezwierżenie... Bracia gwałcili pacholeta, modlili się do pogańskich bożków, upijali się krwią dziewic.

Pewnej nocy wykopali z grobu szkielet staruszka opata i usadowili go w fotelu, by przewodniczył ich czarnej mszy.

Każdy obrządek obmyślali tak, by dostarczał im nowych silnych wrażeń.

Apoteozę świętokradztwa i horroru przyniosła noc obchodów drugiej rocznicy założenia zakonu. Przy tej okazji Aymard du Grand-Cellier odbył w kaplicy wzniesionej pośród lasów uroczyste zaślubiny z Matką Chrystusa. Podczas ceremonii Dziewicę Marię miała uosabiać gipsowa figurka. Związkowi pobłogosławił prawdziwy biskup, którego usługi kupiono za górę złota. Następnie ciała Marii użyczyła dwunastoletnia wieśniaczka. Została brutalnie zgwałcona przez uczestników ceremonii.

Choć poddana bestialskim torturom, nieszczęsna dziewczynka przeżyła. To ona złożyła donos na braci początku.

Była to sprawa bezprecedensowa. Wiejski ksiądz, któremu dziewczynka o wszystkim opowiedziała, okazał się zręczny, a zarazem ostrożny. Skandal plamił imię samego papieża, króla Francji i wielmożów, którzy wsparli zakon syna Enguerrana du Grand-Cellier. Należało zachować dyskrecję. Sprawa nie mogła wyjść poza kręgi bliskie królowi i dostojników kościelnych. I była utrzymywana w tajemnicy aż do chwili wydania ostatecznego wyroku przez papieża. Stała się jedną z owych kłopotliwych prawd, które zawsze jednoczyły świat polityków i kleru, gasząc spory i waśnie.

4

- Czego oczekujesz, panie, od kanclerza Artemidora? - zapytał diakon Fauvel de Bazan.

- Tylko nieliczni wiedzą o grzechach, jakich dopuścił się mój syn. Wie o nich król Francji, Jego Eksceleńcja Artemidor oraz papież. Kto jeszcze?

- Ja.

- Czy jeszcze ktoś w Rzymie?

- Nikt inny.

- Choć w różny sposób i w różnej mierze, sprawa ta wzbudza obawy wielu osób. Nikt dziś nie jest w stanie przewidzieć jej następstw. Dla nas, dla naszych wrogów ani dla naszego ludu. Bunt wobec Kościoła stały się chorobą naszych czasów. Wrogowie tylko czekają na takie skandale, by czerpać z nich siły i zyskiwać zwolenników.

- To prawda.

- Rozsądek nakazuje więc dołożyć wszelkich starań, by wyciszyć plotki. Z czasem afronty poczynione Bogu, władcom i prawdzie zostaną zapomniane.

- Co proponujesz, panie?

- Pragnę, aby wyciszono ten skandal. Oszczędźcie memu synowi stosu. Ześlijcie go do Azji albo Arabii. Nie pierwszy raz Kościół przymknie oczy na czyny grzesznych poddanych. Cały majątek braci początku przypadnie Rzymowi. Ponadto oferuję me poręczenie i służę własną osobą w zamian za pobłażliwość papieża. Być może wiek nie pozwala mi już służyć mieczem, przypomnij jednak kanclerzowi, że wciąż jeszcze mogę złożyć u stóp papieża mój majątek, nazwisko i życie, i że gotów jestem naprawić zło, które się stało.

Enguerran położył na stole swą tarczę herbową, miecz rycerski, Krzyż Braci Tunezyjskich i krzyżyk od chrztu świętego.

Diakon Bazan był świadom wagi tego gestu. Dla rycerza oznaczał on zaprzeczenie duszy. Honor imienia był dla głowy rodu niejednokrotnie

cenniejszy od życia. Człowiek honoru gotów był na wszystko, byle uchronić nazwisko od hańby.

- Oto cena, jaką gotów jestem zapłacić - rzekł Grand-Cellier. - Zatrzymałem się w domu pana Oronte. Tam będę oczekiwał, aż zostaną mi przedstawione wymagania wobec mnie.

Młody diakon nie potrafił powściągnąć podziwu, jaki wzbudził w nim stary bohater, który z wielkopańską dumą ukorzył się przed Kościołem.

Enguerran nie raczył nawet na niego spojrzeć. Pożegnał się i wyszedł.

W chwilę potem znów znalazł się przy balustradzie perystylu, na górnym piętrze pałacu. Przed nim rozciągał się widok czerwieniących się w wieczornym świetle dachów Rzymu. Słońce powoli kryło się za horyzontem. Stary człowiek spędził w Lateranie cały dzień, ale osiągnął cel.

Wrócił do willi swego przyjaciela, pana Oronte, w nadmorskiej Mili. Tam właśnie zamierzał czekać na odpowiedź kanclerza. Postanowił pozostać w Mili przez tydzień. Jeśli nie otrzyma odpowiedzi, uzna, że odrzucono jego suplikę, i wyjedzie do Mondliers.

Honor całego rycerskiego życia, honor bohatera legendy, zależał teraz od tych kilku krótkich dni.

Lecz nazajutrz o świcie emisariusz z Lateranu zapukał do drzwi willi. Służba powiodła go do apartamentów Enguerrana, który musiał czym prędzej się odziać. Spotkanie trwało tylko chwilę. Posłaniec złożył u stóp starego rycerza zawiniątko, w którym znalazły się miecz, tarcza herbowa, krzyż i rycerski emblemat. Do tych rzeczy dołączono kartkę, na której kanclerz Artemidor napisał w pośpiechu: „Jego Świątobliwość Papież nie może przyjąć twej propozycji”.

I tylko tyle. Prośba Lazurowego Rycerza została odrzucona.

Jeszcze tego dnia, bez słowa skargi, Enguerran polecił spakować bagaże i udał się w drogę powrotną do swego majątku.

Grand-Cellier podróżował karocą, mając przy sobie dwóch ludzi. Towarzyszyli mu dwaj zbrojni, jadąc konno. Żołnierze złorzeczyli po cichu z powodu tak nagłej decyzji o powrocie do Francji. Ledwie przybyli do Rzymu, a już wyjeżdżają! Na domiar złego droga powrotna była dłuższa, ponieważ trzeba było pokonywać bardziej strome górskie szlaki, a w najbliższych tygodniach należało się liczyć z nastaniem surowej zimy.

„Cóż mnie to obchodzi - myślał Enguerran, wciśnięty w kanapę karocy - teraz już nie muszę się spieszyć”.

U bram Mili woźnica gwałtownie zatrzymał konie. Drogę zajechała mu niezwykle bogata karoca, którą otaczało sześciu jeźdźców. Otwarły się drzwiczki i z pojazdu wyskoczył Fauvel de Bazan. Po bokach karocy

widniał papieski herb - krzyż i klucz. Diakon szybkim krokiem podszedł do Enguerrana.

- Witaj, panie.

Stary człowiek spoglądał na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jego Ekszelencja kanclerz pragnie spotkać się z tobą, panie — rzekł Fauvel. — Czy zechcesz jechać za nami?

- Jest tu?

Diakon przytaknął.

- Czeka w karocy. Jedźcie za nami, panie.

Jadąc za karocą Artemidora, Grand-Cellier znalazł się w północnej części Rzymu. Podróżni weszli do willi usytuowanej w rozległym parku, po którym znać było troskliwą rękę ogrodnika. Budynek wzniesiony z białych kamieni o lekkim piaskowym odcieniu był istną perełką architektury. Żadna rzeźba, żaden detal nie był przypadkowym elementem zdobniczym. Dom zachwycał umiarem i czystością linii. Na dziedzińcu stało sporo karoc i powozów.

Grand-Cellier i Artemidor zatrzymali się przed schodami wiodącymi do willi.

- Wcale się nie zmieniłeś! - wykrzyknął kanclerz, chwytając go za rękę, jakby rozstali się wczoraj. - Choć upłynęły całe lata, ty wciąż jesteś raptusem. Jak widzisz, nie zapomniałem, że nie grzeszysz cierpliwością, Enguerranie. Wiedziałem, że muszę działać szybko, żebyś mi nie uciekł.

- A ja wiem, kiedy należy ustąpić pola - odparł rycerz. -Czyż bez ogródek nie dano mi do zrozumienia, że mam się wycofać?

- Spokojnie, spokojnie, przyjacielu, wszak jesteśmy w Rzymie, a nie na dworze Ludwika de Poissy. Tu niczego nie należy brać sobie do serca - ani tego, co się mówi, ani tego, co się pisze.

- Bardzo wygodna metoda.

- Na tym polega rzymska polityka - niuanse i pozory to jej filary. Tu dba się tylko o formę. Resztę załatwia się za zamkniętymi drzwiami. Chodź ze mną, zaraz wszystko zrozumiesz.

Artemidor bardzo się roztył. Potrójny podbródek wylewał się na stójkę biskupiej sutanny. Miał zamglone oczy smakosza win i pękaty brzuch Sylena, zdradzający, że nie należy do grona zwolenników powrotu do ideału ubóstwa sług Chrystusa, tak zażarcie piętnujących doczesne rozkosze. Enguerran nie dostrzegł w jego ociężałym kroku siły i sprawności rycerza, którego poznał na Malcie.

Kanclerz wprowadził swego gościa do pałacu. Gdy szli przez gwarne salony, niemal nikt nie zwracał na nich uwagi. Woń pieczonego mięsa i cebuli wypełniała korytarze. Goście skupiali się wokół suto zastawionych stołów. Były wśród nich kurtyzany, byli rycerze w dworskich szatach, a

także mnisi o umalowanych oczach. Enguerran nie znał nikogo z nich, oprócz trzech franciszkanów, których spotkał poprzedniego dnia przed kancelarią. Stali teraz przy kominku posepni w swych ciemnych habitach. Wydawało się, że tym trzem zakonnikom nie przypadła do gustu chrześcijańska uczta miłości, w której uczestniczyli.

- Gościmy u pana Chenedolle - wyjaśnił Artemidor. - Świątujemy dziś chrzciny mojego siostrzeńca. Zawsze wykorzystujemy tego rodzaju półprywatne i półpubliczne wydarzenia, żeby się spotkać.

- My, to znaczy: kto?

Artemidor uśmiechnął się z lekka. Może uśmiechnąłby się szerzej, przebiegle, gdyby jego usta nie ginęły w warstwach tłuszczu, a skóra nie zwiotczała tak bardzo.

- Powiedzmy, że to spotkanie przyjaciół.

Enguerrana poprowadzono przez podziemia willi do izby o łukowym sklepieniu. Grube świece, ustawione na trzech świecznikach, osmalały niski pułap. W długiej, wąskiej sali ich blask ledwie rozpraszał ciemności.

Przy półokrągłym stole wykutym w skalnej ścianie zasiadało dwunastu ludzi. Artemidor przedstawił im Enguerrana, lecz żaden z obecnych nie raczył wyjawić swego imienia.

- Enguerranie, stary druhu - rzekł kanclerz - musimy szybko działać. Zresztą rzecz jest jasna. Tajna rada papieska życzliwie odniosła się do twojej prośby w sprawie syna i doceniła starania, jakie gotów jesteś podjąć, aby odpokutować winy swego potomka. Ojciec Święty je odrzucił. Nie może przyjąć twojej propozycji. Przede wszystkim dlatego, że nie rozumie ducha rycerstwa, a ponadto wieść o pobłażliwym traktowaniu wielkich rodów mogłaby zaszkodzić jego stosunkom z francuskimi wielmożami. Pragnie jak najdyskretniej załatwić tę sprawę dla dobra wszystkich zainteresowanych, domaga się jednak głowy twego syna, obawia się bowiem, że oszczędzając go, przysporzyłby sobie wrogów.

Enguerran zachował kamienny spokój.

- Stoisz tu dzisiaj przed nami - ciągnął Artemidor - ponieważ tylko my możemy sprawić, by papież zmienił zdanie.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Gdyż jesteśmy, by tak rzec... „wykonawcami spraw drobnych”. To ważna funkcja, która powstawała z upływem czasu, jakby niepostrzeżenie. Widzisz, sukcesja rzymskich papieży nie przebiega tak łatwo jak sukcesja władców Francji, którzy zawsze szczęśliwie znajdują męskiego potomka, mogącego przejąć tron, podczas gdy dwa kolejne pontyfikaty mogą dzielić miesiące, a nawet lata. Przez ten czas ktoś musi kierować polityką Kościoła, i to twardą ręką. To zadanie należy do nas. Można by rzec, iż jesteśmy „papieżami interregnum”.

- Ale przecież Marcin Czwarty żyje i sprawuje władzę. Czemu mielibyście podważać jego autorytet lub działać wbrew jego woli?

Artemidor zgromił go spojrzeniem.

- Ponieważ wiemy, co znaczy złożyć Krzyż Braci Tunezyjskich u czyichś stóp.

Pośród ogólnego poruszenia rozległy się szepty.

- Gotów jesteś na wielkie poświęcenia, aby ocalić syna -podjął kanclerz.

- Choć dopuścił się straszliwych grzechów, potrafimy zrozumieć, że ojcowski instynkt nakazuje ci go bronić. Ponadto jako Francuz musisz ratować nazwisko. Jesteśmy skłonni okazać pobłażliwość w zamian za kilka drobnych przysług, jakie nam wyświadczysz.

- Nie lubię propozycji składanych potajemnie, zwłaszcza jeśli czyni się to w piwnicznych izbach - odparł Enguerran.

- Świetnie się składa, bo i nam nie bardzo się to podoba! — Kanclerz parsknął śmiechem. - Prawda rozkwita w blasku światła, lecz politykę można sprawnie prowadzić tylko potajemnie. Tak już się dzieje na tym padole, nie możemy tego odmienić.

- Dlaczego miałbym was usłuchać?

- Ponieważ ja jestem kanclerzem papieża, a wśród dwunastu siedzących przed tobą mężów niewątpliwie jest przyszły suweren Rzymu. Stanowimy twą jedyną szansę. Ponadto nasze oczekiwania wobec ciebie są bardzo rozsądne.

- Słucham.

- To proste. Chcemy, żebyś kupował ziemię.

- Kupował ziemię?

- Tak. Dla nas. Dla Kościoła. Wiesz dobrze, że w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci udało nam się znacznie wzmocnić naszą chrześcijańską wspólnotę. Zdołaliśmy połączyć kult Chrystusa z ceremoniami, które dotąd przesiąknięte były pogaństwem - chrzczymy nie w rzekach, ale przy chrzcielnicach, akt ślubu sporządza się w kościele i jedynie my jesteśmy władni uwolnić od małżeńskich więzów, także ceremonia pasowania na rycerza podlega teraz władzy biskupiej - nie masz ważnego pasowania bez miecza poświęconego przez Kościół. Nasi zmarli również znaleźli się pod opieką Chrystusa. Przybliżyliśmy cmentarze do kościołów, położyliśmy kres pogańskim obrzędom, tym okropnym libacjom, składaniu ofiar i ucztom. Dziś tylko msza towarzyszy duszy zmarłego w drodze na tamten świat. Widzisz więc, że życie człowieka stopniowo przybliżyło się do nauki i słowa Pana Naszego.

- Wielce mnie to raduje - odparł Enguerran.

- Radość nie jest jednak pełna. Pozostaje dziedzina, w której na przeszkodzie stają nam dawne obyczaje. Chodzi o własność ziemską.

Szczególnie we Francji. Seniorzy, wasale króla, uparczywie odmawiają przekazania ziemi Kościołowi. Wolą sprzedawać ją między sobą, przekazywać poprzez zawieranie małżeństw lub oddawać Koronie. U was, we Francji, ziemia to nazwisko, symbol trwałości rodu. Dynastia! Wciąż nie możemy się uporać z głębokim przywiązaniem do dawnych obyczajów.

- Wszak wielu seniorów ofiarowało swe ziemie Kościołowi - zaoponował Enguerran.

- Tak... drobne parcele, lasy do karczowania albo mokradła do osuszania - i to wyłącznie pod budowę opactw. Pragną kupić spokój sumienia. W rzeczywistości jednak nie chcą z nami handlować tym, czym chętnie kupczą między sobą. To solidarność kastowa, cóż by innego... Kościołowi potrzeba nowych ziem. Wiele francuskich rodzin stoi na krawędzi ruiny i pragnie pozbyć się dóbr. Wielka szkoda, że Dom Boży nie może skorzystać z nadarzających się okazji. Zresztą wszyscy mogą na tym zyskać. Toteż pragnęlibyśmy, abyś ty i tylko ty służył nam za pośrednika, abyś udzielił nam swego nazwiska, pomagając nabyć dobra szczególnie nam drogie. Grand-Cellier to wielkie nazwisko. Wszyscy je znają i poważają. Twój syn wciąż jeszcze cieszy się sławą jako dobry poddany i pobożny sługa... Na razie krążą tylko pogłoski... Jeśli zajdzie potrzeba, poświadczymy, iż „oszczercze słowa” są bezpodstawne i że ich głoszenie uznawać będziemy za zniesławienie. Nasza władza sięga wystarczająco daleko. Jak sam rzekłeś memu sekretarzowi - nie po raz pierwszy Kościół przymknie oko...

Enguerran poprzedził odpowiedź chwilą milczenia.

- Nagła chęć nabywania ziem przez seniora w tak podeszłym wieku wzbudzi zdziwienie - rzekł.

- Tak, to zdziwi, ale potem dojdzie do zawarcia transakcji, bo twoja oferta okaże się wielce interesująca. Nie troskaj się. Pomóż nam, a zapewniamy, że twoje nazwisko i sława będą trwać.

- Jaki los czeka mojego syna?

- Zabierzemy go do Rzymu. To buntownicza i krnąbrna natura. Zajmiemy się nim. Rogate dusze, uwolnione od grzesznych namiętności, stają się najwierniejszymi i najskuteczniej działającymi sługami Kościoła... Potrafimy naprowadzić go na dobrą drogę. — Artemidor wciąż wykrzywił usta w odrażającym uśmiechu. - Czy mógłbyś odrzucić taką propozycję, Enguerranie?

Nad Wiecznym Miastem zapadała noc. Wieczne warty gwardii laterańskiej zajęły pozycje wokół pałacu. W koszarach przy via Gregoria żołnierze szykowali się do snu.



Drzwi dormitorium na pierwszym piętrze otwały się gwałtownie na oścież. Sartoriusz, dowódca gwardii, wszedł, nie kryjąc wściekłości.

- Gdzie Francuz?

Żołnierze zamarli na widok dowódcy. W rękach trzymał kuferek i złożony na nim rycerski miecz.

- Gdzie Francuz? - powtórzył. - Gdzie żołnierz Lorris?

Gilbert szybko wyszedł z celki. Wyprężony, z uniesioną brodą, zameldował się przed dowódcą. Sartoriusz rzucił mu kuferek.

- Trzymaj! - krzyknął. - Wyznaczono ci misję. Przeczytaj rozkazy, które znajdziesz w kufierku, i zejdź mi z oczu.

Sartoriusz był wściekły, gdy kancelaria lub kuria odbierały mu żołnierzy, wyznaczając im misje polityczne. I tak już z najwyższym trudem dobierał rekrutów tworzących elitarną jednostkę.

- Wybrali cię do tej misji, ponieważ poza tobą nikt tu nie mówi po francusku! Jakbym ja o tym nie wiedział: tutaj ten język także bywa użyteczny! Cóż! - Sartoriusz wzruszył ramionami. - Weź i to.

Dowódca wręczył mu miecz. O takiej broni zwykły wartownik, jakim był Gilbert, mógł jedynie marzyć. Nie komentując zdumiewającego wyróżnienia, Sartoriusz odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Młodzieniec otworzył kuferek. Znalazł w nim pieniądze, lecz nie w gotówce, ale w bonach, które realizować miał w komandoriach templariuszy, przepustki oraz rozkaz: sprowadzić do Rzymu opata Aymarda du Grand-Cellier z zamku Moryilliers. Pieczęć papieska Marcina IV świadczyła o powadze sprawy, jej pilnym charakterze i uprawniała do zastosowania wszelkich środków, jakie okażą się konieczne do wypełnienia rozkazu. Kwity pocztowe zapewniały kawalerowi Lorrisowi konie na każdym etapie podróży. Więzień powinien zostać sprowadzony jak najrychlej, nie później niż w ciągu ośmiu tygodni.

Gilbert poczuł dreszcz podniecenia - miał wszak powrócić do ojczystej Francji.

5

Tuż za Draguan, minawszy kilka zakrętów, Henno Gui i Premierfait znaleźli się na leśnym dukcie, którym minionej nocy ksiądz dotarł do miasteczka. Dopiero teraz miał okazję ujrzeć okolicę w blasku słońca: strzeliste świerki stały przy drodze niczym straż przyboczna. Ten tonący w śniegu las zwano Lasem Panny. Słońce, które nie dawało ciepła, skrzyło pokryte lodowymi gwiazdkami gałęzie i ustrojone w śniegowe czapy drzewa. Cały ten blask zdawał się uświetniać wyjazd Henna Guiego. Kapłan nie dał się zwieść czarom przyrody, wiedział, że wpatrywanie się w jaskrawe światło może uszkodzić wzrok.

Mężczyźni przeszli obok miejsca noszącego jeszcze ślady walki ze szlifierzem Grosparmim, nieopodal figurki Marii, którą Henno w pośpiechu skleił śniegiem.

- Wiosną znów się rozpadnie — powiedział krótko.

Premierfait przeżegnał się. Wędrowali ledwie pięć minut, a on już dyszał ze zmęczenia. Na drodze nie było kolein, koła wozu osuwały się na pobocze, podskakiwały na korzeniach i pniach zwalonych drzew. Zakrystian z lękiem myślał o najbliższych dniach.

Henno Gui nie zważał na nic, zamknięty w swoim świecie niczym jedwabnik w kokonie. Od czasu do czasu zerkał na krzaki, gdy rozlegał się w nich trzask albo łopot ptasich skrzydeł.

Posuwali się tak przez długie minuty - mozolnie i w milczeniu.

Ten spokój drażnił Premierfaita. Przyprawiał go o wręcz fizyczne, nieznośne cierpienie. Czcza gadanina, potok słów, hałas wydawały mu się najskuteczniejszym remedium na skręcający mu trzewia lęk. Całym jego jestestwem zawładnęła panika. Zaczął mamrotać pod nosem, co było bardziej irytujące niż dogadywanie sójki. Henno Gui nie reagował, coraz bardziej naburmuszony. Woźnica wyrzekał na żonę. Piekielnica! Wiedział, że specjalnie poskapiła im jadała na drogę. I to w środku zimy! Chciała, żeby konali z głodu! Będzie musiał wracać na złamanie karku, a kiszki będą mu marsza grały! Użyła jednego ze swych szelmowskich sposobów, żeby zmusić go do szybkiego powrotu! Może nawet myślała, że zawrócą, nie dotarłszy do celu? Megiera, istna megiera!

- Umiesz polować, ojczy?

Henno Gui przecząco pokręcił głową.

- Co do mnie, to trochę wyszedłem z wprawy, żywię wszelako nadzieję, że zdołam ustrzelić jakieś zwierzę albo ptaszysko, w sam raz na piecyste. Brzuch mi urósł, ale jestem jeszcze chłop na schwał. Mam łuk i strzały, to najpewniejsza broń.

Wskazał leżący pod siedzeniem długi, owinięty płótnem kształt, pakunek, którego nie zauważyło bystre oko pani Premierfaitowej.

Woźnica zerknął na małą sakwę księdza.

- To cały twój bagaż, ojczy?

- Tak.

Premierfait pokiwał głową. Niewiele, jak na proboszcza, który przybywa objąć wiejską parafię. Proboszcza, który -jak powiadano - odbył całą drogę z Paryża na własnych nogach.

- Zapewne zamierzasz rychło wrócić do biskupstwa? - dorzucił zakrystian.

- Nie.

- A bagaże? Nie zostawiłeś ich, ojczy, w Draguan?

- Nie, przyjacielu. Wszystko, z czym wczoraj przybyłem, mam tu ze sobą. - Henno Gui wskazał na sakwę.

- No, no - Premierfait pokiwał głową - trzeba być szaleńcem, żeby zapuszczać się tu w środku zimy z taką torbiną! Szaleńcem albo łgarzem!

- Mam Biblię, krucyfiks, bukłaczek wody święconej, trochę ziół, grafity i papier. Czegóż mi więcej trzeba?

- Żeby przetrwać mrozy? Wszystkiego! Derki, różna, broni, wnyków, srebra, medykamentów. Sam nie wiem!

- Czego trzeba, by służyć zbłąkanym owieczkom bożym?

- Na tym się za bardzo nie znam, ale wiem, że żaden spragniony nie ugasił pragnienia wodą z kropielnicy i że mało kto przetrwał zimę, grzejąc się w blasku Ducha Świętego. Ech, mogłem się tego spodziewać. Chuaquet opowiadał, że ojciec przyszedł do nas z Paryża z małym węzełkiem.

- Brat Chuaquet mówił prawdę.

- Dajże pokój, ojcze! Jakże mogłeś przeżyć z tak marnym bagażem, kiedy nawet kamienie trzaskają od mrozu?

Henno Gui obrzucił go rozbawionym spojrzeniem.

- Synu, wszak każdy z nas ma swoje małe sekrety, nieprawdaż?

Premierfait wzruszył ramionami.

- Ba, jeszcze trochę, a sam się przekonam.

Po jednej stronie drogi ciągnął się gęsty las, po drugiej wznosiła się przyprawiająca o zawrót głowy stroma ściana, pierwsza na przedgórzu. Dotarli do doliny As.

Ku bezgranicznej rozpaczyc Premierfajta znów podróżowali w milczeniu. Zakrystian począł smagać batem krzewy, aby wypłoszyć zwierzynę, i w ten sposób koił swe rozżalenie nadzieją na bogatszą wieczerzę. Nieszczęśnik myślał wyłącznie o jednym - by napchać sobie brzuch.

W lesie na prawo od drogi coś zaszeleściło.

- Słyszałeś, ojcze?

Henno Gui skinął głową. Jego twarz poweselała. Premierfait wziął tę radość za zachętę.

- To na pewno łania... Śliczna łania, ojczulku - wyszeptał.

Wprawnym ruchem lejców zatrzymał klacz i zeskoczył z wozu.

- Na twoim miejscu nie uganiałbym się za zwierzyną - powiedział kapłan. - Przed nami jeszcze długa droga, a wkrótce zapadnie noc.

Premierfait gestem nakazał mu milczenie. Wydobył zawinięty w płótno łuk.

- Jest tam... tuż obok. To potrwa minutkę — szeptał. — Kiedyś byłem pasterzem... Wiem, co mówię...

Henno Gui wzruszył ramionami.

- Pamiętaj, że cię uprzedzałem.

Kapłan nawet nie wysiadł. Wydobył z sakwy papier i grafit i zaczął coś pisać na kolanie, nie zważając na zakrystiana.

Premierfait wszedł w zarośla. Poszycie było nadspodziewanie gęste, las mroczniejszy, niż sądził. Światło słonecznego dnia przemieniło się w półmrok. Gałęzie krzewów były splątane. Myśliwy nic nie widział na odległość dziesięciu kroków.

Szedł ostrożnie. Przystanął, żeby „wysłuchać się w bicie serca” ofiary. Wokół panowała niepokojąca cisza. Nie drgnęła nawet gałązka. Premierfait wolno obracał się wokół siebie, trzymając napięty łuk.

Usłyszał trzask za plecami. Stało się! Premierfait był pewien, że nie chybi ofiary. Odwrócił się i wycelował.

Postąpił kilka kroków, gdy rozległ się drugi trzask, znowu za plecami, nieco na lewo. Zwrócił się w tę stronę, ale zaraz potem trzeci i czwarty, a po chwili piąty zmusił go do odwracania się raz po raz. Jednak, co ciekawe, Premierfait nigdzie nie dostrzegł choćby cienia zwierzyny. Kręcił się tak przez chwilę. Dźwięki za każdym razem dobiegały zza jego pleców. Zdumiewająca ruchliwość zwierza niepokoiła. Drobnie gałęzie przysypane śniegiem zdradzały jego chaotyczne kluczenie. A jednak wokół nic się nie poruszało. Na śniegu nie było żadnych śladów oprócz jego własnych.

Premierfait nie był zżyty z naturą. Nie na żarty przestraszony, chciał czym prędzej wrócić na drogę. W tej samej chwili jego uszu dobiegło skrzypienie rozgniatanego śniegu. „Zbliża się!” - pomyślał. Krew zastygła mu w żyłach. Opuścił łuk. Poczuł, że ogarnia go przerażenie, jakiego zapewne doznaje zaszczuty zając. Rozejrzał się lękliwie. Otaczały go cienie. Nie miał pojęcia, jak odnaleźć drogę do wozu. Nogi wrosły mu w ziemię. Przypomniawszy sobie niesamowite opowieści zasłyszane w dzieciństwie - o posepnych lasach, o faunach, wygłodzonych watach wilków, diabelskich pułapkach, o wilkołakach... Pomyślał też o mordercy, który nie dalej jak wczoraj zabił biskupa, i o ciałach, które zeszłego roku przyniosła rzeka, i o cierpieniach Grosparmiiego...

O parę kroków od niego osunął się śnieżny nawis. To koniec - pomyślał Premierfait. Chciał uciekać, ale czyjaś mocna dłoń chwyciła go za kołnierz i gwałtownie obróciła. Zakrystian zderzył się z potężnym torsem mężczyzny - olbrzyma w czarnym odzieniu. Premierfait z wrzaskiem runął na plecy. Z głową w śniegu, gapił się w niebo wystraszonymi oczyma.

Rozległ się dziwny świst, który zdawał się wibrować. Nieszczęsny Premierfait nie mógł się zorientować, czy dobiega z lasu, czy diabelskie poświstywanie słyszy we własnej rozpalonej głowie. Brzmiało niczym

pogróżka. Potem zaczęło się zmieniać i przeszło w śmiech. Śmiech dziecka. Premierfait zmrużył oczy. Zobaczył, jak spośród gałęzi drzew, tuż nad nim, wylania się wesoły młodzieniec.

- A ty kto? - wybełkotał, gdy stanął nad nim potężny mężczyzna o twarzy pokrytej odrażającymi bliznami i białawymi strupami. Tuż obok pojawił się młody blondyn o śmiejących się oczach i radosnych ustach, wiotki i smukły.

Olbrzym położył ogromne kanciaste dłonie na szyi zakrystiana. Premierfait zemdlał.

- Premierfait, przedstawiam ci Florisa z Meung, mojego ucznia, i Tłustego Czwartka, mego wiernego druha - rzekł Henno Gui. Wydawał się rozbawiony całym zajściem.

Zakrystian stał oparty o wóz. Nogi wciąż jeszcze mu drżały, twarz początkowo miała barwę trupio zieloną, ale powoli krew zaczynała krążyć i policzki Premierfajta zaróżowiły się. Z trudem chwycił powietrze. Olbrzym przyniósł go z lasu na rękach.

- Nie płać się uczciwemu chrześcijaninowi takich kawałów - wyszeptał. - Mogłem przecież... mogłem...

- Zechciej wybaczyć mojemu uczniowi. Straszny z niego jeszcze dzieciuch. Nie chciał zrobić nic złego.

Dzieciak, zwany przez Henna Guiego Florisem z Meung, liczył nie więcej niż piętnaście wiosen. Nosił habit z kapturem, płaszcz podbity popielicami, ciepłe wełniane rękawice i spodnie, wełniany czepiec. Choć ubrany jak mnich, chłopiec miał jeszcze długie włosy i zachowywał się jak oblat. Był miły, z pogodą przekraczał próg dzieciństwa, wchodząc w okres młodzieńczy. Jego policzki zaczerwieniły się na mrozie, a oczy były okrągłe jak paciorki.

Drugi z kompanów, zwany Tłustym Czwartkiem, zachowywał stoicki spokój. Prosty jak strzała, o potężnych udach, mocarnych barach i byczym karku, był uosobieniem siły. Pokryta bliznami, pozbawiona wszelkiego wyrazu twarz niepokoiła. Przypominała karnawałową maskę „Umarlaka”, którą dzieciaki wyrywają sobie, idąc na maskaradę. Mężczyzna nie odzywał się ani słowem.

- Przybliżyliśmy miejsce spotkania, mistrzu - zwrócił się Floris do Henna. - Tłusty Czwartek uznał, że dotarcie do umówionego miejsca zwykłym zaprzęgiem zajmie ci tyle czasu, ile nam podróż powrotna do Paryża na ulicę Chausfour.

- Bardzo możliwe - odparł ksiądz, uśmiechając się.

Tłusty Czwartek przeszedł na drugą stronę drogi i wydobył zza drzewa dwie długie, starannie wygładzone deski. Potem z przewieszanej przez

ramię torby wyjął stalowy toporek. Premierfait obserwował go, nie rozumiejąc. Olbrzym rzucił okiem na wóz zakrystiana, a potem dwoma zdecydowanymi, precyzyjnymi uderzeniami toporka przyciął nieco każdą z desek. Umocował je pod kołami wozu sznurem i rzemieniami, które miał przy pasie. W ciągu paru minut wóz przemienił się w sanie, zwrotne i szybkie, z łatwością sunące po zaśnieżonych i oblodzonych drogach.

Premierfait był pełen podziwu dla mocarza. Tłusty Czwartek nawet nie stęknął, gdy uniósł wóz, żeby zamocować płozy.

- Teraz pojmujesz - powiedział Henno Gui - jak bez przeszkód przemierzyliśmy kraj? Tłusty Czwartek jest niezwykły. O nic nie musisz się już martwić. Zadbamy o wszystko.

Cała gromadka ruszyła w drogę. Premierfait powoli oswajał się z nowym sposobem powożenia. Na bardziej stromych odcinkach drogi olbrzym szedł obok klaczy, w każdej chwili gotów ją wesprzeć.

Sanie zatrzymały się u zbiegu trzech dróg, przy gęstej kępie krzewów. Tłusty Czwartek zniknął pośród zarośli, by powrócić z załadowanym po brzegi wozem, także przerobionym na sanie.

Premierfait na próżno rozglądał się za osłem, który miałby je ciągnąć. Doszedł do wniosku, że Tłusty Czwartek sam je przyciągnął aż z Paryża.

- Dzięki tym saniom wybrnęliśmy ze wszystkich pułapek zimy - powiedział Henno Gui. - Podróżowaliśmy sprawnie, śnieg nie był dla nas przeszkodą. Wszystkie rzeczy zostawiłem na saniach, a do Draguan przybyłem tylko z sakwą.

Floris uniósł płachtę, która zakrywała wóz. Spomiędzy kufrów, pakunków, narzędzi i ksiąg wydobył trzy duże kapy uszyte ze skór jagniąt, renów i królików.

- Którą drogą pojedziemy? - zapytał Henno Gui, wskazując na rozwidlenie szlaków.

Zakrystian wskazał tę, która biegła w prawo - najbardziej krętą. Niemal całkowicie zarośnięta, była węższa i z pewnością rzadziej używana niż dwie pozostałe.

Mężczyźni narzucili pelisy podane przez Florisa. Tylko olbrzym nie potrzebował ciepłego okrycia - ciągnął sanie, pozostając kilka kroków za wozem Premierfaita.

Ksiądz wprowadził swego ucznia i Tłustego Czwartka w szczegóły misji, którą miał wypełnić w Heurteloup. Mówił o oddaleniu wioski od ludzkich siedzib, o wieloletnim braku duszpasterskiej opieki, o niesłychanym mordzie na Haquinie, o zagadkowym morderstwie i ciałach odnalezionych przed rokiem w rzece, o ciemnocie ludności i ważnej roli Premierfaita jako przewodnika...

- Czemuż zgodziłeś się objąć taką parafię, mistrzu? - zdumiał się Floris, wysłuchawszy Henna.

- Nie odrzuca się ołtarza.

- Lecz teraz zabrakło biskupa, który zapewniłby ci bezpieczeństwo. Gdyby żył, zabroniłby ci wyruszać tam samotnie, bez eskorty. Czy ktokolwiek wie, że tam zmierzamy? Po cóż się było tak spieszyć?

Henno Gui nie próbował przekonać Florisa. Powtórzył jedynie to, co już wielokrotnie mówił w drodze z Paryża.

- Jeśli mnie opuścicie, zanim dotrę do celu podróży, przyjmę to ze zrozumieniem. Do Heurteloup pozostały nam co najmniej cztery dni. Premierfait będzie nam towarzyszył do granic wioski. Możecie z nim wrócić, jeśli taka jest wasza wola. Nie chcę was do niczego przymuszać. Wiedźcie jednak, że nie zamierzam zostać męczennikiem. Pragnę jedynie być uczciwym człowiekiem i dotrzymać ślubów posłuszeństwa. Jeśli uznam, że wystawiam życie na zbyt wielkie zagrożenie, niezwłocznie porzucę tę parafię. Gdyby do tego doszło, sporządzą raport i w ten sposób przyczynię się do wspomnienia nieszczęsnych parafian. Nie uczynię ani mniej, ani więcej, niż to możliwe.

Zapadł już zmrok, gdy dotarli do końca doliny As. Za nią ciągnął się drugi na tym szlaku las, zwany Lasem Giermka.

Zatrzymali się na małej polance, którą Henno Gui wypatrył pośród drzew. Uznał, że to zaciszne miejsce osłoni szafas przed wiatrem.

Początkowo taki wybór zdumiał Premierfaita. W młodości pasterz często sypiał pod gołym niebem, ale nigdy nie rozbijał obozu w środku lasu. Wiadomo przecież, że wilki z rzadka opuszczają takie knieje, lecz jeśli pośród boru, nocą, zwęszą świeże mięso, zwierzyne, zwłaszcza człowieka, zaatakują. Ale zakrystian wolał powstrzymać się od uwag. Był dobrze przygotowany do tej podróży. Przywiązał klacz do drzewa i zaczął wyładowywać z wozu tyczki, na których zamierzał rozpiąć płótno.

Z tyłu dobiegały odgłosy świadczące o wielkim poruszeniu.

Pod kierunkiem Henna Guiego mężczyźni wytyczyli na śniegu wielki trójkąt. W rogach tej figury geometrycznej umieścili palące się grube polana. Ziemię wewnątrz trójkąta oczyścili z korzeni oraz gałęzi i rozesłali szczelne kapy. Na skrawku gołej ziemi pośrodku rozpalili ognisko. Floris zawiesił nad ogniem cynowy kociołek z wodą i wrzucił do niego kawałek suszonego mięsa, które wkrótce zaczęło się gotować, wydzielając smakowitą woń.

Thusty Czwartek zręcznie ułożył polana w rogach trójkąta. Płomienie wystrzeliły w górę, nie zagrażając pobliskim drzewom. Kompani wykonali tę pracę po mistrzowsku.

Henno Gui usiadł w pobliżu ogniska.

- Wiedz, że wszystko, co przygotowała twoja żona, masz wyłącznie dla siebie - zwrócił się do Premierfaita. - Zostanie ci dość zapasów na drogę powrotną. A nam niczego nie zabraknie.

Kapłan odmówił modlitwę dziękczynną i pobłogosławił chleb. Tylko Tłusty Czwartek nie przyłączył się do modłów. Trzymał się na uboczu, odwiązując płozy od wozu.

- Tłusty Czwartku, nie pomodlisz się z nami? - zapytał Premierfait.

- Nie. On nie wierzy w Boga.

W ustach kapłana razła szczerłość tak poważnego stwierdzenia.

- Diabeł w ludzkiej skórze... - wymamrotał zakrystian.

- Nie waż się powtarzać tego przed biskupem - uciał ksiądz.

- Nie miałem na myśli niczego złego, ojcze.

- Bądź zatem ostrożniejszy. Widocznie miałem powody, aby ukryć przed ludnością Draguan obecność mego przyjaciela. Im dalej na południe od Paryża, tym gorzej mieszkańcy osad i ludzie w oberżach przyjmują Tłustego Czwartka. Obrzucają nas wrogimi spojrzeniami, ciskają obelgi, a nawet kamienie. Można by pomyśleć, że słońce Południa czyni ludzi bardziej przesądnymi albo głępszymi od ich braci z Północy. Znużony tymi potyczkami, nie chcąc trwonić czasu, zdecydowałem samotnie odwiedzać wioski i grody, aby uzupełniać zapasy i przygotować kolejny etap podróży. Tak też postąpiłem w Draguan. Cóż by tam powiedziano o nowym proboszczu, który przybywa w kompanii „człeka o diabelskiej głowie”?

- Ja tego nie powiedziałem. Ale jego twarz...

- ...nie ma w sobie nic diabelskiego. To ślady fachu, który uprawiał niegdyś, zanim mnie spotkał. Wierzaj, że była to praca mozolna i niebezpieczna.

- ...a w dodatku trudna do zniesienia - dodał zakrystian, obserwując szerokie bary Tłustego Czwartka. - Ta praca niesłychanie go zahartowała.

- O tak - odparł Henno Gui. - Nawet się nie domyślasz, jak bardzo.

Pokroili chleb i przystąpili do spożywania posiłku. Ogniska płonęły coraz żywszym ogniem. Wkrótce Henno Gui i jego kompani mogli już zrzucić ciężkie zimowe pelisy.

- Jak sam widzisz - rzekł Gui - niestraszne nam mrozy. Postępując w ten sposób, przemierzyliśmy cały kraj, i żaden z nas nigdy nie chorował. Potrójne ogniska to pomysł Germanów, którzy podbili Italię. Chronią przed silnym wiatrem, bo choćby był lodowaty czy kapryśnie zmieniał kierunek, przywiewa ciepło z ogniska, a także przed zwierzętami, które nie podchodzą blisko płomieni.

- Wszak z upływem nocy ogień przygasa...



- Nie. Tłusty Czwartek czuwa. Bardzo mało sypia. Od niepamiętnych czasów wypoczywa na własny sposób, zapada w sen na krótko, zarówno dniem, jak i nocą. Ten nawyk wyrobił sobie, wiodąc dawny tryb życia.

Premierfait nie śmiał wypytywać księdza o przeszłość Tłustego Czwartka i zajął się wyjadaniem gorącego bulionu z miski.

Olbrzym krzątał się po obozowisku. Zadbał, by klacz Premierfaita miała co jeść, ułożył płozy swego wozu przy ognisku, by ciepło osuszało drewno, i w końcu przycupnął obok nich.

- Mówiliśmy właśnie o tobie. — Floris zwrócił się do Tłustego Czwartka. - Wielce zaintrygowałeś obecnego tu pana Premierfaita.

- To dobrze.

Zakrystian po raz pierwszy usłyszał głos olbrzyma. Mężczyzna usiadł pomiędzy nim a księdzem. Premierfait przyglądał się jego dziwnej cerze. Była zniszczona i rakowata. Gołym okiem widać było każdą ranę. Wierzchnie warstwy skóry niemal nie istniały, głębokie bruzdy porły twarz i szyję nieszczęśnika, tak że przypominała zaatakowany przez robaki pergamin. Premierfait wyraźnie widział fioletową siatkę żył i tętnic. Ze zdumieniem obserwował regularne pulsowanie skroni sąsiada.

Olbrzym pochłaniał kawał pszennej placki, zerkając przy tym na ogniska.

- Wiatr jest słaby, drewno trochę obeschło w słońcu - powiedział. - To dobre miejsce, mistrzu. Noc powinna być spokojna.

- Wikariusz Chuaquet - zwrócił się do zakrystiana - opowiadał mi o „człowieku w czerni” na dorodnym koniu. O tym, który zamordował waszego biskupa. Tego dnia w drodze do Draguan nie natknęliśmy się na nikogo, ani zmierzającego do miasta, ani jadącego od jego strony. Czy jakieś inne szlaki wiodą do diecezji?

- Nie, tedy nie... - odparł Premierfait. - Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Chyba że... Chyba że zapomniana droga od przeklętej wioski.

- Ta, którą właśnie podążamy?

- Tak... Tylko ta jedna...

Nazajutrz ruszyli w drogę „o godzinie, w której człek zaczyna rozpoznawać człeka”, jak głosi Biblia. Dzień był równie pogodny i słoneczny jak miniony. Przeprowa przez Las Giermka zajęła im cały poranek.

W południe na dnie głębokiego wąwozu odkryli strumień, który niósł grubą krę. Premierfait upierał się, że nie napelni w nim bukłaka, jak uczynili to Henno Gui i jego dwaj przyjaciele.

- To skalana Montayou - wydusił wreszcie. - Rzeka, która płynie do Domines, tam gdzie znaleźli szczątki ludzi. Unosiły się na wodzie tak samo jak te bryły lodu...

Floris natychmiast wypluł wodę, której łyk wlał sobie do ust.

- Ja sam niewiele widziałem - dorzucił zakrystian. - Kawałek nogi, nic poza tym, ale wiem, że tylko człek, którego sercem zawładnął demon, może się tak pastwić nad bliźnim, jak ten ktoś pastwił się nad tymi biedactwami.

Zakrystian opowiedział wszystko, co wiedział o poranionych i poćwiartowanych ciałach przywleczonych przez rzekę do Domines. Nie pominął żadnego szczegółu.

- Sądysz, że to mieszkańcy Heurteloup dopuścili się tej potwornej zbrodni? - zapytał Floris.

Henno Gui udał, że nie interesuje go odpowiedź Premierfaita.

- A któż by inny? - prychnął zakrystian. - Gdybyście wiedzieli, co ujrzałem w Heurteloup, włosy stanęłyby wam dęba z przerażenia. Z wyglądu przypominają Normanów, łamikarki przeklęte. Robiłem, co w ludzkiej mocy, żeby mnie nie wypatrzyli. Żona mnie uprzedzała: nie jedź tam, bo twoje kości posłużą im do gry!

- Co może popchnąć istotę ludzką do takiego upodlenia? - wyszeptał Floris.

Myślał o dzieciach... O bliźniętach, które morderca zabił i poćwiartował ich ciała.

- Czytacie mądre księgi, na pewno wiecie to lepiej niż ja - odpowiedział Premierfait. - Sam diabeł, nie ma cienia wątpliwości. Duchy, demony, czary.

I w barwnej opowieści przedstawił wszystkie dotyczące zbrodni hipotezy, jakie krążyły po wsi. Była to prostacka mieszanina przesądów i rojeń strwożonych ludzi. Woźnica wyliczał imiona demonów i opętanych, jak przekupka wylicza i zachwala swoje towary. Henno Gui słuchał jednym uchem, coraz bardziej zde gustowany...

- Powiadają, iż wieśniacy z Heurteloup tak nagrzeszyli, że za karę będą żyć wiecznie i nigdy nie umrą - paplał z przejęciem Premierfait. - Błąkają się po wsi i po okolicy jak duchy, skazani na wieczną tułaczkę. Zazdroszczą nam, śmiertelnym, i pałają do nas nienawiścią. Powiadają, że nieszczęsnego ojca i jego dzieci skazali na powolne konanie. Pastwili się nad nimi okrutnie, żeby się lepiej przypatrzeć, jak śmierć pomału wdziera się w ich ciała i bierze je we władanie. Powodowani ciekawością z piekła rodem, dopuścili się czynów tak ohydnych, że trudno nam uwierzyć, iż istota ludzka jest do nich zdolna.

Książd położył kres bredniom wygadywanym przez zakrystiana.

- Rusz głową! Nie za dużo tych diabelskich sztuczek? Powtarzasz bajdy, które mącą w głowach durnym wieśniakom.

- Oni są bardzo dziwni... Zachowują się jak zwierzęta... Sam widziałem, że wspinali się na drzewa niczym kuny. Czy tak postępują ludzie?

- Niesamowite! - prychnął Henno Gui. - A nie przyszło ci do głowy, że na moczarach i bagnach jest to jedyny sposób poruszania się? Jak inaczej można się przedostać do suchego miejsca? Czy brednie o żywych trupach z Heurteloup nie wydały ci się przesadzone? Wszak krwiożercze instynkty przejawiają wszyscy ludzie.

- Wszyscy? - zdumiał się zakrystian.

- Nie wierzę w tę całą gadaninę o kłatwie - ciągnął ksiądz. - Niewiele trzeba, żeby człowiek stał się człowiekowi wilkiem. Wystarczy strach. Z przerażenia można się dopuścić najbardziej okrutnego czynu.

Premierfait z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Wiadomo, że te trzy trupy to młody rycerz i jego dzieci - powiedział. - Niby dlaczego ktoś miałby bać się rodziny, która zabłądziła w drodze?

- I właśnie to należy wyjaśnić, zamiast snuć coraz głębsze domysły! - wykrzyknął Henno Gui i ostentacyjnie upił łyk wody z Montayou, której nabrał do bukłaka. - Daleko jeszcze do celu podróży? - zapytał.

- Dolinę Malca opuścimy o zmroku, dalej ciągnie się Las Królowej - odpowiedział Premierfait. - Tam przyjdzie nam spędzić dwie noce, bo las jest rozległy. Na trzeci dzień, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może już koło południa, dotrzemy do krainy bagien.

- A potem?

- Co będzie potem, nie wiem. Okolica o tej porze roku jest zdradliwa i niebezpieczna. Zwykle bywałem tu latem. Zobaczymy. Może pojutrze wieczorem pojedziemy do...

- Wystarczy - przerwał ksiądz. - Ruszajmy. «

Premierfait zeskoczył z wozu. Pojazdy właśnie się zatrzymały. Podróżni znaleźli się pośród rozległej, zasłanej nieskazitelnie białym puchem równiny, otoczonej niskimi zaroślami i kępami drzew. Mieli za sobą trzy dni wyczerpującej przeprawy przez Las Królowej, który niknął już w dali. Teraz mieli przemierzyć otwarte przestrzenie Równiny Króla.

Zakrystian przykucnął i wierzchem dłoni rozgarnął warstwę śniegu. Potem zaczął wygrzebywać dołek i wreszcie znalazł to, czego szukał - pokrywę lodową. Opukiwał ją pięścią. Wydawała tępy, głuchy odgłos. Po szóstym uderzeniu lód zaczął pękać. Ze szczelin wyciekła wzburzona, zgniłozielona i gęsta woda, brukając śnieg. W nozdrza uderzyła odrażająca woń.

- Podążamy właściwą drogą - oznajmił Premierfait. -Przed nami, jak okiem sięgnąć, pierwsze bagna. Nie są tak rozległe, jak się wydaje, kiedy zalega tu śnieg, ale latem, chociaż mniejsze, znacznie bardziej cuchną...

Grupa podróżnych znalazła się w ostatnim na tym szlaku lesie - Lesie Szczęścia. Henno Gui polecił zatrzymać wóz. Zeskoczył na ziemię i cofnął się o parę kroków.

Las był wynędzniały. Na pniach lichych, próchniejących drzew zerowały wielkie huby. Przykra woń bagien dusiła mimo mrozu. W gęstym poszyciu, pośród krzewów, powietrze niemal stało.

Ksiądz wszedł w gąszcz zarośli. Dostrzegł padlinę. Zwierzę było karłowate, jego zastygła krew brunatna, ciało zamarznęte. Tętnica szyjna została sprawnie przecięta, szyja stworzenia utkwiała w pętli wnyków. Ktoś je tu zastawił.

Trzej pozostali wędrowcy podeszli do księdza. Wraz z nim przypatrywali się tej pierwszej od wyjazdu z Draguan oznace obecności człowieka.

Premierfait, któremu kontakt z trzema kompanami dodał pewności siebie, znów poczuł ściskanie w żołądku. Wiedział, że czyha na nich niebezpieczeństwo. W skrytości ducha potwierdzał obietnicę złożenia ofiary dla kościoła w Draguan, jeśli Bóg da mu szczęśliwie powrócić z wyprawy. Wiedział jednak, że jego pomoc jest nieodzowna - sami w sieci drózek wędrowcy zgubią się. Las Szczęścia był rozległy, zmuszał do poruszania się płataniną ścieżek, łudził przystępnością. Henno Gui pomyślał o małej zbłąkanej rodzinie. Bór zdawał się bezkresny i bezludny. Nic nie wskazywało na to, że w tych kniejach żyją ludzie. Brak wszelkich oznak i wskazówek, którymi można by się posłużyć, by odnaleźć drogę do osady, zdawał się nie przeszkadzać Premierfaitowi. Miał dobrą pamięć i doskonale orientował się w terenie.

- Rozpoznaję te miejsca, chociaż upłynęło sporo czasu -oznajmił.

Zbliżali się do starego drzewa o potężnym pniu, w którym ukrywał się zakrystian, by obserwować wioskę. Pośród grubych gałęzi, w połowie wysokości, odnalazł rozwieszane płótno i deski, z których zeszłego roku zrobił sobie legowisko. Odetchnął z ulgą. To drzewo wytyczało kres karkołomnej wyprawy.

- Tu się rozstaniemy, ojcze - rzekł. - O ile zechcesz dotrzymać złożonej w Draguan obietnicy.

Henno Gui skinął głową.

- Nigdy nie cofam danego słowa. Wskaż nam drogę., którą mamy iść dalej, a zwrócę ci wolność.

Premierfait wskazał wyżłobiony w korze drzewa krzyż.

- Poczynając od tego miejsca, znajdziecie taki znak na co siódmym drzewie, aż do miejsca, skąd ujrzyte pierwsze strzechy Heurteloup. Znaczyłem drzewa krzyżami dla tych, którzy mieli tu przybyć po mnie. Bóg mi świadkiem, że nie przypuszczałem, iż będę wśród nich.

- Dziękuję ci, Premierfait - powiedział proboszcz. - Wiele ci zawdzięczamy.

- Jakże jednak odnajdziecie drogę do Draguan, gdyby trzeba wam było... jak by rzec... nagle wracać? - zaniepokoił się zakrystian.

- Nie obawiaj się o nas - odparł ksiądz. Wyjął z sakwy papiery, na których stale coś pisał od chwili wyjazdu z biskupstwa. - Zapisywałem ważniejsze punkty orientacyjne na szlaku - powiedział - a nocą obserwowałem niebo, jeśli było bezchmurne. Gdyby przyszło nam nagle opuścić to miejsce, posłużę się notatkami i z łatwością odnajdę drogę powrotną.

Chcąc wyrazić wdzięczność, Henno Gui dał Premierfaitowi część zapasów żywności, a Floris załadował na jego wóz dwie ciepłe futrzane kapy.

- Wykorzystaj nasze obozowiska - dodał przy pożegnaniu Tłusty Czwartek. - Na każdym etapie gromadziłem z myślą o tobie trochę drewna na ognisko. Nawet gdyby padało, polana łatwo się rozpała.

Premierfait zawrócił. Z ulgą, ale i ze smutkiem opuszczał trzech kompanów.

Po kilku minutach jego sylwetka zniknęła w głębi lasu.

W lesie panowała przerażająca, posępna cisza. Wyraźnie wydeptane ścieżki świadczyły jednak o obecności człowieka w tej głuszy.

Podróżni kierowali się wskazówkami zakrystiana. Ani razu nie zbłądziwszy, natknęli się na niewielką chatkę - niepodważalny dowód, że osada jest blisko. Henno Gui rozejrzał się wokół, ale wioska pozostawała jeszcze poza zasięgiem wzroku. Kompletnie zrujnowana chatka sprawiała wrażenie opuszczonej. Ściany miała z drewna i gliny. Dach z powiązanych gałęzi. Henno Gui przyglądał się jej w milczeniu.

- Spójrz - rzekł do Florisa, wskazując na dach. Pośrodku, między wiązkami gałęzi, zrobiony był otwór. Ktoś odgarnął śnieg, aby go odsłonić. - Tędy dusza zmarłego opuszcza świat żywych i rozpoczyna wędrówkę pod postacią błędnego ducha - rzekł. - To pradawna tradycja, od stu lat powoli zanikająca... Ciekawe, że tutejsi ludzie wierzą w opatrność i powrót dusz na nasz padół...

Mężczyźni poszli dalej. Znaki Premierfaita, ryte w pośpiechu na pniach drzew, stawały się mniej widoczne. Droga robiła się coraz szersza. Lada chwila podróżni mogli stanąć oko w oko z wieśniakami.

- Zastanawiam się, jakie zgotują nam powitanie - powiedział Floris.

- Nie będzie żadnych powitań - odparł Gui. - Ukryją się na nasz widok. Co byś uczynił, gdybyś przez dziesiątki lat nie widział nikogo obcego i gdyby nagle w twojej wiosce pojawiło się trzech mężów? Ukryłbyś się, żeby obserwować ich z bezpiecznej odległości. I tak właśnie postąpią. Może nawet teraz śledzą każdy nasz krok...

Floris i Tłusty Czwartek rozejrzeli się wokół, zaniepokojeni.

Nie umawiając się, cała trójka zgrała krok. Dopiero za zakrętem drogi, ze szczytu pagórka, ujrzeli wreszcie dachy Heurteloup.

Floris aż jęknął ze zdumienia. Z dala widać było tylko zarysy niziutkich domów, przytulonych jeden do drugiego. Z kominów unosiły się smużki szarego dymu. Wioskę otaczały drzewa, fasady domostw zwracały się ku rozległym moczaram, pokrytym teraz białym puchem. Trzej przybysze długo stali, zafascynowani pejzażem. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać żywego ducha.

- Miałeś racje:, mistrzu - przerwał milczenie Floris. - Już nas zauważyli.

Ksiądz bez słowa zdjął pelisę i ciepłą pelerynę z kapturem, podszedł do wozu i położył je obok kufrów. Został w skromnej kapłańskiej szacie - habicie z krótkimi rękawami, przewiązanym sznurem, z krzyżem z drzewa oliwnego na piersi. Właśnie w takim stroju chciał pojawić się w swej nowej parafii.

- Jestem ich proboszczem. Nie obcym, który zabłądził na moczarach. Chcę, aby sobie przypomnieli... albo żeby odgadli.

Lekki podmuch wiatru niósł lodowate powietrze. Tłusty Czwartek i Floris zadrżeli na widok obnażonych ramion mistrza.

- Martwię się, czy sobie poradzimy - szepnął uczeń. - Co pocniemy, jeżeli nie zdołamy się z nimi porozumieć?

- Co pocniemy? - uśmiechnął się Henno Gui. - To, co czynili pierwsi chrześcijanie, pragnący przemówić do obcych ludów - będziemy nauczali, świecąc przykładem.

I nie mówiąc już ani słowa, ruszył przed siebie, o kilka kroków wyprzedzając kompanów. W prawej ręce ścisnął mocno pielgrzymi kostur, niezniszczalny, wycięty z gałęzi wiecznie zielonego dębu.

Na śniegu widać było ślady stóp i oznaki pośpiechu. Ogniska gaszono niemal w panice, drzwi były zaryglowane, prace zarzucone, żywność i bydło zabrane. Miejscami śnieg zamienił się w błotnistą maź. Ksiądz miał rację - mieszkańcy w popłochu opuścili wioskę. Ale kiedy to się stało? Kilka godzin temu czy kilka dni? Od jak dawna Henno Gui i jego przyjaciele byli tu oczekiwani?

Zabudowa osady była chaotyczna. Każdy szaleś, każdy kamień, każdy ślad życia opowiadał o zadziwiającym, dzikim charakterze tego miejsca. Trudno odgadnąć, czy to ludzie się przystosowali, czy odwrotnie -

budowali takie domy, jakie odpowiadały ich mrocznym, dzikim duszom. Żyli we wspólnocie, odizolowani od reszty świata. Żywili się tym, co zrodziła ziemia i upolowali w lesie. Mieli rodzinne domostwa, lecz wspólne ognisko, lasy i ziemię, otaczający bór, który karmił i zagrażał i który zmuszał do wspólnej walki o przetrwanie.

Henno Gui i jego dwaj przyjaciele ostrożnie kroczyli główną drogą biegnącą przez wioskę. Od w pierwszej chwili uderzyła go duża liczba walących się chat. Znaczna część osady była od dawna opustoszała. Wioska wyludniała się. Zamieszkanym domów było niewiele. W każdym dachu jeden, dwa, czasem trzy otwory zapraszały dusze zmarłych... Henno Gui policzył domy, w których nadal ktoś mieszkał. Rachunek zgadzał się z szacunkami Chuaqueta: czternaście domostw, z grubsza licząc, dwadzieścia pięć dusz. Przed niektórymi chatami dostrzegł przedmioty pozwalające domyślać się fachu właściciela: myśliwy, garbarz, drwal, zielarz, kowal i tak dalej.

Idący za proboszczem Tłusty Czwartek ciągnął wóz od niechcenia, jedną ręką. Długi nóż dyskretnie przyciskał do boku. Czuwał.

Młodemu Florisowi wydawało się, iż zewsząd wyłaniają się potworne twarze i sylwetki: sęk w belce przeistaczał się w groźnie łypiące oko, cienie drzew jakby unosiły się nad ziemią, ażurowe drewniane drzwi trzaskały, poruszane niewidzialną ręką. Odgłos ich kroków odbijał się od ścian przerażającym echem i zmuszał do ciągłego oglądania się za siebie.

Na końcu głównej drogi, na skraju osady, otoczona ostatnimi walącymi się chatami, wznosiła się niewielka budowla o spróchniałych drewnianych ścianach i popękanych kamiennych fundamentach. Stary kościółek ginał, niezdolny oprzeć się pnączom.

Podczas swych studenckich podróży Henno Gui widywał już takie prymitywne budowle, niezmienione od stuleci, toteż nie czuł się rozczarowany ani zdziwiony. Maleńkie świątynki, wznoszone w ubogich regionach, bardziej przypominały pogańskie kaplice niż kościoły. Całe z drewna i gliny zmieszanej ze słomą, dość niskie, poprzez proporcje i symbolikę nawiązywały do wielkich budowli sakralnych. Sklepienie drzwi tworzyło własny tympan, zaokrąglone boczne skrzydła pełniły funkcję absyd, płaskorzeźby w drewnie zastępowały witraże, mała wieżyczka była dzwonnica.

Tłusty Czwartek i Floris wciąż się rozglądali. Cisza panująca wokół wydawała się coraz dziwniejsza. Rozległe moczary otaczające wioskę drzemały spokojnie, nienękanne przez człowieka ani zwierzę, okryte puchową kołdrą. W tamtą stronę nikt z pewnością nie uciekł.

- Muszą być gdzieś w pobliżu - szepnął Tłusty Czwartek. - Bez trudu wykurzymy ich z kryjówek.

- Nie po to tu przybyliśmy - skarcił go Henno Gui. - Poczekajmy, aż sami do nas przyjdą. Na razie mamy sporo innych zajęć.

Zbliżył się do drzwi kościółka i chciał otworzyć je pchnięciem ramienia, ale ustąpiły, ledwie ich dotknął. Wszedł do wnętrza i zdumiał się.

W kościółku urządzono spichlerz. To tu mieszkańcy przechowywali zapasy żywności na zimę. Dach był jeszcze w dobrym stanie. Dzięki niemu mała arka chrześcijaństwa, choć pozbawiona Boga, pozostała jednak najważniejszym domem w wiosce. Henno Gui wspomniał Premierfaita, który opowiadał, że często widywał tych przekletników wchodzących do świątyni... Teraz cel tych odwiedzin stał się jasny.

Ponad godzinę Henno Gui, Tłusty Czwartek i Floris wynosili z kościółka wiązki siana, pęki ziół, ćwiartki wędzonej dziczyzny, i przerzucali wszystko do pobliskiej chaty, której drzwi stały otworem.

Gdy kościół został opróżniony, Henno Gui polecił Tłustemu Czwartkowi wciągnąć tam wóz.

- Pod tym dachem znajdziemy tymczasowe schronienie - wyjaśnił. - Teraz to tylko pusta skorupa. Musimy przywrócić tej budowli jej święte przeznaczenie. Opuścimy ją, gdy Chrystus na nowo zamieszka w swym domu.

Z wnętrza zniknęły wszystkie symbole sakralne. Pozostały tylko puste nisze, resztki ołtarza, łuk nawy, ślad po krzyżu Zbawiciela. Nawet roztrzaskane szczątki nie przetrwały na kamiennej posadzce.

Henno Gui chwycił miecz Tłustego Czwartka, stanął w miejscu, gdzie dawniej był ołtarz, i ostrzem nakreślił na zakurzonych płytach okrąg, w którym z trudem pomieściłby się klęczący rosły mężczyzna. Dmuchięciem usunął kurz z koła i odmówił krótką modlitwę, skrapiając posadzkę wodą święconą. Wstał.

- Spójrzcie. Kościół w Heurteloup na razie znajduje się w tym miejscu - i wskazał na okrąg. - Naszym zadaniem jest poszerzać ten krąg - rzekł. - Pragnę, aby już wkrótce znalazł się w nim cały kościół. Będziemy go powiększać, aż obejmie całą wioskę. Ale wszystko w swoim czasie. W tej chwili najważniejsza jest odbudowa domu bożego.

Floris i Tłusty Czwartek przez resztę dnia dostosowywali kościół do własnych potrzeb. Przez jakiś czas będą musieli tu mieszkać. Po raz pierwszy od dawna czekał ich nocleg pod dachem.

Tymczasem Henno Gui opuścił swych towarzyszy i, wciąż w samej sutannie, poszedł do lasu zrywać wielkie płyty kory. Dobierał je, zwracając uwagę na zabarwienie i grubość. Za każdym razem nożem wycinał z pnia odrobinę taniny, smakował ją czubkiem języka i zawijał w płótno. Zaniósł wszystko do opuszczonej chaty, gdzie przeniesione zostały



zapasy wieśniaków. Sięgnął po niewielki gliniany garnek z tłuszczem. Długo mieszał ten zwierzęcy tłuszcz z zebraną w lesie taniną. Potem odwiązał od pasa sznur i wyrwał z niego kilka włókien. W półmroku kończył pracę. Z dwóch długich i grubych gałęzi pozostawił tylko korę, usuwając miąższ drzewa. Tak zrobił szarawej barwy tuleję.

Tłusty Czwartek i Floris zaniemówili. Ze zwyczajnego tłuszczu, odrobinki taniny i wyskubanych ze sznura włókien mistrz zrobił wspaniałą świecę.

Ustawił ją pośrodku tajemniczego kręgu, wykreślonego na kamieniach. Zapalił świecę, używając dwóch drewniek, którymi skrzesał ogień. Świeca paliła się, migocząc i wydzielając tłusty dym. Jej ciepły blask ogarnął cały kościół.

Stało się. Bóg powrócił dziś do Heurteloup.

Wieczorem żadne oznaki nie zdradzały obecności wieśniaków w domostwach.

Tłusty Czwartek wyłłobił w ścianie kościoła szczelinę, aby dać ujście dymowi z paleniska. Mężczyźni spożyli posiłek, nie naruszając zapasów wsi. Henno Gui postanowił w swej dumie nie sięgać po ich żywność. Położył się spać pierwszy, tuż po posiłku, i zasnął w ciągu paru minut, nie lękając się napaści.

Olbrzym tymczasem objął wartę, zajmując pozycję tuż przy wejściu do kościoła.

Tylko Floris był wystraszony, a ponure przeczucia spędzały mu sen z oczu. U kresu wytrzymałości, wierząc się na posłaniu, uznał, iż lepiej wstać i sięgnąć po jedną z oprawionych w jagnięcą skórę ksiąg, które zabrał ze sobą i załadował na wóz Tłustego Czwartka. Wybrał egzemplarz Roman du Temps, legendarnej kroniki Świątyni. Zatopiony w lekturze, zapomniał o bożym świecie. Fantastyczne przygody pielgrzymów i nieustraszonego bohatera pochłonęły go bez reszty. Floris nie pamiętał o lęku, zapomniał o potrzebie snu. O brzasku wciąż jeszcze czytał. Opowieść anonimowego autora przeniosła go daleko, daleko od diecezji Draguan, od osady na bagnach i jej tajemniczych mieszkańców.

W Morvilliers, lennie rodu Grand-Cellier, Aymard, syn Enguerrana, więziony był w lochu zabudowań sąsiadujących z zamkiem, lecz odległych i usytuowanych w głębi parku. Od miesiąca przykuty do muru, siedział w całkowitych ciemnościach. Nie wiedział, czy jest dzień, czy noc. Pozbawiono go prawa do odwiedzin, podawano jeden posiłek dziennie i ledwie godzinę mógł spędzić przy świetle i ogniu. Ojciec wyznaczył takie same warunki życia w więzieniu domowym, jakie sam

musiał znosić w lochach beja Damietty. Więźnia pilnowało dziesięciu zbrojnych.

Tego ranka po raz pierwszy drzwi celi Enguerranowego jedynaka otwały się o innej niż zwykle porze - czas posiłku jeszcze nie nadszedł.

W progu stanął Fabrycy, zarządca dóbr Enguerrana. Osłonił nos chustką, uderzony niemiłą wonią.

- Aymardzie - rzekł - twoja matka pragnie cię widzieć.

Przeor braci początku ciężko dźwignął się z ziemi. Miał na sobie sztywne z brudu łachmany. Przetłuszczone włosy zwieszały się na plecy. Paznokcie otaczała czarna jak smoła obwódka. Strażnik oswobodził go, przerywając łańcuch uderzeniem młota. Ludzie Fabrycego zaprowadzili go do parku i tam, na śniegu, rozebrali.

- Umyj się - polecił zarządca. - Nie ważylibyśmy się pokazać cię matce w takim stanie.

Służący lali mu wiadra lodowatej wody na plecy, a on musiał szorować się szczotką z włosia. Następnie odziali go w gruby habit, włosiennicę i z grubsza ogolili. Teraz choć po części przypominał mnicha, a jego wygląd bardziej przystawał do oficjalnej godności przeora. Aymard zacisnął usta i zmarszczył czoło. Przez cały czas znosił zabiegi służby bez słowa. I tylko dwa razy napluł w twarz strażnikom i brutalnie ich odepchnął...

Umyty, ogolony i przebrany w czyste odzienie, został doprowadzony do zamkowej biblioteki, gdzie oczekiwała go matka. Siedziała w wyściełanym fotelu przed rozpalonym kominkiem, nad którym wisiały tarcze herbowe.

Ilzonda du Grand-Cellier była małżonką krzyżowca. W tym zawierało się całe jej jestestwo.

Wojny o Jerozolimę odmieniły oblicze świata z dwóch powodów: po pierwsze, wszystkie zakończyły się porażką, po wtóre - trwały dłużej, niż się spodziewano. Krucjaty pociągnęły za sobą kwiat europejskiego rycerstwa i na długie lata oderwały mężczyzn od spraw rodzinnych. Zarządzanie majątkami musiały wziąć w swoje ręce kobiety. Było to wydarzenie bezprecedensowe w świecie. Dotychczas wyprawy trwały na ogół kilka tygodni, a senior opuszczał swoje włości na kilka miesięcy. Pozostawione na czas długoletnich krucjat żony musiały opanować sztukę zarządzania dobrami rodu i poddanymi.

Ilzonda należała do grona tych dam, które energicznie zabrały się do dzieła i rządziły twardą ręką, biorąc przykład z regentki Blanki. Drobną, łagodną i kruchą kobietą, kochającą księgi i muzykę, przeistoczyła się w głowę rodziny i osobę niezłomną. Po powrocie z wyprawy wielu mężów ze zdumieniem odkrywało, że w skrzyniach przybyło złota, w majątku

ziem, i że są bogatsi, niż byli! Pozostawili hafciarkę albo prządkę, a zastali kobietę gotową skrzyknąć wojsko i chwycić za broń.

Tak właśnie było z Ilzonda du Grand-Cellier.

Aymard nie widział matki od dnia, w którym wyjawiał ojcu prawdę o swych czynach. Zaraz potem został uwięziony. Odniósł wrażenie, że się postarzała. On wydał się jej brudny.

U jej boku siedział nieznany mu młodzieniec. Na dwóch srebrnych tacach leżały szczątki kapłona i trzech przepiórek.

- Przedstawiam ci Gilberta de Lorris - przemówiła Ilzonda. - Przysłano go do nas z kancelarii papieskiej.

Aymard obrzucił kawalera posępnym spojrzeniem. Gilbert ledwie na niego zerknął. Miał zmęczoną twarz, ubłocone buty, lecz sprawiał wrażenie człowieka pełnego energii, śmiałego i spragnionego przygód, niecierpliwie oczekującego na dalsze wyzwania.

- Poprowadzi cię do Rzymu - podjęła Ilzonda. Wyraźnie znużona, potrząsnęła głową. - Jakże zdołasz się wywdzięczyć za łaskawość, jaką okazał ci ojciec?

Aymard zachował kamienną twarz. Nareszcie wypuszczono go z lochu i tylko to się teraz dla niego liczyło.

- Ten młodzieniec przywiózł ze sobą pismo opatrzone papieską pieczęcią-jesteś jego więźniem. Wyruszacie bez zwłoki.

Zarządca poprowadził obu mężczyzn do stajni Grand-Cellierów. Stadnina liczyła dziesiątki wspaniałych ogierów i źrebiąt o złotych grzywach, a hodowano je tak, by jak najlepiej służyły jeźdźcom w zbroi. Bogactwo rodu Enguerrana opierało się na hodowli i ujeżdżaniu wierzchowców dla rycerstwa. Stąd pochodziły najpiękniejsze rumaki królestwa. Handel nimi, obok handlu drewnem, pozwolił Grand-Cellierom obronną ręką wyjść z wielu kryzysów. Francuskich wielmożów nękała drożyzna czasu krucjat, obciążenia nakładane na rycerstwo, trybuty należne Kościołowi i wszystko to poważnie nadszarpięło majątki najbogatszych rodów...

Fabrycy wybrał dwa wierzchowce. Powolniejszego dał Aymardowi.

- Panie, bacz, byś w drodze zawsze dosiadał silniejszego i szybszego konia - ostrzegł Gilberta. - To polecenie pani.

Rzekłszy to, zarządca pomógł Aymardowi dosiąść wierzchowca, a następnie opasał go szerokim rzemieniem, przytwierdzonym do siodła kłódką. Ucieczka była niemożliwa. Klucz do kłódki wręczył Gilbertowi wraz z żelaznymi obręczami połączonymi łańcuchem.

- Będiesz mu je zakładał na nogi w kostkach, gdy tylko zsiądziesz z konia - powiedział. - Ze spętanymi nogami nie ucieknie daleko.

Młody żołnierz był wstrząśnięty środkami bezpieczeństwa, jakie zastosowano wobec człowieka noszącego habit i będącego wszak przeorem. Gilbert dopiero teraz baczniej przyjrzał się Aymardowi. Zauważył, że jest wzrostu ojca, równie jak on dorodny i ma takie same, niebieskie jak lazur oczy... Lecz te zastygłe w gniewie rysy nie przystawały do zakonnych szat. Pilnie strzeżony więzień musiał liczyć sobie mniej niż trzydzieści lat. Jakich dopuścił się czynów, by teraz, z nakazu papieża, jako więzień pod strażą iść do Rzymu?...

Gilbert, który przed zaledwie kilkoma godzinami stanął u wrót zamku Moryilliers, pogalopował tą samą drogą w kierunku Rzymu.

Syn Enguerrana okazał się wytrwałym podróżnikiem. Niewielu mogło równać się z nim w siodle - jego postawa bardziej pasowała do rycerza niż do mnicha. Chłód, głód ani przejmujący wiatr zdawały się mu nie doskwierać.

Gilbert skrupulatnie trzymał się szlaku wytyczonego przez Lateran. Zatrzymywał się w tych samych zajazdach co poprzednio, brał pozostawione tam konie, zajeżdżał do tych samych komandorii templariuszy, by wymienić papierowe listy kredytowe na brzęczącą monetę, jadał w tych samych oberżach. I właśnie ta ostatnia kwestia doprowadziła Aymarda do pierwszego wybuchu. Mężczyźni przemierzali królestwo z północy na południe. Wiele razy droga wiodła tuż obok włości lub grodów, w których miały swe siedziby rody zaprzyjaźnione z Enguerranem i jego synem.

- Uczynilibyśmy rozsądniej, zajeżdżając do nich i zaznając odpoczynku w godnych warunkach - powtarzał Aymard. - Znieść już nie mogę tych cieszących się złą sławą oberż, gdzie podsuwają ci pod nos ledwie ciepłą strawę i marne wino, a nocą każą marznąć w źle ogrzewanych izdebkach.

Gilbert uporczywie odmawiał. Nie zamierzał zbaczać z wytyczonej trasy.

Aymard był człkiem skomplikowanym. Skory do gniewu, okazywał bliźnim wzgardę, choć był sługą bożym.

Przykry incydent zdarzył się w Laretelle-sur-Argens. Na skraju wioski, nieopodal cmentarza, natknęli się na kondukt. Rodzina była uboga. Krewni zmarłego uradowali się, widząc opata, który zbliżał się do nich w towarzystwie żołnierza. Miejscowy proboszcz zmarł przed kilkoma tygodniami, a jego następca miał przybyć dopiero wiosną. Zmarły odszedł z tego świata nieopatrzony sakramentami, bez rozgrzeszenia. Jego dzieci zaczęły błagać Aymarda, aby przynajmniej poświęcił grób ich ojca. Jego błogosławieństwo wystarczyłoby im w pełni.

Ale Grand-Cellier butnie odmówił. Splunął na drewnianą trumnę i posłał całą rodzinę do diabła.

Gilbert oniemiał wobec takiej podłości.

W Draguan, w noc po wyjeździe Henna Guiego do Heurteloup, a Chuaqueta do Paryża, bracia zakonni Meault i Abel, nie biorąc nawet świecy, pospieszyli do zimowego gabinetu biskupa na kanonii.

Drzwi, wyważone w przededniu przez wikariusza, pozostały otwarte. Mnisi bez słowa wyłamali zamek drewnianego kufra zawierającego rzeczy Jego Eksceleencji i zabrali ze sobą trzy szuflady pełne kart i ksiąg Haquina.

Wciąż bez słowa zeszli do dużej izby na parterze, gdzie wyjątkowo rozpalili ogień w kominku. Kanonia nadal była zabarykadowana. Choć Meault i Abel byli sami w wielkim budynku, starali się zachowywać dyskretnie, jakby obawiali się, że ktoś ich zdemaskuje. Nie zabrali świecy na górę, aby mieć pewność, że nikt nie doniesie, iż nocą zauważył światło w gabinecie Haquina.

Braciszek złożyli rzeczy biskupa przed kominkiem i zaczęli je wydobywać z szuflad.

Na szatańskie rysunki pierwszy natknął się dziekan Abel. Długo przyglądał się dziełu, które tak zafrapowało Chuaqueta, wodząc palcem po iluminacjach.

- Ta linia wyznacza granice diecezji Draguan.

Była to alegoryczna mapa. Gdzie stary Haquin zdobył taki rysunek? Dlaczego wizje końca świata zostały umieszczone w centrum krainy tak spokojnej jak Draguan? Odczytał imię artysty, który wykonał mapę: Astaragan.

Abel bez wahania cisnął cenny rysunek płomieniom na pożarcie. Wkrótce inne teksty i dzieła mistyczne podzieliły jego los. To samo spotkało księgi parafialne Draguan od roku 1255 i przybycia Haquina. Meault i Abel działali spokojnie, bez pośpiechu, metodycznie, przez długie godziny paląc kolejne pisma administracyjne i biskupie i obracając w popiół wszelkie ślady urzędowania Haquina.

Wśród dokumentów złożonych w skrzyni Abel znalazł raport dotyczący Henna Guiego. Zachował go. Poza tym nic się nie ostało. Spalili nawet drewniane szuflady kufra. Wczesnym rankiem bracia dopełnili dzieła. Znieśli z gabinetu fotel Haquina, roztrzaskali go młotem i cisnęli drewno do kominka.

Potem usiedli przy stole w refektarzu nad dwiema kartami, wyposażeni w pióro i kałamarz. Abel miał przy sobie szyfr. Była to deszczułka z wyciętymi kratkami, umożliwiająca zapisywanie poufnych informacji wedle klucza. Abel z namaszczeniem, starając się używać jak najrzeczniejszych sformułowań, opisał wszystkie wydarzenia, które zaszły w Draguan w ciągu trzech ostatnich dni - przyjazd człowieka w czerni,

zabójstwo, nieoczekiwane przybycie młodego proboszcza i jego wyjazd do przeklętej wioski. Uzupełnił relację szczegółowym opisem wyglądu Henna Guiego oraz urywkami raportu.

- Ten list nie zostanie wysłany z Draguan przed nastaniem lepszej pogody - rzekł Abel. - Teraz warunki podróży są zbyt ciężkie, a Chuaquet zabrał wszystkie nasze konie.

- Mimo to musimy napisać go jeszcze dziś, o niczym nie wolno nam zapomnieć.

- Jeśli po tym posłaniu nie zyskamy lepszego miejsca... jeśli za cały nasz wysiłek... stracę resztki

## 6

Wczesnym rankiem, po pierwszej spędzonej w Heurteloup nocy, Henno Gui i jego towarzysze krzatali się po obozowisku. Mistrz wybierał się do wsi, Tłusty Czwartek zamierzał poczynić naprawy w budynku, a Floris z Meung założyć wnyki w lesie. Własne zapasy żywności zaczynały się powoli wyczerpywać, a Henno nie pozwolił czerpać ze spichlerza wieśniaków. Zalecił Florisowi, aby nie odchodził dalej niż na odległość głosu i wrócił w razie lada niepokojących oznak, a sidła zastawiał, nie trwoniąc czasu. Floris obiecał przestrzegać zaleceń i odszedł z przygotowanymi już pętami.

Nocą znowu sypanął śnieg. Młody uczeń wchodził do nieskalanie białego lasu, w którym tu i ówdzie połyskiwał błękit podobny do migoczącej w słońcu tafli jeziora.

Ścieżki były nieprzetarte. Po raz pierwszy od wyjazdu z Paryża Floris został sam i mógł swobodnie wybierać drogę. Zachwycały go leśne pejzaże. Gwałtowna zmiana otoczenia spowodowała, że zatracił poczucie czasu i przestrzeni. Od czasu do czasu walenie młota albo toporka Tłustego Czwartka przywoływało go do porządku, lecz chłopiec, ogarnięty marzeniami na miarę swego wieku, poddał się władaniu fantazji. Las, do którego wkraczał, przypominał krainę czarów z kart jego ukochanych ksiąg: Meliadora, Panny z Osiołkiem, Księgi Leana, Rycerza z Kurkiem...

Z tych kilku opowieści o nęcących tytułach młodzieniec wywołał twarze i postacie. Zabawiał się tak, dopóki jedna z wizji, dokładniejsza i wyraźniejsza od innych, nie zawładnęła nim bez reszty. Floris znalazł się w kręgu utworzonym przez dziesięć pięknych i zwiewnych dziewcząt, ledwie rozkwitających, przyodzianych w cieniutkie błękitne szaty, miejscami całkiem przezroczyste. Dziewczęta miały obnażone ręce i bose stopy. Dziwne wróżki pojawiły się na szczycie pagórka, ponad głową chłopca i czubkami drzew. Radośnie wirowały wokół niego, nie zbliżając się, lecz pochylając nad nim...

Floris nie wywołał tej wizji celowo; zresztą przypominała ona raczej wstydlive marzenia senne, które coraz częściej nachodziły go nocami - pełne dziewcząt o kobiecych spojrzeniach, istot, które wymknęły się z zaczarowanych zamków, by wśliznąć się do jego łóżka. Zapewne zmęczenie i bezsenna noc spędzona na lekturze przyczyniły się do wyrazistości tych wizji. Pośród wirujących płatków śniegu marzyciel bezwstydlwie oddawał się cudownej ułudzie. Trzy dziewczęta odłączyły od kręgu i wolniutko zbliżały się do Florisa. Miały mleczno-białe buzie i drugie włosy. Jedna z nich, najwyższa, podeszła do chłopca. Floris uśmiechał się, ogarnięty rozkoszą. Wizja wprawiała go w zachwyty, przerastając śmiałością wszystkie, na które wcześniej sobie pozwolił. Chciałby, aby trwała choć tyle, co pocałunek albo wyznanie, lecz nagle pewien szczegół zmałcił nastrój chwili. Floris zauważył, że urocze dziewczę ma gęsią skórę. Jej białe stopy zsiniały na śniegu. Biała pierś unosiła się gwałtownie, niczym u schwytanego, wylęknionego ptaka. Floris cofnął się o krok, wznosząc oczy ku niebu. Potrząsnął głową. Żadna ze zjaw nie zniknęła. Wysoka dziewczyna wciąż była tuż obok, przed nim, i na próżno usiłowała zapanować nad drżeniem. Nagle Floris zrozumiał, że to nie sen. Naprawdę otaczało go dziewięć dziewcząt, naprawdę półnagich, pośród mrozu i śniegu. Chciał krzyknąć, ale wysoka dziewczyna łagodnym gestem nakazała mu milczenie. Zbliżyła się i musnęła palcami jego policzków. Wystraszony, nie śmiał się poruszyć. A ona gładziła jasny meszek jego zarostu, patrzyła Florisowi w oczy, ale nie przemówiła ani słowem. Jej słodkie usta, delikatne jak muśnięcie pędzla mistrza, lekko zsiniały na mrozie, nie poruszyły się. Wreszcie dziewczyna cofnęła się o krok, lekka i zwiewna, i dygnęła z wdziękiem. I nic więcej. W chwilę potem zniknęła wraz z towarzyszkami. Nie odpłynęły jednak jak wróżki, lecz rozbiegły się ze śmiechem, śmigając między drzewami jak najprawdziwsze istoty z krwi i kości...

Floris poczuł ogień płonący pod czaszką. Bez zmysłów padł na ziemię, jak owi herosi, którzy zbyt śmiało zbliżyli się do zakazanego świata.

Oprzytomniał dopiero po kilku minutach. Lodowate kropelki wody mroziły mu kark. Poderwał się, dygocąc. W zaciśniętej dłoni wciąż trzymał wnyki. Co się stało? Rozejrzał się. Dostrzegł ślady drobnych stóp na śniegu. Przypatrywał się im uważnie. Były smukłe i delikatne. Tak smukłe i delikatne jak dziewczęta z jego snu, drobne jak ślady sarny lub młodego jelenka...

Sen i jawa splątały się w głowie chłopca. Nie wiedział już, co było złudzeniem, a co prawdą... Zajął się wnykami.

Thusty Czwartek dokonał przeglądu prac naprawczych, które należało wykonać w kościele. Musiał wymienić belki stropowe, wybielić ściany,

zniwelować teren wokół świątyni, oczyścić dzwon z brązu, wymienić poszycie dachu.

Choć czekała go praca na miarę Herkulesa, zabrał się do niej, nie zwlekając i nie oszczędzając sił. Zaczął od oddzielenia drewna jeszcze przydatnego od tego, które nadawało się już tylko do spalenia.

Dwukrotnie przerywał pracę - czuł, że ktoś go obserwuje. A przecież Floris wyruszył do lasu zakładać wnyki, a ksiądz poszedł przyjrzeć się bliżej osadzie. Odwrócił się błyskawicznie. Nikogo nie było, a raczej - prawie nikogo.

W odległości pięćdziesięciu metrów, na głównej drodze wioski, dostrzegł wilka o żółtawoszarym futrze. Zwierzę siedziało spokojnie. Czujnie postawiło uszy i obserwowało człowieka bez lęku.

Człowiek zaś przez chwilę obserwował okolice - wilk to zabójca działający w gromadzie, rzadko samotnie wyrusza na łowy. Lecz nic nie zdradzało obecności watahy w pobliżu kościoła. Wymiana spojrzeń między człowiekiem a wilkiem trwała dłuższą chwilę. Przez cały ten czas wilk nawet się nie poruszył. Tłusty Czwartek postanowił poddać go próbie. Wielokrotnie stosował ten wybieg, aby wypłoszyć leśnych pożeraczy ludzi. Odłożył belkę i ruszył pewnym krokiem, trzymając w ręce toporek. Przepędzi wilka albo go zarąbie jednym ciosem. Szedł zdecydowanie, bez wahania. Wilk nadal się nie poruszał. Tłusty Czwartek był już zaledwie o parę metrów od niego, ale zwierzak nie gotował się ani do ucieczki, ani do ataku. Kiedy dzieliło ich nie więcej niż dziesięć kroków, wilk uczynił coś zdumiewającego - zamiast przybrać pozycję gotowości rozciągnął się na brzuchu, położył uszy po sobie, przednie łapy wysunął do przodu. Pysk tego dziwnego wilka bardziej przypominał psi. Zwierzę było chude, żebra wyraźnie rysowały się pod skórą. Lekko wyliniałe po bokach, na piersi i grzbiecie miało gęstą sierść. Jedno ślepie czarne, a drugie w plamki. Olbrzym zatrzymał się tuż przed zwierzęciem, zupełnie spokojny. Już miał unieść toporek i zadać cios, gdy wilk ufnie polizał go po ręce.

Tłusty Czwartek zawrócił, a wilk poszedł za nim jak giermek za rycerzem. Olbrzym dał mu kawałek placka. Zwierzak połknął go i ułożył się u stóp swego nowego pana.

Gdy olbrzym zabrał się do pracy, po jego niesamowitej twarzy błędził uśmiech - właśnie oswoił pierwszą dziką bestię z Wilczych Dołów, jak nazywano Heurteloup...

Henno Gui rozglądał się po wiosce.

„Skoro kościół nie jest już dla wieśniaków miejscem świętym - myślał - to muszą oddawać cześć nie Bogu, lecz innemu bóstwu. Nawet najbardziej



nieokrzesani ludzie ulegają nadprzyrodzonej mocy. Zdumiałbym się, nie natrafiając w tej wiosce na żaden wizerunek, żaden symbol siły wyższej".

Książd przechadzał się między domostwami. Przyglądał się zdobieniom, sprzętom domowym, ornamentom. Wszystko tu nawiązywało jednak do praktycznych potrzeb życiowych. Nigdzie nie było ani krzyży, ani kapliczek dziękczynnych, ani magicznych znaków. Niczego. Henno Gui nie ośmielił się na razie wejść do żadnego domu.

Obszedłszy całą osadę, musiał się poddać - nie znajdzie tu żadnego ołtarza, żadnej świątyni ani nawet skromnej chaty poświęconej lokalnemu bóstwu. Nie natrafi też na ślady bóstw domowych. Śnieg padający minionej nocy zatarł ślady i pokrył strzechy chat. Henno Gui wiedział, że ta gruba warstwa puchu długo będzie stanowiła dla niego przeszkodę nie do pokonania, bo to pod nią kryło się z pewnością to, czego szukał. A jednak to właśnie śnieg naprowadził go na trop.

Chat było siedem. Przy progu każdej z nich stał gliniany posążek wielkości dłoni i wszystkie wyobrażały kobiety. Siedem różnych kobiet. Ich rysy nie były wyidealizowane, żadnej nie obdarzono atrybutami mitologicznymi czy wojennymi ani symbolami boskiej mocy. Strażniczki nosiły wieśniacze szaty, a proporcje ich ciał były typowo ludzkie.

Mimo to dwie ich cechy zdumiały Henna Guiego. Po pierwsze, wszystkie były ciężarne. Po drugie, po ostatnich opadach wszystkie powinny znaleźć się przynajmniej częściowo pod śniegiem, jak reszta osady. Tymczasem każda figurka została starannie odśnieżona... Ktoś usunął płatki zalegające na nich i wokół cokolików, a to można było uczynić tylko nocą lub bardzo wczesnym rankiem.

Proboszcz wreszcie natrafił na jakiś ślad. Wieśniacy nie uciekli, byli w pobliżu, przychodzili opiekować się swymi bóstwami. Determinacja tych ludzi, którzy nocą zakradali się do wioski, aby usuwać śnieg z figurek, dowodziła silnego zakorzenienia ich wierzeń. Henno Gui wiedział już, że tych siedem boginek pewnego dnia stawi czoło jego Chrystusowi.

Kapłan wrócił do wioski. Wreszcie uzyskał pewną wskazówkę. Teraz wiedział, jak dotrzeć do swych parafian. Skoro tutejsi ludzie wiedli życie choćby z lekka przesiąknięte religią, także ich przejście na tamten świat musiało być podporządkowane obrzędowi religijnemu. To instynkt, którego człowiek nie potrafi stłumić - potrzeba troski i uświęcenia ciała, zwłok i ducha. Henno Gui doskonale znał tę prawdę - grób zawsze mówi o cywilizacji więcej niż relacje i rozważania historyków.

Jednak tego dnia proboszcz nie znalazł niczego poza siedmioma tajemniczymi figurkami brzemiennych kobiet.

Floris ani słowem nie wspomniał o swej leśnej przygodzie. Sen czy jawa? Wolał zachować ten sekret dla siebie. Wnyki zastawił jak należy,

więc już znajdował w nich zwierzynę i tylko to się liczyło. Chłopiec starał się nie myśleć o spotkaniu z dziewczętami.

Thusty Czwartek wykonał ważniejsze prace w kościele w niespełna tydzień. Henno Gui uznał, że czas wyświęcić świątynię. Wraz z Florisem i olbrzymem zrobili z drewna ołtarz, duży krucyfiks i tabernakulum, w którym zamknął chleb, oleje i wino eucharystii, przywiezione z Paryża. Pierwszą mszę postanowił odprawić w najbliższą niedzielę. Byłby to dziesiąty dzień ich pobytu w Heurteloup.

Ale do tego czasu proboszcz Heurteloup miał dokonać kolejnych odkryć.

Przede wszystkim, uporczywie szukając śladu cmentarza lub pojedynczych kurhanów, natrafił na wschód od największego bagna na źródło. Uznał, że stąd bierze swój początek Montayou lub strumień wpadający do niej. Nie zaintrygowało go to jednak ani ze względu na trupy wyłowione w Domines, ani ze względu na fakt, że pierwsi mieszkańcy Draguan, którzy z polecenia Haquina penetrowali brzegi rzeki, być może dotarli aż tu, nie wiedząc, że zaledwie kilka minut drogi dzieli ich od zapomnianej wioski. Zaciekała go raczej konstrukcja, którą dostrzegł pięćdziesiąt metrów od źródła rzeki - przemysłny mechanizm irygacji, doskonale i prosto sterowany, doprowadzający wodę do grubej jak pięść rury, znikającej pod ziemią i wyłaniającej się w pobliżu wioski.

- Całkiem zręcznie jak na przeklętych dzikusów - mruknął pod nosem.

Potem raz jeszcze zastał siedem figurek starannie oczyszczonych ze śniegu po nocnej zadymce. Henno Gui postanowił ukryć się w pobliżu i zdemaskować sprawców. Nocni goście nie pozostawili wokół figurek ani w pobliżu domostw, przed którymi stały, żadnych śladów na śniegu. Proboszcz przypomniał sobie opowieści zakrystiana Premierfaita. Ci ludzie śmigali po drzewach jak wiewiórki! Henno Gui rozejrzał się. Rzeczywiście, tam były ich ślady, na pniach i gałęziach. Dowodziły wielkiej zręczności wieśniaków.

W przededniu pierwszej mszy odnalazł wreszcie w lesie niewielki skrawek ziemi, który ponad wszelką wątpliwość był miejscem pochówku zmarłych.

Na trop naprowadziła go kamienna stela, wyższa i jaśniejsza od pozostałych, wznosząca się ponad śnieżną pokrywą. Na małym, wykarczowanym poletku proboszcz naliczył dwanaście kamieni nagrobnych, na pierwszy rzut oka stawianych bezładnie. Na żadnym z nich nie znalazł wyrytych imion ani symboli. Na małych tabliczkach widniały poziome kreski, być może oznaczające numery albo daty. Zastosowano prymitywny system numeryczny, lecz jego znaczenie pozostawało dla trójki przybyszów niezrozumiałe.

- Nie mogą oznaczać kolejności zgonów - uznał Henno Gui. - Nie zaczynają się, od jedyńki, posuwają się skokowo, a poza tym liczba kresek powtarza się. Może to sposób datowania? Gdyby tak było, co oznacza kreska? Rok? Dekadę? Od pięćdziesięciu lat ludzie z Heurteloup nie mają styczności z kalendarzem rzymskim. Jeśli założymy, że kreska oznacza rok, cofniemy się zaledwie o dwadzieścia pięć lat. A zatem gdzie jeszcze muszą się znajdować starsze groby. Proboszcz był tu do roku 1233. Gdzie więc są chrześcijańskie groby? -Henno Gui w zadumie pokręcił głową. - Nie przypuszczałem, iż ta niewielka przestrzeń wokół wioski kryje tak mało wiedzy o ludziach...

Wilk oswojony przez Tłustego Czwartka wiódł podwójne życie. Co wieczór zasypiał w progu kościoła, a rano znikał. Powracał tuż przed południem, punktualny jak śniadek - kwiat zwany panią godziny jedenastej.

- Najpewniej biega do wieśniaków na śniadanie - domyślił się proboszcz.

- Może pójdziemy jego śladem? - zaproponował Floris.

- Nie.

Henno Gui spojrzał w niebo. Chmury wisiały dziś tuż nad ziemią, ciężkie i groźne. Lada chwila mogła rozpętać się zamieć.

Nazajutrz w kościele w Heurteloup miał odprawić pierwszą mszę.

Henno Gui przygotował piętnaście świec i rozstawił je wzdłuż nawy kościółka. Ich blask padał na ołtarz i chór.

Panował jeszcze półmrok. Trzeba było czekać na pierwsze promienie słońca. Kościół zabraniał celebrowania mszy nocą.

Proboszcz przywdział szaty liturgiczne i wraz z Florisem przygotował Biblię., oleje oraz naczynia. Do czytań Henno Gui przywiózł z Paryża Biblię waldensów, księgę surowo zakazaną przez Kościół, jedyną istniejącą w przekładzie francuskim. Młody ksiądz musiał nieźle się natrudzić, aby zdobyć ten egzemplarz. Pragnął jednak mieć go w swej małej wiejskiej parafii.

Tłusty Czwartek czekał na znak kapłana, by wprawić w ruch dzwon wzywający wiernych na mszę. Starannie wypełnił szczeliny w starym dzwonie. Drzwi kościoła stały otworem.

Kiedy niebo pojaśniało pierwszym blaskiem dnia, a bicie dzwonu odbiło się szerokim echem we wsi i na polach, wypełniło las i brzmiało nad bagnami, nawet Henno Gui poczuł lekki dreszcz wzruszenia. Od jak dawna ten dom boży nie wzywał swych dzieci do wspólnej modlitwy?

Wysłuchując się w wołanie dzwonu, proboszcz szedł wzdłuż ścian kościoła, niosąc zawieszoną na łańcuszku srebrną czarę, w której paliło

się kadzidło. Oczyszczający dym i silny aromat unosiły się ku stropowi, muskając ściany i okna. Dzięki temu obłokowi świętości i modłom Henno Gui symbolicznie poszerzał swój pierwszy „krąg”.

Tłusty Czwartek już nie dzwonił. Zgodnie z obrządkiem zamknął drzwi świątyni. Kościół świecił pustkami. Kapłan stanął przed ołtarzem, aby go okadzić i złożyć hołd Panu.

- Błogosławiony jesteś, Boże, teraz i na wieki.

Kłęcząc pod chórem z pochyloną głową, Floris przygotowywał się do aktu pokuty. Jego najcięższy grzech miał dziewczęcą buzię, długie, jedwabiste rzęsy i niebiańskie spojrzenie. Od spotkania w lesie ta istota czasami nawiedzała go we śnie. Kiedy chłodny i opanowany Henno Gui rozpoczął Spowiedź Powszechną, młodzieniec ze skruchą powtarzał za mistrzem:

- Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem; moja wina, moja bardzo wielka wina.

Obaj uderzyli się w pierś.

- Niech się zmiłuje nad nami Bóg wszechmogący i odpuściwszy nam grzechy, doprowadzi do życia wiecznego. Amen. Msza przebiegała niczym niezakłócana. Dopiero po „Bogu niech będą dzięki” z zewnątrz dobiegły pierwsze hałasy. Tłusty Czwartek, który siedział z tyłu, natychmiast poderwał się z miejsca.

Po trzech „Kyrie” Henno Gui, nieugięty w zamiarze odprawienia nabożeństwa, zaintonował hymn dziękczynny.

Hałas nasilał się i zbliżał. Tam działo się coś ważnego. Floris spojrzał na księdza, który nie przerywał nabożeństwa. Uczynił to Tłusty Czwartek.

- Oni tu są, mistrzu.

Floris wstał. On też słyszał kroki na śniegu, trzask łamanych gałęzi, dźwięki do złudzenia przypominające szczęk broni...

Ściany nie były w pełni szczelne; mężczyźni dostrzegli przez szpary cienie, światło pochodni, niepokojące sylwetki...

„Przekleci” najwyraźniej postanowili wejść i pokazać się intruzom. Należało szybko podjąć decyzję. Henno Gui nie przygotował się na taką ewentualność. Czy do kościoła zwabił ich dźwięk dzwonu, blask świec, czy może echo pieśni? Proboszcz poczuł, że musi działać, że natychmiast, w jakikolwiek sposób, musi przejąć inicjatywę.

Położył śpiewnik na ołtarzu, chwycił krucyfiks i postanowił wyjść przed świątynię. Niezwłocznie.

Wokół kościoła rozbrzmiewały szepty i pomruki. Tłusty Czwartek sięgnął po toporek. Kapłan odszedł od ołtarza i ruszył w kierunku wejścia.

W tej samej chwili potworna siła wyrwała drzwi z zawiasów. Floris padł na posadzkę. Henno Gui cofnął się. Jakiś półnagi człowiek runął pchnięty na kościelną posadzkę. Przerazające, nieludzkie piski i krzyki wdarły się do wnętrza. Można by sądzić, że to wilcza wataha wyje z gniewu. To wycie było niczym grad kamieni, niczym kaskada dźwięków. Po drzwiach pozostała tylko ziejąca dziura, lecz poranna szarówka nie dawała dość światła, by ujrzyć krzyczących. Nikt poza leżącym na posadzce mężczyzną nie wszedł do świątyni. A on nadal się nie podnosił. Jego ciałem wstrząsały drgawki. Tłusty Czwartek zerknął na niego. Nogi i ręce człowieka były poranione do kości. Kałuża krwi rosła. Mężczyzna z trudem chwycił powietrze.

Tłusty Czwartek posepnie zmarszczył brwi. Rozpoznał zakrystiana Premierfaita.

„Niewidzialni” wrzucili do kościoła płonący snopek słomy. Wrzaski nagle ucichły. Henno Gui i jego dwaj przyjaciele rozpoznali odgłosy świadczące o odwrocie. Bardzo pospieszonym. W ciągu paru sekund znów zapanowała cisza. Słyszeć było tylko charczenie rannego i trzask płomieni.

Tłusty Czwartek pobiegł ugasić ogień. Henno Gui i Floris unieśli konającego i ułożyli go na ołtarzu. Skoro nie dane im było dokończyć mszy, mogli wykorzystać ołtarz jako stół operacyjny.

Ciało było skąpane we krwi, pokryte zadrapaniami i głębokimi, odsłaniającymi kości ranami. Czuć było mdły zapach krwi. Tłusty Czwartek się nie mylił - na ołtarzu konał Premierfait.

Henno Gui szybko ocenił sytuację. Mężczyzna miał obcięte dłonie i stopy, wyrwany członek i sutki piersi, wyłupane oko, rany cięte na brzuchu. Nieszczęsny tracił krew jak przebity bukłak wodę. Henno Gui skinął na Tłustego Czwartka i Florisa. Olbrzym pobiegł do ogniska, Floris po sakwę proboszcza.

Kapłan sięgnął po czarę, w której wciąż paliło się kadzidło, i wyłożył jej zawartość na brzuch zakrystiana. Ranny nie zareagował na ból. Henno Gui strącił niespalone kawałeczki kadzidła na ziemię, a żar powoli przesuwiał pałeczką po otwartych ranach. Raz po raz rozlegało się syczenie, a odór palonego ciała świadczył, że krwawienie ustaje.

Floris przyniósł medyczną sakwę Henna, a Tłusty Czwartek dwie płonące żagwie, wyciągnięte z ogniska przed wejściem do kościoła. Premierfait wciąż krwawił. Ksiądz wyjął z sakwy rzemienie i zaciskał je mocno powyżej ran na okaleczonych kończynach. Krwawienie nieco osłabło. Gdy Henno Gui zerwał strzępy bielizny osłaniającej biodra zakrystiana, ukazała się rana, znacznie poważniejsza, niż sądził, i tak

przerazająca, że Floris o mało nie zemdlął. Po genitaliach pozostała krwawa miazga otoczona strzępami skóry.

Henno Gui otarł z czoła krople potu. Wyprostował prawą nogę pacjenta i wziął od Tłustego Czwartka wielki nóż. Otarł ostrze kapłańską szatą. Potem wskazał olbrzymowi rozżarzone głoownie i kikuty rannego. Na jego znak Tłusty Czwartek przytknął żagiew do jednej z ran Premierfaita. Henno Gui wsunął cienkie ostrze między warstwy tkanek na wewnętrznej stronie uda pacjenta i zdjął szeroki pas skóry. Powtarzał tę czynność trzykrotnie, za każdym razem ściągając duży płat skóry.

Tłusty Czwartek przypalał kikuty rąk i nóg rannego.

Henno Gui wyjął z sakwy igłę i mocną nić. Musiał przyszyć płaty skóry na ranę w kroczu. Wiedział, że zanim to zrobi, powinien nałożyć na ciało gojącą maść, lecz czas naglił. Szył w pośpiechu, mocując skórę do zdrowej tkanki, gdzie znajdowała pewniejsze oparcie. Pracował, szepcząc niesłyszalne słowa. Potem zaczął szukać palcem cewki moczowej. Kiedy wyczuł ją tak głęboko i w tak fatalnym stanie, ogarnęło go zwątpienie - zakrystian miał niewielkie szansę na przeżycie.

Operacja dobiegała końca pośród jęków i krzyków Premierfaita. Choć biedaczysko potwornie cierpiał, ani na moment nie stracił przytomności.

Gdy Henno Gui wyprostował się, jego nieskazitelny rankiem ornat ociekał krwią. ;

Msza została odprawiona.

Przez cały dzień Floris czuwał przy rannym. Premierfait w końcu zasnął, wyczerpany wpływem krwi.

Henno Gui i Tłusty Czwartek zajęli się tworzeniem systemu obrony kościoła - zapadni i wszelkiego rodzaju pułapek.

Pod wieczór zabarykadowali się w środku i kończyli przygotowywanie nowej broni. A była to broń zaczepna, w tym ciężka proca, dopasowana do rąk olbrzyma.

Rankiem nie znaleźli śladów napastników.

Wieczorem Henno Gui uzbroił się w młot i samotnie wyruszył do wsi. Gniewny, nie czuł nawet zmęczenia, gdy rozbijał kolejno, jedną po drugiej, gliniane statuetki wyobrażające brzemienne kobiety.

Gdy wrócił do kościoła, zbadał zakrystiana.

- Musi przeżyć - powiedział z poważną i zaszępiłą miną. - Na pewno ma nam wiele do powiedzenia.

W oczach mistrza Floris dostrzegł wściekłość bezlitosnego kaznodziei z Paryża, o którym mówiono, że gotów ciskać szkłem lub stołkami, by uzyskać zamierzony efekt oratorski.

Floris nie wiedział tylko, czy to dobry znak, czy może pierwsze oznaki szaleństwa.

Przemierzając długą drogę do Rzymu, Gilbert de Lorris i jego więźniów zatrzymali się pewnego wieczoru u zbiegu dróg, pośród gęstego lasu, i nie potrafili zdecydować, którą z nich wybrać. Gilbert nie znalazł na mapie żadnej wskazówki i nie przypominał sobie tego miejsca z podróży do Francji. Po chwili wahania postanowił pojechać szlakiem wiodącym przez nieco bardziej odkryty teren i mniej wyboistym.

Wkrótce pożałował swojego wyboru. Droga zwięzła się i przeistaczała w ciasny przesmyk. Noc zapadała szybko. Ciemności spowijały las. Wiał lodowaty wiatr. Należało czym prędzej zawrócić. I właśnie wtedy przed wędrowcami, w dali, pośród drzew, rozbłysło nagle dziwne światło. Ten blask wabił obietnicą bezpiecznego noclegu w zajeździe albo w górskim szałasie. Tak czy inaczej, w równie dzikiej i bezludnej okolicy światło było zjawiskiem niezwykłym.

- Podjedźmy tam - zaproponował Aymard, wskazując światło. - Wracać do miejsca poprzedniego postoju nie ma sensu. Dotarlibyśmy tam w środku nocy, przemarznięci i ledwie żywi.

Strudzony długą wędrówką Gilbert wyjątkowo uznał słuszość argumentów Aymarda. Przystał na propozycję więźnia, choć jaśniejące pośród czarnej nocy miejsce wydało mu się podejrzane.

Brnęli przez zasypane zalegające na kamienistym szlaku i w parowach. Można by pomyśleć, że wybrana przez Gilberta droga była zasadzką albo kiepskim żartem.

Wkrótce ujrzeli przybity do samotnego pnia szyld, który zapraszał do oberży Romana.

Ruszyli, przyspieszając. To, co ujrzeli w miejscu, które wabiło ich światłem, obu wprawiło w osłupienie.

Naprawdę mieli przed sobą oberżę, wspaniałą, przestronną, oświetloną długimi pochodniami i starannie odśnieżoną. Wyglądała, jakby wyrosła tu za sprawą czarów.

Przed wejściem zauważyli nowe uchwyty do wiązania koni, świeży owies i koryto z wodą.

- Oto co nazywam przyzwoitym noclegiem, mój chłopcze! - oznajmił zachwycony Aymard.

Gilbert jak zwykle zacisnął mu wokół kostki żelazną obręcz i odpiął od siodła łańcuch. Za budynkiem gospody dostrzegł dwie stodoły i stajnię. Usłyszał kilka niezrozumiałych słów, dobiegających właśnie stamtąd, ale Aymard już otworzył drzwi oberży i strażnik podążył za nim.

Dzwonek obwieścił przybycie podróżnych.

Weszli do przestronnej izby, czystej, uporządkowanej, pachnącej żywicą i dobrym jadem. Ławy okrywały skóry i futra, na stołach trudno było znaleźć choć pyłek. Przygotowano już trzy nakrycia - dwa przy jednym

stole, jedno osobno, w odległym rogu izby. Tymczasem nikogo tu jednak nie było.

Na całym szlaku Gilbert nie natrafił na tak dobrze prowadzoną gospodę. Drewno było jasne i nowe, podłoga gładka i czysta, bez śladów błota czy słomy.

- Czasami dobrze się zgubić - szepnął.

Na piętrze skrzypnęły drzwi. Po schodach szybko zbiegał niski, tęgi mężczyzna o wesołej i przyjaznej twarzy, w drugim fartuchu karczmarza.

Zatrzymał się przed Gilbertem i Aymardem. Był krostowaty, a jego małe oczka błyszczały.

- Witam szanownych panów. Już się przedstawiam. Jestem mistrz Roman.

Syn Enguerrana pozwolił sobie na drwiące westchnienie.

- Mistrz? - syknął. - Też coś! A dlaczegoż to mienisz się mistrzem, jeśli łaska?

- Gdyż jestem tu mistrzem kuchni i panem u siebie, przyjacielu! A to, na moje oko, wystarczające powody. W tych murach nie znajdziecie nikogo innego, kto dbałby o izby, jeśli nie liczyć Franciszki, mojej żony, i Lukasa, mojego psa. Wszystko, co tu widzicie, jest moim dziełem i własnością! A mniemam, że taką odpowiedzialność bierze na siebie pan i mistrz. A kim wy jesteście?

- Aymard du Grand-Cellier, w drodze do Rzymu. Mistrz Roman zwrócił spojrzenie na Gilberta.

- Gilbert de Lorris, z gwardii papieskiej.

- Tak... Doskonale. Rad jestem powitać młodzieńców, którzy noszą piękne nazwiska, wspaniałą broń i cieszą się dobrym zdrowiem. Do tej pory los mnie nie rozpieszczał takimi gośćmi. Przed wami przybyły tu dziś dwie grupy podróżnych. Jedni wieźli zmarłego, drudzy konającego. Pojmujecie moje ubolewanie. Od miesiący nie miałem gości. Zima nie sprzyja podróżnym i uboży kupców, a tu raptem jednego dnia pojawia się mnich przewożący na północ zwłoki biskupa i wędrowni komedianci z umierającym starym mistrzem. Lada chwila wyzionie ducha.

Karczmarz wznosił ręce ku niebu.

- Co za dzień! Nie obawiajcie się. Trumna ze zwłokami spoczywa na wozie w stajni, a komedianci spędzą tę noc w stodole. Jest ich za dużo, no i nie mają czym zapłacić za izby. Odstąpiłem im tanio trochę słomy i dałem polewki, żeby najedli się do syta.

- I my chcielibyśmy spędzić tu noc i zjeść kolację - powiedział Gilbert.

- Nic prostszego, przyjaciele - odparł oberżysta. - Czujcie się jak u siebie... pod warunkiem, że zapłacicie brzęczącą monetą, a teraz dacie mi zaliczkę.



Gilbert przystał na te warunki i wręczył karczmarzowi zaliczkę. Potem wybrał na piętrze wspólną kwaterę dla siebie i Aymarda.

Gdy wrócili do izby na dole, nakryte wcześniej stoły były zajęte. Przy małym, oddalonym od innych stoliku siedział mnich, z którego twarzy wyzierało zmęczenie. Mężczyzna pochylił głowę i wpatrywał się w talerz. Był to wikariusz Chuquet, wyczerpany długą wędrówką z Draguan. Łapczywie popijał zupę.

Nowo przybyli powitali go, a potem usiedli przy swoim stole.

- Mamy dwa konie - powiedział Gilbert, zwracając się do mistrza Romana.

- Wiem - odparł. - Oba stoją już w stajni.

- Znajdą się dla nas dwa zdrowe wierzchowce na jutro rano?

- Niestety nie, panie. O tej porze roku nie mam ani jednego. Ale i wasze do jutra odzyskają siły. Rankiem wyruszą ochoczo.

- A zatem zajrzę do nich po kolacji.

- Bardzo proszę. Pochodnie znajdziesz, panie, tuż przy wrotach.

Po posiłku Gilbert odprowadził Aymarda do izby i zamknął drzwi na klucz. Wino mistrza Romana zrobiło swoje, toteż Gilbert mógł bez obaw zostawić więźnia samego na parę minut. Zgodnie z zapowiedzią poszedł upewnić się, czy koniom niczego nie brakuje. Pochodnie na zewnątrz były zgaszone - najwyraźniej gospodarz nikogo już dziś nie oczekiwał...

W stajni młody żołnierz przekonał się, że konie dostały świeże siano. Inne, należące do Chuaqueta, stały nieco dalej. Młodzieniec rozejrzał się. Wielkość, urządzenie, a także ład i porządek panujący wokół - wszystko to wprawiało go w zdumienie. Jakim sposobem jeden człowiek mógł wszystkiego dopilnować? Co właściwie robił na tym odludziu? Skąd wziął się pomysł wybudowania oberży właśnie tu? W pobliżu nie było wsi ani uczęszczanego duktu...

Gilbert dostrzegł wóz wikariusza z Draguan, stojący w kącie stajni. Mistrz Roman wspomniał przed kolacją, że zmusił Chuaqueta do pozostawienia trumny na wozie.

Młodzieniec nie mógł się powstrzymać - podszedł, by z bliska przyjrzeć się trumnie.

Znalazłszy się tuż obok wozu, Gilbert wspiał się na palce. Zadawał sobie pytanie, czy starczyłoby mu odwagi, aby wskoczyć na wóz i podnieść wieko skrzyni. Postawił jedną nogę na stopniu, lecz właśnie wtedy, z niepojętych dlań powodów, wóz zaczął się mocno kołysać. Gilbert odskoczył. Dostrzegł smukłą sylwetkę zsuwającą się z wozu. Odruchowo żołnierz chwycił intruza za kark i przewrócił na ziemię.

- Ktoś ty?! Co tu robisz?! - krzyknął.

- Puść, panie, puść mnie... - dobiegł go głos dziecka. -Wybacz, jestem Ptasznikiem. Wędruję z trupą... z komediantami...

Gilbert jednym ruchem ręki podniósł jeńca. Był to trzynastoletni może chłopak, ubrany w dziwaczny kubrak, ni to szlachecki wierzchni strój, ni to żebraczy kaftan.

- Co to ma znaczyć? - zapytał groźnie Gilbert.

- Jestem komediantem, panie. Nazywam się Ptasznik. Chciałem obejrzyć umarlaka. Gilbert puścił chłopca.

- Mało brakowało, a przebiłbym cię mieczem.

- Wybacz, panie...

Żołnierz uznał, że dzieciak jest zabawny.

- Interesują cię zmarli? - zapytał. Ptasznik przytaknął, kiwając głową.

- Może kiedyś przyjdzie mi odegrać rolę martwego biskupa, więc postanowiłem wykorzystać okazję i przyjrzeć się takiemu prawdziwemu!

Gilbert parsknął śmiechem.

- Ilu komediantów liczy wasza trupa? - zapytał.

- Siedemnaście osób. Nie liczę już Nowej Myśli, który rychło nas opuści.

- Nowej Myśli? ... '

- To jego sceniczne imię. Jest naszym szefem. Ale to już starzec.

Gilbert i Ptasznik pozostawili w spokoju trumnę z ciałem Haquina. Młody komediant zaciągnął żołnierza do pobliskiej stodoły i przedstawił komediantom, którzy zebrali się przy starcu leżącym na obszernej czerwonej pelisie...

Żołnierz długo pozostał w kompanii kuglarzy. Był to wspaniały wieczór... pośród przyjaznych wędrowców w kolorowych kostiumach, przy śpiewach, przy poezji, którą recytowali do ucha starcowi, w bliskości cyrkowych zwierząt, które spały obok dzieci, wśród nagłych wybuchów śmiechu... Ale z tej niezwykłej nocy Gilbert zapamiętał tylko jeden jedyny obraz. Urodę młodej aktorki o długich włosach, smutnej twarzy, nogach smukłych jak trzcina. Usiadła przy nim bez słowa. Zanim odeszła, delikatnie musnęła czarny kosmyk opadający mu na skroń. Trwało to tylko chwilę i nie miało żadnego znaczenia, ale żołnierz na zawsze zapamiętał ten gest i tę dziewczynę.

Nazajutrz Gilbert poderwał się na równe nogi i pędem zbiegł do sali na dole. Poranna strawa już wrzała w kociołku. Po drodze minął brata Chuaqueta w podróżnym stroju, najwyraźniej spieszącego w dalszą drogę.

- Witaj, ojczy. Już wyjeżdżasz?

- Czas najwyższy. Czeka mnie długa droga. Chuaquet otworzył drzwi i wyszedł. Żołnierz odprowadził go. Chciał zajrzeć do stodoły.

- Jeżeli szukasz komediantów - rzekł Chuaquet - wracaj do oberży. Już wyjechali.

Na te słowa chłopak stanął jak wryty.

- I niech ich diabeł! - dorzucił wikariusz.

Wyznał, że po przybyciu trupy do mistrza Romana wezwano go do konającego, aby udzielił mu ostatniego namaszczenia. Lecz pomimo nalegań komediantów umierający odmówił spowiedzi.

- Dlaczego?

Gdy zakonnik pozostał sam na sam z konającym, usłyszał wyjaśnienie...

- Nie jesteś mi w stanie pomóc, ojciec...

I mężczyzna opowiedział mu niewiarygodną historię z lat młodości, kiedy to zgodził się zaprzedać duszę i zagrać na scenie dla rozrywki samego szatana! Szatana!

- Z tej zbrodni nie rozgrzeszy mnie nikt na tym świecie.

Skończywszy opowieść, wikariusz wzruszył ramionami, pobłogosławił Gilberta i ruszył w samotną podróż, zabierając trumnę ze zwłokami biskupa.

Chłopak wrócił do oberży. Zjadł z Aymardem śniadanie. Mistrz Roman gdzieś zniknął. Podróżni wyjechali więc bez pożegnania.

Gilbert raz po raz oglądał się, chcąc raz jeszcze spojrzeć na oberżę Romana, która niknęła już w dali.

Ruszyli drogą, którą pojechał brat Chuaquet. Był to jedyny przetarty szlak wiodący do karczmy. Minęli tak zagadkowe wczoraj skrzyżowanie dróg i bez przeszkód trafili na właściwy dukt. W dzień Gilbert rozpoznał go bez trudu. Nie mógł się nadziwić, że wczoraj zabłądził. Żołnierz nie potrafił wręcz pojąć, co mu się przydarzyło. Po chwili podzielił się swymi rozterkami z synem Enguerrana.

- Pomyśl - zaczął - czemu właściwie zajechaliśmy do tej oberży?

Aymard wzruszył ramionami. On także tego nie wiedział.

7

W Heurteloup, wieczorem, po mszy i opatrzeniu zakrystiana, Henno Gui niespodziewanie podjął decyzję o opuszczeniu wioski. Jego rezygnacja zaskoczyła Florisa, ale nic nie powiedział.

Proboszcz i Tłusty Czwartek ułożyli Premierfaita w wozie na załadowanych w pośpiechu bagażach, przymocowali płóciennymi pasami i przykryli grubą derką. Zakrystian jęczał półprzytomny, wciąż na krawędzi życia i śmierci. Rzucił się w gorączce, która narastała falami, by po chwili nieco zelżeć. Oddychał płytko, leżąc z przymkniętymi oczyma. Piętno śmierci coraz wyraźniej malowało się na jego twarzy.

Przed wyjazdem Henno Gui już bez skrupułów sięgnął do wiejskich zapasów żywności. Zabrał ze sobą trzy duże worki jedzenia i wielki

bukłak wody z rzeki. Wziął także z kościoła trzy wykonane własnoręcznie świece.

Po raz pierwszy wchodził do domostw. Wybrał trzy - te, które wyglądały na najliczniej zamieszkane. W każdym z nich ustawiał na stole świecę, solidnie ją mocując, a potem zapalał. Zamykał wszystkie drzwi i okiennice. Niczego nie dotykał ani nie przesunął. Świece były wysokie i grube. W zamkniętym pomieszczeniu będą się palić co najmniej trzy dni i trzy noce.

Wracając do wozu, Henno Gui nawet nie spojrzał na statuetki, które roztrzaskał.

Opuścili wioskę. Wkrótce dogonił ich przemykający jak cień pomiędzy drzewami wilk i odtąd podążał za nimi.

Coraz pogodniejszy Floris cieszył się z powrotu do Dra-guan, lecz jego radość była przedwczesna. Nieoczekiwanie Henno Gui zatrzymał wóz przy drzewie, przy którym dziesięć dni temu pożegnali się z Premierfaitem i gdzie niegdyś zakrystian miał swoją kryjówkę.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział proboszcz. Postawił torbę i oparł kostur o drzewo. - Floris, zamieszkasz na górze, razem z Premierfaitem.

- Jakże to, mistrzu? Nie wracamy do Draguan? Henno Gui pokręcił głową.

- Miejsce jest bezpieczne. Będziesz mógł spokojnie czuwać nad rannym.

Otoczające dawną kryjówkę Premierfaita drzewa były strzelistymi iglakami, po których trudno byłoby się wspiąć. Na nic zdałaby się umiejętność wieśniaków przemieszczania się wśród koron drzew.

- Sprytnie wybrana kryjówka - powiedział Gui. - To drzewo jest wystarczająco gęste i stoi z dala od innych. Aż trudno uwierzyć, że Premierfait wykazał tyle intuicji. To najbezpieczniejsze miejsce, jakie można sobie wymarzyć. W dodatku o parę kroków od wioski.

Henno Gui skinął na olbrzyma, który podjechał wozem. Zdjęli pasy przytrzymujące Premierfaita i ułożyli go na futrach rozesłanych na ziemi. Tłusty Czwartek wziął ze sobą liny, wdrapał się na drzewo i zniknął wśród gałęzi.

- Co zamierzasz, mistrzu? - zapytał Floris.

- Odnaleźć kryjówkę tych dzikusów i odpłacić im pięknym za nadobne. Chcieli nas wypłoszyć? Dobrze, udało im się. Teraz nasza kolej. Napędzimy im strachu.

- Ale po co? I jak?

- Jeszcze nie wiem. W tak zamkniętej społeczności jak tutejsza jedynym sposobem poznania rządzących nią zasad i obyczajów jest wprowadzenie chaosu. Lada zachwianie równowagi zmusza takich ludzi do pokazania

prawdziwego oblicza. Dlatego będę teraz miał zamęt w tym małym plemienu, bez względu na to, gdzie się teraz ukrywa. Stracą orientację, a ja znajdę sposób, opracuję skuteczną strategię.

- O ile oni wcześniej cię nie złapią- szepnął Floris.

- Tak, ale przecież gdyby chcieli nas zamordować, już bylibyśmy poćwiartowani.

- Jak sobie poradzę przez ten czas z Premierfaitem? - zapytał chłopiec.

- Podawaj mu wodę. Dużo wody. Napeliłem ten bukłak specjalnie dla was dwóch. Biedaczysko, z takimi ranami długo nie pociągnie. Może jednak choć na chwilę wrócić mu zmysły. Chcę, żebyś wówczas dokładnie go wypytał, musiał wszak zostać porwany tuż po naszym rozstaniu, ale jego rany są świeże. Czego dowiedział się przez te spędzone z nimi dni? Co widział? Jak się przy nim zachowywali? Zapisuj każde słowo, to ważne.

- A gdyby... gdyby umarł? Kto udzieli mu ostatniego namaszczenia?

- Bądź spokojny - rzekł ksiądz. - Już to uczyniłem. Wtedy Floris przypomniał sobie dziwne szepty, które zwróciły jego uwagę, gdy ksiądz operował rannego.

Proboszcz podszedł do wozu i sięgnął do kufra z księgami.

- Masz - powiedział, podając chłopcu starannie zwinięty rulon. - To Księga snów, przez niektórych przypisywana prorokowi Danielowi. Autorstwo jest legendarne, lecz dzieło doskonałe. To traktat, który pozwala interpretować nasze sny. Każdy motyw jest zapisany w porządku alfabetycznym. Premierfait bez wątpienia zacznie mówić, kiedy nadejdzie agonia. Może ci się wydać, że bredzi bez ładu i składu, ale zapisuj każde jego słowo, i przejrzyj tę księgę.

Tłusty Czwartek zszedł z drzewa.

- Chatka jest w dobrym stanie, mistrzu - rzekł. - Możemy wciągnąć Premierfaita. Świetnie przygotował sobie schronienie. Pień jest wyżłobiony, będzie mu w nim wygodnie. W drzewo wbite są żelazne obręcze. Przewlokę przez nie liny i wciągnę zakrystiana. Na górze jest sporo miejsca. Zmieszczą się wszystkie nasze rzeczy.

W ciągu dwudziestu minut mężczyźni wciągnęli rannego na drzewo. Przy każdym wstrząsie, jaki towarzyszył podnoszeniu, biedak charczał i pluł krwią.

Potem wnieśli kolejno wszystkie pakunki i ukryli je w wydrążonym pniu lub zawiesili na linach wśród gałęzi. Zgodnie z rozkazami Henna Guiego olbrzym roztrzaskał i połamał wóz, a jego szczątki rozrzucił po lesie, aby zatrzeć ślady. Grubą kapą wyrównał śnieg wokół drzew i usunął odciski butów.

Wilk wciąż był w pobliżu. Obserwował ich. Zwierzę przysiadło na zadzie, o pół strzału z kuszy.

- Przenocujemy tu-oznajmił ksiądz.

Henno Gui i Tłusty Czwartek dołączyli do Florisa, który wraz z rannym znajdował się już w kryjówce na drzewie.

Z tego punktu obserwacyjnego można było dostrzec odległe strzechy Heurteloup. Ale kilka drzew wystrzeliło już za wysoko. Kiedy były młodsze, w polu widzenia znajdowała się wioska i największe z mokradeł...

- Nie wolno ci palić ognia - pouczył Florisa ksiądz. - Pozostań w ukryciu. Zapasów powinno ci wystarczyć na tydzień z górą.

Floris spojrzął na dwa zawieszane na linach worki. Żywność była w większości surowa albo suszona.

- Bez ognia nie zdołam nic ugotować.

- To prawda, ale nic na to nie poradzę. To zbyt niebezpieczne. Masz czym pisać? - zapytał Henno, otwierając sakwę. Floris wyjął z torby przybory do pisania.

- Ciepłych okryć starczy i dla ciebie, i dla zakrystiana. My z Tłustym Czwartkiem zabierzemy jak najmniej rzeczy. A do przemywania ran Premierfaita używaj tych ziół. - Henno Gui wręczył mu dwa duże, czerwone liście. - Musisz je pokruszyć i zalać wodą, którą ogrzejesz w dłoniach. Kiedy mikstura nabierze żółtawej barwy, delikatnie przemyjesz nią rany. Jeżeli ranny przeżyje trzy najbliższe dni, będziesz musiał usunąć nici, a zabliznione miejsca przepłuczesz miksturą. Jeżeli uda ci się przetrwać tak cztery dni, ocalisz Premierfaitowi życie.

Nocą wilk podszedł do drzewa i położył się, tak jak zwykł był czynić pod drzwiami kościoła.

O brzasku ksiądz i Tłusty Czwartek opuścili kryjówkę i zeszli na zawieszane nad ziemią gałęzie. Zrobili to tak sprawnie i cicho, że nie obudzili Florisa ani Premierfaita, który usnął, zmorzony bólem i gorączką. Tłusty Czwartek spojrzął w dół: wilk zniknął.

- Odszedł - szepnął.

- Zejdźmy.

Zeskoczyli na ziemię. Tłusty Czwartek przerzucił przez ramię ciężką płócienną sakwę. W nocy Henno Gui przygotował potrzebne w drodze rzeczy: część zapasów, sporo lin, papier i tusz, a także szatę proboszcza. Podzielili te bagaże między siebie.

- Mamy go - powiedział Henno Gui, odnajdując na śniegu świeże tropy wilka. — Idźmy za nim. Ruszyle tropem wilka.

- Są dwie możliwości - rzekł po chwili Henno Gui. - Albo zaprowadzi nas do swojej nory, albo do kryjówki wieśniaków. Jeśli nie przywiedzie

nas do nich, musimy zawrócić i szukać śladów na drzewach w pobliżu kościoła.

- Nie ma tam żadnych śladów człowieka - odparł Tłusty Czwartek, nie odrywając oczu od ziemi.

Świeże ślady wilka przeplatały się ze starszymi, bardzo podobnymi tropami.

- Przechodził tędy codziennie - domyślił się ksiądz. - Niczym nie ryzykujemy. On ma swoje ścieżki, nie wkracza na drogi, którymi chadzają ludzie. Jeżeli doprowadzi nas do wieśniaków, nie zauważą, że się zbliżamy.

Po kilku minutach Gui i Tłusty Czwartek zrównali się z wilkiem. Siedział nieruchomo parę metrów przed nimi, z łbem zwróconym w ich stronę. Dłuższą chwilę obserwował mężczyzn, potem wstał i spokojnie ruszył przed siebie, jakby chciał powiedzieć: „Idźcie za mną”. Co kilkanaście metrów odwracał się i sprawdzał, czy dotrzymują mu kroku. Za każdym razem, kiedy pozostali za daleko w tyle, wilk zatrzymywał się, zupełnie jakby na nich czekał...

- Dziwne zwierzę - mruknął Tłusty Czwartek.

- Niektórzy z ojców kościoła uważają, że dzikie zwierzęta też mają dusze.

- A czyż tak nie jest? - szepnął olbrzym, który nie był chrześcijaninem.

- Inni - ciągnął Henno Gui - uporzyciwie widzą w nich tylko istoty opętane lub diabelskie stworzenia.

- A ty w to wierzysz, ojcze?

- Czy wierzę? Wiara... To nie jest odpowiednie słowo. Diabeł istnieje. Wiemy o tym, znamy go. Dość często daje nam o sobie znać. Kiedy dawno temu trzy beginki zapytały świętego Dominika, czy diabeł naprawdę istnieje i czy może ukazać się im pod cielesną postacią, święty sam przyzywał demona. Tego dnia diabeł przybrał postać ogromnego czarnego kota. Kobiety zemdlały z wrażenia. Jestem skłonny uwierzyć w prawdziwość tego posunięcia Dominika i w fizyczną obecność demona. Lecz rozumie się samo przez się, że święty nie był czarownikiem i że nie pozostawał w służbie złego, którego wówczas mógłby wzywać w każdej chwili. Swój czyn dowiódł jedynie, że diabeł przybiera fizyczną postać. Na jego obecność przyzywała sam Bóg. Zło, czy potrafimy to pojąć, czy też nie, stanowi część stworzenia. Aby sprowadzić czarnego kocura z piekła rodem, święty Dominik nie przyzywał, rzecz jasna, diabła, choć przesądne istoty gotowe są tak myśleć, on wzywał Boga Wszechmogącego. I Bóg udzielił mu tej oszałamiającej części swej mocy. Tak oto wywyższył się ponad zło. Ma się rozumieć, trzy beginki nie zdołały tego pojąć.

- Co zatem z wilkiem?...

- Skoro zachowuje się jak demon albo błędna dusza, ma po temu powody. Żadne dziwne zjawiska nie powinny nas zaskakiwać...

Dwaj mężczyźni i wilk wędrowali jeszcze przez dwadzieścia minut. Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma. Henno Gui i Tłusty Czwartek znaleźli się na pagórkowatym, wolnym od bagien i moczarów terenie. Ale i tu nie dostrzegli śladów obecności ludzi.

W pewnej chwili wilk zniknął im z oczu za zboczem. Kiedy dotarli na szczyt, ujrzeni u swych stóp głęboką nieckę o płaskim dnie, średnicy około sześćdziesięciu metrów. Znajdował się w samym sercu lasu, który został w tym miejscu celowo wykarczowany. Tę niezwykłą dolinę otaczała ściana drzew, zacinających dno parowu.

Wilki ostrożnie zszedł wąską ścieżką biegnącą stromo w dół. Z tej drogi mogło skorzystać tylko zwinne zwierzę.

Henno Gui obserwował okolice. Nigdzie nie dostrzegł śladów życia. Była spokojna niczym tafla jeziora w bezwietrzny dzień.

- Nikogo tam nie ma, mistrzu - stwierdził Tłusty Czwartek.

- To dziwne - szepnął Henno. - Dokąd ten wilk nas przyprowadził?

Henno Gui rozejrzał się wokół. Jak okiem sięgnąć, ciągnął się las. Zwrócił oczy na zwierzę, które biegło po śnieżnym dywanie na dnie parowu. Wszystko wyglądało zupełnie zwyczajnie. Wilk zaczął węszyć. Czy coś go zaniepokoiło? Mężczyźni nie spuszczaali go z oka.

Nagle, w ułamku sekundy, zniknął, zupełnie jakby zapadł się pod ziemię!

Mężczyźni osłupieli. Patrzyli na siebie, nie pojmując, gdzie on się podział. Po kilku sekundach, w równie zagadkowy sposób, zwierzę pojawiło się na drugim końcu niecki, jakby wyrosło spod ziemi.

- Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego! - wykrzyknął Tłusty Czwartek.

Henno Gui gestem nakazał mu milczenie. Palcem wskazał dno parowu. Ostrożnie zbliżyli się do krawędzi urwiska. Wilk ponownie rozpląnął się w powietrzu.

- Zabierajmy się stąd, mistrzu - szepnął przepełniony grozą Tłusty Czwartek. - Nie czeka nas tu nic dobrego.

Henno Gui znowu go uciszył. Podeszedł do drzewa. Jego gruby pień, jak wiele innych wokół parowu, zagadkowo chylił się nad przepaścią. Kapłan usunął śnieg, obnażając korę. W milczeniu wskazał swemu kompanowi solidną, mocno przewiazaną wokół drzewa linę...

- Ja również nigdy czegoś takiego nie widziałem! - rzekł. Położył się płasko na skraju parowu. - Popatrz.

Lina, którą Henno Gui zauważył na drzewie, opadała do wnętrza pnia.



- Większość tej białej płaszczyzny, którą widzisz, wcale nie jest dnem parowu. To splecione ze sobą korony drzew, gałęzie naprężają się, ciągnięte przez koronę sąsiedniego drzewa, i tworzą zadaszenie. Teraz, pod pokrywą śniegu, trudno tę zmyślną konstrukcję dostrzec.

Tłusty Czwartek pochylił się i uważnie przyjrzał się dziwnemu miejscu. Po chwili, gdy jego oczy nawykły do półmroku, odkrył tajemnicę parowu: osiem lin, opadających z różnych punktów wokół krateru. Na pierwszy rzut oka niezwykle kamuflaż był doskonały.

- Nawet barbarzyńcy Orderyka by tego nie dokonali - powiedział ksiądz z uznaniem.

Nagle w parowie znów pojawił się wilk. A raczej — pojawił się pod gołym niebem.

- Jakże to wszystko się trzyma? Nigdzie nie widzę pali ani tyczek - zastanawiał się olbrzym.

- Owszem, są. Wypatrzyłem już trzy. Wystają spod gałęzi.

Henno Gui podniósł się i wskazał drzewo, które pełniło funkcję słupa: żelazna obręcz wbita w pień podtrzymywała pierwszy węzeł grubej liny. Takie same obręcze Tłusty Czwartek widział w kryjówce Premierfaita.

- Więc to nie zakrystian...-domyślił się olbrzym.

- Nie.

- Ojczy, czy sądzisz, że Florisowi coś zagraża"?

- Wieśniacy porzucili tamtą kryjówkę. Gdyby z niej korzystali, już w zeszłym roku dopadliby Premierfaita. Niepokoi mnie coś innego. Dziwię się, że ci ludzie, na pozór dzikusy, potrafią wykuwać takie obręcze. Muszą w tym celu wytapiać metale. Skąd biorą surowiec? W jaki sposób rozgrzewają go do czerwoności, by stał się miękki, plastyczny i poddawał uderzeniom młota?

Zardzewiała obręcz była przybita do pnia czterema hakami.

- Ta obręcz tkwi tu od kilkudziesięciu lat, a wbito ją tak solidnie, że rozrastający się pień nie zdołał jej wypchnąć.

- Mistrzu, czy jesteś pewien, że w tej chwili mieszkańcy wioski siedzą ukryci w parowie?

- Wkrótce się o tym przekonamy...

Krążąc wokół krateru, mężczyźni szukali dogodniejszego punktu obserwacyjnego. W końcu natrafili na ścieżkę, która wiała się i znikwała w lesie.

- Oto odpowiedź na twoje pytanie, Tłusty Czwartku -rzekł Henno Gui na widok śladów ludzkich stóp.

Podążyli wiodącą do lasu dróżką. Biegła po długim, łagodnym stoku nad brzeg małego jeziora. Było to drugie rozlewisko, położone bliżej krateru. Jezioro było zamarznięte.

- Spójrz - powiedział Henno Gui.

Na odcinku kilku metrów lód był rozbity. Stojąca podmarzająca woda miała zgniłozieloną barwę i cuchnęła jak ta, którą pokazał im podczas podróży Premierfait. Liczne ślady świadczyły o częstych wędrówkach mieszkańców do tego miejsca.

- Zapewne stąd czerpią wodę...

Ksiądz i olbrzym wrócili na brzeg parowu. Po drodze Henno Gui zauważył wiekową sosnę. Jej gałęzie były wystarczająco gęste, by mogły posłużyć za schronienie i doskonały punkt obserwacyjny. Z tego miejsca rozpościerał się widok na niewielki odcinek leśnej drogi po drugiej stronie krateru. Gałęzie nie były wprawdzie tak potężne i mocne jak w drzewie Premierfaita, lecz dość gęste, by ukryły dwóch mężczyzn.

Tłusty Czwartek sprawnie wymościł gałęziami rozwidlenie pnia starej sosny. Tam zasiedli obaj mężczyźni. Wciągnęli na górę futra, liny i zapas żywności.

Potem ksiądz wypróbował wytrzymałość gałęzi i urządził sobie wygodne siedzisko do obserwacji parowu i drogi. Ścieżka intrygowała go tak samo jak zamaskowane domostwa.

- Jest za szeroka i zbyt wyraźnie wytyczona jak na tak gęsty las. To nie może być ścieżka wydeptana przez zwierzęta.

Ksiądz prowadził obserwacje przez cały dzień. Niczego nie dostrzegł. Wieśniacy - ilu ich mogło być? dwudziestu, może trzydziestu? - nie pojawili się w okolicy. Znikąd nie dobiegały żadne hałasy, żadne odgłosy. O zachodzie słońca Henno Gui opuścił posterunek. Wilk już przed południem wyszedł z parowu i zapewne, jak miał w zwyczaju, wrócił do Heurteloup.

8

Wikariusz Chuaquet mozolnie pokonywał drogę do Paryża. Zimą główne trakty królestwa były najbardziej niebezpieczne. Mróz i śnieg sprawiły, że rycerze i strażnicy woleli pozostać wśród miejskich murów niż strzec bezpieczeństwa podróżnych. Bandy rozbójników tym bardziej zuchwale napadały na tych, którzy nierozważnie wyruszyli w pojedynkę na szlak.

Żaden pojazd bez silnej eskorty nie przemierzył tego regionu, nie natykając się co najmniej na jedną lub dwie bandy rabusiów. Piętnaście klanów dzieliło między siebie zbójczą władzę nad wszystkimi szlakami. Nikt się im nie wymknął, nie zapłaciwszy haraczu. Nikt, poza człowiekiem, który sam powoził, siedząc na koźle małego wozu. Żadne straże nie ochraniały tego podróżnego, nie miał do pomocy uzbrojonego woźnicy, nie osłaniały go barwy potężnego seniora. Zbójcy przepuszczali go, nie czyniąc krzywdy, a nawet uprzedzali grasujące dalej bandy o jego

przejeździe, by te mogły w porę zejść mu z drogi. Na wozie spoczywała solidnie zamknięta drewniana skrzynia, a w niej zmarły biskup.

Chuaquet włókł się noga za nogą. Miał za sobą długą drogę, pokonał wiele przeszkód. Wiedział, iż żyje wyłącznie dzięki temu, że wiezie trumnę, i przesądom, które hamowały zakusy grasujących na szlaku rozbójników. W tamtych czasach lęk przed zmarłym chronił skuteczniej niż zbrojny garnizon. Zbójcy nie grzeszyli nabożnością, nie ważyli się jednak tknąć trumny ani tego, kto ją przewoził. Opowieści o zmarłych, o błakających się po ziemi duchach, o klątwach i zjawach sprawiały, że nawet najokrutniejsi złoczyńcy na widok trumny brali nogi za pas.

Nieboszczyk w drewnianej skrzyni odstraszał zarówno rabusiów i rzezimieszków, jak i poczciwych ludzi. Pojawienie się wozu z trumną we wsi czy w mieście było wydarzeniem niezwykłym i wzbudzało lęk. Ludzie bali się trupa, który wędruje, pozbawiony grobu. Wielokrotnie wikariusz Chuaquet, gdy zdarzyło mu się prosić o pomoc, spotykał się z odmową, której powodem był strach przed zmarłym. A fakt, że w trumnie spoczywa biskup, jeszcze bardziej wstrząsał ludźmi. W końcu Chuaquet zaczął ukrywać kłopotliwą tożsamość swego zwierzchnika, raz mówiąc, że przewozi ciało żołnierza, kiedy indziej, że możnego pana, kobiety albo dziecka. Lecz to niewiele zmieniało. Nawet w klasztorach odnoszono się doń niechętnie. Kiedy między Peine-aux-Moines i Freteval najechał na wystające korzenie i złamał oś, nikt nie chciał mu pomóc. Musiał sam, tak jak umiał i mógł, pozbawiony narzędzi, naprawić wóz. Potem włókł się jeszcze wolniej, przygnębiony i zmęczony ślamazarnym tempem podróży. Dziennie pokonywał ledwie trzy kilometry.

Dręczył go też inny kłopot. W Draguan bracia Meault i Abel niedokładnie zabili trumnę. Wprawdzie mróz hamował rozkład ciała, ale jednak całkowicie mu nie zapobiegał. Do tej pory nieszczęsny Chuaquet co noc chronił się przed wiatrem i śniegiem pod osłoniętą częścią wozu. Teraz na noc zdejmował trumnę z wozu i stawiał ją na ziemi. Musiał jednak zrezygnować z tej praktyki, bo odór rozkładającego się ciała wabił wilki. Ich wycie nie dawało wikariuszowi spać. Przyszło mu na myśl ostatnie, rozpaczliwe rozwiązanie. Wyłamał wieko i przez cały dzień trudził się, by wypełnić trumnę ziemią. W pocie czoła, gołymi rękami wrywał ją, piędź po piędzi, spod śniegu. Za ceną wielkiego wysiłku zyskał ledwie cztery dni wytchnienia. Potem ohydny smród wrócił, i stał się jeszcze bardziej nieznośny. Zbójcy, którzy nie uwierzyliby, że przewozi zwłoki, zbliżywszy się na odległość paru kroków, z pewnością daliby wiarę jego słowom. Fetor stał się wkrótce zbyt przykry, aby zakonnik mógł zatrzymać się w oberży czy choćby przejechać przez

miasto. Zbliżając się do małego miasteczka Dammartin, Chuaquet musiał podjąć odważną decyzję.

Ukrył wóz pośród gęstych zarośli na skraju lasu, tuż nad wodą. Wyprzągnął konie i prowadząc je za wodze, pieszo doszedł do drogi. Upewnił się, czy nikt nie wypatrzy stamtąd wozu i trumny biskupa.

W Dammartin zaszedł do pierwszej napotkanej oberży.

- Izba dla ojca? - zapytał oberżysta.

- Nie. Jestem tu tylko przejazdem. Proszę o trochę owsa dla moich koni.

- Koni? A ileż to, do kaduka, masz tych rumaków, ojczulku?

- Trzy.

Człeczyna zdziwił się, widząc zakonnika, który wędruje sobie z trzema końmi, bez żadnych bagaży.

- Zbójce ukradli mi wóz - rzucił od niechcienia Chuaquet, żeby położyć kres podejrzliwym wypytywaniom. - Jak trafić na plebanie?

Oberżysta wskazał mu domek o dwie ulice od kościoła.

Na plebanii powitał go młodzieńki, siedemnastoletni diakon. W izdebce, do której wprowadził wikariusza, panował wzorowy porządek. Niemal rażący. Nad wygasłym paleniskiem wisiał pusty kociołek. Nie widać też było ani śladu popiołu. W tym domu nikt nie mieszkał.

- Jestem ojciec Chuaquet, zmierzam do Paryża. Gdzie znajdę proboszcza tej parafii?

- Ojca Seneliera nie ma w wiosce - odparł diakon.

- Kiedy wróci?

- Tego nie wiem, ojcze. Proboszcz... zawitał do nas tylko raz, i to zeszłego roku. Więcej nie zaszczycił nas swą obecnością.

Diakon wyjaśnił, że tu, na północy kraju, ambitnych księży wabi stolica i Luwr, a wiele parafii, takich jak ta, pozostaje bez opieki duszpasterskiej.

- Któż więc pod jego nieobecność zajmuje się parafią i wiernymi? - zapytał Chuaquet.

- Ja - odparł z prostotą diakon.

- A msze? Wszak ty, chłopcze, nie jesteś uprawniony do celebrowania mszy. Jakże sobie z tym radzicie?

- Wierni chodzą spowiadać się i przyjmować komunię do kościoła w Gomerfontaine, trzy kilometry stąd.

- Jak się nazywasz?

- Augustodunensis, ojcze. Ale zwać mnie August.

Chuaquet baczniej przyjrzał się młodemu diakonowi. Chłopak był jeszcze szczupłutki w ramionach, lecz ton jego głosu i spojrzenie nabrały już siły i zdecydowania, jakie cechują ludzi dorosłych. Najwyraźniej z powagą podchodził do parafialnych obowiązków i doskonale radził sobie z tą dziwną sytuacją.

- Potrzebuję twojej pomocy - oznajmił Chuaquet. - Nie zajmę ci wiele czasu. Pożycz mi ten duży kociołek, chochlę i toporek. Trzeba mi dużo octu, czegoś na rozpalkę. Pomóż mi zgromadzić te rzeczy i przenieść je do lasu.

- Do lasu, ależ...?

- O nic nie pytaj. Musisz mi pomóc. Wkrótce sam zrozumiesz.

August zgromadził wszystko, czego zażądał Chuaquet, potem razem załadowali rzeczy na wózek, do którego zaprzęgli proboszczowego muła. I wreszcie, starając się nie zwracać na siebie uwagi, wyjechali z wioski.

W lesie, tam gdzie pozostawił wóz z trumną, wikariusz natychmiast zabrał się do rozpalania potężnego ogniska z suchych gałęzi, nad ogniem zawiesił kociołek, który wraz z diakonem napełnili wodą zaczerpniętą z rzeki. Kiedy woda zaczęła wrzeć, Chuaquet wlał do niej trzy gliniane butelki octu, które dostał od chłopca. Jego pomocnik wciąż nie miał pojęcia, co zamierza wikariusz.

Dopiero teraz Chuaquet zdjął z wozu plandekę. W powietrzu rozszedł się trupi odór. Diakon, ujrawszy trumnę, szybkim ruchem zerwał wieko. Nie wierzył własnym oczom. Ciało Haquina, częściowo przysypane ziemią, poruszało się, jakby trup oddychał. W trumnie roiło się od robactwa. Na ten makabryczny widok wikariusz zdecydował się opowiedzieć chłopcu całą swoją historię - od powodów, które skłoniły go do wyjazdu, poprzez trudy drogi i tożsamość zmarłego.

- Nie mogę wjechać do Paryża z cuchnącym trupem. Natychmiast zostałbym ukamienowany albo, co gorsza, tłum rozwłóczyłby szczątki biskupa. Nie mam wyboru.

Dawno temu, w młodości, Chuaquet uczestniczył w przygotowaniu relikwii świętego, którego kanonizowano tuż po śmierci. Jego trzewia zostały usunięte, szkielet podzielony na pojedyncze kości, te zaś, po dokładnym oczyszczeniu, rozesłano na cztery strony chrześcijańskiego świata jako obdarzone cudowną mocą. Ta niesamowita operacja tak głęboko wstrząsnęła młodym Chuaquetem, że zachował w pamięci każdy szczegół.

Wspólnymi siłami opróżnili trumnę, wyrzucając ziemię i ciało na śnieg. Ziemia osypała się i teraz dopiero ujrzeni, jak nieszczęsny jest los ludzkich zwłok. Skóra była rdzawa, postrzępiona, pokryta sinawą warstwą ropy, miejscami zielonkawej. Robactwo zawładnęło już wszystkim. W miejscu brzucha ziała czarna dziura. Robaki wyżarły trzewia. Nie mogło być mowy o wyjmowaniu serca, bo nic z niego nie zostało. Dzieło spustoszenia rozpoczęło się od roztrzaskanej czaszki Haquina, by objąć całe ciało. Smród przyprawiał o mdłości.

Wikariusz nie zdziwiłby się, gdyby chłopak wziął nogi za pas. On jednak wytrwał. Uznał, że najważniejsze jest oddanie należnej czci zwłokom starego biskupa. Pochwalał decyzję wikariusza i postanowił służyć mu pomocą.

Chuaquet z odrazą sięgnął po symbole, które nosił biskup. Zdjął mu z piersi srebrny krzyż i dwa drogocenne łańcuchy, nie bez trudu zsunął z prawej ręki Haquina trzy duże pierścienie biskupie.

Potem sięgnął po toporek i bez wahania zaczął odrąbywać nogi i ręce Haquina, starając się trafić w stawy.

Razem z diakonem zebrał odcięte członki i zanurzył je we wrzątku.

Trzeba było czekać, aż roztwór octu zrobi swoje. Ciało stopniowo zaczęło oddzielać się od kości. Na powierzchnię wypływały strzępy mięśni, wiązki nerwów i ścięgien unosiły się na wrzątku. A Chuaquet systematycznie wyławiał te ludzkie szczątki wielką chochlą i rzucał między krzewy. Kiedy kocioł przestał wypluwać mięso, wikariusz zajął się korpusem. Pocąc się, odrąbał toporem klatkę piersiową Haquina. Nogą usunął resztki trzewi, a potem zanurzył korpus we wrzątku.

I znowu musieli czekać. August dorzucał drew do ognia. Upłynęły dwie godziny. Kilkadziesiąt chochli rozmięklej skóry i wnętrzności wylądowało w lesie. Ciało biskupa zdawało się bez końca zrzucać swą ziemską powłokę. Chuaquet odczekał jeszcze trochę, wreszcie jednak postanowił skrócić cały proces.

We dwóch unieśli kocioł i mocno go przechylili. Czerwonawa, cuchnąca ciecz stopiła śnieg i popłynęła tłustą strugą ku rzece. Na wilgotnej ziemi kości Haquina piętrzyły się niczym sterta drew. Niektóre były gładkie, dokładnie oczyszczone, białe, inne natomiast wciąż oplatały ścięgna i kawałki ciała.

Zakonnicy przenieśli szczątki na brzeg rzeki. Tu, na klęczkach, w ciszy, wikariusz i młody diakon przystąpili do starannego szorowania w czystej rzecznej wodzie każdego kawałka szkieletu Jego Ekscelencji Haquina.

Zapadał już zmierzch, gdy Chuaquet zakończył pracę. Wszystkie kości włożył do skrzyni o długości metra, zbitej z surowego drewna, która dotąd służyła mu do przewożenia własnego skromnego dobytku. Wikariusz mocno się nameczył, żeby upchnąć w niej to, co pozostało po biskupie.

Potem, wraz z Augustem, ruszył w drogę powrotną do Dammartin. Dopełniając rytuału, zakonnicy nie zamienili ze sobą ani słowa. Dotarłszy na plebanię, usiedli przy stole i grzali się w ciepłe kominka, ale nadal milczeli. Ich dłonie spękały na mrozie. Długo napawali się przyjaznym i dobroczynnym blaskiem płomieni. Nie mieli ochoty na rozmowę.

W końcu Chuaquet oznajmił, że czas mu w dalszą drogę. Przed wyjazdem długo trzymał w ramionach młodego diakona. Słowa

pożegnania były zbyteczne. Chuaquet wolał poprzestać na gestach. Wydobył spod sutanny duży srebrny krzyż, który zdjął z szyi biskupa, i podał go Augustodunensisowi.

- Dziękuję ci - rzekł po prostu. - Teraz wiem, że mój pan, biskup Haquin, gdziekolwiek jest, widział twą dobroć i odwagę i że cię za to błogosławi. Zachowaj ten krzyż na pamiątkę po nim.

Wkrótce potem, mimo że noc była ciemna, wikariusz wrócił do oberży i zabrał swe konie. Zapłacił oberżyście i odszedł.

Nigdy więcej nie widziano go w Dammartin.

Cierpliwość Henna Guiego została nagrodzona trzeciego dnia po przybyciu nad parów. Słońce stało już dość wysoko, kiedy ujrzał wreszcie pierwszą ludzką postać w tej okolicy. Był to młody chłopak. Pospiesznie wyłonił się z krateru, ruszył ścieżką i nie zwalniając, minął drzewo, w którego konarach się ukryli. Był sam.

Henno Gui zareagował natychmiast. Kiedy tylko chłopiec oddalił się na bezpieczną odległość, zeskoczył na ziemię i ruszył w ślad za nim. W wyprawie towarzyszył mu Tłusty Czwartek.

Chłopak zbiegł nad rozlewisko.

Tu, ukryty w pewnej odległości od brzegu, Henno Gui mógł mu się spokojnie przyjrzeć.

Wyrostek miał około piętnastu lat. Był chudy i niezgrabny, o pająkowatych kończynach. Ciało okrywał dość dziwaczny strój - pozszywane zwierzęce skóry przycięto zgodnie z formą, a potem połączono na bokach mnóstwem rzemyków, które trzymały całość, owiązane wokół mięśni. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że chłopak samodzielnie nie zdołałby uwolnić się z tej niezwyklej, zwierzęcej zbroi. Henno Gui nigdy jeszcze nie widział takiego ubioru, a nawet nie słyszał, by gdzieś noszono podobne.

Wieśniak ukląkł w miejscu, gdzie wodę na niewielkiej powierzchni przykrywała cieńsza warstwa lodu. Trzymał w ręku skórzany bukłak. Otoczakiem, który leżał przy brzegu, rozbił cienką lodową powłokę, stale kraszona, ale już po kilku godzinach tworzącą się na nowo. Henno Gui zauważył, że chłopak nie zachowuje się jak zwykłe dziecko, które jak co dnia czerpie wodę. Zdawał się ściśle przestrzegać rytuału - wykonywał jakieś gesty, robił przerwy. Choć woda była lodowata, zanurzył bukłak, nie lękając się zmożenia rąk. Wyciągnął go, napelniwszy zielonkawą wodą, a następnie ruszył w drogę powrotną, równie szybko, jak szedł nad wodę. Kiedy mijał ukrytych za niskimi skałami Henna Guiego i Tłustego Czwartka, dzieliło ich ledwie kilka kroków.

Skradając się, odprowadzili chłopca aż na skraj parowu.

Słońce wznosiło się ponad drzewa. Wilk był w pobliżu, ale trzymał się nieco dalej niż zwykle i był bardziej niespokojny niż w przededniu.

W rozległym białym kraterze nastąpiła istotna zmiana. Nieustanne wędrówki między „dachami” nabierały określonego ładu. Nareszcie Henno Gui ujrzał z bliska swych parafian. Wszyscy nosili dziwne okrycia ze skór, podobne do tego, jakie miał na sobie wyrostek. Włosy mieli długie i zmierzwione, a ciemne brody mężczyzn zasłaniały im niemal całe twarze. Obserwując ich ruchy, Henno Gui mógł zorientować się w organizacji życia w kraterze. Domostwa były przytulone do ścian parowu i jak on - zaokrąglone. Szeroki krąg w środku pozostawiono pod gołym niebem. Właśnie tam ksiądz ujrzał znowu chłopaka znad wody. Położył napęczniony bukłak na środku, na śniegu. Potem wszyscy kolejno - kobiety i mężczyźni - podchodzili, by zwilżyć sobie czoło bagienną wodą. I znowu ich zagadkowe zachowanie nosiło wszelkie cechy obrzędu religijnego. Dziwnej ceremonii towarzyszyło wyczuwalne napięcie.

Henno Gui zauważył, że kobiety ubrane są podobnie jak mężczyźni. Tylko jedna nosiła zwyczajną tunikę, grubą i szeroką, ale ta kobieta była brzemienna.

Początkowo ksiądz doliczył się siedmiu mężczyzn, jedenastu kobiet i dwojga dzieci. W sumie było to dwadzieścia osób. A zatem, zgodnie z rachunkami Chuaqueta, a także jego własnymi (dzięki szaląsom w wiosce), nie wszyscy się pojawili. Wkrótce do grupy dołączyło czterech mężczyzn. Pierwszy był najwyższy i najpotężniejszy. Nosił rodzaj drewnianego rzeźbionego hełmu, dopasowanego do kształtu jego głowy, a na piersi metalowe i kościane ozdoby. Brodę miał dłuższą i bardziej zadbaną. Wieśniacy rozstąpili się, kiedy nadszedł. Za nim kroczyło trzech mężczyzn o ogolonych głowach i policzkach. Ubrani byli w długie, jasne skóry. Każdy z nich niósł worek. Henno Gui domyślił się, że są to kapłani. Uklękli przy bukłaku z wodą zaczerpniętą z moczarów. Wypowiedzieli kilka zdań w dialekcie, którego Henno Gui nie znał.

Mężczyźni uroczystym gestem wydobyli z worków odłamki skał i włożyli je do bukłaka z wodą z rozlewiska. Zgromadzeni wokół ludzie obserwowali ich w skupieniu.

Henno Gui rozpoznał odłamki. Były to szczątki figurek, które on roztrzaskał. Widocznie dla plemienia miały wielkie znaczenie.

- Wrócili do wioski - szepnął. - Przewidywałem, że tak uczynią. Nie wiem, jaką moc przypisują tej brudnej i cuchnącej wodzie, lecz ponad wszelką wątpliwość uważają ją za świętą i magiczną.

Siedzieli w ukryciu przez kilka godzin, aż do końca tej cichej ceremonii.



Proboszczowi trzeba było jeszcze trzech dni na opracowanie strategii. Przez cały ten czas obserwował plemię ze swego drzewa, pozostając poza zasięgiem wzroku wieśniaków.

O świcie czwartego dnia plan Henna został zrealizowany. Gdy jak co rano chłopak wyszedł z wioski i skierował się na moczary, aby zaopatrzyć kapłanów w świętą wodę, Henno Gui i olbrzym zastąpili mu drogę i rzucili się na niego. Zdusili jego krzyk i zaciągnęli na szczyt sosny. Dokonali tego, nie pozostawiając żadnych śladów.

Las znów był cichy, jak zwykle wczesnym rankiem...

Na drzewie skrępowali chłopaka i porządnie zakneblowali mu usta. Tłusty Czwartek mocno się natrudził, zanim zdołał wysupłać jeńca z jego dziwnego skórzanego ubioru, oplatanego rzemieniami. Skóra na jego ciele była rozmiękczone i dotknięta grzybicą. Teraz ksiądz był już pewien, że wieśniacy nie zdejmowali swych strojów przez całą zimę. Albo był to zwyczaj, albo nakaz o charakterze religijnym. Henno Gui namaścił ciało chłopca wyciągami z ziół i okrył swym zapasowym habitem oraz ciepłą opończą.

Więzień przypatrywał się swym strażnikom i usytuowaniu ich kryjówek. Początkowo próbował się bronić, chciał krzyczeć. Na próżno. Grube krople potu zrosiły mu czoło. Chłopak zaciskał szczęki jak człowiek poddawany torturom.

Henno Gui wkrótce zaczął swoje „śledztwo”, oceniwszy przedtem dokładnie, co może mu przynieść to porwanie. Początkowo starał się dodać chłopcu otuchy, uspokoić go. Celem kapłana było poznanie mowy plemienia i jak najszybsze opanowanie jej. Tylko ten dzieciak mógł mu w tym pomóc, choćby wbrew własnej woli.

Henno Gui zaczął od wypowiedziania krótkich słów, które powtarzał głośno i wyraźnie. Jako pierwsze wymienił słowo „Bóg”, wychodząc od pierwotnego łacińskiego rdzenia, a następnie stopniowo podając nowsze formy etymologiczne, aż do współczesnej wersji francuskiej, nie zapominając o dialekcie prowansalskim i włączając odmiany romańskie i katalońskie. Ku jego ogromnemu zdziwieniu chłopak nie zareagował na żadną wersję pojęcia. Henno Gui był lekko rozczarowany. Wybrał więc słowo łatwiejsze do uchwycenia i o mniej kapryśnych brzmieniach. Wyszedł od łacińskiego edere: jeść. Nie uczynił żadnego gestu, nie dał żadnego znaku, który pomógłby chłopcu w odkryciu znaczenia słowa. I tym razem odbył wędrowkę, tropiąc zmiany następujące na przestrzeni dziejów. Oko więźnia drgnęło po raz pierwszy, gdy Henno Gui wypowiedział je w dialekcie langwedockim. Wtedy kapłan wspomógł dźwięk mimiką, aby podkreślić znaczenie słowa. Chłopak skinął głową na znak, że rozumie.

Ksiądz kontynuował eksperyment. Na swej etymologicznej liście sprawdzał, czy słowo bliskie brzmieniu langwedockie-mu wzbudza zainteresowanie chłopca. Po kilku takich próbach chłopak zrozumiał, do czego zmierza kapłan, i w końcu dał się wciągnąć w grę.

Triumf był przelotny. Kiedy Henno Gui próbował połączyć kilka prostych słów albo układać krótkie zdania, chłopak przestawał reagować. Sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy proboszcz zaryzykował wprowadzenie czasowników. Między więźniem a strażnikiem nieoczekiwanie wyrósł mur.

Henno Gui zrozumiał, że tą drogą do niczego nie dojdzie. Nadszedł czas, by przemówił więzień.

Wyjął chłopcu knebel z ust. Olbrzym stał tuż obok, trzymając ostrze maczety na widoku, gotów uciszyć wieśniaka, zanim ten zdążyłby krzyknąć.

Kapłan przygotował pióro i pergamin.

Po wymianie kilku oddzielnych, niemających ze sobą związku słów chłopak wypowiedział w końcu spokojnie pierwsze prawdziwe zdanie.

Kapłan zapisał fonetycznie usłyszane słowa: „stracić”, „wiedzieć”, „ojciec”, „pierwszy”, „piękny”.

Chłopak szeptał zdania, a proboszcz wychwytywał poszczególne sylaby i zapisywał je, starając się czynić to jak najdokładniej.

Henno Gui ponownie zakneblował dzieciaka dopiero wówczas, gdy zapisał pięć stron. Potem w spokoju analizował ich treść. Gdy zapadł zmrok i litery stały się niewidoczne, rozmyślał o swoich zapiskach przez całą noc.

Snując śmiałe teorie i wykorzystując całą swą wiedzę filologiczną i gramatyczną, zdobytą dzięki paryskim profesorom, wreszcie nad ranem zrozumiał.

Wynik prac badawczych przerósł najbardziej nawet szalone oczekiwania. Ksiądz, z natury spokojny i opanowany, tym razem nie potrafił powściągnąć emocji, jakie wzbudziło w nim to nieoczekiwane odkrycie.

- Chłopiec używa mowy langwedockiej - powiedział do Tłustego Czwartka. - Nieco zniekształconej z racji wymowy, lecz źródło jest oczywiste. Natomiast zdania budowane są zgodnie z zasadami gramatycznymi klasycznej łaciny!

Ten sprzeczny z logiką mariaż dwóch tak różnych kultur zbił Henna z tropu. Czyżby ten regionalny język zamkniętej społeczności, odciętej od cywilizowanego świata, wywodził się z prawdziwej łaciny?

Henno Gui uczył się konstruować zdania oparte na odkrytej regule, stopniowo dochodząc do wprawy.

Po długiej serii porażek kapłan i chłopiec wymienili w końcu pierwsze zrozumiałe dla siebie zdanie. Od tej chwili obaj ulegli nowej i wspólnej pasji.

Zniknięcie chłopca wzbudziło zaniepokojenie wieśniaków. Tropem nosiciela wody wysłali pięciu mężczyzn. Na czele oddziału stanął człowiek w drewnianym hełmie. Dotarli do moczarów, nie odkrywając kryjówki Henna Guiego i olbrzyma.

Na brzegu odnaleźli bukłak na wodę, wskazujący na bytność chłopca. Był pusty, leżał porzucony na śniegu. Wieśniacy nie mogli wiedzieć, że podrzucił go Henno Gui.

Nie to jednak zwróciło ich uwagę, lecz ogromna plama krwi, jakby w tym miejscu została złożona ofiara. W powłoce lodu ziała mroczna dziura, niczym paszcza jakiegoś stwora. Woda w otworze była zabarwiona na czerwono. Widok robił ogromne wrażenie - można by pomyśleć, iż paszcza pochłonęła ofiarę.

Mężczyzna w hełmie podniósł bukłak i szybkim krokiem zawrócił w stronę osady. Jego ludzie poszli za nim. Ich odkrycie pograżyło w osłupieniu i pełnej przerażenia ciszy całe plemię. Krzyk kobiety świadczył, że matce chłopca przekazano niewiarygodną i tragiczną wieść. Wszyscy powrócili do chat i zaszyli się w nich.

Po językowych studiach kapłana Tłusty Czwartek podjął własne działanie, skupiając się na ubraniu wieśniaka. Kawałki skóry starannie powiązał rzemykami, a następnie nadał całości kształt, wypychając skórę piaskiem i suchymi liśćmi. W ten oto sposób powołał do życia nową istotę. Kiedy skończył, opuścił kryjówkę i ruszył w kierunku parowu.

Nazajutrz mieszkańcy parowu natknęli się na kukłę młodego nosiciela wody, którą podrzucił Tłusty Czwartek. Byli wstrząśnięci i przerażeni.

Właśnie w tej chwili ksiądz zauważył ze swej kryjówki nową, dwudziestą piątą postać. Mężczyzna szedł powoli, trzymając w ręku kostur, który przewyższał go o kilka głów. Jak wszyscy jego bracia miał ciemną brodę i długie włosy. Prezentował się godniej od kapłanów i mężczyzny w hełmie. Był ubrany w długą, obszerną pelerynę utkana z żółtej i bladoczerwonej wełny. Ten człowiek miał oblicze i postawę mędrca. Henno Gui obserwował go, uśmiechając się triumfalnie. Czekał.

Wieśniacy rozstąpili się z szacunkiem przed nowo przybyłym. Mężczyzna podszedł do kukły i długo się jej przypatrywał, nic nie mówiąc. Potem spojrział w niebo. Poranne słońce wolno wznosiło się ponad grzebień lasu. Nagle, gdy jego promienie sięgnęły wreszcie dna parowu, przywódca plemienia wbił kostur w śnieg, o kilka centymetrów od kukły. Potem przeszedł kilka kroków wzdłuż linii cienia, jaki rzucał na śnieg kostur, i uczynił znak na śniegu w miejscu, gdzie cień się kończył.

Henno Gui nie rozumiał jego zachowania.

Mędrzec wznosił ręce ku niebu.

- Or da lieal

Wykrzyknął te słowa po trzykroć, potężnym głosem, wobec całego oszołomionego plemienia. Henno Gui usłyszał je bardzo wyraźnie.

- Ordalia!...-wyszeptał.

Szeroki uśmiech satysfakcji zagościł na jego twarzy. Tłusty Czwartek patrzył na niego, nie pojmując...

10

Gilbert de Lorris i Aymard du Grand-Cellier przybyli do Rzymu w słoneczne popołudnie. Nieco cieplejsze powietrze roztopiło śnieg, który połyskliwymi strużkami spływał z kolumnad i płaskorzeźb. Choć Aymard po raz pierwszy ujrzał to miasto, nie okazywał zachwytu - marmury i mozaiki nie robiły na nim wrażenia. Teraz, gdy był już u celu podróży, pograżył się w jeszcze bardziej posępnym nastroju. Gilbert tymczasem promieniał radością. Drogę powrotną zdołał przemierzyć w czasie o zaledwie dzień i noc dłuższym niż podróż do Francji. Wiedział, że tak szybkim powrotem i wypełnieniem misji wprawi w zdumienie kamratów. Młody żołnierz miał poszarzałą ze zmęczenia twarz, posiekaną mrozem, jednak przybrał dumną postawę człowieka, który dokonał wielkiego wyczynu. Niewielka bródka dodawała mu lat. W przykurzonych, brudnych butach, wytartym płaszczu, wypelzłych z koloru getrach poczuł, że wreszcie prezentuje się jak prawdziwy mężczyzna.

Ponieważ rozkaz wydany mu przez Sartoriusza pochodził bezpośrednio z kancelarii papieskiej, Gilbert skierował się wprost do Lateranu.

W pałacu nie musiał nawet odczytywać strażom rozkazu. Na sam widok papieskiej pieczęci natychmiast obudzono woźnego, ten zaś co prędzej wybiegł przez małe drzwi.

W kilka sekund później wartownik wprowadził Gilberta i Aymarda do antyszambru kancelarii Artemidora.

Ściany tej przestronnej izby były niemym świadkiem poniżenia Enguerrana du Grand-Cellier. Wartownik wskazał przybyszom biurko tuż przy drzwiach gabinetu Jego Ekscelencji.

Gilbert i Aymard stanęli przed drobnej postury mężczyzną, który pracowicie krzątał się przy swym skromnym stole sekretarza. Diakon Fauvel de Bazan z niepokojem spojrzał na rozkaz misji, przekazany przez Gilberta. Poblądł, zauważywszy Aymarda.

- Szybko się sprawileś, młodzieńcze - rzekł sekretarz kanclerza, zwracając się do Gilberta.

Żołnierz uznał, że wypada mu pozostawić tę uwagę bez komentarza. Uważał ją za komplement. Sięgnął do sakwy i postawił na biurku skrzynkę, którą powierzył mu Sartoriusz.

- Oto potwierdzenie trasy, jaką przebyłem - powiedział. - A także bony, których nie wykorzystałem w podróży. Pozostało z górą dwadzieścia dukatów.

Bazan otworzył kuferek i przeliczył pieniądze.

- Doskonale, przyjacielu - rzekł.

Do tej pory nikt wysłany z misją nie wrócił przed wyznaczonym czasem, w dodatku z zaoszczędzonymi pieniędzmi, a w każdym razie nikt nie zwracał ich zwierzchnikom. Mimo to diakon nie okazał nawet cienia wdzięczności, co więcej - przybrał surowy, ostry ton.

- Kto nakazał ci taką gorliwość? Pytanie zabrzmiało jak wyrzut.

- Zyskałeś niemal dwa tygodnie, choć jak na zimowe warunki i tak dano ci mało czasu - podjął diakon. - Nie oczekiwaliśmy was tak szybko. Czy jesteś świadom konsekwencji swego postępowania?

Duma, która rozpierała Gilberta, prysnęła niczym bańka mydlana. Zaiste, nikt nie kazał mu zajeżdzać koni. Zdał sobie sprawę, że sprowadzając Aymarda do Rzymu w trybie przyspieszonym, nie wypełnił rozkazu.

Wyczyn Gilberta nie zyskał w oczach zwierzchników uznania. Młodzieniec poczuł, że traci pewność siebie. Z pomocą pospieszył mu Aymard.

- Wy tu w Rzymie uważacie, że w taki mróz najważniejsze jest trzymanie się kalendarza podróży wymyślonego w ciepłym pałacu. Ten chłopak dobrze wypełnił zadanie. Jestem w Rzymie. Oczekuję, aby poinformowano mnie, przed czym mam stanąć obliczem.

Słowa Aymarda zrobiły na diakonie silne wrażenie. Arogancki Bazan nie wiedział, gdzie podziać oczy. Nie zdobył się na żadną replikę.

- Rzecz jasna, wiesz, kim jestem, ojcze? - zapytał Aymard.

- Tak - odparł Bazan.

- Kto sprowadził mnie do Rzymu? Ty?

- Nie. Nasz kanclerz, Jego Eksceleńcja Artemidor. To on zajmuje się...

- Sądziłem, że moja sprawa trafiła do rąk samego Ojca Świętego i że zależy wyłącznie od niego - przerwał mu Aymard.

Gilbert drgnął. Nic nie wiedział o swym więźniu.

- Tak... lecz papież powierzył ją swemu kanclerzowi... i wyłącznie jemu.

- Mimo to wiesz, z kim mówisz.

- Jestem pierwszym diakonem Jego Eksceleńcji.

- Rzecz jasna... Czy mój ojciec nadal przebywa w Rzymie?

- Tego nie wiem.

Nieoczekiwane przybycie syna Enguerrana du Grand-Cellier do Rzymu wprawilo w nie lada zakłopotanie zarówno kanclerza, jak i jego pierwszego diakona. Spodziewano się, że Aymard stanie przed zgromadzeniem, które wysłuchało już jego ojca, dopiero w przyszłym tygodniu. Żadną miarą ten niespokojny duch nie miał prawa przekroczyć bram Rzymu. Straże wystawione u zbiegu głównych dróg wiodących do Wiecznego Miasta miały go oczekiwać i odstawić w bezpieczne miejsce. Jego nagły przyjazd zniweczył starannie ułożony plan.

Bazan uspokajał, jak umiał, rozgniewanego kanclerza. Artemidor nie mógł czekać do następnego zgromadzenia, by przesłuchać Aymarda. Nie mógł także bez rozgłosu przetrzymywać w Rzymie osobnika o jak najgorszej reputacji. Kanclerz był zmuszony osobiście zająć się szlachetnie urodzonym złoczyńcą.

Bazan odprowadził Aymarda do prywatnego pałacu swego zwierzchnika, na wprost Lateranu. Przedtem zezwolił odejść młodemu Lorrisonowi. Żołnierz sądził, że niezwłocznie powróci do służby wartowniczej, jednak zabrano go do Falvella, mieszczącego się na północnych obrzeżach Rzymu garnizonu, o którym Gilbert nigdy dotąd nie słyszał.

Aymard wszedł do salonów Artemidora. Tkane na sposób damasceński story i sprowadzone z Cypru dywany były ogromne. Zazwyczaj kanclerz przyjmował gości w swej sypialni, na modłę wschodnich książąt i wielkich baronów, dziś jednak Artemidor nie chciał dopuścić, aby człowiek o takiej przeszłości przekroczył progi pokoju, w którym sypiał.

Kanclerz powitał Grand-Celliera. Ubrany był w pelerynę ze skór łosia i jelenia, związaną czerwoną szarfą, mającą moc odpędzania złych duchów i diabłów.

- Witam Waszą Ekszelencję - rzekł Aymard. Artemidor odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

- Wiedz, panie, iż pragnę rychłego osądzenia mojej sprawy - podjął Aymard, nie czekając na zezwolenie kanclerza. Artemidor uniósł brwi.

- To pragnienie przynosi ci zaszczyt - odparł. - Zapewniam, iż zostanie spełnione. Po cóż ściągano by cię do Rzymu?

- Mniemam, iż mój ojciec prosił o audiencję u papieża, abym mógł się bronić lub aby on mógł stanąć w mej obronie. Jestem przygotowany na sąd przy zamkniętych drzwiach, następnie zaś na ekskomunikę i stos, który zapłonie na dziedzińcu przed owym sądem, albo na przymusowy udział w krucjacie, gdzie zginę, broniąc słusznej sprawy.

- Krucjata? Co za pomysł! - zachnął się zakonnik. - Po cóż mielibyśmy czynić coś takiego?

- Często zdarzało się wam zmuszać przeciwników do przywdziania szat krzyżowca. Czy to dla odkupienia win, czy po prostu po to, aby się ich pozbyć, wysyłając za morze.

- Drogi przyjacielu, już od bardzo dawna nikt nie odkupuje grzechów na wyprawach... z pewnością zaś nikt nie leczy tam duszy... Krucjata może uchronić od spląty długu, oddala od nas ludzi niekompetentnych, czasem nawet pomaga uciszyć złą sławę, lecz w twoim przypadku krucjata byłaby daremnym trudem.

- Zatem czeka mnie śmierć. Niech i tak będzie. I niech szybko nastąpi.

- Powściągnij nerwy, przyjacielu. W gorącej wodzie jesteś kąpany.

- Niechaj Wasza Ekscelencja nie oczekuje ode mnie skruchy. Nie wiem, jakie obietnice złożył mój ojciec, co się jednak tyczy mej osoby, nie zamierzam naprawiać win ani zacierać pamięci o nich. Jakże zresztą miałbym to uczynić?

- Ty zaiste nie możesz nic uczynić. Lecz twój ojciec wiedział, jak spełnić to, czego odeń oczekiwano.

- Cóż takiego?

- Dajmy na to... powierzyć cię naszej opiece. Artemidor zaczął od niechęcia obracać pierścienie na tłustych palcach.

- Powiedzmy to sobie jasno - podjął. - Zaskoczyliście nas nieco, przybywając do Rzymu wcześniej, niż przewidywaliśmy, toteż nie jesteś tu przedstawiany należycie i zgodnie z przyjętym obyczajem. Ta rozmowa, którą teraz prowadzimy, nie powinna mieć miejsca, skoro jednak...

- Słucham, Ekscelencjo.

- Nie ja jeden zajmuję się twoją sprawą i nie ja jeden zdecydowałem, iż należy cię tu sprowadzić. Inne znamienite i wpływowe osoby stoją u mego boku. Wedle naszego zwyczaju winieneś najpierw stanąć przed naszym zgromadzeniem. Wówczas każdy z nas mógłby poddać cię przesłuchaniu, zadając pytania, które nasunęłyby mu twoja osoba, a przez to poznać cię i z pewnością lepiej zrozumieć. Mamy w tym duże doświadczenie.

Aymard pozwolił sobie na uśmiech, w którym dało się dostrzec wzgardę.

- Wiem coś o tym, Ekscelencjo. Kiedy służyłem pod rozkazami hrabiego Belleme, w jego regimencie w Charlier, sąd wojenny także próbował mnie zrozumieć i ukarać tak, abym stał się lepszym żołnierzem. Wszelako połamali sobie na mnie zęby. Widzę, że i wy przejawiacie pychę, która sprawia, iż pragniecie karać i naprawiać ludzi. Mam odkupić grzechy? To niemożliwe, sam rzekłeś, Ekscelencjo. Umrzeć? Za łatwe.

Naprawić mnie? Właśnie to wam w głowie... Znam takie gadki. To są złudzenia! Jesteście skazani na sromotną klęskę.

- Wiem wszystko o twoim sporze z hrabią Belleme i karierze wojskowej. Nie poddałeś się wyrokowi sądu i powróciłeś do ojcowskich dóbr. W kilka tygodni później wstąpiłeś do seminarium, aby - jak to wtedy mówiłeś - nieść wsparcie ubogim w Chrystusie. Tak było?

Aymard milczał.

- Powiadają, że człowiek może uleczyć człowieka, gdy choroba ogarnie trzewia lub szkielet, skoro jednak dotknie duszy, nie starczy życia, aby osiągnąć ten cel... To bardzo długa i mozolna praca. Nie wiem, na ile bliska jest ci ta domena, lecz oczywisty rozdział powłoki cielesnej od jej duchowej siostry to pogląd i tendencja, którą rozumiem i z którą się zgadzam, podobnie zresztą jak wielu naszych braci, którzy ją podzielają, będąc wiernymi dogmatom ojców kościoła. Rozdział ciała i ducha to stara myśl. Między nami mówiąc, wyznam jednak, że to kapitalny błąd, a ty wkrótce pojmiesz, w czym tkwi paradoks. Nie jesteśmy, jak rzekłeś, o władni pychą, przyjacielu, wszelako doskonale wiemy, co czynimy. „Ciało i umysł zjednoczone z duszą” - oto nasza dewiza. Przekonasz się, że ciało może dokonać z duszą tego, o czym sam umysł nigdy nie śmiałyby marzyć...

Aymard słuchał z kamienną twarzą.

Artemidor pociągnął za sznurek, który wisiał za jego plecami. W drzwiach stanął potężny mężczyzna, zbudowany jak Herkules, od stóp do głów w czerni.

- Aymard du Grand-Cellier jest już oczekiwany w klasztorze. Odprowadź go tam.

Teraz do salonu wszedł Bazan.

- Fauvel - rzekł kanclerz - dopilnuj, aby dyskretnie opuścił miasto. - A do Aymarda: - Życzę ci szczęścia, synu. Wrócimy do tej rozmowy, kiedy znowu się spotkamy. Jestem pewien, że wówczas będziesz podzielał moje poglądy na temat jedności duszy i ciała. Człowiek taki jak ty nie może pozostać obojętny na kurację, która cię czeka.

Aymard został usadowiony przez człowieka w czerni w karocy o szczelnie zasłoniętych oknach. Przez dwa dni i dwie noce nie zezwalano mu na wyjście z jej wnętrza. Przynoszono mu stawę i napoje, a ulżyć sobie mógł jedynie w szczerym polu, u stopni karocy.

Kiedy nareszcie odzyskał swobodę, przekonał się, że jest na drugim krańcu Państwa Piotrowego, nad Morzem Adriatyckim. Gęsta poranna mgła spowijała okolicę. Wijąca się po zboczach ścieżka, dostępna tylko dla



piechurów, wiodła ku szczytowi. Tą drogą poprowadził go człowiek w czerni.

Wkrótce Aymard ujrzał w dali długie mury fortecy, która wznosiła się samotnie pośród dzikiego krajobrazu. Ścieżka była kamienista. Po półgodzinnym marszu dotarli do szerszej drogi, która wiodła do kompleksu zabudowań. Nie była to forteca senioralna, jak początkowo sądził Aymard, lecz ogromny klasztor, wspaniale odnowiony i ufortyfikowany jak królewska twierdza. Mur zamykał rozległy teren, nigdzie nie widać było wrót, furtki ani otworów strzelniczych.

Aymard ogarnął spojrzeniem horyzont. Wokół nie było domostw, wioski, portu ani choćby łodzi na morzu.

Człowiek w czerni poprowadził więźnia do wschodniej ściany. Tam mała furta, niemal żałosna wobec ogromu murów, skromna i niemal niedostrzegalna, otwarła się przed nimi na proste hasło: „Dzięki Ci, Boże”. Aymard wszedł, prowadzony przez strażnika.

Człowiek, który otworzył im furte, już się oddalił. Grand--Cellier dostrzegł tylko jego plecy i brązowy habit, niknący w głębi dziedzińca.

Śladem swego tajemniczego przewodnika minął drewniany perystyl, otwarte westybule, bezludne i ciche korytarze...

W końcu człowiek w czerni zatrzymał się w dużej izbie. Dużej i białej. Jej okna wychodziły na klasztorny ogród. Słońce zalewało ją blaskiem, przenikając przez wysokie okna z witrażami. Ukazano na nich sceny Męki Pańskiej, kreśląc sylwetki ołowiem, nie dając jednak ani perspektywy, ani wyraźniej szych kształtów, jakie obrazy mogłyby zyskać dzięki użyciu barw. Aby ujrzeć wszystko, co chciał ukazać twórca tego dzieła, trzeba było wprawno oka i skupienia... czy jednak były to sceny opisane w Ewangelii?

W drugim końcu izby otwarły się drzwi. Dwaj ludzie szli w stronę Aymarda. Jeden z nich, niski i chudy, z tonsurą, był mnichem. Drugi nosił dziwny strój - długą czerwoną tunikę, nieco na modłę rzymskiej togi, a do niej żółtą kamizelę. Był bosy i miał ogoloną głowę.

- Witaj, mój synu - odezwał się zakonnik. - Jestem przeorem tego klasztoru, nazywam się Profuturus. Witaj w naszej wspólnocie Alberta Wielkiego.

Dał znak człowiekowi w czerni, ten zaś, nie wypowiadając ani słowa, opuścił izbę.

- Synu mój, choć do mnie należy władza nad tym klasztorem, nie moją sprawą jest informować cię, jaki czeka cię tu los. Nie wiem tego, podobnie jak ty sam. Każdy przypadek ma odmienny przebieg. I ty zapiszesz własną historię, czy zwieńczy ją sukces, czy zakończy klęska. Pozwól, że przedstawię ci mistrza Droneę, jednego z naszych najznamienitszych

profesorów. Niestety, nie mówi po francusku, nie zna też żadnego zachodniego języka. Można porozumiewać się z nim wyłącznie w jego ojczystej mowie. Jakże to zresztą może mieć znaczenie... Będziesz wypełniał zalecenia, które wyda ci, używając gestów i spojrzeń.

- Jego zalecenia? Jakże?

- Wszystkie, synu.

Mężczyzna w dziwnej purpurowej todze położył ciężką dłoń na ramieniu Aymarda.

- Mistrz Drona to twój treser - oznajmił przeor.

11

Nazajutrz po ogłoszeniu ordaliów, zasłyszonym przez Henna Guiego, wszyscy wieśniacy szykowali się w swych domostwach do ceremonii. Niebo zasnuły chmury. Pojedyncze płatki śniegu opadały leniwie. Trzej kapłani układali drwa na ognisko. Tragarze polewali ziemię świętą wodą z bagien i napełniali nią wielką kadź. Ustawili ją nad ogniem, na wzgórku ułożonym z kamieni.

- Poprzez czerwony ogień, który rozpala do białości kamienie i czerni drewno - przemówił starzec w czerwonej todze - poprzez świętą wodę, która goi rany i oczyszcza poczerniałe serca, w imię naszych siedmiu świętych matek, błagam bogów, aby zesłali między nas...

Wszyscy mieszkańcy zebrali się wokół kapłanów, mężczyzny w drewnianym hełmie i „czcigodnego”, który odprawiał obrzęd. Gdy umilkło echo słów inkantacji, padli na kolana, pochylając głowy i zaciskając dłonie na sercu. Zapanowała głęboka cisza. Czekali.

Przy pierwszym wyczuwalnym drzeniu wody mędrzec obwieścił:

- Woda bagien przebudziła się!... wielki i zdumiewający. Jego tors, ramiona, potężny kark i ciemne oczy wyraźnie odcinały się od jaśniejącej z każdą chwilą chmury. Uczestnicy ordaliów nie byli w stanie oderwać oczu od tej niezwykłej wizji. Niemal wszyscy pobledli.

Oczekiwali, że potężny bóg da im znak, że uczyni coś, co będzie wyrazem jego sprawiedliwości.

A bóg nie kazał im długo czekać. Wyciągnął ramię, wskazując na południe. Wyciągnął je tak zdecydowanie i daleko, że jego postać rozplynęła się w tym ruchu, by stać się bladym obłokiem dymu... I wtedy wieśniacy usłyszeli trzaski na skraju parowu.

Ruch.

Szybki.

Wszystkie oczy zwróciły się w tym kierunku. Lecz nikt nie dostrzegł żadnego poruszenia.

Nagle jeden z wieśniaków krzyknął.

Całe plemię zamarło. Pośród boskiego obłoku, który rozplątywał się w koronach drzew, ujrzeli wyłaniającą się sylwetkę, jasną i tajemniczą.

Henno Gui wyszedł na środek wioski przed mędrca oraz kapłanów. Był sam. W prawej ręce trzymał drewniany kostur. W miarę jak się zbliżał, co mniej odważni uciekali i znikali w kryjówkach.

Proboszcz obserwował z góry przebieg ordaliów. Dokonał ich demistyfikacji, jakby odczytywał starożytny mit lub pogańską legendę: liście nie były liśćmi, lecz starym nasączonym pergaminem, który zawierał siarkę, przejmujący krzyk dobywający się z kadzi - reakcją rozgrzanego metalu przy zetknięciu z lodem, twarze bogów zaś - przypadkowymi kształtami, podobnie jak przeistoczenie się ogromnego boga w czarną emanację. Bóg nie wyciągał ramienia, lecz tylko wiatr unosił dym. Henno Gui pośpiesznie wykorzystał okazję, by ukazać się im w blasku boskości. Przerazenie wieśniaków powinno zapewnić mu bezpieczeństwo. ,

Stało się jednak inaczej.

Mężczyzna w drewnianym hełmie nieżyczliwie powitał zaskakujące zjawisko. Brutalnie rzucił się na księdza.

Ale wystarczyło, że ten wyciągnął rękę, a napastnik jak długi runął na śnieg.

Próbie ataku podjął drugi mężczyzna, potem trzeci, lecz powstrzymywała ich ta sama tajemnicza siła - upadali, nie dotknąwszy nawet Henna Guiego. Ta nadprzyrodzona siła wprawiła wieśniaków w przerażenie.

- Czyś jest jednym z bogów? - zapytał mędrzec.

Proboszcz wiedział, że musi odpowiedzieć szybko i że być może jego życie zależy od tego, co powie.

Sądził, że wystraszy tubylców swym pojawieniem się i tajemniczą mocą. W zwykłej parafii, gdziekolwiek w królestwie, takie czyny zaszokowałyby ludność i rzuciły na kolana przed „cudotwórcą”, lecz kapłani zachowali kamienny spokój. Trzeba było uczynić coś jeszcze.

- Nie - odparł Henno Gui w ich języku. - Jednak wiem to, czego nie wyjawili wam wasi bożkowie.

Uniósł rękę. Na górze, tuż nad parowem, pojawił się chłopak, którego Tłusty Czwartek i Henno porwali. Zbiegł po stromym zboczku, ubrany w habit księdza.

Wobec powrotu z zaświatów oblicze mędrca wreszcie zmieniło wyraz. Henno Gui zadał kłam jego bogom.

Proboszcz mówił dalej:

- Wiem jeszcze inne rzeczy, wiem o wielu rzeczach, które wam są nieznane...

Kapłani obserwowali go, stojąc nieruchomo. Teraz nikt już nie podnosił broni na zjawę. Serce księdza tłukło się w piersi jak spłoszony ptak. Wiedział, że odniósł pierwsze zwycięstwo. Dopiero pierwsze. Zdołał zyskać na czasie. A przecież cała jego strategia miała prowadzić do tego celu: zyskać na czasie... sprawić, by pozwolili mu mówić i... słuchali go.

12

Wikariusz Chuaquet wjechał do Paryża bramą Wielkiego Mostu. Minął rogatki i posterunek celników, o nic nie pytany. Z wysokości Wzgórza Świętej Genowefy widział całe miasto. Dawno temu dziadkowie opowiadali mu, jakie jest cudowne, lecz od tamtych czasów stolica bardzo się zmieniła. Pod panowaniem trzech kolejnych władców liczba mieszkańców podwoiła się, miasto się rozrosło, drewniane domy ustąpiły kamiennym.

Chuaquet musiał znacznie nadłożyć drogi, aby wjechać do miasta wozem. W starej części Paryża uliczki były wąskie, zastawione straganami. Drogę blokowali uginający się pod ciężarami tragarze, gromady włóczęgów i żebraków, którzy spali na bruku.

Mimo mrozu na kupieckich ulicach roilo się od ludzi. Smród był odrażający. Zakonnik pomyślał, że w tej sytuacji trumna z cuchnącymi zwłokami Haquina nie zwróciłaby niczyjej uwagi.

Chuaquet minął dwie szubienice, na których schli wisielcy w papierowych mitrach na głowie. Nie wolno było ich tknąć, dopóki nie pękł sznur albo kark nieszczęśnika. Z powodu tego zakaza trupy kołysały się na wietrze przez wiele dni, czasem nawet tygodni. Woń rozkładających się ciał i ludzkich odchodów spływających z brudną, wezbraną wodą rynsztokami mieszała się z zapachami owoców na straganach.

Chuaquet z trudem odnalazł drogę do arcybiskupstwa. Ani habit, ani tonsura nie chroniły przed dowcipniami, którzy dla żartu wskazywali mu mylny kierunek. W stolicy szacunek wobec kleru nie był w modzie.

W końcu jednak Chuaquet zdołał dotrzeć na ulicę du Four, nieopodal mostu Wymiany. Nad brzegiem Sekwany ujrzał gmach będący siedzibą najwyższej władzy kościelnej w królestwie, choć Paryż podlegał archidiecezji w Sens. Przed kutą bramą nabijaną gwoździami pozostawił pod opieką chłopca stajennego konie i wóz.

Gdy minął żelazne wrota i ruszył wąskim krużgankiem ku sercu budowli, poczuł, że znalazł się zupełnie w innym świecie. Pozostawił za sobą miasto hałaśliwe i odrażająco brudne. Tu nie dobiegał uliczny gwar, było cicho, spokojnie i czysto.

W rozległym ogrodzie za wysokim murem mozaika wypielegnowanych i starannie przyciętych krzewów przypominała iluminację w manuskrypcie. Postacie ludzi i zwierząt układały się w symboliczny obraz

raju. Przechadzając się po tym małym edenie, można było odgadnąć człowieczy los, jakby się czytało otwartą księgę. Na gałązkach i gazonach nie leżał ani jeden płatek śniegu. Ogrodnicy co rano skrupulatnie usuwali każdy ślad bieli, aby ogród zachował blask wiosennej zieleni. Mrozooodporne iglaki były zadziwiająco żywotne, wydawało się, że taka masa zieleni w środku mroźnej zimy może istnieć tylko za sprawą cudu.

Nieco dalej Chuaquet dostrzegł ogromną wolierę, a w niej gołębie pocztowe, silne i dobrze odżywione.

Chuaquet troskliwie, niczym skarb, trzymał w ramionach skrzynkę z kośćmi Haquina. Do tej pory nikomu nie zdradził, co zawiera ów kuferek.

Dotarł do końca krużganka, gdzie młody dominikanin oczekiwał na proszących o posłuchanie.

- Zwą mnie bratem Quatremere - przemówił. - W czym mógłbym pomóc?

- Nazywam się Chuaquet, jestem wikariuszem biskupstwa Draguan.

- Draguan? Nigdy o takim nie słyszałem. Co cię sprowadza?

- Przybywam z wieścią o śmierci... - Chuaquet zawiesił głos, wahając się. Nie chciał w rozmowie z tym obcym człowiekiem użyć słowa „morderstwo”. - ...o odejściu Jego Ekscelencji Haquina, naszego biskupa.

Dominikanin odnotował jego przybycie w księdze.

- Pragnę spotkać się z Ekscelencją Alcherem de Mozat -dodał Chuaquet.

Nazwisko nie zrobiło na młodym zakonniku najmniejszego wrażenia. Wskazał gościowi jedynie drogę do zachodniego skrzydła.

- Zgłoś się do Koryntyna Tau. Sprawuje pieczę nad archiwum. Zna wszystkie nazwiska i każdą parafię w królestwie, przekaże ci dokumenty twej diecezji i z pewnością powie, jak dotrzeć do monsignore Mozata. Następnie staw się w biurze rejestrów, na pierwszym piętrze, aby odnotowano zgon biskupa i wszczęto stosowne procedury. Przekaż im dokumenty diecezji, a nie będą tracić czasu.

Chuaquet podziękował i ruszył w kierunku archiwum.

Wikariusz otworzył drzwi z numerem 3193. Wszedł do sali Komentarzy. Znajdowały się w niej tylko cztery biurka dla skrybów i kolejne drzwi. Drzwi. Żadnych półek, żadnych pustych ścian, żadnych ozdób, tylko dwa wąskie okna i lśniące drewno drzwi. Chuaquet doliczył się dwunastu par. W sali pachniało woskiem do pieczętowania listów, a oświetlały ją długie, cienkie świece.

Mistrz archiwistów siedział przy małym stoliku, pochylony nad stertą dokumentów. Tau był niski, o skroniach przyprószonych siwizną, bystrych oczach i wyrazistych rysach.

- Haquin... z Draguan? - powtórzył, gdy Chuaquet poinformował go, skąd przybywa. - Draguan... - Zamyślił się. - Czy to nie tam zeszłego roku wyłowiono z rzeki poćwiartowane ciała trójki podróżnych?

Chuaquet drgnął.

- Tak właśnie. Przypominasz sobie to, ojcze?

- Tak... mężczyzna i dwoje pacholąt. Przerazająca historia. Odpędził tę potworną wizję, machając ręką.

- Co mogę dla ciebie uczynić, przyjacielu?

- Przybyłem, aby zgłosić zgon mego mistrza. Zakonnik poinformował mnie, że powinienem poprosić o księgę parafialną, ja zaś pragnąłbym także...

Koryntyn Tau spojrzał na niego zakłopotany. Dwaj skrybowie, którzy pracowali nad pergaminami, dyskretnie przysłuchując się rozmowie, unieśli głowy.

- Chcesz zatem, abym przekazał ci księgi Draguan? - zapytał archiwista i skinął głową. - Chodź ze mną.

Koryntyn Tau otworzył jedne z zagadkowych drzwi sali Komentarzy. Aby to uczynić, sięgnął po klucz zawieszony na sznurze przepasującym habit. Poprowadził Chuaqueta wąskimi kamiennymi schodkami w dół, do piwnic arcybiskupstwa. Niepozorny człowieczek pokonywał je szybkim krokiem. Wszedł do izby o niskim sklepieniu, pełnej długich półek, uginających się pod manuskryptami. Archiwista sięgnął po płonącą pochodnię, zatknął ją tuż obok schodów, i zwrócił się do z trudem nadążającego za nim Chuaqueta.

- Przed z górą rokiem - powiedział - Rada Arcybiskupstwa poinformowała mnie o wydarzeniach w Draguan, a zatem o trzech zabójstwach, o trzech ciałach wyłowionych z rzeki. Wówczas, jak nakazuje procedura, zażądano, abym wydał księgi diecezji, pomocne w śledztwie.

Koryntyn Tau uniósł pochodnię, której blask oświetlił przebogata podziemną bibliotekę.

- Jesteśmy w jednej z piętnastu sal kryjących archiwa diecezjalne królestwa. Wszystko, co się tyczy podatków, przydziałów, procesów, rozmaitych wydarzeń, jest tu przechowywane, podobnie jak duplikaty ksiąg parafialnych.

Brat Chuaquet zerknął w głąb długiego, ciasnego korytarza, w którym pełno było kurzu. Koryntyn przyznał, iż archiwa nie były tajne, dostęp do nich miało wiele osób, oczywiście za zgodą arcybiskupa. Niektóre raporty od lat czekały na zarchiwizowanie, ale nie dotyczyły one bieżących spraw diecezji. Toteż niewiele przyciągających uwagę tajemnic można było

odnaleźć na tych półkach. Mimo to archiwista dbał, aby pośród masy dokumentów nic nie zniknęło ani nie zaginęło.

- Przed trzema laty na życzenie zwierzchników przyszedłem tu po dokumenty Draguan, ale, wbrew moim oczekiwaniom, nie znalazłem żadnych pisemnych informacji o tym biskupstwie.

Koryntyn skreślił w wąską alejkę.

- Dano mi do zrozumienia, iż jest to sytuacja skandaliczna i kompromitująca. Odparłem, że być może dokumenty przestawiono na inną półkę, lub pomyłkowo umieszczono w innej sali. Podkreślałem jednak, iż nic takiego nigdy się nam nie zdarzyło. Przez sześć dni wraz z moimi podwładnymi przeszukiwałem archiwum. Zajrzeliśmy w każdy kąt, lecz nie natrafiliśmy na żaden dokument o tej tajemniczej diecezji. Jakby nigdy nie istniała. Zamierzałem właśnie przygotować pismo, w którym z żalem poinformowałbym o niepowodzeniu poszukiwań, gdy otrzymałem polecenie, pisane ręką samego arcybiskupa, abym szukał do skutku, choćby miało to zająć wiele czasu. Żądanie wydało mi się dziwne, jednak podporządkowałem się. Nie mogłem zrozumieć, jak to się mogło stać, że te księgi zniknęły z archiwum. Gdy nieco później zajrzałem znowu do tej sali, natrafiłem... Jak sądzisz, na co? Spójrz!

Archiwista zatrzymał się przed półką oznaczoną literą „D” i uniósł pochodnię. Między księgami parafii Drabes i Drezeres stały trzy opasłe tomy akt, spięte szerokimi skórzanymi pasami. Na każdym widniała nazwa „Draguan”.

- Wyobrazasz sobie moje zdumienie i gniew! - ciągnął archiwista. - Wszak ten, kto wyniósł księgi z archiwum, zrobił to bez mej wiedzy, licząc, że niczego nie zauważę. Nie docenił mnie jednak. Znam te podziemia jak swoją kieszeń. Przeczytałem trzy grube tomy, zwane „Draguan”, lecz wszystko, co w nich znalazłem, odnosiło się do diecezji Magrado i Saint--Georges! Ktoś usunął dokumenty dotyczące Draguan i podłożył na ich miejsce inne. W mig rozszyfrowałem to żalosne oszustwo. Natychmiast doniosłem o tym zwierzchnikom. Odpowiedziano mi, iż najważniejsze jest odnalezienie ksiąg z napisem „Draguan”, a nie ich zawartość. Kiedy domagałem się raportów dotyczących potrójnego zabójstwa, aby je zarchiwizować, usłyszałem, iż nie znajdują się już w arcybiskupstwie. Koniec, kropka. Nie potrafiłem się z tym pogodzić. Ale cóż, ja nie prowadzę śledztwa, ja tylko układam dokumenty. Do tego ogranicza się moja rola.

- I nigdy nie słyszałeś o Jego Ekscelencji Haquinie, biskupie Draguan?

- To nazwisko nic mi nie mówi, ale poszukam w kartotece. Musi tam być jakaś adnotacja. W każdym razie żywię taką nadzieję. Jakie informacje są ci potrzebne?

- Nasz biskup był bardzo skryty. Nie wiem, czy miał rodzinę, a chciałbym przekazać krewnym rzeczy osobiste biskupa. Koryntyn zerknął na kuferek Chuaqueta.

- Pojmuję. Zobaczymy, czego zdołam się o nim dowiedzieć. Wrócili do sali Komentarzy. Chuaquet podjął:

- Mam jednak pewien trop. Ponoć niejaki Alcher de Mozat także mógłby udzielić mi informacji o Haquinie. Znasz taką osobę?

Koryntyn wzruszył ramionami.

- Któż nie zna Jego Ekscelencji Mozata, przyjacielu! Z pewnością każdy, kto już trochę pożył. Mozat wycofał się z czynnego życia przed sześciu czy siedmiu laty. Dziś to już starzec. Na pewno znajdziesz go w jego rezydencji. Nie sędzę, aby wyjechał z miasta.

Archiwista zapisał adres Mozata i wręczył Chuaquetowi pergamin, a także pismo umożliwiające pobyt w domu arcybiskupim.

- Widząc twe wciąż jeszcze ubłocone buty i oplakany stan tonsury, domyślałam się, że nie zdążyłeś znaleźć noclegu w Paryżu. Z tym pismem możesz zatrzymać się w naszych pokojach. Przyjdź do mnie jutro przed wieczorem, zapewne do tego czasu zdobędę informacje o twoim biskupie.

Chuaquet podziękował za pomoc i wyszedł.

Zdołał uczynić ledwie parę kroków, kiedy archiwista dogonił go i zatrzymał.

- W istocie, zastanawiałem się... Jesteś pierwszym człowiekiem, który może mi coś powiedzieć o zagadkowej diecezji w Draguan. W czymże jest tak niezwykła? Co się tam wydarzyło, że tak skrzętnie ukrywano jej księgi i dokumenty, nawet przede mną, starym i niegroźnym archiwistą?

Chuaquet zastanawiał się przez chwilę. Przez myśl przemknęły mu wspomnienie człowieka w czerni, zamordowanie Haquina, listy biskupa pozostające bez odpowiedzi, trzy trupy wydobyte z Montayou, odkrycie osady Heurteloup, przybycie tajemniczego Henna Guiego, i pytania, tysiące pytań nękających wiernych z parafii... wszystko to mieszało się i wirowało jak w koszmarze sennym.

- Nic - odparł w końcu.

A powiedział to głosem, w którym pobrzmiwała nutka zaskoczenia.

- Zapewniam, iż Draguan to mała diecezja, jak wiele innych. Doprawdy, i ja tego nie pojmuję.

Archiwista pokręcił głową na znak, że on także nie rozumie przyczyn tego zamieszania. Zawrócił i odszedł.

Na piętrze Chuaquet udał się do gabinetu rejestrów i na piśmie potwierdził zgon biskupa Draguan. Zapytano go, czy do raportu może dołączyć dowody, on zaś złożył na biurku trzy biskupie pierścienie, będące oznaką władzy i należące odtąd do następcy Haquina. Ani słowem nie



wspomniał o makabrycznych okolicznościach śmierci swego zwierzchnika. Na pytanie, czy przywiózł księgi diecezjalne, odparł po prostu, że wszelkich informacji na ten temat udziela Koryntyn Tau.

Dzięki listowi archiwisty przydzielono mu izbę na trzecim piętrze. Rozejrzawszy się po niej, Chuaquet musiał przyznać, że jest większa i wygodniejsza niż komnata biskupa w Draguan. A przecież była to zwykła cela dla podrzędnych gości. Okno wychodziło na Sekwanę i dachy Paryża. Pora była jeszcze wczesna, miasto tętniło życiem. Chuaquet pragnął ruszyć w drogę, spotkać się z Mozatem, lecz widok materaca szybko zniechęcił go do wyjścia. Ileż to razy w ciągu tych nocy, które spędził na wozie, marzył o czystej pościeli! Wsunął kuferek pod łóżko i opadł na nie, nie zdejmując odzieży. Spał jak zabity do następnego dnia.

13

W klasztorze Alberta Wielkiego Aymard du Grand-Cellier dostał listę pytań, na które musiał odpowiedzieć na piśmie. W pierwszej chwili sądził, że to jakiś żart. Mistrz Drona pytał go o nazwisko, wiek, ród, kraj, w którym przyszedł na świat, o piastowane godności, wspomnienia z dzieciństwa, nazwę miejsca, w którym się znalazł, imię króla Francji oraz papieża, a także o czym ostatnio śnił.

Syn Enguerrana szybko uporał się z odpowiedzią na te proste pytania. Pozostawił wolne miejsce przy ostatniej kwestii, dotyczącej snu. „Nigdy nie śnię” - powiedział. Mistrz wzruszył ramionami, gdy mężczyzna w czerni, nieopuszczający ich ani na chwilę, przekazał mu te słowa w jego ojczyściej mowie.

Potem Aymarda zaprowadzono do podziemi, do ciasnej celi wykutej w skale zbocza. Odarto go z całego przyodziewku i przywiązano do ustawionej pionowo deski, przed którą, także w skale, wyłobiona była niecka. Teraz pusta.

Aymard został sam na sam z mistrzem i strażnikiem w czerni. Nigdzie wokół nie dostrzegł ani bicia, ani żadnego ostrza, ani szczypiec.

Wkrótce drzwi celi otwarły się i do środka wszedł mnich, który ciągnął za sobą krzesło. Nawet nie rzucił okiem na nagiego Aymarda. Usiadł o kilka kroków od niego, spokojny i obojętny. W ręce trzymał niewielką księgę. Porozumiawszy się wzrokiem z Droną, zaczął głośno czytać.

Karty księgi zapełnione zostały heretyckimi stwierdzeniami, bluźnierstwami przeciw wierze, słowami kacerzy, piekielnymi opowieściami... Wolno, równym, niemal melodyjnym głosem mnich odczytywał najstraszliwsze plugastwa. Aymard nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Rozpoznawał w tym wyborze znane teksty, które uroczyście odczytywano podczas tajemnych ceremonii, jakie organizował, lub podczas jego zaślubin z Marią Dziewicą. W niektórych tajnych

zgromadzeniach teksty Zła cieszyły się równie dużym powodzeniem jak biblijne apokryfy.

- Nędzne to tortury - mruknął do siebie syn Enguerrana.

Mistrz skinął na strażnika, ten zaś podszedł do drzwi i wpuścił trzech kolejnych mnichów. Dźwigali kocioł wypełniony szarawym płynem.

Aymard, przywiązany do deski szerokimi pasami, nie mógł się poruszyć, toteż nie był w stanie przeciwstawić się mnichowi, który otworzył mu usta i zablokował dolną szczękę za pomocą wędzidla, które zacisnął na karku winowajcy. Potem wepchnął mu do gardła długą rurę. Dręczyciele przygotowali się do zaaplikowania mu podejrzanej substancji z kociołka, zamierzając łać ją wprost do żołądka.

Był to środek wywołujący wymioty. Działał błyskawicznie. Gdy tylko pierwsza porcja spłynęła do żołądka Aymarda, chwyciły go straszliwe skurcze i zaraz począł wyrzucać z siebie żółć, przekonany, że wymiotuje trzewiami. Każdej fali torsji towarzyszyło lekkie przechylenie deski, na której wisiał, tak by wymiociny trafiały do kamiennej niecki.

Mnich, który wciąż tak samo obojętnie siedział na swym krzeselku, nie przerywał lektury.

Taką kurację oczyszczającą Aymard musiał znosić przez cały tydzień.

Zmuszano go do połykania litrów paskudnego płynu. Co rano kamienną nieckę opróżniano i myto z wczorajszych wymiocin. Co dzień odór i ból stawały się coraz bardziej dotkliwe...

Traktowany w ten sposób, Aymard nieraz bliski był utonięcia, wtedy Drona nakazywał mocniej przechylić deskę, aby torturowany, z głową w dół, bez wysiłku wyrzucił z siebie strumienie wymiocin.

Przez cały ten czas nie dawano mu ani strawy, ani wody. Musiał wytrzymywać codziennie osiem godzin tych katuszy. Kiedy tracił przytomność, cucono go mocnym alkoholem i tortury zaczynały się od nowa.

Mnich spokojnie czytał na głos księgę. Kiedy dochodził do ostatnich słów zbioru, obojętnie powracał do pierwszych stron.

Gdy przeprowadzono dzienną porcję tortur, odwiązywano Aymarda i wrzucano do ciemnego lochu. Zapadał tam w mroczny sen, nie czując bólu mięśni i stawów, ani nawet potwornego palenia, które wyžerało mu trzewia. Tuż po przebudzeniu znów trafiał na deskę.

W wyglądzie więźnia zaszły ogromne zmiany. Był wychudzony jak szkielet, blady, odwapnione paznokcie łamały się, włosy wypadały garściami, w spalonych wargach i języku zupełnie stracił czucie.

Podczas długich godzin udreki zdarzało mu się na chwilę tracić wzrok, węch lub zmysł równowagi. Teraz już nie tylko ohydny napływ żółci przyprawiał go o niewymowne cierpienie. Nieznośna stała się nawet deska

sama w sobie. To ona wyrywała go z rzadkich chwil utraty świadomości. Każde jej przechylenie powodowało, że Aymard czuł, jak krew uderza mu do głowy, mięśnie naprężają się, kości zaraz zostaną wyrwane ze stawów, a on rozpadnie się na kawałki jak drewniany pajacyk ciśnięty o ziemię...

Długotrwałe męki sprawiły, że torturowany znalazł się w odmiennym stanie świadomości. Poszczególne zmysły funkcjonowały niezależnie od siebie. Najpierw Aymard doświadczał uczucia palenia, gdy żrąca ciecz spływała do żołądka, potem wsłuchiwał się w pulsowanie krwi w skroniach, następnie borykał ze skurczem trzewi i wrażeniem wyłamywania kości. Na koniec gwałtowne bicie serca skupiało uwagę torturowanego, który był obiektywnym świadkiem wydarzeń, jakby to nie jego ciało doznawało straszliwego cierpienia. Istotne dla procesu oczyszczenia było to, iż udręczony umysł Aymarda z całą wyrazistością odbierał słowa odczytywane przez brata lektora. Jego monotony, śpiewny głos boleśnie wwierał się w mózg i był równie dokuczliwy jak ohydne ablucje, palenie w trzewiach, chrzęszczenie kości w stawach. Właściwie już nie rozróżniał słów - widział obrazy, odbierał dźwięki, czuł zapachy, przed jego oczyma przewijały się postacie i miejsca przywoływane w odczytywanych zdaniach...

Ostatniego dnia kuracji wymiotnej wrzucono go do nowej celi, której podłogę zaścielała świeża słoma, aby odzyskał choć trochę sił.

Podano mu pierwszy posiłek. Zakonnik w białym habicie wkładał mu do ust - po jednej - hostie nasączone wodą święconą. Więzień połykał maleńkie krążki z wielką radością, czuł bowiem, że tłumią pożar trawiący jego trzewia... Przed podaniem kolejnej hostii mnich odmawiał głośno psalm o miłosierdziu, wybaczeniu lub chwale i potędze Pana.

Po trzech dniach Aymard musiał ponownie odpowiedzieć na pytania Drony. Słaby, wylękniony, zdołał odpowiedzieć tylko na cztery pierwsze. Na próżno szperał w pamięci - nie potrafił przywołać ani imienia króla, ani papieża. A dzisiejsza data? Nie znał jej...

Nazajutrz Aymarda powiedziano do innej groty, nieco bardziej przestronnej. Tu ogolono mu wszystkie włosy na ciele. Wykrecono ręce do tyłu, związano i powieszono na sznurze przewleczonym przez hak w suficie. Zwisał załóżnie, nie dotykając stopami podłogi.

I znów pojawił się mnich z księgą, jak poprzednio, wlokąc za sobą krzesło. Aymard nie widział, jak się usadawia. Kiedy jednak usłyszał jego głos i pierwsze słowa tekstu, odruchowo ogarnęła go fala mdłości.

Zaczął się drugi etap tortur.

Aymard usłyszał przeraźliwy świst i poczuł piekący ból. Mnisi chłostali go grubymi skórzanymi pasami nabijanymi żelaznymi ćwiekami. Na białe jak pergamin plecy Aymarda spadał grad uderzeń. Mnich spokojnie czytał.

W duszy torturowanego panował chaos - nie wiedział już, czy krzyczy z bólu, jaki sprawia chłosta, czy na dźwięk głosu mnicha, który przypominał mu wcześniejszą udrękę.

Kiedy odwiązano go po dwóch godzinach, jego ciało spływało krwią.

Znów wrzucono go do celi. Wieczorem braciszek w bieli wrócił, by recytować psalmy i karmić go świętymi hostiami.

Aymard samotnie spędził w tej celi trzy dni. Tyle, ile goiły się j ego rany.

Potem znów zaczęły się tortury.

Gdy po kilku dniach Aymard miał ponownie wypełnić kwestionariusz Drony, nie odpowiedział na żadne pytanie. Nic już nie wiedział. Ani kim jest, ani gdzie się znajduje... Wszystkie linie pozostały puste.

Ostatniego dnia oczyszczenia zabrano go do dużej celi. Od przybycia do klasztoru upłynął miesiąc. Aymard został jak zwykle całkowicie obnażony i powieszony za ręce. Oprócz Drony, człowieka w czerni, lektora i trzech mnichów spostrzegł nową postać, którą nie od razu udało mu się rozpoznać. Był to ojciec Profuturus.

Wszystkie narzędzia tortur, znane mu z minionych tygodni, leżały przed nim - kociołek ze środkiem na wymioty, białe ostrza, bicz, gorący воск, szczypce, hak i zgniatacz.

Aymard był nieobecny duchem. Jego spojrzenie zwracało się gdzieś w dal. Nucił psalm. Nocą, w ciszy lochu, odkrył, że wystarczy odmówić w myśli kilka psalmów, które słyszał codziennie od mnicha z hostiami, aby ogarnęło go poczucie szczęścia jak po przełknięciu świętej hostii, która rozplywa się w ustach. Tylko w ten sposób mógł ulżyć swemu cierpieniu.

W grocie zakonnik z księgą jak zwykle zasiadł na krześle i otworzył księgę. Widząc te przygotowania, Aymard mimowolnie zadrżał. Odwrócono go twarzą do ściany. Z tyłu dobiegały dźwięki dowodzące, że mnisi sięgają po ostrza i szczypce.

- Szatanie, kusicielu...

Czuwaj jak ojciec

Nad mą duszą strapioną...

...I nagle Aymard poczuł, że został poddany wszystkim torturom jednocześnie, że jest chłostany, kaleczony ostrzami, parzony woskiem i gęstą ciecżą, która spływa po otwartych ranach...

Krzyczał bez wytchnienia, ile sił w płucach, nie kontrolując się. Wił się z bólu... Mięśnie omal nie pękły, napięte do granic wytrzymałości... Krzyczał i słyszał swój nieludzki wrzask; cierpiał i patrzył na swe cierpienie... Ból był porażający. Trwał, dopóki mnich nie doczytał do końca pierwszej karty księgi.

Zamknął ją z trzaskiem i zamilkł. Aymard ciężko dyszał. Czuł ciepłą krew spływającą mu po plecach...

Ojciec Profuturus podszedł do niego. Wolno uniósł jego głowę, ujmując go pod brodę. Aymard drżał. Jego oczy zamgliły się z bólu.

- Czego się nauczyłeś? - rzucił srogim tonem kapłan. Grand-Cellier wpadł w panikę. Niemal nie słyszał... ledwie...

Profuturus potrząsnął nim, tym razem bezpardonowo.

- Mówże! Czego się nauczyłeś?

Aymard z trudem wytrzeszczył oczy. Nie pojmował, o co opat go pyta.

Kapłan westchnął, jakby rozczarowany. Aymard wciąż wisiał z wyciągniętymi w górę ramionami. Opat obrócił go.

- Popatrz.

I Aymard du Grand-Cellier nagle obudził się z koszmarne go snu. Zobaczył, że stojący za nim zakonnicy nie ruszyli się z miejsc, że żadne z narzędzi tortur nie zostało użyte, że z jego pleców nie spłynęła ani kropla krwi.

- A teraz? - podjął Profuturus. - Odpowiedz mi? Czego się nauczyłeś?

Aymard ciężko dyszał. Czuł, że jego czaszka lada chwila pęknie. A przecież gotów był przysiąc, że noże rozdzierały jego ciało... Czuł chłód katowskich narzędzi na skórze...

- Czego się nauczyłeś? - powtórzył opat.

Nauczył? Zrozumiał?... Być może... Sam tekst wystarczał, by przyprawić go o ból... nawet nie tekst... sama idea... Idea tekstu... Zła kryjącego się za słowami... Jego ciało samo decydowało, kiedy cierpieć... samo... nie zdając się na rozum i wolę...

Splątana pamięć nagle podsunęła Aymardowi pewną twarz... sylwetkę... postać kanclerza Artemidora.

- Ciało może dokonać z duszą tego, o czym sam umysł nigdy nie śmiałyby marzyć...

Aymarda przeniesiono do klasztornej izby i opatrzone rany. Długo trwał w swoistej malignie, jakby przebywał poza własnym ciałem. Utracił pamięć. Drona kazał go przebrać w nowy habit - długą białą togę katechumena.

- Z czasem odzyskasz osobowość - powiedział Profuturus podczas pierwszej rozmowy. - Zatarliśmy ją tylko na pewien czas. Kiedy powróci, będzie oczyszczona, pojaśnieje dzięki twym doświadczeniom. Wtedy twoja przeszłość ukaże ci się w nowym świetle. Piękniejszym.

Aymard zapytał, kiedy nastąpi koniec kary, której go poddano...

- Już wkrótce - rzekł opat. - Teraz wiem, że jesteś już na to gotów. Wszystkiemu poddasz się z radością. Jesteśmy tu dla twego dobra.

Aymarda powierzono opiece trzech mnichów, tak jak on ubranych w długie, nieskazitelnie białe togi ze lnu. Ich twarze były promienne i anielskie. Aymard czuł, że otacza go miłość i dobroć. Był uśmiechnięty, pogodny, szczęśliwy. Mnisi gratulowali mu oczyszczenia. Modlili się wraz z nim, podawali hostie, chwalili Pana. Aymard osiągnął prawdziwy stan łaski. Starał się odwzajemnić ich miłość. Braciszkanie z głębokim wzruszeniem przyjmowali jego wysiłki.

A potem go wykastrowali.

14

W najodleglejszym, najbardziej zagubionym zakątku diecezji Draguan młody Floris de Meung wciąż ukrywał się pośród gałęzi drzewa, czuwając przy ciele Premierfaita. Po odejściu Henna Guiego oraz Tłustego Czwartka uczeń ściśle stosował się do zaleceń mistrza. Nie dotknął stopą ziemi, zmieniał choremu opatrunki, dbał, żeby nie przemarzł, i okrywał go futrami, podzielił jedło i wodę na dzienne racje. Zakrystian leżał we wgłębieniu wydrążonym w pniu. Maści zaordynowane przez Henna niewiele pomogły - rany się nie goiły. Dwa liście o leczniczej mocy szybko zostały zużyte, a chory niemal przez cały czas był na pół przytomny i majaczył.

Floris bacznie przysłuchiwał się dźwiękom i słowom, które wypowiadał konający. Nieszczęśnik mówił nieustannie, lecz żadne zrozumiałe zdania nie wydobywały się z jego ust. Księga snów, którą Henno zostawił chłopcu, w niczym nie była mu pomocna. Floris przeglądał jednak to niezwykle dzieło, mające być kluczem do snów. Czekał na czarodziejskie zjawy... Pobyt pośród koron drzew oddziaływał na jego wyobraźnię... rodził ulotne, błękitnawe jak obłok postacie, milczące zjawy... Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu dowiedział się, że to, co uznał za doświadczenie wyjątkowe i bardzo osobiste, w podręczniku Daniela podawano jako przykład doznania powszechnego. Floris z żywym zainteresowaniem czytał komentarz: „Łagodne kobiece postacie są przestroga. Przybywają, aby uprzedzić tego, kto rychło może zbłądzić. Należy spodziewać się nieszczęścia...”

- Przestroga? - powtórzył, nie pojmując.

Podczas tych samotnie spędzonych mroźnych dni wypatrywał ze swej kryjówki zjaw ze snu, lecz na próżno. Driady nie pojawiły się.

Henno Gui powiedział, że los Premierfaita rozstrzygnie się w ciągu czterech dni. Piątego dnia, nad ranem, zakrystian wyzionął ducha. Floris znalazł się w nie lada kłopotcie. Ani Tłusty Czwartek, ani Henno Gui nie dawali znaku życia. Żywności pozostało zaledwie na trzy dni. Co począć z ciałem, które rychło zacznie cuchnąć?

Drugiego dnia Floris stracił cierpliwość. Rozwiązał więzy podtrzymujące zwłoki zakrystiana i pozwolił, aby się osunęły na ziemię. Rozejrzał się trwożnie. Nikogo w pobliżu nie zauważył. Las był cichy i bezludny. Chłopak spuścił się z drzewa po linie, na której zawieszono były rzeczy proboszcza. Nie miał czym wykopać grobu. Zmarznięta ziemia była twarda jak skała. Na plecach przeniósł trupa nad jeden z licznych w tym regionie stawów. Skruszył grubą pokrywę lodu, liną przywiązał do ciała ciężki kamień i zepchnął je z brzegu. Premierfait zniknął pod taflą zgniłozielonej wody. Floris związał dwie gałęzie i ten prowizoryczny krzyż położył na wodzie, aby unosił się nad miejscem wiecznego spoczynku Premierfaíta.

Floris powrócił na drzewo. Związał w tobołek rzeczy zakrystiana. Zapadał zmrok. Chłopak zasnął w wydrążeniu pnia, wciąż jeszcze przesiąkniętego trupa wonią.

Obudził go odgłos, który nasunął mu myśl o zwierzęciu wdrapującym się na drzewo. Wstrzymał oddech. W blasku księżyca rozpoznał twarz Tłustego Czwartka. Olbrzym opowiedział o ostatnich dniach spędzonych z proboszczem: o parowie, o ordaliach, o spektakularnym wkroczeniu Henna Guiego na scenę, o swym udziale w przedstawieniu wyreżyserowanym przez księdza, kiedy to tak cenna okazała się sztuka strzelania z procy. Ukryty nad parowem, Tłusty Czwartek celnie godził w każdego, kto zbliżył się do proboszcza na odległość ręki...

- Został tam z nimi. Przed ordaliami polecił mi wrócić do ciebie, gdy tylko wprowadzone przez nas pacholę znajdzie się wśród swoich.

- Co teraz? Co mamy robić?

- Czekać - odparł Tłusty Czwartek. - Musimy cierpliwie czekać...

Wieśniacy wrócili do Heurteloup nazajutrz po ordaliach. Henno Gui pozostał jeszcze przez dwa dni w obozowisku, pilnowany przez trzech kapłanów. Nie dawano mu strawy ani wody, gdyż początkowo kapłani sądzili, że mają do czynienia z duchem. Gdy Henno wyprowadził ich w końcu z błędu, zabrali go do wioski, przedtem obficie skropiwszy ową niezwykłą wodą z bagien.

Siedem nowych posążków wyobrażających ciężarne kobiety zajęło miejsce roztrzaskanych. Kilkakrotnie proboszcz usiłował przyjrzeć im się z bliska, ciekawy, czy czymś się różnią, ale każda taka próba natrafiała na zdecydowany opór wieśniaków. Nawet ci najbardziej strachliwi i niezdecydowani podrywali się nagle, by mu w tym przeszkodzić.

Mimo to jego niewytłumaczalne pojawienie się w parowie, powrót chłopca uznanego za zmarłego oraz to, że nie okazywał lęku, a także jego tajemnicza moc wywarły na wieśniakach odpowiednie wrażenie. Dokonania księdza przerastały zdolność pojmwania tych ludzi. Otaczała

go aura tajemniczości. Pewnego ranka Henno Gui usłyszał, jak jeden z wieśniaków szepcze, że być może przybył jako wysłannik bogów, łącznik pomiędzy ludźmi a bogami na niebie. Słowa te wywołały uśmiech na twarzy księdza - właśnie tak pojmował służbę kapłańską.

Jedynymi, którzy okazali mu odrobinę gościnności, byli porwany chłopiec i jego matka. Chłopak miał na imię Lolek, jego matka Mabel i w kółko opowiadał o swym porwaniu. O tym, że Henno Gui nie wyrządził mu krzywdy, a wręcz przeciwnie - wyleczył swędzące liszaje pokrywające jego skórę. Właśnie ten fragment wywarł na słuchaczach ogromne wrażenie. Zwłaszcza na matce. Mieszkała wraz z synem w niewielkiej chacie na skraju wioski. Tylko te jedne drzwi nie były przed proboszczem zamknięte.

Kobieta od niedawna była wdową.

Wieczorem, po powrocie do wioski, Henna zaprowadzono do chaty mędrca i posadzono w pobliżu umieszczonego w zagłębieniu paleniska. W chacie zgromadziło się pięciu wieśniaków. Bacznie obserwowali przybysza. Byli tam też trzech kapłani, mędrzec i człowiek w drewnianym hełmie. Proboszcz zdołał się zorientować, jakie imiona noszą dwaj ostatni - mędrca zwano Setem, tego w hełmie Tobiaszem.

Izba była dość przestronna. Podłogę zastępowało klepisko z jasnej, suchej gliny. Na prostych półkach pod ścianami stały gliniane dzbany, koszyczki z suszonymi ziołami i drewniane beczułki. Henno Gui domyślał się, że są pełne owej gęstawej wody z bagien, tak cenionej przez tubylców.

W kącie izby proboszcz zauważył drewnianą deskę, taką samą jak te, które znalazł na zaśnieżonym cmentarzu. Dostrzegł także grubą laskę, która w przededniu ordaliów służyła do ustalenia miejsca, gdzie zapłonąć miał ogień, oraz żółto--czerwoną szatę Seta.

Oskarżony zwrócił spojrzenie na swych pięciu „edyli”. Dopiero teraz uświadomił sobie, że zasiadający przed nim wieśniacy byli ludźmi młodymi. Gdy dokładniej im się przyjrzał, uznał, że chyba żaden nie przekroczył wieku trzydziestu lat. Nawet Set. Długa broda i sylwetka siłacza początkowo zmyliły proboszcza. Sądził, że jest on patriarchą lub może wodzem plemienia, który z wiekiem posiadał mądrość i zaskarbił sobie szacunek. Niewątpliwie, był w tym gronie najstarszy, ale raczej młodszy od Henna. Jego błyszczące oczy, gładkie czoło i policzki świadczyły o młodości.

„Czyżby zatem w tej wiosce nie było ani jednego starca?” -pomyślał Henno Gui, przywołując w pamięci wszystkie twarze, jakie ujrzał tu od przyjazdu.

- Po co do nas przybyłeś?



Pierwsze pytanie zadał Set. Henno Gui wiedział, wchodząc do chaty, że zostanie poddany przesłuchaniu. Pytania będą zadawali Set i Tobiasz. Potem nastąpi dyskusja ze wszystkimi mieszkańcami wioski. Wyrok zostanie oparty na zdaniu większości.

- Po co do nas przybyłeś? - powtórzył Set.

- Przysłano mnie tu.

- Kto cię przysłał?

- Ktoś, kto pragnie waszego dobra.

Taka odpowiedź wprawiła zgromadzonych w zdumienie.

- Kim on jest? Kim jest ten, kto cię tu przysłał? ;,

- Nie znacie go. On jednak zna was doskonale.

Jako student Henno Gui często dyskutował z profesorem Gace'em Brule, dominikaninem, który zadreślał swych uczniów retoryką. Rozmowy z nim były wspaniałą gimnastyką dla umysłu. Iluż niuansów, iluż podtekstów, iluż zawilosci trzeba było użyć, aby zadowolić mistrza i nie wpaść w zastawioną przez niego pułapkę! „Skomplikowana odpowiedź ujęta w proste słowa” - brzmiała jego złota reguła. Sprawić, aby przesłuchujący zawsze zadawał sobie więcej pytań niż przesłuchiwany.

- Pięknie brzmi to, co mówisz - rzekł Set. - Cóż to takiego?

- Prawda.

- Prawda? Jaka?

Proboszcz nie od razu odpowiedział. Był świadom, że w każdej religii powątpiewanie jest luksusem dla wykształconych. Grupa tak mała jak ta, od pół wieku pozbawiona wszystkiego, mogła stworzyć system myśli i wierzeń zupełnie odrębny i zamknięty, w którym wszystko miało wytłumaczenie, a całość była spójna i niepodważalna. Henno Gui nie mógł podjąć tak dużego ryzyka, jakie rodziłoby podważenie jednej prawdy na rzecz innej.

- Tego jeszcze nie wiem - odpowiedział. - To prawda, którą wspólnie odkrywamy. Dlatego właśnie zostałem wybrany i przysłany, by żyć pośród was.

Sędziowie nie wiedzieli, jakie znaczenie nadać tej odpowiedzi. Znów zapadło długie milczenie. Wahanie pięciu dzikusów było dla księdza dodatkową szansą. Skoro bowiem uznają, że jest niegroźny, ale za to interesujący, będzie bezpieczny. Przynajmniej przez jakiś czas.

Przesłuchanie trwało. Pytano go o jego ubiór, o sposób odżywiania. Pytano też, czy spał jak oni, czy oddychał tak samo jak oni, czy był człowiekiem z krwi i kości, jak oni, pochodzącym ze Słońca lub Księżyca, i jaka była głębokość bagien, jak wyjaśni upały i mrozy, jak długo może przeżyć bez jedzenia...

Dopóki przesłuchanie skupiało się na takich kwestiach, Henno Gui czuł się stosunkowo bezpiecznie. Bardziej obawiał się pytań szczegółowych i dotyczących go bezpośrednio.

- Nie przybyłeś tu sam? - rzekł Set. - Czy tamci dwaj są, jak ty, wysłannikami?

- Tak.

- Gdzie są w tej chwili?

- Wróca...

Z oczu kapłanów wyzierał niepokój.

- ...kiedy zrozumiecie, że nie stanowią dla was zagrożenia - zakończył.

Drugie przesłuchanie odbyło się w chacie Tobiasza.

Henno Gui stanął przed tymi samymi sędziami.

Atmosfera była bardziej napięta i groźniejsza niż u Seta. Ściany chaty pokrywała broń z drewna i żelaza. Biżuteria — a może trofea? - ze zwierzęcych kości bielila się w półmroku. To była chata wojownika i myśliwego.

Henno Gui siedział na niskim pieńku.

Tobiasz zaczął przesłuchanie, dotykając ostrzem długiego miecza czoła księdza.

- Czy możesz umrzeć?

- Tak i nie - odparł Henno Gui.

Mężczyźni byli wyraźnie wzburzeni tą odpowiedzią.

- Jest we mnie część śmiertelna - podjął ksiądz. - Lecz druga jest nieśmiertelna. Dlatego rzekłem: tak i nie.

- Część? Która?

Tobiasz lekko przycisnął ostrze do czaszki proboszcza.

-Ta?

Opuścił broń i wycelował w prawe ramię.

- A ta?

Wymierzył ostrze w serce...

- To tu?

...a potem w wątrobę.

- A może tu?

Choć w jego głosie brzmiała pogroźka, Henno Gui zachował niezmałony spokój.

- Nie zdołasz jej ujrzeć ni dotknąć - odparł. - Jest niewidzialna i niedotykalna.

- Niewidzialna i niedotykalna... ale istnieje?

- Tak.

- Gdzie?

- Gdzieś we mnie. Tobiasz zmarszczył brwi.

- Skoro tak się rzeczy mają, wystarczy, że będę przebijał twoje ciało, dopóki jej nie dosięgnę...

- I tym razem jesteś w błędzie.

- Skoro nie mogę jej dosięgnąć, wiem, że nie istnieje.

- To zależy. Czy słowa, które teraz wypowiadasz, istnieją? Skąd się biorą?

Henno Gui wskazał palcem usta wieśniaka.

- Czy stąd?

Wskazał płuca.

- A może płyną stąd? A kiedy mówisz sam do siebie, w duchu, a jednak słyszysz brzmienie swego głosu, co jest jego źródłem? Kto wymawia słowo po słowie?... Nie wiesz? Ja też nie wiem. W każdym z nas jest taka cząstka nieznanego, wszyscy o tym wiemy, a jednak nie możemy jej ani dotknąć, ani zlokalizować.

Tobiasz był wieśniakiem o prostej umysłowości. Nie lubił takich oderwanych od rzeczywistości dysput. Skierował przesłuchanie na inne tory. Zainteresował się mocą Henna Guiego.

Czy mógł zapalić ogień na odległość, czy widział nocą, czy oddychał pod wodą, czy potrafił zgiąć żelazne ostrze gołymi rękami, stać się niewidzialny, przepowiadać przyszłość, rozmawiać ze zwierzętami?

- Czy potrafisz rozmawiać z bogami?

- Nie ze wszystkimi. Ale z jednym, szczególnym, tak.

Zgromadzonych przebiegł dreszcz. Odpowiedź poruszyła także Tobiasza.

Mimo to stwierdził, że wierzy tylko w jedną z udzielonych przez Henna odpowiedzi - że jest „wysłannikiem”. Uważał, że ksiądz jest rodzajem próby, kuszeniem wieśniaków przez ich bóstwa. Henno Gui był istotą piekielną. Wieśniacy sami muszą to odkryć.

- Jesteś tylko ułudą - rzekł. - Przybrałeś postać podobną do naszej, by łatwiej nas zwieść. Lecz Duch tkwi w tobie. Kryje się pod twym obliczem. To jak ten dziwny strój, który nosisz. Przypomina sylwetkę Ojca, ale...

Henno Gui nie mógł przeoczyć takiej okazji.

- Ojca? Kim jest Ojciec?

Tobiasz zareagował gwałtownie. Wzniósł miecz, gotów ugodzić księdza. Powstrzymał go Set.

- Stój. Wyjaśnij mi, kim jest Ojciec. Nie powinien trwać w nieświadomości.

- Ojciec jest tym, który przepowiedział Wielki Pożar i pojął potęgę bagien - rzekł z powagą Tobiasz.

- Czy któryś z was go zna? - zapytał Henno. - Czy któryś z was go widział?

- Ojciec przynależy do Pierwszego Wieku - wyjaśnił Set. - Nikt z dzisiejszych nie może go już znać.

- Czy pozostawił po sobie jakiś ślad? Jakież rzeczy?

- Powiadają, że Święta Księga została mu podyktowana po Zerwaniu - wyjaśnił mędrzec.

- Księga?

Oczy Henna Guiego rozbłysły. Nareszcie dostrzegł jakąś szansę. Musiał odnaleźć tę Księgę.

Wieśniacy mieli radzić nad jego losem przy nowiu. Tego dnia zebrali się wszyscy z wyjątkiem dzieci. Henno Gui miał okazję przekonać się o znaczeniu wieku i płci w tej małej społeczności. Dopóki dziewczyna nie została matką, nie uważano jej za kobietę. Dotyczyło to trzynastoletniej brzemiennej Saszy. Chłopcy musieli przejść obrzęd inicjacji, aby cieszyć się godnością mężczyzny. Tak było z Lelkiem. Wiedział, że czas jego przejścia został wyznaczony przez kapłanów. Niecierpliwie czekał na koniec zimy, wtedy bowiem miał się poddać próbie. Do tego czasu pozostawał wśród dzieci i nie uczestniczył w zgromadzeniu obradującym nad losem księdza.

Mieszkańcy wioski podzielili się na trzy obozy. Pierwszy, któremu przewodził Tobiasz, uznawał Henna Guiego za zagrożenie, za demona w ludzkiej skórze, i chciał się go jak najszybciej pozbyć.

Druga grupa popierała Seta, utrzymując, iż należy bliżej przyjrzeć się przybyszowi, który twierdził, że wysłano go tu dla dobra wieśniaków, a potem zdecydować o jego losie.

- Przekonajmy się, co kryje się za jego słowami. Jeśli przejawia złą wolę lub moc, zabijemy go.

Trzeci obóz, najmniej liczny, powtarzał szeptem, że ten człowiek może być zbawicielem, boskim posłańcem, który przybył, aby objawić im tajemnicę... Taki pogląd miał niewielu zwolenników, jednak, w koalicji z obozem Seta, zdołał wziąć górę nad poplecznikami Tobiasza. Ustalono więc, iż Henno Gui będzie miał pełną swobodę poruszania się i działania, jeśli jednak zdradzi choćby jedną oznakę diabelskiej natury, zostanie niezwłocznie złożony w ofierze.

Gdy o decyzji rady powiadomiono Henna, ten postanowił sprowadzić swych kompanów. Nie czekając na zezwolenie, poszedł po nich i narzucił ich obecność mieszkańcom Heurteloup.

Proboszcz nie przewidział jednak, jaką reakcję wieśniaków wywoła odstręczające oblicze Tłustego Czwartka. Onieśmienie, jakie część z nich okazywała wobec Henna, natychmiast zniknęło.

Nie chcąc profanować żadnego z ich starych domostw, ksiądz i jego dwaj kompani rozbili obóz na skraju wioski, nieopodal chaty Mabel i Lolka.

Floris opowiedział swemu mistrzowi o ostatnich chwilach życia zakrystiana. Henno Gui podzielił się z przyjaciółmi tym, co odkrył, a także tym, co zamierzał.

- Moje wyobrażenia o tej wiosce uległy całkowitej zmianie - rzekł. - Wszystko, czego się spodziewałem, okazało się pomyłką. Sądziłem, że znajdę tu dawnych wiernych, trochę zagubionych przez te lata i łączących na swój sposób wiarę chrześcijańską z przesądami... Myślałem, że największy trud przyjdzie mi włożyć w pozyskanie ich zaufania, by następnie, krok po kroku, nawracać ich na prawdy Kościoła. Myliłem się. Ci ludzie mówią własnym językiem, zarzucili dawne obyczaje, powszechne w tym regionie; stworzyli własną religię i mają swoją wizję pochodzenia świata, która zdaje się doskonale spójna. Toteż jestem pewien, że nie zdołam uczynić dla nich nic w materii wiary. Najpierw muszę jednak odkryć, co tu się wydarzyło w roku tysiąc dwieście trzydziestym trzecim. Moim zamiarem nie jest już oswojenie niewiernych, to my musimy pozwolić, by uwierzyli, że oswoiliśmy się z ich życiem...

15

Stosując się do pisemnych wskazówek archiwisty Koryntyna Tau, Chuaquet stanął przed skromnym pałacykiem w zaułku Jehan-Boute-Dieu, między Cite, dzielnicą żaków, a dzielnicą Quinauds, gdzie mieszkał Alcher de Mozat. Gzyms nad drzwiami jego domu zwieńczony był herbem znamienitego rodu.

Chuaquet bez trudu uzyskał zgodę na rozmowę z Mozatem. Człowiek ten przekroczył już dziewięćdziesiąty rok życia. Na ogół nikt nie składał mu wizyt. Nieliczni posłańcy, którzy zaglądali do jego domu, przychodzili jedynie po to, by donieść o chorobie lub śmierci któregoś z przyjaciół lub krewnych Jego Ekscelencji.

Starszy pan oczekiwał Chuaqueta w saloniku. Na spotkanie wikariusz ogolił się starannie i wypożyczył w arcybiskupstwie nowy habit.

Mozat siedział w bujanym fotelu, przygarbiony, jakby pochylał się ku oddalonemu o ledwie dwa kroki ogromnemu kominkowi. Płomienie rzucały lekki blask na jego alabastrową twarz. Staruszek drżał, choć otulono go futrzaną peleryną. Hermann, jego sekretarz osobisty, wyznał Chuaquetowi, że jego pan z pewnością nie doczeka wiosny.

Gość powiadomił Alchera de Mozat o celu swej wizyty oraz o śmierci swego zwierzchnika i biskupa, Jego Ekscelencji Haquina.

Mozat źle słyszał, a mówił ledwie słyszalnym głosem. Często się powtarzał... Haquina znał od wczesnej młodości, ale zapamiętał jedynie

kilka epizodów, statycznych jak sceny z obrazu. Przyjaźnili się, spędzili ze sobą kawał życia, lecz w pamięci starca pozostały zaledwie migawki, bez dat i bez ruchu. Widział, jak stoją obok siebie na tarasie, gdzieś w Hiszpanii, siedzą w amsterdamskiej bibliotece, przechadzają się po alejkach opactwa Morvan...

- Przypominam sobie także jego młodszą siostrę... - powiedział. - Uroczą dziewczynka. Czarująca.

Nie potrafił nic powiedzieć o charakterze Haquina jako człowieka ani o jego kapłańskiej służbie. Wspomniał o zaciągnięciu się do armii cesarza Fryderyka, jednak sekretarz Hermann uprzedził Chuaqueta, że Mozart mylił własne przeżycia z losami Haquina.

- Romee de Haquin - szepnął starzec po długiej chwili milczenia.

Chuaquet aż podskoczył. Po raz pierwszy usłyszał imię swego zwierzchnika. Romee! Romee de Haquin...

Potem opowieść stawała się coraz bardziej niespójna. Mozart mówił o Libanie i Grecji, o tajnym poselstwie w Grenadzie, o wyścigu z Wilhelmem d'Auxerre, o ślubie Haquina z siostrzenicą angielskiego księcia... to wszystko brzmiało absurdalnie. Kiedy Chuaquet wymienił nazwę Draguan, starzec z niczym jej nie skojarzył.

Rozmowa była stratą czasu. Wikariusz nie potrafił ukryć zakłopotania i z troskania. Opowiadając o morderstwie, jakiego dokonano na Haquinie, nie wpłynąłby na zachowanie Mozata. Szukał sposobu, ostatniej szansy...

Listy!

Chuaquet zwrócił się do sekretarza.

- Wiem, że Jego Ekscelencja pisał do naszego biskupa. Czy korespondencja zachowała się?

Hermann wrócił po chwili ze skrzynią pełną listów. Znajdowały się w niej wszystkie przesyłki, jakie Alcher de Mozart otrzymał przez całe życie. Dziesiątki ułożonych w pakiety i starannie powiązanych listów... Chuaquet i Hermann razem przeglądali zawartość skrzyni, szukając listów od Haquina. Wikariusz Draguan był oszołomiony liczbą osób, które pisały do Alchera de Mozart. Przed jego oczyma przewijały się wielkie nazwiska świata dyplomacji: ujrzał listy od króla Nawarry Tybalda V, od Karola d'Anjou, brata Świętego Króla. Nie tracił czasu na ich przeglądanie. Wreszcie rozpoznał pismo biskupa Haquina. Plik był dość gruby, zawierał ponad czterdzieści listów, ułożonych w porządku chronologicznym. Mnich nie wierzył własnym oczom - pierwszy list pochodził z roku 1218! Sprzed sześćdziesięciu sześciu lat!

- Mogę je zatrzymać? - zwrócił się do starca. - Chciałbym zabrać je ze sobą i przeczytać.

Alcher spoglądał na stertę listów jakby zakłopotany.

- Nie wierzysz mi, bracie... - powiedział. - A zatem weź je... zabierz je wszystkie... Przekonasz się, że mówiłem prawdę... Zabierz wszystko... Jestem stary, lecz jeszcze wiem, co mówię...

Hermann nie sprzeciwił się tej darowiźnie swego pana.

Chuaquet opuścił pałac Mozata przygnębiony i zamyślony, z paczką listów pod pachą.

W arcybiskupstwie znalazł przybite do drzwi swej celki kartki z wiadomością od Koryntyna Tau. Archiwista informował go, czego dowiedział się o biskupie Haquinie. Nie było to trudne, ponieważ dokumentacja dotycząca jego kariery była kompletna.

Chuaquet wszedł do celi i dokładnie przeczytał list od Koryntyna Tau.

Haquin urodził się w roku 1206 w Troyes. Był szóstym synem Ponta de Haquin, swego czasu konetabla króla Ludwika VIII. Świecenia otrzymał w Paryżu w roku 1223. Studiował w Orleanie, Tuluzie i Utrechcie. Potem sprawował rozmaite funkcje na południu Francji i w Hiszpanii, od pomocnika przeora po archidiakona. Od roku 1231 we francuskich rejestrach nie ma o nim żadnej wzmianki. Jego nazwisko pojawia się znów dopiero w roku 1247, już jako biskupa. Wówczas to zwrócił się z prośbą o przydzielenie mu diecezji w rejonie La Roche-aux-Moines. O dziwo, przez z górą osiem lat regularnie co roku zwracał się z prośbą o kolejne przeniesienie. Wybierał funkcje skromne i w odległych zakątkach, toteż uzyskiwał je bez trudu. Posługę kapłańską pełnił w okolicy Taillebourg, w Muret, pod Auch, a nawet w Saint-Waste. W końcu osiadł w diecezji Draguan. Stamtąd nie ruszył się już od roku 1255. W arcybiskupstwie miał opinię człowieka chwiejnego, lecz jego wiara i oddanie Kościołowi nigdy nie wzbudzały wątpliwości. Haquin był zwyczajnym, niczym niewyróżniającym się biskupem.

Archiwista dodał w swej notatce, iż biała plama w życiorysie Haquina nie powinna niepokoić. Widocznie w latach 1231-1247 przebywał z misją w Anglii lub Irlandii. Oba te kraje nie prowadzą rejestrów przybywających zakonników, nie mają też na ten temat żadnej dokumentacji. Nawet inkwizycja nigdy nie zdołała dotrzeć do dokumentacji w Anglii i często tam właśnie gubiła ślad swych przedstawicieli lub podejrzanych. W tym, że Haquin powrócił z Irlandii jako biskup, nie ma nic nadzwyczajnego - irlandzka nomenklatura jest niezależna od rzymskiej, lecz uznawana przez papieża. Wydaje się całkiem prawdopodobne, że w ciągu piętnastu lat osiągnął tę wysoką godność i że po tak długim czasie postanowił wrócić do Francji.

Koryntyn był dumny, iż zdobył spójne informacje na temat diecezji Draguan. Życzył Chuaquetowi szczęścia w dalszych poczynaniach, raz

jeszcze wyraził żal z powodu zgonu biskupa i zapewnił, iż gotów jest zawsze służyć mu pomocą.

Chuaquet odłożył kartki pisane ręką archiwisty i sięgnął po listy, które przyniósł od Mozata. U dołu każdej pierwszej strony widniała pieczęć z datą roczną. Charakter pisma pierwszego listu był staranny, drobny, jeszcze wyraźnie dziecięcy. Haquin miał wówczas dwanaście lat. Chuaquet odłożył kartkę, nie czytając. Ogarnięty ciekawością, przerzucał kartki, lekceważąc z górą tuzin listów, by wreszcie zagłębić się w pisanym w roku 1232, a zatem na początku tajemniczego okresu życia Haquina. Archiwista nazwał go epoką irlandzką. Chuaquet przebiegł wzrokiem linijki. Pismo było nerwowe, litery ściśnięte.

Bacznie przyjrzał się kopercie z pieczęcią Haquina (znał ją doskonale, bo sam wielokrotnie się nią posługiwał), lecz zamiast symboli biskupstwa Draguan - jelenia i dziewicy - ujrzał orła u stóp krzyża. To był herb papieża Grzegorza IX! List wysłano z Rzymu.

- Rzym?!

16

Bractwo, którym kierował Profuturus, wzięło we władanie klasztor nad Adriatykiem przed ośmioma laty. Zakonnicy wyremontowali stare opactwo, oddane im przez papieską kancelarię, i ufortyfikowali je. Wznieśli trzy nowe kaplice, rozbudowali sieć podziemi. Siedemnastu kapłanów zakonu podzieliło się na trzy grupy, aby nieprzerwanie celebrować msze, co na zachodzie Europy było rzadkością. Ich reguła nakazywała, by w klasztorze msza odprawiana była bez przerwy.

Aymard du Grand-Cellier z własnej i nieprzymuszonej woli postanowił służyć do każdej mszy. Zarówno w dzień, jak i w nocy. Podczas liturgii pełnił funkcję kantora, to znów priora, diakona albo kościelnego. Nie był to już obowiązek narzucony w procesie Oczyszczenia, lecz jego skutek. Aymard odczuwał fizyczną potrzebę otaczania się tekstami sakralnymi, pragnął pozostawać w stanie rozmodlenia. Sypiał po dwie godziny na dobę, leżąc w zakrystii, aby nie uronić żadnej pieśni ani hymnu, nawet we śnie.

Z czasem odzyskał pamięć. Aymard potrafił już odpowiedzieć na pytania Drony. Pamiętał, jak się nazywa, kiedy przybył do zakonu, a przede wszystkim pamiętał, że był na wskroś złym człowiekiem. Aymard stał się innym człowiekiem. Przemiana dokonała się wbrew jego woli, w pocie i krwi, przez udrczenie ciała.

Ojciec Profuturus i Drona ciągle wystawiali go na pokusę i nadal poddawali próbom, ale innego rodzaju. Pozostawiali klasztorną furkę otwartą, lecz Aymard nie zważał na to. Kładli byle gdzie pieniądze i broń, apetyczne, ale nieświęcone jedzenie... Na próżno. Aymard nie wstawał z



klęcznika. Dawał im podstawy, by uwierzyli, że naprawdę się przemienił, stał się innym człowiekiem. Lecz nie uwierzyli, a on się nie odmienił, bo nie taki był zamiar jego poskromicielei.

Pewnego ranka przyprowadzili do niego mnicha, którego specjalnie w tym celu ściągnęli do klasztoru. Był to człowiek bezpośredni i pogodny, lecz podczas mszy śmiał rzucać niegodne nabożnego męża uwagi i żarciki. Każde takie bluźnierstwo przygotowało Aymarda o mdłości, ale nie reagował. Mnich przez wiele dni starał się sprowokować Aymarda, lecz syn Enguerrana, skupiony na modlitwie, nie słuchał świętokradczych uwag. Jednak mnich był nieustępliwy, a jego słowa coraz bardziej swawolne, coraz złośliwsze.

Któregoś wieczoru Aymard stracił panowanie nad sobą. Ogarnięty szałem, chwycił świecznik z brązu i uniósł go wysoko, by roztrzaskać nim czaszkę mnicha. Krew napłynęła mu do oczu. Pięciu ludzi z trudem powstrzymało go od popełnienia zbrodni.

Ojciec Profuturus obserwował całą scenę, stojąc z boku. Był uszczęśliwiony. Instynkty Aymarda nie zamarły. W głębi swego jestestwa pozostał taki, jaki był - gwałtowny, pełen nienawiści, wybuchowy, nieobliczalny, nieposkromiony, lecz teraz swój gniew zwracał w innym kierunku i taki był cel Drony.

Zabiegi oczyszczające przyniosły pełny sukces.

17

Henno Gui nadal biedził się nad rozwiązaniem zagadki Heurteloup. Floris de Meung podjął dochodzenie na własną rękę. Nie wspominając o niczym mistrzowi ani Tłustemu Czwartkowi, postanowił policzyć mieszkańców wioski, także tych, którzy nie opuszczali swych szałasów z obawy przed trzema „demonami”.

Kryjąc się o zmroku za drzewami lub w chaszczach nad moczarami, w ciągu kilku dni zdołał ustalić, że wioska liczy dwadzieścia pięć dusz. Żaden wieśniak nie umknął jego uwagi. Floris był jednak rozczarowany.

Nigdzie nie dostrzegł dziewcząt, które nawiedziły go w lesie... Już sam nie wiedział, czy była to jawa, czy sen...

Jeśli są istotami z krwi i kości, a nie pochodzą z tej wioski, to gdzie się ukrywają?

Tymczasem Tłusty Czwartek rozpoczął remont kościółka. Wieśniacy panicznie bali się mężczyzny o posturze olbrzyma i unikali go, lecz on na to nie zważał. Niezwłocznie przystąpił do naprawiania szkód. Robota paliła mu się w rękach.

Od kilku dni obserwował go z daleka jeden z mieszkańców wioski. Nazywał się Agrykolus. Miał około dwudziestu lat, szczeciniastą, jasną brodę, nosił charakterystyczny dla tubylców skórzany przyodziewek. On

także w ciepłej porze roku pracował jako cieśla i stolarz. Umiejętności olbrzyma i jego zręczność w układaniu i naprawie konstrukcji dachu wprawiały go w podziw. W końcu zdobył się na odwagę i zaoferował Tłustemu Czwartkowi pomoc.

Tłusty Czwartek był małomówny. Nie znał zresztą ani mowy langwedockiej, ani łaciny. Mimo to dwaj mężczyźni zgodnie pracowali przy remoncie kościoła. Porozumiewali się bez słów, wystarczyły spojrzenia i gesty.

Agrykolusa zdumiewała więź między Tłustym Czwartkiem a wilkiem. Zwierzak pojawiał się we wsi codziennie. Wieśniak, za pośrednictwem Florisa, który zaczynał rozumieć miejscowy język, wyjaśnił Tłustemu Czwartkowi, że ten pół pies, pół wilk jest dla nich ważnym stworzeniem i otaczają go szacunkiem.

- Żyją w stadach - rzekł. - Od strony Skał, gdzie mają swoje nory, jest ich dużo, ale tylko przewodzący samiec waży się do nas zbliżyć. To tajemnicze zwierzęta. Jesteśmy do nich przywiązani. Powiadają, że to dzięki tym wilkom nasi przodkowie ocaleli przed Płomieniami i że przez pewien czas ukrywali się wśród nich.

- Jak to? - zapytał Floris. - Macie na to dowody?

- Oczywiście - odparł Agrykolus. - Kapłani je przechowują.

Opuściwszy wioskę, Henno Gui, którego Lolek nie odstępował na krok, wrócił do parowu — kryjówki wieśniaków. Chciał dokładniej przyjrzeć się temu zagadkowemu miejscu, tak zręcznie urządzonemu w sercu lasu.

Zaczął od badania ścian. Odrywał grudki ziemi i długo kruszył je palcami. Wykonywał tę czynność wielokrotnie, w rozmaitych miejscach, także pośrodku krateru, skąd musiał najpierw odgarnąć grubą warstwę śniegu.

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Kiedyś w parowie stała woda. To dno stawu.

Henno Gui okrążył krater i skierował się ku ścieżce prowadzącej nad mały staw. Właśnie na tej dróżce proboszcz z olbrzymem napadli Lolka. Wychodziła z najniższego punktu parowu. Ksiądz uważnie przyglądał się korytarzowi. Został wykopany po to, by wieśniacy mogli się swobodnie przemieszczać.

- Ten korytarz nie powstał w sposób naturalny, tak jak jeziorko nie wyschło samoistnie - powiedział. - Celowo usunięto z niego wodę. Na ścieżce widać jeszcze, którądy przepływała. To wyjaśnia jej szerokość, niezwykłą jak na leśną drogę. Za tym wszystkim stoi człowiek. Wielu ludzi.

Henno Gui zwrócił się do chłopca:

- Wiesz, kto wykonał te prace?

Lolek wzruszył ramionami. Domysły księdza wydały mu się szaleństwem. Kryjówka istniała od niepamiętnych czasów. Nikt jej nie budował. Była tu zawsze.

Ksiądz zbliżył się do krawędzi zamaskowanej kryjówki. Rzeczywiście, człowiek tylko pomógł naturze. Na sznurowej siatce gałęzie drzew utworzyły szczelną kopułę.

- Kto tę konstrukcję wymyślił i zbudował? — rzekł w zamyśleniu Henno.

- Ja nic nie wiem - odparł Lolek. - Nie słyszałem, żeby nasi przodkowie budowali to obozowisko. Po prostu tu znaleźli.

Henno Gui wskazał wbite w drzewa haki podtrzymujące liny.

- Powiadasz, że to nie wy wbiliście te haki?

- Nie.

- A broń? Żelazna broń, którą widziałem w chacie Tobiasza? Skąd się tu wzięła?

- Nie wiem - rzekł Lolek. - Otrzymaliśmy ją od ojców, oni zaś od swoich ojców... Broń jest jak drzewa w lesie lub deszcz spadający z nieba - ludzie z nich korzystają, ale ich nie stworzyli. Wszystko dała nam natura...

Ksiądz patrzył na płataninę lin i gałęzi u swoich stóp. Pomysł był genialny w swojej prostocie, ale w czym umyśle powstał i dlaczego twórca tego dzieła usytuował kryjówkę właśnie tu, w tym mrocznym lesie, o godzinę marszu od wioski tak bezbronnej jak Heurteloup?

- Tu także przechowujemy kamienny grom - dodał Lolek.

- Kamienny grom? O czym ty mówisz?

Henno Gui słyszał już tę nazwę. Pochodziła z dawnej Grecji — lud określał nią meteoryty.

Kapłan pomyślał, że powstanie ogromnego krateru mógł spowodować aerolit, jednak tylko pokręcił głową. To wydawało się nieprawdopodobne.

- Pokaż mi go - poprosił.

Przedmiot był zaokrąglony, dość dużych rozmiarów, pokryty mchem i rdzawymi porostami. Ukryto go w małym szałasie tuż za chatą Seta. Henno Gui przykląkł.

- Niezwykłe - mruknął.

Usunął pierwszą warstwę przegniłych porostów. Lolek stał o krok za nim.

- Panie, nie wolno ci... Gdyby oni się dowiedzieli...

Henno nie przerywał pracy. Wkrótce ukazała się porowata, wilgotna powierzchnia...

- Drewniany kufer - rzekł Henno Gui. - Z biegiem lat rogi skrzyni się zaokrągliły. Kamienny grom nie jest kamieniem ani meteorytem!

Choć pracował na oślepi, bez trudu odszukał okucie i zamek. Silnym szarpnięciem oderwał wieko. Z wnętrza kufra wydobyła się woń stęchlizny.

Czas, wilgoć i korniki nadważyły drewno. Skrzynia była właściwie pusta, na jej dnie leżały tylko żalodne, poczerniałe szczątki dokumentów.

- Stare pergaminy - orzekł Henno Gui.

Wsunął rękę do środka i szybkim ruchem odrzucił górną warstwę czarnej mazistej sterty. Pod spodem zachowało się kilka nienaruszonych, czytelnych kart. Karty były pożółkłe i rozmiękczone... Skóra pergaminu wyraźnie się skurczyła. Mimo to, pod światło, można było jeszcze dostrzec rysunki. Henno Gui wyszedł z szałas, aby dokładniej przyjrzeć się swemu znalezisku.

Trzymał w ręku szkic. Bardzo stary szkic. Kapłan obracał kartę na wszystkie strony, starając się pojąć jego znaczenie. W końcu doszedł do wniosku, że jest to projekt zbroi lub pancerza. Rozpoznał elementy kolczugi, hełmu, naramienniki i nagolenice, ale kształt tych osłon bojowych był niezwykle, wręcz dziwny, kolczuga miała ostre kany i krzywizny, uniemożliwiające swobodne poruszanie się podczas walki. Przypuszczalnie miała to być paradna zbroja na wyjątkowe okazje - imponująca i traktowana niemal jak symbol. Obok szkicu, z boku, widniało kilka znaków, może wymiary, a może wskazówki techniczne. Pismo było nierówne, drobne, ledwie czytelne.

Ksiądz wsunął szkic do sakwy.

- Nie wspominaj o tym w wiosce - polecił Lolkowi. - Jeszcze zdążymy o tym pomówić... kiedy będę potrafił dokładniej to wyjaśnić. Trzeba mi więcej czasu.

18

Brat Chuaquet musiał cierpliwie czekać do następnego dnia, by po rozmowie z Alcherem de Mozat spotkać się znowu z archiwistą. Koryntyn Tau przyjął go w swym prywatnym gabinecie, sąsiadującym z salą Komentarzy. Panował tam idealny porządek. Pergaminy i pliki dokumentów leżały starannie poukładane. Właśnie w tym pokoiku Tau pracował nad delikatnymi, wymagającymi dyskrecji sprawami. Tu, pochylony nad papierami, często spędzał całe noce.

- Znalazłeś moją notatkę, bracie? - zapytał.

- Tak - odparł Chuaquet. - Serdecznie dziękuję. I opowiedział o trudnej rozmowie z Mozatem.

- Domyślałem się, że tak będzie - archiwista pokiwał głową. - Na wspomnieniach starców rzadko można polegać.

Chuaquet skierował rozmowę na informacje zebrane przez archiwistę, a przede wszystkim na jego domysł, iż brak dokumentacji z kilkunastu lat życia Haquina wiąże się z jego długim pobytem w Anglii lub Irlandii.

- Zaiste, wydaje się, że to najbardziej prawdopodobna przyczyna - zgodził się Koryntyn Tau. - Nasi kapłani są wpisani do ksiąg arcybiskupstw w Paryżu czy Rzymie i rzadko tracimy ich z oczu. Sieć klasztorów i opactw na kontynencie jest gęsta. Pomiedzy Cluny, cystersami i franciszkanami wymiana informacji jest niemal doskonała. Z Wyspami Brytyjskimi rzecz się ma inaczej. Historia waszego biskupa to potwierdza. Skoro jednak po powrocie obejmował kolejne diecezje, to znaczy, iż zwierzchnicy nie mieli mu nic do zarzucenia.

- Co jeszcze mogłoby tłumaczyć brak informacji o zakonniku?

- Przyczyn może być wiele. Odstępstwo od wiary. Zmiana tożsamości. Potajemne małżeństwo. Gdyby Haquin dopuścił się któregoś z tych czynów, nie mógłby powrócić do społeczności wierzących ani, tym bardziej, nie dostąpiłby zaszczytnej godności biskupa!

Archiwista rozmyślał jeszcze przez chwilę.

- Przyczyną może być też pustelnicтво - dodał. - Gdyby wasz biskup, nie powiadomiwszy o tym zwierzchników, zamknął się w jaskini, aby przez piętnaście lat oddawać się modłom, nie wiedzielibyśmy nic o tym okresie. Nie jest to wcale rzadkie zjawisko. Zazwyczaj jednak pustelnicy, po tylu latach odosobnienia, nie wracają do życia parafialnego.

- A Rzym?

- Rzym...?

- Jego Ekscelencja Mozat dał mi do zrozumienia, że biskup Haquin mógł przez pewien czas przebywać na Lateranie za czasów Grzegorza Dziewiątego.

Chuaquet nie chciał na razie wspominać o liście. Obserwował reakcje archiwisty.

Koryntyn Tau pokręcił głową.

- Doprawdy, poczciwy Mozat traci pamięć! Za Grzegorza Dziewiątego? Jakże mógł zapomnieć o nienawiści, jaką papież pałał do Francuzów od panowania Filipa Augusta? A przecież był świadkiem tej wojny dyplomatycznej! Grzegorz nie zniósłby obecności Francuza w swym otoczeniu. To czysty absurd.

Wówczas Chuaquet bez słowa sięgnął po list Haquina z roku 1232, opatrzony pieczęcią i herbem Rzymu.

Archiwista patrzył na dokument w osłupieniu.

- Gdzie znalazłeś ten list, bracie?

- Powierzył mi go Jego Ekscelencja de Mozat.

- Jesteś pewien, że został napisany ręką twego biskupa?

- Całkowicie.

- Ciekawe...

- Jak brat to wyjaśni?

- To źle. Nawet bardzo źle. Czytałeś cały list?

- Tak. Niewiele jednak z niego wynika. Nie ma w nim wzmianki ani o pracy, ani o przyczynach pobytu na papieskim dworze.

W tej samej chwili, jakby rzecz była oczywista, archiwista ukrył list w sekretnej szufladce.

- Ależ... - zaoponował Chuaquet.

- Tymczasem ja przechowam ten dokument - przerwał mu natychmiast Koryntyn Tau. - Później ci go zwrócimy.

Oczy archiwisty rozbłysły, patrzyły teraz przebiegle i zachłannie...

- Czy Mozart wręczył ci jeszcze inne listy? — zapytał. Wikariusz pokręcił głową.

- Otrzymałem od niego tylko ten jeden. Nie wiem, czy ma ich więcej.

Chuaquet nie mógł pozwolić, aby pozostałe ślady przeszłości jego biskupa zniknęły w ten sam sposób. Przynajmniej dopóki on sam ich dokładnie nie przeczyta i nie wychwyci ważnych informacji.

Archiwista rozważał wszelkie domysły związane z tym zagadkowym pobytem francuskiego mnicha w Rzymie.

- Tylko jedna możliwość wydaje mi się prawdopodobna - rzekł w końcu.

- Szpiegowanie. Obserwacja. Francuz na dworze Grzegorza to zjawisko tak nieprawdopodobne, że nie sposób inaczej wytłumaczyć tę sytuację.

- A zatem mój biskup był szpiegiem?

- Tak. Lecz dla nas ważne jest nie tyle ustalenie, co robił w Rzymie, ile dla kogo to robił. Czy był francuskim obserwatorem, potajemnie przekazującym wieści z papieskiej stolicy, czy zdrajcą, który zaprzedał się Rzymowi na szkodę króla Filipa.

Zapadło długie, ciężkie milczenie.

- Diecezja w Draguan nie jest chyba taka nijaka, jak wynikałoby z twych słów - dodał archiwista, uśmiechając się dziwnie. - Mordują tam niewinnych podróżnych, księgi i rejestry giną bez śladu, pojawia się biskup o mrocznej przeszłości. Sądziłem, że lepiej będzie zapomnieć o wydarzeniach w Draguan, lecz najwyraźniej się myliłem. Co teraz zamierzasz?

- Doprawdy nie wiem - odparł Chuaquet.

- Osobiście radzę, abyś ruszył w dalszą drogę - rzekł Koryntyn Tau. - Krewni Haquina mieszkają w Troyes. Udaj się tam i porozmawiaj z jego rodziną. Podejmij śledztwo. Ja zaś gotów jestem służyć ci wszelką pomocą.

Chuaquet jednak nadal był nieufny...

- Dlaczegoż miałbyś mi pomagać? - zapytał.

- Ponieważ łączy nas wspólny cel. Obaj pragniemy zrozumieć, co się wydarzyło. Ty - przez pamięć na swego biskupa, ja, ponieważ chcę, aby wyszło na jaw to, co moi zwierzchnicy usiłują przede mną ukryć. Będziemy wymieniać się informacjami, żeby jak najprędzej poznać prawdę. Bez niczyjej wiedzy ani pomocy.

- Co się mnie tyczy, przyniosłem ci ten list, bracie - Chuaquet wskazał tajną skrytkę. - Jesteś zatem moim dłużnikiem. Czyż jednak mogę być pewien twego wsparcia?

Koryntyn Tau wyprostował się na krześle, a jego spojrzenie mówiło, że rozumie nieufność wikariusza.

- Mogę sprawić, że bez wysiłku dotrzesz do Troyes. Dam ci zaufanego człowieka, aby cię chronił, dam ci też pieniądze. To wcale nie tak mało. A poza tym, jeśli zdobędę nowe informacje, przekażę ci je. Czy teraz mi zaufasz?

Nazajutrz człowiek z arcybiskupstwa zapukał do drzwi celi Chuaqueta. Przyniósł sakiewkę z pieniędzmi i zaoferował pomoc przy przekraczaniu paryskich rogatek. A rogatki stolicy były w owym czasie pilnie strzeżone. Człowiek dostarczył mu także dla większego bezpieczeństwa świeckie szaty.

Razem opuścili pałac nad Sekwaną. Wikariusz zostawił w mieście swój wóz i konie.

Mężczyźni wmieszali się w gwarny uliczny tłum.

19

Będąc piętnastoletnim chłopcem, Henno Gui jako jedyny spośród seminarzystów odkrył niezdrową namiętność łączącą starego opata z jednym z uczniów. Aby dostrzec, co się dzieje, nie potrzebował ani podpatrywać ich igraszek, ani nadstawiać ucha na szepty obiegające refektarz - po prostu przeanalizował swoje zapiski.

W tym okresie młody Henno Gui uległ manii zapisywania w diarium wszelkich, nawet najbardziej błahych wydarzeń z życia własnego, a także z życia otaczających go ludzi. Diariusz, spisywany w kolumnach, ułożony tematycznie, opatrzone odsyłaczami, umożliwiał mu bezbłędne przewidywanie powrotu wędrownych ptaków, określenie położenia gwiazdy, a także ustalenie rozkładu zajęć nauczycieli i poznanie obyczajów opata. Z czasem drobne notatki dotyczące rozkładu dnia i zachowania członków wspólnoty, starannie posegregowane, pozwoliły mu zrozumieć ich postępowanie, odkryć przewiny, a nawet zazdrośnie strzeżone sekrety. Nie ujawniał wyników swoich dociekań. Prawda interesowała go znacznie mniej niż logika zdarzeń, którą potrafił intuicyjnie przewidzieć. Notatki niszczył, gdy mogły stanowić zagrożenie.

Do tego celu używał metody chemicznej, znanej mu z arabskiej instrukcji. Zanurzał karty w gorącej wodzie, a następnie skrapiał je sokiem z grzybobójczych ziół, który rozpuszczał atrament i usuwał go z pergaminu. Seminarzysta odzyskiwał w ten sposób pergamin, a zużyty atrament wylewał. Tak oto jego sekrety ginęły w starym środku wywabiającym, którego formułę odkrył uczonego Ibn Uda.

Henno nigdy nie uwolnił się od manii porządkowania na piśmie swych obserwacji i często gratulował sobie skrupulatności. Także i w Heurteloup, po kilku dniach dyskretnych obserwacji, odkrył dzięki swemu dziennikowi system potajemnego życia, wewnętrzną logikę, której na pierwszy rzut oka nie było widać.

Wydawałoby się, że wioska żyje chaotycznie. Ci dzicy mężczyźni i kobiety na pozór nie znali pojęcia ładu, nie wykazywali świadomości właściwej społecznościom wyżej zorganizowanym. A jednak w osadzie życie toczyło się podobnie jak w innych skupiskach. Ludzie łączyli się w pary, zakładali rodziny, przyjaźnili się, tworzyli klany... Pieniądze nie istniały. Potrzebne rzeczy wymieniali lub pożyczali sobie nawzajem; autarkia opierała się na pełnym zaufaniu i uczciwości; gdzie indziej pojęcia te dawno już zanikły.

W Heurteloup wszyscy musieli pracować i rzetelnie wypełniać przydzielone sobie obowiązki. Henno odkrył także istnienie hierarchii czasu i wysiłku, tak ścisłej, jaką znał tylko z cluniackich klasztorów. Każdy wykonywał określone i zawsze te same zadania. Wszystko toczyło się zgodnie z wyrazistym, nieznoszącym odstępstw porządkiem. Ktoś troszczył się o posążki, kto inny gromadził zapasy jada i przygotowywał je, jeszcze inny dbał o porządek we wsi, o bezpieczeństwo mieszkańców, zajmował się garbarstwem, pełnił posługę kapłańską... Doznania mistyczne i religijne silnie zaznaczały się w organizacji ich czasu - modły, którym towarzyszyły określone gesty, odprawiano w wyznaczonych godzinach, regularnie odbywały się spotkania z kapłanami.

Po zapisaniu kilku kart Henno Gui mógł na podstawie swych obserwacji ustalić, czym się zajmuje i gdzie przebywa danego dnia i o danej porze niemal każdy z wieśniaków. Jeżeli pragnął zapytać o coś Mabel lub Lolka, musiał to czynić w chwilach wolnych od zbiorowych obowiązków lub po zapadnięciu zmroku. Właśnie w długie wieczory dowiedział się z ust Mabel, jakie są podstawy ideologii obowiązującej w tym tajemniczym miejscu.

Tutejsi wieśniacy nie znali pojęcia historii ani przeszłości. Uważali, że Czas zaczął się od potężnej kuli Ognia, który spopielił dawny świat i unicestwił dzieci bogów. Morze płomieni sprawiło, że cofnęli się do roku Pierwszego.



Ich przodkowie też zaznali tego kataklizmu, ale przeżyli dzięki rozlewiskom. Moczary zatrzymały Wielką Pożogę i ocaliły ten skrawek ziemi przed unicestwieniem.

- Zginęło wtedy wielu naszych przodków - opowiadała Mabel. - Z tego nieszczęścia uszło z życiem zaledwie siedem niewiast. Wszyscy jesteśmy ich dziećmi. To nasze Matki.

- Nad grobami na tutejszym cmentarzu dostrzegłem kreski wyryte w drewnie - wtrącił Henno Gui. - Co one oznaczają? Mabel wzruszyła ramionami.

- Skądże mielibyśmy to wiedzieć? To kapłani czynią te znaki. Oni jednak znają ich rolę i wymowę.

- A wy nic o tym nie wiecie...?

Mabel i jej syn odparli, że nie. Wówczas proboszcz przypomniał sobie, że kobieta niedawno owdowiała.

- W jakim wieku zmarł twój mąż?

- W jakim wieku?... Nie wiem...

- Większość ludzi, których tu spotkałem, należy do tego samego pokolenia... Czy twój mąż był rówieśnikiem Seta i Tobiasza?

- Och, nie... - zaprzeczyła Mabel. - Nie... był od nich starszy... znacznie starszy.

Henno Gui starannie notował wszystkie informacje w swoim diariuszu.

Thusty Czwartek obudził proboszcza w środku nocy.

- Sasza zaczęła rodzić - oznajmił.

Proboszcz pobiegł za nim nad brzeg wielkiego rozlewiska, gdzie zebrali się wszyscy wieśniacy. Tuż nad wodą leżała na śniegu półnaga ciężarna dziewczyna. Wiła się i krzyczała z bólu. Otaczało ją trzech kapłanów. Skraplali wodą z bagna czoło i krocze rodzącej. Woda była lodowata. Henno Gui zadrżał, przerażony. Chwycił za rękę Lolka, który stał tuż przy nim.

- Jeśli nie przestaną tego robić - rzekł - dziewczyna skona, zanim dziecko wyda pierwszy krzyk. «

- To nasz święty obyczaj - odparł chłopak. - O innej porze roku poród odbywa się w samym jeziorze, aby dziecko przyszło na świat zanurzone w świętej wodzie, oczyszczone do życia. Zimą jest to niemożliwe, toteż kapłani skrapiają matkę i noworodka, żeby dochować świętej tradycji.

- Matka może tego nie przeżyć - zaoponował ksiądz.

— Często położnica gaśnie nazajutrz, zbyt przemarznięta, czasem jej łono nie chce się zasklepić po porodzie. Ale nie od nas zależy, czy umrze. Gdyby bogowie chcieli, żeby tak się nie stało, pozwoliliby dziecku pozostać w łonie matki do nastania cieplejszych dni.

Nazajutrz ksiądz wraz ze wszystkimi wieśniakami uczestniczył w pogrzebie Saszy, która skoła, zanim jej dziecię wyszło z łona. Ceremonia odbyła się na małym cmentarzu, gdzie Henno Gui zaglądał już wcześniej.

Zgromadzeni byli pogodni. Śmierć dziewczyny skłaniała do powagi, lecz nie wzbudzała ani cierpienia, ani rozpacz, jakie utrata bliskiej istoty rodzi wśród chrześcijan. W pobliżu kapłanów proboszcz dostrzegł zagadkowy przedmiot, okryty czerwono-żółtą tkaniną, podobną do tej, z jakiej uszyto szaty Seta.

Dziewczyna była zupełnie naga. Nie obleczono jej w suknię, nie okryto całunem. Ta bezlitosna nagość, widok zaokrąglonego jeszcze łona wstrząsnęły Hennem Guim. Wieśniacy zdawali się nie dostrzegać w tym niczego niestosownego. Mężczyźni wykopali głęboki dół, aby pogrzebać w nim ciało w pozycji stojącej. Wstrząsem dla księdza był pewien swoisty obyczaj - Set podparł powieki zmarłej dwoma małymi patyczkami, aby nawet pod ziemią zachowała szeroko otwarte oczy.

Henno Gui spojrzał pytająco na Lolka. Chłopak szeptem wyjaśnił, że ten zwyczaj jest prastary i przygotowuje zmarłych do dnia ich powrotu na ziemię.

- Gdy dusza powróci na świat - mówił Lolek - i znów wniknie w ciało, ono będzie przygotowane, z oczyma szeroko otwartymi.

Na twarzy Henna Guiego pojawił się promienny uśmiech. Spędził w wiosce już dwa tygodnie i nareszcie natrafił na pierwszy ślad, pierwszy niepodważalny element wiążący tych ludzi z chrześcijaństwem.

Zmartwychwstanie ciała. : ,

Kapłan nie liczył na tyle szczęścia.

20

Chuaquet konno przemierzał ulice Paryża, jadąc łeb w łeb z przysłanym przez archiwistę Koryntyna Tau strażnikiem. Mężczyźni zapuścili się w okryte złą sławą dzielnice miasta. W świeckich szatach Chuaquet był tu jednak w miarę bezpieczny. Klechy tutejsi ludzie na pewno nie potraktowaliby życzliwie.

Strażnik opowiadał wikariuszowi, że najbezpieczniej dotrą do Troyes drogą wodną. O tej porze roku przemytnicy nie zapuszczali się jeszcze na Sekwanę. Mężczyzna znał małą oberżę, gdzie łatwo uzyskają informacje. Chuaquet słuchał ze zdumieniem. Słowa te wypowiadał człowiek pozostający w służbie arcybiskupa, a jednocześnie tak swobodnie obracający się w półświatku.

Mimo wszystko postanowił mu zaufać. Zresztą pomysł odbycia podróży barką był doskonały. W ten sposób zyskają na czasie i nie utrudzą się tak jak on podczas wyczerpującej wędrówki z Draguan.

- Trzeba nam znaleźć solidną i bezpieczną barękę. Nie dziwiłbym się, gdyby zajęło to kilka dni - rzekł strażnik.

- Dlaczego arcybiskup sam nie może wyznaczyć niewielkiej łodzi, która zabrałaby nas do Troyes?

- Bo o niczym nie wie. O całej sprawie wie tylko mistrz archiwista i ja.

Mężczyźni usiedli w ciasnej izbie oberży Pod Białym Sokołem. Wynajęli wspólny pokoik. Strażnik upewnił się, czy zamek u drzwi jest mocny.

- W tej dzielnicy znajdziemy ludzi z piekła rodem, jakich nam trzeba.

Chuaquet ani na chwilę nie rozstawał się z tajemniczym kuferkiem.

- Nierozważnie spacerować z czymś, co jest dla nas cenne - ostrzegł strażnik.

Chuaquet, nie odzywając się ani słowem, spokojnie otworzył kuferek i pokazał mu jego zawartość...

Mieszkańcy tej części Paryża byli równie niezwykli jak fauna dzikiej kniei. Widywało się tu fałszywych ślepców, poskramiaczy panter, sypiających w jednej izbie ze swymi zwierzakami, starych marynarzy, którzy bogacili się na przemyśle towarów z mórz południowych, sutenerów pilnujących interesów, właścicieli lombardów... Ta dzielnica zdecydowanie różniła się od innych części stolicy - więcej tu było sklepów, więcej żebraków na rogach ulic, więcej rudowłosych wszetecznic, więcej patroli... Napływ włóczęgów i wszelakiego hultajstwa do Paryża zawsze nasilał się o tej właśnie porze roku.

Wkrótce strażnik otrzymał informację o pewnej płaskodennej barce, która miała wypłynąć z Noyant do Aisne. Trasa wiodła Sekwaną, rzecz jasna — przez Troye. Marynarze pozbyli się towaru i teraz chętnie czekali na nielegalny ładunek albo pasażerów, żeby zwrócić sobie koszty podróży.

- To świetna okazja - uznał strażnik. - Pusta barka zawsze jest bezpieczniejsza. Unikniemy natręctwa inspektorów Straży Wodnej. Nasza barka nazywa się „Fenicja”. Jeszcze dziś wieczorem opuścimy miasto i udamy się do Noyant. Mam glejt, który pozwoli nam przekroczyć roгатki Grand-Pont. Bez niego zostalibyśmy przeszukani i postawieni przed rajcami.

- A to dlaczego?

- Ponieważ cechy kupieckie i rzemieślnicze stanowczo sprzeciwiają się wywożeniu z Paryża dwóch rzeczy — pieniędzy i zwłok. Relikwie biskupa mogłyby nas narazić na nie lada tarapaty.

Chuaquet wsunął listy Alchera de Mozat za pazuchę. Strażnik wiedział co prawda, co kryje kufer, o istnieniu listów nie miał jednak pojęcia.

Mężczyźni wrócili do oberży Pod Białym Sokołem. W sali na dole Chuaquet dostrzegł mnicha, który jakby nigdy nie siedział pośród bandy złoczyńców.

- Sądziłem, że mnisi są tu niemile widziani - rzekł wikariusz.

- Tak, ale nie ten. Choć nosi habit, niezły z niego obwieś. Dobrze go znam. Zaczekaj, panie, on może się okazać pomocny.

Strażnik dołączył do grupki. Zakonnik zdawał się uradowany jego widokiem. Zamienili półgłosem kilka słów. Potem weszli na piętro, do pokoju Chuaqueta i strażnika.

Wikariusz został sam w oberży. Spojrzenia, które się na niego zwracały, onieśmiały go, bał się, że ktoś zapyta, co tu robi i po co beczynn timer tu przesiaduje. Wyszedł na ulicę i udawał, że się przechadza.

Całkiem sam, pomiędzy ulicami des Manteaux-Blancs i Brise-Miche, czuł się jeszcze bardziej zagrożony. Mocniej przytulił do siebie kuferek.

Chuaquet po dwakroć okrążył kwartał domów. Gdy był zaledwie o kilka kroków od oberży, stał się świadkiem dziwnej sceny. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu rozpoznał dwóch skrybów, których widział w sali Komentarzy u Koryntyna Tau. Stali wraz z jakimś obwiesiem za rogiem domu, tuż obok Białego Sokoła. Chuaquet dostrzegł, jak palcem wskazywali oberżę i wsunęli do kieszeni kompana sakiewkę. Ów kompan był włóczęgą, ubranym w łachmany i brudnym jak jemu podobni. Pośpiesznie wszedł do Białego Sokoła. Tamci pozostali na zewnątrz. Wszystko trwało niespełna pięć minut. Chuaquet nie ruszał się z miejsca. Nie wiedział, co czynić. Czy byli wysłannikami archiwisty?

Włóczęga wyszedł z oberży. Dał znak skrybom. Zamieniwszy parę słów, rozeszli się każdy w inną stronę. Skrybowie sprawiali wrażenie mocno podenerwowanych.

Te knowania rozbudziły niepokój i podejrzliwość wikariusza. Na pewno szukali tu jego... Jakie jednak nowe wieści mieli mu przekazać? I skąd wiedzieli, że właśnie tu się zatrzymał? Wahał się przez chwilę, zanim ruszył w stronę Białego Sokoła.

Izba na dole wciąż była gwarna. Nigdzie ani śladu strażnika i zakonnika-przebierańca. Dłużej nie zwlekając, Chuaquet wszedł na górę. Drzwi pokoju nie były zamknięte na zasuwkę. Wikariusz wszedł. Ujrzał strażnika i fałszywego mnicha na podłodze, martwych, z poderżniętymi gardłami.

Sakwa strażnika była rozcięta i opróżniona. Zniknęła sakiewka z pieniędzmi od Koryntyna Tau. Morderca oderwał nawet podszewkę habitu zakonnika, jakby czegoś szukał...

Chuaquet nie zastanawiał się ani przez chwilę. Chwycił torbę, zbiegł po schodach i nie oglądając się za siebie, zniknął w płataninie uliczek.

Sytuacja się komplikowała. Został bez pieniędzy, a raczej z resztką tego, co zabrał, wyjeżdżając z Draguan. Nie miał też giletów i przepustek. Nie miał ochrony. Nie mógł też wrócić do arcybiskupstwa, bo może sam archiwista był zleceniodawcą tego potwornego mordu... A jeśli skontaktował się z sekretarzem Mozata i dowiedział się, że Chuaquet był teraz w posiadaniu wszystkich listów? Jeżeli chciał je zdobyć za wszelką cenę?

Chuaquet musiał czym prędzej opuścić Paryż. Wykorzystując siatkę znajomości strażnika, odwołał się do pomocy ludzi, z którymi się zetknął, i za ich pośrednictwem szukał sposobu wydostania się z miasta tak, by uniknąć spotkania z wartownikami na rogatkach.

Napaść, której ofiarą padł strażnik, drogo kosztowała Chuaqueta. Wikariusz musiał wyjąć dwa duże kamienie z łańcucha, który zdjął z szyi Haquina, i opłacić nimi swoje bezpieczeństwo. W ten sposób uszczuplił schedę należną rodzinie biskupa.

Skierowano go do furmana wożącego drewno, który odsyłał właśnie dostawcy długie pnie drzew, zbyt spróchniałe, aby mogły posłużyć do budowy domów na Cite. Mnich wsunął się w wolną przestrzeń między balami i jak złoczyńca ukrywający się przed prawem opuścił w kilka godzin później stolicę.

Nazajutrz dotarł do Noyant. Poczul ulgę dopiero wtedy, gdy zobaczył przy nabrzeżu barkę „Fenicja”. Zgodnie z informacjami, jakich zdołał udzielić mu strażnik, szykowała się do rejsu. Tylko ta jedna barka nie była przykryta na zimę.

Przed rozmową z właścicielem Chuaquet postanowił powrócić do kapłańskich szat. Nie był dość zuchwały, żeby podawać się za przemytnika.

- Dokąd zmierzamy? - marynarz zwrócił się do mnicha opryskliwym tonem.

Nazywał się Franciszek Courtepoing, lubił jednak, by mówić do niego „Fenicjanin”. Z profilu nie przypominał antycznych żeglarzy, on jednak chwalił się, że sprytem dorównuje dawnym kupcom.

- Muszę dostać się do Troyes, i to jak najszybciej - powiedział Chuaquet.

- Da się załatwić. Mówię o dostaniu się tam, a nie o czasie, jaki to pochłonie. Jesteś proboszczem, ojcze?

- Wikariuszem.

- To lepiej, prawda? To znaczy... w hierarchii Kościoła? Chuaquet skinął głową.

- Nie mam nic przeciwko zakonnikowi na pokładzie, zawsze to ochrona dla towarów - zwierzył się marynarz. - Raz mi się to już zdarzyło z

pewnym opatem. Potem robiłem doskonale interesy. Tym razem płynę na pusto, albo prawie na pusto, dlatego potraktuję ojca jak zwykłego pasażera. Jest ojciec bogaty?

- Mogę zapłacić.

- Ucieka ojciec?

- A to dlaczego?

- Znam życie - mruknął kupiec. - Należy się piętnaście ecu. Chuaquet aż podskoczył. Cały jego skarb z Draguan wart był ledwie dziesięć ecu.

- Nie mam tyle - oznajmił sucho. - Siedem i ani grosza więcej.

Fenicjanin spojrzał na niego, uśmiechając się przebiegle -lubił się targować.

- Siedem ecu i co jeszcze? /

- Niczego więcej nie mogę oferować.

- Tego nigdy nie wiadomo...

Courtepoing zatrzymał spojrzenie na małym drewnianym krzyżu na piersi Chuaqueta.

- Przystanę na siedem ecu, ale żądam trzech odpustów całkowitych dla mnie i dla moich dzieci. Co ojciec na to?

- Nie kupuje się przebaczenia niebios.

- Czyżby? A odkąd to? Czyż nie prosi się nas o jałmużnę, kiedy wychodzimy z kościoła? Ci, którzy się uchylają, rzadko otrzymują błogosławieństwo proboszcza. Jeżeli nawet nie jest to zręczne targowanie się, bardzo przypomina handel. Dostanę siedem ecu, a zatem tracę osiem z tego, czego żądałem. Uwierz mi, ojcze, nigdy nie wrzuciłem aż tyle do skarbonki. Nie chcę cię kupić, ojcze - wspieram tylko twe dzieło. Czemu narzekasz? Wszak dobrze ci się żyje za pieniądze wiernych. Dorzuć moich osiem ecu do kosztów podróży.

Chuaquet nie czuł się na siłach odpierać bluźnierczych oskarżeń kupca-marynarza...

- Niech i tak będzie - rzucił z goryczą.

- Pobłogosławisz też moją barkę?

- Zgoda.

- A zatem płać.

Chuaquet odliczył monety. Fenicjanin natychmiast schował je do kieszeni. Zakonnikowi spieszno było wejść na pokład, ale kupiec znów go zatrzymał.

- Nie tak szybko! Teraz pomówmy o towarze.

- O jakim towarze?

Courtepoing wskazał kuferek Chuaqueta.

- Co tam chowasz, ojcze?

Wikariusz zacisnął dłonie na skrzynce. :

- Mamy tu ustalone stawki - dodał marynarz. - Jeżeli są tam tylko łachy, zostawię ojca w spokoju, jeśli jednak w kufierku kryją się kosztowności, które mogą stać się przeszkodą w moim rejsie, trzeba płacić.

- To moja sprawa, co ze sobą zabieram.

- Skoro ojciec tak mówi, nie zaprzeczę. W takim razie ojciec może wejść na pokład, ale skrzynka zostanie w Noyant. Nawet przemytnicy bez mrugnięcia okiem otwierają skrzynie i pozwalają sprawdzić zawartość. Czyżby sługa boży nie chciał uczynić tego, co nawet złodziej robi uczciwie?

Chuaquet wpadł w pułapkę. Obawiał się, że przesady właściciela barki jeszcze raz okażą się przeszkodą na jego drodze. W tej sytuacji uznał, że musi powiedzieć kupcowi o swej misji.

- Jadę na spotkanie z krewnymi swego zwierzchnika, mieszkającymi w Troyes, aby oddać im relikwie.

- Jakie relikwie? — zapytał podejrzliwie Courtepoing. Chuaquet otworzył kuferek. Kupiec aż gwizdnął ze zdumienia.

- A! To wszystko zmienia, ojcze! Nie wejdiesz na pokład z tym kufierkiem. Wybacz, ale szczęście i tak rzadko mi sprzyja! Nie zamierzam ryzykować!

Chuaquet pomyślał, że to już koniec, lecz Fenicjanin, wciąż zadziornym i pełnym oburzenia tonem, dodał zaraz:

- Dorzuci ojciec dziesięć ecu. I bez targów, albo zostawię na lądzie ojca i jego odpusty!

Chuaquet nie miał wyjścia. Ukradkiem wyjął kolejny kamień z biskupiego klejnotu.

Właściciel barki, sownie opłacony, od razu zmienił ton. Zapewnił, że rychło wypłynie z portu. Chuaquet wszedł na pokład.

Barka miała dziesięć metrów długości i dwa liche żagle. Niewielka budka mogła dać schronienie przed chłodem i wilgocią trzem ludziom. Resztę przestrzeni zajmowały sezonowe ładunki oraz stajenka dla konia pociągowego. Trzeba bowiem wiedzieć, że aby wrócić w górę rzeki przy bezwietrznej pogodzie lub silnym prądzie, Courtepoing wykorzystywał jego siłę. Koń szedł brzegiem, holując barkę.

Chuaquet czekał od godziny. Nikt nie zbliżał się do barki.

Dopiero na krótko przed wypłynięciem ujrzał żołnierza, który, jadąc konno, z daleka nawoływał Courtepoinga. Szybko zamienili parę słów i strażnik odjechał, nie zwracając uwagi na Chuaqueta.

- Kto to był? - zaniepokoił się kapłan.

- Żołnierz straży rzecznej. Jak zwykle chciał wiedzieć, co przewożę na „Fenicji”. Takie jest prawo.

- Wspomniałeś o mnie?

- Wspomniałem o księdzu, który wraca do Troyes w sprawach rodzinnych.

- A kufer? Co powiedziałeś? Właściciel barki popatrzył na Chuaqueta.

- Powiedziałem mu to, co trzeba. Ani mniej, ani więcej. Znam świat, w którym żyję.

Rzekłszy to, sprawdził kierunek i siłę wiatru. Zadowolony z pomiarów, wprowadził konia na pokład, podniósł kotwicę i „Fenicja” ruszyła w drogę w swym ślimaczym tempie.

Dzień był posepny. Lekka mgła unosiła się nad rzeką. Podczas gdy Courtepoing ustawiał konia tak, by zwierzę nie czuło kołysania, Chuaquet usiadł, oparty o burtę, i postawił kufer z kośćmi biskupa na kolanach. Po raz pierwszy od dawna poczuł się bezpieczny.

Wciąż miał przy sobie listy, które powierzył mu Alcher de Mozat. Osłonięty przed zimnym wiatrem burtą wzmocnioną deskami, w budce, bez wiedzy gospodarza, mnich począł rozsypywać konopny sznurek, którym przewiązana była paczuszka, i wrócił do lektury, którą podjął jeszcze w paryskim arcybiskupstwie.

Otworzył kolejny list pisany w roku 1226. Romee de Haquin miał wówczas dwadzieścia lat. List został wysłany z Erfurtu, z ziem cesarza. Nieco bezosobowy styl, kurtuazyjny, ale pozbawiony wyrazu, cechował listy z lat 1227-1230. Nie zmieniało się nic poza miejscem nadania: Augsburg, Tybinga, Albi, Konstancja, Salerno. W listach młodzieniec snuł uwagi i pikantne opowiadki o ludziach i krainach, które przemierzał.

Pierwszy istotny szczegół, pierwsza prawdziwie ciekawa informacja, a przede wszystkim pierwsze nazwisko pojawiło się w liście z roku 1230. Haquin przebywał w Hiszpanii, nieopodal Grenady i ziem pozostających jeszcze we władaniu niewiernych. Poznał tam tajemniczego człowieka o nazwisku Malaparte. Artemiusz de Malaparte. W tej relacji jeden fragment zaintrygował wikariusza: „Ukochany bracie Alcherze -pisał Haquin - nie potrafię wyrazić wdzięczności wobec tej osoby, którą opatrność postawiła na mej drodze. Dzięki niej stałem się innym człowiekiem, wreszcie bielmo spadło mi z oczu”. Wikariusz wielokrotnie czytał ostatnie zdanie.

Kolejny list pozostał w rękach paryskiego archiwisty. Był pierwszym pisany z Rzymu, ale jeszcze nie ujawniał powodów obecności Haquina w papieskiej stolicy. Wyjaśniał je dopiero ten opatrzony datą 1231. Haquin podążył za Malapartem. Chuaquet zrozumiał, że biskup mu służył. Malaparte został wezwany do Rzymu przez papieża Grzegorza IX. Z inicjatywy papieża powołano nieliczne kolegium, którego zadaniem było oficjalne rozważanie polemik, do jakich doszło w Europie w związku z pojawieniem się nowego przekładu dzieł Arystotelesa. Wiele myśli tego



filozofa zwracało się jawnie przeciw kanonom wiary chrześcijańskiej. Kolegium złożone z trzech uczonych, wśród których znalazł się Malaparte, zwołane przez papieża, miało tego roku rozważyć problem i podać oficjalne stanowisko Rzymu w tej sprawie.

Arystoteles? Chuaquet przerwał czytanie listu. W ciągu piętnastu lat służby u boku Haquina raz i tylko raz usłyszał z jego ust to imię. Było to wkrótce potem, gdy jako młody subdiakon przybył do Draguan. Biskup często rozmawiał z nim na takie szkolne tematy, chcąc poddać go próbie. Tamtego dnia Haquin i Chuaquet rozprawiali o zbawieniu.

- Przybywając między ludzi - mówił Haquin - Chrystus utorował nam drogę do zbawienia wiecznego. Od narodzin Jezusa zbawienie stało się osiągalne dla każdego śmiertelnika. Wystarczy usłuchać Jego przesłania i podążać drogą, którą wytyczył...

To rozumowanie nie przeszkodziło Chuaquetowi w zadaniu prostego pytania, podsunętego przez zdrowy rozsądek:

- A co dzieje się z ludźmi, którzy żyli przed Chrystusem? Skoro możemy liczyć na zbawienie od narodzin Syna Bożego jako człowieka, to wszyscy nabożni ludzie starożytności, myśliciele i uczeni, są skazani na potępienie? Czyż dla nich nie ma nadziei na zbawienie i życie wieczne tylko dlatego, że urodzili się za wcześnie, by poznać Chrystusa i jego nauki?

Ta myśl nie zbiła biskupa z tropu. Haquin spokojnie udzielił mu odpowiedzi, używając klasycznej wówczas formuły, znanej i stosowanej powszechnie: wielcy myśliciele ery przed-chrystusowej byli chrześcijanami, choć nie zdawali sobie z tego sprawy.

- Nie zdawali sobie sprawy?

Haquin w skrócie streścił historię ojców kościoła, którzy ukuli podwaliny myśli chrześcijańskiej. Wszyscy przynależeli do kultury hellenistycznej. Kiedy nawrócili się na wiarę chrystusową, podjęli trud przeformułowania wielkich greckich systemów filozoficznych, aby dostosować je do terminologii chrześcijan, oświeconych nową wiarą i bogatszych o doświadczenie Chrystusa. Ten trud, wymagający studiów wielu pokoleń, był jedynym w swoim rodzaju przeżyciem intelektualnym. Skojarzenia, często nieprawdopodobne, doprowadziły do ujawnienia „błędów” filozofów antycznych, a także „poważnych luk” rozwijającej się religii chrześcijańskiej. Na przykład dzieło świętego Augustyna zrodziło się z chrystianizacji myśli Platona. Między wierszami, między ideami, w cieniu sokratesowej wątpliwości, wielki biskup Hippon odnalazł wartości, wybory i przesłania tak śmiało głoszone przez Kościół. W ten sposób wielu antycznych filozofów, nic o rym nie wiedząc i nie znając Syna, było chrześcijanami. Dzieła tych myślicieli starożytności, które nie poddawały

się analizom, trafiwały na indeks, a ich autorzy byli uznani za heretyków lub błądzących.

- Czasy, w których przyszło nam żyć, są niezwykle ciekawe - dodał Haquin. - Kościół długo zadowalał się swym wielkim triumfem nad platonizmem, nie zważając na głównego adwersarza - szkołę Arystotelesa, ucznia Platona.

- Arystotelesa? Tego od Logiki!

- Dobrze uczyniłeś, przywołując właśnie ten tytuł - powiedział Haquin.

- Przez długi czas było to jedyne zachowane dzieło Arystotelesa. Wszystkie inne zaginęły.

- Słyszałem o tym - odparł Chuaquet.

- Tak, lecz nie to jest dziś najważniejsze. Odnaleźliśmy jego pisma. Przegnani z hiszpańskiej ziemi muzułmanie pozostawili swe biblioteki. W nich właśnie odnaleziono dzieła Arystotelesa, przetłumaczone z greki na arabski przed trzynastoma wiekami! Przez cały ten czas spoczywały w archiwach Babilonu i Suzy, lecz nikt o tym nie wiedział. Taką zdumiewającą wędrówkę odbyła myśl, która dziś jawi nam się jako nowa, oryginalna i niespodziewana, niczym filozofia zesłana z niebios! I odtąd - ciągnął Haquin - próbujemy zrobić z Arystotelesem to, co Augustyn i ojcowie kościoła uczynili z Platonem. Niestety, arystotelesowa myśl jest bardziej skomplikowana i odległa niż myśl platońska. Niemal pod każdym względem przeciwstawia się fundamentom naszej wiary.

- Po cóż zatem tak zaprzętać nią umysły? - zapytał Chuaquet. - Uczyńmy to, co z innymi myślicielami starożytności, których ojcowie kościoła odrzucili - ignorujmy go. Możemy wszak ogłosić, że Arystoteles jest heretykiem, i żyć bez niego, jak dotąd. Czyż nie podważano pism ewangelisty Jana?

- Zaiste, zaiste... - kiwał głową Haquin. - Lecz dzieło Arystotelesa ma nad pismami Jana przewagę - bardziej fascynuje uczonych niż teologów. Platon twierdził, że poznanie prawdy jest dla ludzi niedostępne, uważał, że przynależy ona do innej rzeczywistości, której nie jesteśmy zdolni postrzegać za życia ziemskiego, postrzegamy bowiem tylko jej pozory. Arystoteles zaś twierdził, że może wszystko badać i wszystko zrozumieć. A skoro prawda kryje się za rzeczami i istotami żywymi, uznał, iż człowiek posiada wszelkie atuty oraz prawa, by zgłębić tę tajemnicę. Skoro więc ucho mędrca zasłyszało już te słowa, nie czas myśleć o zadawaniu im kłamu.

- Czy ty, ojcze, jesteś przeciwnikiem Arystotelesa?

— Nie mam nic przeciwko badaniu chorób czy właściwości roślin, skoro wiedzie to do rozwoju sztuki medycznej, cóż jednak rzec o tych, którzy, sięgając po ten argument, pozwalają sobie na najśmielsze

eksperymenty? Życie jest tworem Boga, emanacją Jego woli. Próba przeniknięcia tajemnicy życia jest wdzieraniem się w tajemnice Boga, a zatem oznacza obrazę Pana Naszego. Cóż na przykład powiedzieć o tych, którzy pracują dziś nad rozszczepieniem światła, bo chcą zbadać jego właściwości? Światło? Czyż ludzie ci zapomnieli, że to trzeci akt Stworzenia Świata? I pierwszy, po którym Bóg rzekł własnym głosem, iż wszystko, co stworzył, jest dobre. Jakże uwierzyć w to, co powiadają niektórzy - że światło istnieje po to tylko, by oświetlać nam drogę, skoro powstało ono z woli Boga? Cóż myśleć o tych, którzy badają mechanizm prokrecji? Czyż po to pali się alchemików i czarowników na stosie, żeby lepiej pojąć kierujące nimi pokusy?

Nigdy więcej Haquin i Chuaquet nie rozprawiali ani o zbawieniu, ani o Arystotelesie.

W liście do Mozata z roku 1232 biskup informuje o dotkliwej porażce kolegium. Trzej uczeni mężowie uznali, iż ich analizy przemawiają na korzyść zwolenników Arystotelesa, i zrozumieli, że mimowolnie postąpili wbrew skrywanej woli papieża, który pragnął jedynie zyskać poparcie tak godnego gremium, aby tym skuteczniej rozprawić się z nowymi doktorami i raz na zawsze potępić myśl Arystotelesa. Jego polityczna broń zwróciła się przeciwko niemu, toteż Grzegorz IX rozwiązał kolegium i bez skrupułów odprawił członków.

W liście z 3 lutego 1232 roku Romee de Haquin w długich dygresjach krytykuje decyzję papieża i komentuje owo „tłumienie myśli”. Tak ostra postawa zdumiała Chuaqueta. Haquin okazał się żarliwym obrońcą wolności rozumu i orędownikiem badania prawdy, a zatem w istocie rzeczy zgadzał się z Arystotelesem. Słowa zawarte w tym liście przeczyły wypowiedzianym po trzydziestu latach w Draguan.

Wikariuszowi wydało się, iż słyszy krzyki. Ktoś nawoływał z brzegu, machając w stronę „Fenicji”.

Kupiec skierował barkę do brzegu. Młody mężczyzna w lichym przyodziewku przedstawił się jako Dionizy Lenfant.

- Przysyła mnie d'Artois.

- D'Artois? Ten ze straży? - zdziwił się Courtepoing.

- Tak, z Noyant.

Młodzieniec wszedł na pokład, niosąc ciężki worek.

- Popłynę z wami - oznajmił. - Mam coś do załatwienia w Aisne, wysadzisz mnie tam.

Kupiec przystał na to. Nie zażądał od nowego pasażera żadnej opłaty. Dionizy Lenfant powołał się na strażnika... za takie przysługi nie bierze się pieniędzy.

Młodzieniec przycupnął na dziobie barki. Chuaquet schował listy za pazuchę i postawił kuferek obok siebie.

- Pochwalony, ojciec - pozdrowił go chłopak. - Jak cię zwa?
- Chuaquet... brat Chuaquet. Lenfant skłonił głowę.
- Miło mi, bracie Chuaquet...

21

W Heurteloup Henno Gui nadal obserwował życie codzienne swych parafian i uzupełniał diariusz. Z biegiem dni odkrył, że trzech kapłani, a także Set i Tobiasz, co tydzień na wiele godzin znikają gdzieś bez śladu; zapewne opuszczają wioskę.

Zauważywszy, że każdy z nich wchodzi w pewnej chwili do swej chaty i pojawia się po długim czasie, proboszcz przystanął nieopodal domostwa Seta. Gdy zbliżała się godzina, o której zwykle się to działo, okrążył chatę. Jednak od strony lasu nie było dodatkowych drzwi. Ostrożnie zawrócił i uchylił drzwi. Nie zdziwił się, stwierdziwszy, że w środku nikogo nie ma.

Tuż przy dużej skórze łosia, rozłożonej pod ścianą, zobaczył grudki wilgotnej ziemi. Uniósł skórę. Oslaniała lekką ścianę z żywicy, ziemi i suszonych traw. Opukał ją i usłyszał dźwięczny odgłos. Bez trudu przesunął ściankę - za nią ujrzał korytarz wiodący pod ziemię.

Bez wahania ruszył przed siebie. Stapał po błotnistym, rozmiękłym gruncie.

- To bardzo stary korytarz - szepnął. - Stopniowo zalewany bagienną wodą. Kiedyś całkowicie go wypełni.

Oczy Henna powoli oswajały się z ciemnością. Przenikało tu trochę rozproszonego światła, któremu zalegający ziemię śnieg nadawał odcień błękitu. Ksiądz czuł na szyi mroźny podmuch wiatru.

Architektura podziemi zadziwiła go. W Europie istniały liczne sekretne przejścia, zarówno pod opactwami, jak i fortecami, a także korytarze łączące oddalone od siebie budowle. Zawsze stanowiły element systemu obronnego lub sprytnie obmyśloną drogę ucieczki. Po co jednak zbudowano taki tunel w Heurteloup? Przed kim miał bronić? Ta wioska nigdy nie liczyła więcej niż pięćdziesięciu mieszkańców... Nie kryła żadnych bogactw. Trud włożony w przygotowanie podziemnego przejścia zdawał się niczemu nie służyć.

Henno Gui postanowił zapuścić się jeszcze dalej i odkrył, że podąża systemem korytarzy, tworzących istny labirynt. Powietrze wciąż było świeże, system wentylacji działał, musiał być zatem doskonale opracowany.

W oddali dostrzegł światełko. Zbliżył się. Przed nim, nieco w dole, znajdowała się spora okrągła izba. Pośrodku stało trzech kapłanów, Set i Tobiasz. Tworzyli krąg wokół kamienia okrytego żółto-czerwoną tkaniną,

taką samą jak na pogrzebie Saszy. Proboszcz ujrzał także okazałą stertę starannie ułożonych liści.

Salę zalewało światło wbitych w ściany pochodni. Szary dym gromadził się wysoko i ulatywał ku korytarzom.

Miejsce, w którym stał, było zbyt widoczne. Wycofał się i ruszył łagodnie pnącym się w górę korytarzem, tam, skąd docierał strumień powietrza. W końcu stanął przed ścianą identyczną jak ta w chacie Seta. Nie słysząc za nią żadnych niepokojących odgłosów, pchnął ją.

Znalazł się we wnętrzu chaty. Panował w niej mrok. Okna i drzwi były zabite. Smużka światła docierała jedynie przez charakterystyczny dla tutejszych domostw otwór w dachu.

Drzwi ustąpiły, gdy kilkakrotnie pchnął je ramieniem. Światło dzienne oślepiło Henna, otoczył go tuman pyłu. Znajdował się poza obrębem wioski, przed chatą, którą mijał, kiedy tu przybył wraz z Florisem i Thustym Czwartkiem. Przed opuszczoną chatą.

Henno Gui długo rozmyślał. Podziemne korytarze okazały się znacznie dłuższe i głębsze, niż się spodziewał... « :

Najbliższej nocy Henno Gui i jego kompani dyskretnie wymknęli się z wioski.

Mimo że było ciemno, ksiądz odnalazł wejście wiodące z chaty do podziemi. Zapalił pochodnię dopiero wtedy, gdy wszyscy weszli do tunelu. Floris i Thusty Czwartek podążali za swym mistrzem, oszołomieni jego odkryciem.

Henno Gui podążał ku podziemnej sali. Zapalił nasączone żywicą pochodnie.

- Nikt nie dostrzeże światła? - zaniepokoił się Floris.

- Nad nami jest las - odparł ksiądz, - Wioska została daleko.

Wskazał ściany korytarza. Przerastające je korzenie drzew dowodziły, że znaleźli się już w lesie.

Przedmiot okryty barwną tkaniną wciąż leżał na środku izby. Henno Gui delikatnie zdjął czerwono-żółte płótno i odsłonił mały drewniany kuferek. Podniósł wieko.

- Ten kufer miał więcej szczęścia niż tamten na dnie parowu - powiedział. - Nie był wystawiony na niszczycielskie działanie wilgoci.

Ksiądz uniósł pochodnię i zajrzał do kufra.

- Manuskrypt jest w doskonałym stanie - stwierdził. -Karty lekko się rozdwiają, ale oprawa świetnie się trzyma.

Ostrożnie przewracał stronicę. Litery były wysokie i smukłe. Pismo wyraźnie różniło się od widniejącego na szczątkach kart spod kamienia w parowie. Każda stronica była zapełniona od góry do dołu, jak czyniono to

w skryptoriach, by oszczędzić nieco pergaminu. Odczytał półgłosem fragment tekstu.

- Dziwne... bardzo dziwne - szepnął. Przeskakiwał całe akapity, przerzucał po kilka kart, cofał się.

- To są jakieś zapiski po łacinie. Rozmaite notatki. Jakby robił je ktoś, kto uczył się tego języka. Henno Gui przewrócił kartę.

- Tu na przykład widzę bardzo nieprecyzyjny przekład... Timaios Platona, urywek pierwszego rozdziału Metamorfoz Owidiusza. Pisma kosmologiczne... narodziny świata, eter, chaos, pojawienie się człowieka... To kiepskie tłumaczenie, obfitujące w błędy. Ten, kto pisał te zdania, nie władał biegle łaciną, często mylił słowa i używał składni langwedockiej, żeby szybciej poradzić sobie z tą materią. Tu - podjął, zatrzymując spojrzenie na innym akapicie - mamy listę rzeczy niezbędnych mnichowi. Liczba koszul, habitów, sznurów, płaszczy, bielizny... A to chyba psalmy... - dodał po chwili.

Oprócz księgi w kufrze spoczywał czysty pergamin. Niektóre karty wyraźnie niszczały - rozdwajały się i pokrywały cienką warstwą pleśni.

- Do kogo należała ta księga? Kto napisał te teksty? - pytał Floris. - Może Kosma, ostatni proboszcz?

- Być może.

- A może ktoś inny, kto przybył tu po nim...

- I wykorzystał izolację wioski i łatwowierność mieszkańców.

- Ale po co? - zapytał uczeń.

Henno Gui zamyślił się. Postanowił wyjawić swe podejrzenia. Zwrócił spojrzenie na Florisa i Tłustego Czwartka.

- Aby odgrywać rolę wieszczka, a może nawet - któż to wie? - Boga.

- Boga?

- Znalazłby tu idealny grunt, aby dokonać takiej mistyfikacji. Sytuacja taka panuje tu od bardzo dawna.

- Dlaczego więc tak mało tu śladów tej osoby? Poza tekstami...

- Ślady pobytu tej istoty, jeśli w ogóle istnieją, mogą pochodzić sprzed z górą czterdziestu lat. Zastanawiałem się już nad tym. W tamtych czasach południe zalały armie papieska i królewska. Najeźdźcy palili na swej drodze wszystko, co nie podlegało władzy Rzymu. Obozowisko, które widziałem w parowie, mogli zbudować właśnie żołnierze. Któż inny osuszyłby staw, żeby na jego dnie zrobić kryjówkę? Kto pozostawiłby tu tyle broni? Jeżeli ten profeta naprawdę tu mieszkał, być może - choć czuł się bezpiecznie w zagubionej wiosce, którą świat uznał za wymarłą po epidemii dżumy - przyszło mu stanąć twarzą w twarz z najeźdźcami? A skoro o parę stają stąd dotarła potężna armia, owa legendarna Wielka Pożoga mogła być karą, jaka spadła na wieś...

- Wszak takie wydarzenie - wykrzyknął Floris - musiałyby zapisać się w annałach papieżstwa albo królestwa!

- Działo się to w czasach, kiedy okrucieństwo żołnierzy było chlebem powszednim, niewartym odnotowania.

- Kimże był ten człowiek? Czy to Kosma? Sądziłem, że umarł na dżumę. A może ktoś, o kim nie słyszeliśmy?

- Wydaje się, że mógłby nim być biskup Haquin - rzekł Henno Gui.

- Haquin?

- Dłaczegóż by nie? Przebywał w tej diecezji dość długo. Dziwne, że zamordowano go wkrótce po odkryciu osady. Jeżeli między tymi sprawami istnieje jakiś związek, dowiemy się o tym. Na razie przyjmujemy hipotezę, iż człowiek, który zawładnął duszami wieśniaków, był obdarzony charyzmą. Jak każdy fałszywy prorok wytępił dawne wierzenia. Nowe bóstwa pragną uchodzić za pierwsze i jedyne. To tłumaczyłoby brak na cmentarzu śladów chrześcijańskich przodków moich parafian. Lęk, zapewne zrodzony z wierzeń, sprawił, że tkwią w tej zapomnianej przez Boga i ludzi wiosce i nigdy jej nie opuszczają.

Henno Gui spojrzał na księgę.

- Trzeba by to uważnie przestudiować. Autor tego tekstu musiał się czymś zdradzić.

22

Żegluga odbywała się przy padającym bez chwili przerwy śniegu. Atak zimy, którego spodziewano się od początku mrozów, nastąpił właśnie teraz. Zakonnik, Courtepoing i Dionizy Lenfant dniem i nocą przesiadywali w ciasnej budce na pokładzie „Fenicji”. Koń, idąc wzdłuż brzegu, z trudem holował barkę.

Zanim dopłynęli do Troyes, Chuaquet musiał spełnić obietnicę i udzielić Courtepoingowi trzech odpustów całkowitych, a przygodny pasażer także ochoczo skorzystał z tej okazji. Spowiedź Lenfanta ujawniła, że jest człowiekiem bez skrupułów, często dla zysku dopuszczającym się krzywoprzysięstwa i podejmującym się wykonania każdego zlecenia, bez względu na cel i osobę, której ono dotyczyło. Pocziwy Chuaquet słuchał i przebaczał, w nadziei, że tanio sprzedane odpusty nie mają w oczach Boga żadnego znaczenia. Wlokące się w nieskończoność dni na rzece okazały się jeszcze cięższe do przetrwania niż samotna podróż z trumną Haquina.

Chuaquet obawiał się, że Lenfant został nasłany przez straż wodną. Wypytywany o swoją przeszłość i cel podróży, zakonnik zmyślał i kręcił, byle nie wyznać rzeczywistego powodu wyprawy. Kim był Dionizy Lenfant i dokąd zmierzał, nie miało dla Chuaqueta znaczenia. Nic nie wskazywało na to, że był szpiegiem, jednak wikariusz wolał zachować

ostrożność. Odetchnął z ulgą, schodząc wreszcie na ląd nieopodal miasta Troyes. Kupiec płynął dalej, do Aisne. Lenfant pozostał na „Fenicji”.

Śnieg wciąż sypał. Chodząc wąskimi uliczkami Troyes, Chuaquet pukał do drzwi i pytał, jak trafić do siedziby Haquinów, ale nikt nie pamiętał takiego nazwiska. Dopiero włóczęga, który schronił się przed zimnem w katedrze, wskazał mu klasztor Sióstr od Marty, przy północnej bramie miasta. Poradził, by zwrócił się do matki przełożonej Dany, która знаła Haquinów. Włóczęga twierdził, że ta rodzina wymarła, a może opuściła miasto.

Mniszki mieszkały w starej warowni, solidnej i niezdobytej. Architektura tej budowli, szanice i uskoki, nie pasowała do obecnego przeznaczenia tego miejsca.

- Co cię sprowadza, ojcze?

Przeorysza Dana była starszą kobietą o surowym, szlachetnym obliczu. Jej rysy zdradzały, że nie jest rodowitą Francuzką. Mówiła z lekkim włoskim akcentem.

- Byłem wikariuszem Jego Eksceleńcji Romee de Haquina w biskupstwie Draguan - przedstawił się Chuaquet. - Przybyłem, by oddać krewnym jego rzeczy osobiste.

- A zatem Romee de Haquin nie żyje? Chuaquet skinął głową.

- Niech Bóg ma w opiece jego duszę - szepnęła mniszka.

- Podobno nikt o tym nazwisku nie mieszka już w Troyes?

- To prawda. Zbyt wielu mężczyzn z tego rodu poświęciło się służbie bożej. Bezpłodna rodzina wymiera.

- Nie ma żadnych spadkobierców?

- Haquinowie cały swój majątek ofiarowali naszemu zakonowi, ojcze.

- Czy znała matka Romee Haquina?

- Tak, lecz nie powiem nic na jego temat bez upoważnienia Esklarmondy.

- Kim ona jest?

- To siostra Romee - odparła przeorysza. - Nadal żyje tu wśród nas.

Chuaquet, słysząc te słowa, poczuł jakby smagnięcie biczem. Siostra Haquina! Wikariusz przypomniał sobie małą dziewczynkę z opowieści starego Alchera de Mozat.

- Czy mogę z nią pomówić? - zapytał rozgorączkowany.

- Nie sędzę. Siostra Esklarmonda przebywa w odosobnieniu. Z nikim się nie widuje. Nigdy nie wychodzi z celi. Ze względu na okoliczności chętnie przekażę jej twą prośbę, za nic jednak nie ręczę. Jutro czwartek. Zaczynamy modły tygodnia Męki Pańskiej. Zajrzyj tu znowu w przyszły poniedziałek.

Chuaquet nie zamierzał czekać tak długo.



- Siostro - zwrócił się do niej nieco ostrzejszym tonem - przywiozłem szczątki doczesne Jego Eksceleńcji. Woskowa twarz przeoryszy ożywiła się.

- Winien mu jestem pochówek - ciągnął Chuaquet. - Dłużej nie mogę czekać.

Zakonnica zgodziła się, by przyszedł nazajutrz.

Chuaquet zaczął rozglądać się za oberżą. Klasztor Sióstr od Marty nie otwierał furty przed mężczyznami, zakonnik wolał zaś nie pokazywać się w biskupstwie, gdzie zapewne udzielono by mu schronienia. Wolał pozostać anonimowym podróżnym. Znalazł izdebkę w oberży Pod Dziobem. Zapłacił za nocleg resztką pieniędzy i szybko udał się na spoczynek. Kiedy był u szczytu schodów wiodących do pokoi, usłyszał, że do gospody ktoś wchodzi. Nie widział tej osoby, ale poznał po głosie towarzysza podróży, Dionizego Lenfanta.

23

W pałacu na Lateranie Fauvel de Bazan siedział przy biurku przed drzwiami gabinetu Artemidora. Na drewnianej ławie pod ścianą czekał na posłuchanie ojciec Profuturus.

- Kanclerz wkrótce cię przyjmie, ojcie - powiedział życzliwie diakon.

Zakonnik pokiwał głową.

W tej samej chwili w progu stanęli trzej franciszkanie i gru-bawy dominikanin. Tych samych zakonników we franciszkańskich habitach spotkał dwukrotnie Enguerran du Grand-Cellier, najpierw tu, na Lateranie, potem w wili Chenedolle, gdzie stanął przed Artemidorem i jego zgromadzeniem. Teraz także mnisi sprawiali wrażenie surowych i władczych. Diakon nie potrafił ukryć obawy, jaką wzbudził w nim ich widok.

- Ten człowiek - oświadczył jeden z franciszkanów, wskazując towarzyszącego im dominikanina — przyszedł do nas wczoraj wieczorem.

- Ojciec Merle z francuskiej legacji w Rzymie - przedstawił się dominikanin.

Był niskiego wzrostu, przedwcześnie wyłysiały.

- Przynosi wieści z Paryża - dodał franciszkanin. - Wydaje nam się, że zainteresują kanclerza.

- O co chodzi? - zapytał Bazan.

- Mam informacje, które pragnę przekazać archiwście z Paryża - odparł Merle - ...na temat niejakiego Romee de Haquina, biskupa Draguan, który miał przebywać w Rzymie za Grzegorza Dziewiątego...

Choć Bazan był wytrawnym politykiem, nie zdołał nad sobą zapanować - upuścił na biurko pióro, które trzymał w ręce.

- Zaczekajcie tu - rzucił i zniknął za drzwiami kancelarii.

- Sądzę, iż przybyliśmy we właściwe miejsce - rzekł wysoki franciszkanin i wraz ze swymi braćmi od świętego Franciszka pozostawił dominikanina przed kancelarią.

Profuturus musiał poczekać na rozmowę z Artemidorem. Ojciec Merle został niezwłocznie zaproszony do kancelarii.

- Cóż to znowu za historia! - krzyknął rozgniewany Artemidor, znalazłszy się wreszcie sam na sam z sekretarzem. - Uważałem, że sprawa dokumentów Draguan w Paryżu została ostatecznie załatwiona!

- Ja również tak sądziłem, Ekscelencjo.

- Jakim prawem archiwista wszczął poszukiwania? Skąd wie o śmierci biskupa? Odkąd to podejrzewają, że Haquin przebywał w Rzymie? I jakim cudem wiadomość o tym dotarła do dominikanina?

- Francuzi, podobnie jak Anglicy, komunikują się bardzo szybko, nawet zimą. Nauczyli się tego na Wschodzie.

- Wydaj instrukcje Jorge Ai. Niech sam załatwi tę sprawę! - Kanclerz uderzył pięścią w stół. - Na Ciało Chrystusa, nienawidzę, kiedy ktoś myszkuje pod moim nosem i wyciąga sprawy z zamierzchłych czasów!

By nie podsycać gniewu zwierzchnika, Bazan skinął tylko głową i wycofał się. W drzwiach minął się z ojcem Profuturusem.

- Co słyhać? - powitał go z uśmiechem Artemidor. - Jak nasze sprawy?

- Wszystko przebiega po naszej myśli, Ekscelencjo.

- A Aymard du Grand-Cellier? Żyw jeszcze?

- Oczywiście.

- Jak się miewa?

- Odzyskał już rozum... i wiarę.

- Doskonale. A co z pamięcią? ;

- Przypomniawszy sobie, kim jest i co go spotkało. Na razie jest jeszcze bardzo potulny.

- Czemuż to „na razie”? Wątpisz w jego nawrócenie?

- To twardy człowiek, Ekscelencjo, zdolny do wszystkiego. Nie wiem, czy zdołamy bez końca utrzymać go w tak przychylnym do nas nastawieniu. Jeżeli ma nam służyć, trzeba działać szybko. To natura niezależna, skłonna do samowoli. Jego podporządkowanie władzy nie jest zbyt silne.

- Czy poddano go próbom?

- Wielokrotnie. I z powodzeniem.

- Do czego może nam być przydatny?

- Do czynienia dobra i zła - to człek zdolny do wszystkiego. Dobrze przygotowany, stanie się groźną bronią.

- Rozmawiałeś z nim?

- Jeszcze nie. Czekałem na rozkazy Waszej Ekscelencji.

- Ty jeden potrafisz ocenić, kiedy i jak postąpić, Profuturu-sie. Wyjaśnij mu, co robimy. Powierz mu misję. ; ,

- Kto ma go pilnować?

- Zostaw przy nim Dziękiboga. To doskonały stróż.

- Nasz człowiek często wspomina o młodzieńcu, który towarzyszył mu w drodze do Rzymu.

- Tak? A dlaczego?

- Jest przeświadczony, że jemu właśnie zawdzięcza swe odrodzenie.

- To Gilbert de Lorris.

- Ten chłopak stał się w jego oczach uosobieniem siły, która wiodła go ku nowemu życiu, i...

- Jeżeli może ci być pomocny, nie krępuj się - jest twój -przerwał Artemidor.

Profuturus skinął głową, dziękując.

- Co o Aymardzie myśli Drona?- podjął kanclerz, i,; Zakonnik zawahał się.

- Jest rozdarty, Ekscelencjo. Nie potrafi jeszcze powiedzieć, czy stworzyliśmy najcenniejszego poplecznika, czy może najzacieklejszego wroga. Ten złoczyńca odzyskał wiarę w cudowny sposób. Może pewnego dnia zwrócić się przeciwko nam.

- Musielibyśmy jednak dać mu okazję po temu. Tak się nie stanie. Czyń, co uznasz za słuszne, Profuturusie.

- Dobrze, Ekscelencjo...

24

Nazajutrz po przyjeździe do Troyes Chuaquet wyszedł z oberży Pod Dziobem o świcie, by jak najwcześniej dotrzeć do klasztoru. Rozglądał się bacznie, aby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Niespodziewane pojawienie się w mieście Eenfanta potwierdziło jego podejrzenia. Pragnął szybko załatwić sprawę i ruszyć w drogę, gdy tylko ustanie śnieżyca.

Wikariusz przez dwie długie godziny czekał pod gabinetem matki przełożonej. Przeorysza nie pojawiła się jednak. Przysłała Melanię, służącą, która przychodziła z miasta, by pomagać mniszkom, ta zaś bez słowa powiodła go do skrzydła klasztoru zazwyczaj niedostępnego dla ludzi z zewnątrz. Korytarze były puste. Siostry modliły się w kaplicy. Chuaquet podążał za służącą. Obeszli absydę małej świątyni i stanęli przed kamiennymi schodami stromo opadającymi w dół, do podziemi. Melania gestem wskazała mu drogę.

- Nie dasz mi pochodni? - zapytał Chuaquet.

- Nie. Siostra, która tam przebywa, nie znosi światła. Nie wychodzi z celi od siedmiu lat.

- Łatwo do niej trafię?

- O ile mi wiadomo, na dole została już tylko ona, ojciec.

Służąca odeszła, zostawiając wikariusza. Chuaquet wahał się przez chwilę, potem jednak, niemal po omacku, ruszył w ciemną czeluść. „Esklarmonda... - pomyślał. - Niezwykle imię dla pustelnicy...” Szedł wzdłuż muru, ocierając się ramieniem o ścianę. Obawiał się, czy w tych kazamatach zdoła odnaleźć drogę powrotną.

- To ja, brat Chuaquet! - zawołał.

- Tu jestem.

Szept odbił się echem, jak w grocie. Esklarmonda była tuż obok niego. Ta nieoczekiwana bliskość przeraziła go, nie śmiał zrobić ani kroku. Mocniej przycisnął do siebie kuferek.

- Słucham cię, synu.

- Ja... służyłem twemu bratu, biskupowi Haquinowi... Opuścił nas, więc... - Zawahał się. Po raz pierwszy miał opowiedzieć o tragicznej śmierci biskupa. Nie wspominał o tym nawet archiwście, nie mówił, zgłaszając zgon, nie opisał wydarzenia Mozatowi ani strażnikowi, który miał mu towarzyszyć. Teraz jednak nie mógł się od tego uchylić. W krótkich słowach opisał okoliczności zgonu biskupa.

Samotnica dłuższą chwilę milczała.

- Matka przełożona mówiła mi, że przywiozłeś zwłoki mego brata. Gdzie teraz są? - powiedziała dźwięcznym, spokojnym głosem, jakby relacja Chuaqueta wcale nią nie wstrząsnęła.

- Tak, są tu, przyniosłem je - odparł Chuaquet.

Znów zapanowało milczenie. W nieprzenikniętych ciemnościach na próżno wyteżał wzrok i rozglądał się wokół - nie dostrzegał żadnego zarysu, nawet cienia postaci...

- Podejdź bliżej - polecił głos - i daj mi to, co przyniosłeś.

Chuaquet zdał sobie sprawę, że pustelnica jest nie dalej niż trzy kroki od niego, na prawo. Szedł powoli, dopóki nie uderzył w drewnianą nogę krzesła.

- Domyślam się, że przywiozłeś tylko relikwie - powiedziała Esklarmonda. - Połóż je na taborecie.

Chuaquet spełnił jej wolę i cofnął się o krok.

Kilka najbliższych minut wydało mu się najboleśniejszym etapem długiej podróży. W przejmującej ciszy podziemi słyszał, jak Esklarmonda otwiera kuferek. Dotyka kości brata? Całuje? Błogosławi...? Chuaquet nie słyszał szlochu, domyślał się tylko, że Esklarmonda płacze. Od co najmniej trzydziestu lat nie miała żadnych wieści o swym bracie, Romee de Haquinie...

Chuaquet nie śmiał przerwać milczenia. W końcu rozpoznał odgłos opadającego wieka. Siostra Esklarmonda powiedziała:

- Mój brat pozostawił dyspozycje dotyczące pochówku, jakiego sobie życzył. Matka Dana przekaże ci jego list. Przy okazji powiedz jej, że w dniu pogrzebu brata, na czas czuwania i mszy, opuszczę moją samotnię. Ta rozmowa staje się dla mnie zbyt bolesna, synu. Odejdź już...

Chuaquet nie śmiał nalegać. Mimo że w ciemnościach Esklarmonda nie mogła tego widzieć, skłonił się przed nią i skierował się ku wyjściu.

- Dziękuję ci - usłyszał jeszcze jej zmieniony głos. - Z twych oczu wyczytałam, że jesteś dobrym człowiekiem i że kochałeś mego brata.

Wikariusz zadrżał i przyspieszył kroku. Z wrażenia zapomniał o kuferku z doczesnymi szczątkami biskupa.

25

Po powrocie do Rzymu Gilbert de Lorris został odsunięty od Aymarda du Grand-Ceñlier. Nie wrócił do koszar straży laterańskiej, skierowano go do Falyelli - garnizonu na przedmieściach Rzymu, gdzie został poddany drobiazgowemu przesłuchaniu, które prowadzili dwaj żołnierze i dwaj księża. Pytano go o przebieg podróży i treść rozmów z synem Enguerrana. Gilbert ważył każde wypowiedzane słowo. Opisał skomplikowaną osobowość Aymarda, jego skłonność do gniewu. Wspomniał też o tym, że w Lacretelle-sur-Argens odmówił udzielenia błogosławieństwa zmarłemu i napluł na trumnę, o środkach ostrożności zaleconych przez jego matkę, o dziwnych wydarzeniach w oberży Romana. Przesłuchujący nękali go podchwytliwymi pytaniami o przeszłość Aymarda, na które strażnik nie potrafił odpowiedzieć.

Wreszcie po trzech dniach śledztwo zostało zakończone, ale Gilbert pozostał w Falvelli. Nie wolno mu było opuszczać klasztoru. W tym garnizonie spędził wiele tygodni. Jak na gust Gilberta w Falvelli mieszkało zbyt wielu mnichów.

Szybko otrzymał awans, lecz z przyczyn politycznych, co przez prawdziwych żołnierzy było źle widziane. Nie pozwalano mu spotykać się z żadnym z dawnych kompanów. Gdy pewnego dnia do Falvelli przybył laterański żołnierz z posłaniem, Gilberta natychmiast odesłano do oddalonych pomieszczeń.

Po sześciu tygodniach, które Lorris spędził beczynnie, do koszar wjechała karoca z herbem papieskim na drzwiczkach. Siedział w niej dostojnik kościelny, który przekazał dowódcy garnizonu rozkaz z kancelarii. Wezwano Gilberta.

- Czy wracam do Rzymu? - zapytał Gilbert. - Już dawno temu zakończyłem swą misję. Chciałbym nadal służyć w straży laterańskiej.

Kapłan obrzucił go pełnym troski i powagi spojrzeniem.

- Twoja misja jeszcze się nie zakończyła. Wyruszysz dziś ze mną. Spakuj rzeczy.

Kapłanem, który zawitał do garnizonu w Falvelli, był ojciec Profuturus.

Z czasem Aymard dostosował się do klasztornej życia. Dzielił z mnichami ich skromną strawę, uczestniczył w pracach na rzecz zgromadzenia. Cieszył się prostym żywotem zakonnika, ciszą i wspólną modlitwą tak, jak jeszcze wczoraj rozkoszował się, bluźnierstwem i orgiami. Często wznosił do niebios błaganie, by dane mu było trwać w czystości duchowej.

W dwa dni po powrocie z Rzymu do klasztoru ojciec Profuturus wezwał do siebie Aymarda.

- Co teraz zamierzasz, kiedy dokonało się twoje oczyszczenie?

- Służyć memu Kościołowi - odparł były opat.

- Pięknie, ale jak zamierzasz to czynić...?

I nie mówiąc nic więcej, powiódł Aymarda do skrzydła klasztoru, w którym nigdy dotąd nie był. Wschodnią fasadę murów zamykała wysoka wieża bez okien. Przed kutymi w żelazie drzwiami wieży czekał na nich człowiek w czerni, który tak często towarzyszył Aymardowi.

Weszli do ogromnej komnaty. Przy dziesiątkach stołów, oddzielonych od siebie drewnianymi parawanami, pracowali w skupieniu mnisi. Aymard nigdy dotąd nie natknął się na żadnego z nich. Żyli w ukryciu, niejako poza wspólnotą.

Przy wejściu dwa freski witały gości - jeden przedstawiał greckie ucieleśnienie Medycyny, drugi Medycynę ucieleśnianą przez Chrystusa.

- Tu właśnie pracujemy - rzekł Profuturus. - O nic nie pytaj. Wszystko ci wyjaśnię.

Podeszli do pierwszego stołu, przy którym siedział mnich nad rozłożonymi rysunkami, wykonanymi tuszem. Pochylony, wpatrywał się w nie przez szkło powiększające.

- Brat Astargan - rzekł Profuturus - bada malarskie dzieła heretyków. Niektóre kryją szyfry, tajne znaki, które służą heretykom do porozumiewania się, choć na pozór są zwykłym obrazem o tematyce religijnej.

Aymard spojrział na obraz przedstawiający Chrystusa na krzyżu. Astargan zdrapał warstwę farby, a wówczas w miejscu broczącej rany w prawym boku Ukrzyżowanego, zadanej przez rzymskiego żołnierza, pojawił się ohydny srom. Pomiędzy czerwonymi wargami było wpisane czyjeś imię.

Profuturus popchnął lekko Aymarda ku kolejnemu stolowi.

- Tu pracuje brat Fritz, dawniej lekarz u szpitalników. Brat Fritz zajmował się na pół nagim człowiekiem, siedzącym na wysokim taborecie i mocno wystraszonego.

- Bada zadżumionych - wyjaśnił opat. - Oczywiście tych, którzy uszli z życiem. Zaobserwowaliśmy, że chorzy, którzy przeżyli dżumę, są odporni na kolejne zarażenie.

- Czy to łaska? - zapytał Aymard.

- Może tak, a może nie... Fritz próbuje to zrozumieć. W każdym razie ci ludzie są dla nas niezwykle cenni. W rejonach dotkniętych zarazą i opuszczonych przez ludność obawiającą się choroby pojawiają się bandy rabusiów, których strach nie powstrzymuje przed grabieniem kościołów i okradaniem zwłok. Wysyłamy tam odpornych na zarazę ludzi, aby chronili nasze dobra do wygaśnięcia epidemii.

Tu - podjął Profuturus, kiedy nieco się oddalili - brat Teron bada właściwości światła. Jego ulubionym zajęciem jest zgłębianie zjawiska tęczy. Jak wiesz z Biblii, Bóg stworzył tęczę, aby wyznaczyła kres potopu. Teron pragnie dowieść, że ten barwny łuk, powstający w zetknięciu ze światłem, jest efektem parowania wód i posłużył Stwórcy do usunięcia ich nadmiaru, gdy zakończył się potop.

Przy następnym stanowisku stary, przygarbiony mnich przeprowadzał sekcje na żywych zwierzętach. Obok stały wypchane eksponaty.

- Artur de Beaune - wyjaśnił Profuturus - to jeden z naszych najstarszych, a zarazem najznamienitszych uczonych. Jego sława jest dziś niekwestionowana, jak sława antycznych mędrców. Bada tajemnice natury od czterdziestu lat. To on dzięki doświadczeniom wykazał, że salamandra nie boi się ognia, a mięso pawia nie ulega zepsuciu. Rozgłos przyniosło mu sławetne doświadczenie ze skorpionem. On właśnie zaobserwował, że skorpion otoczony kręgiem ognia nie próbuje ucieczki, ale, aby nie zginąć w płomieniach, po chwili „namysłu” wstrzykuje sobie śmiertelny jad. Ileż pytań rodzi tak zdumiewająco silna wola zwierzęcia! Czy to świadomość? Czy myśl? A może dusza? Jakkolwiek brzmi odpowiedź na to fascynujące pytanie, zadajemy je sobie dzięki Arturowi de Beaune. Podobnie jak wiele innych.

Profuturus kontynuował zwiedzanie tego gigantycznego laboratorium. Brat Jouve badał równowagę trojakich humorów człowieka, Anglik Wilhelm Candish zajmował się ognistą bronią wynalezioną na Wschodzie. Nazwał ją przenośną armatą. Długa rura ze stali i drewna, nieco dłuższa od trzeciej części włóczni, była skonstruowana tak, by wyrzucać ołowianą kulę na niewiarygodną odległość. Aymard zamilkł, wstrząśnięty siłą rażenia, zdolną roztrzaskać głowę człowieka, do którego nikt się nie zbliżył ani go nie dotknął. „Człowiek w czerni” zarzucił sobie tę broń na ramię, aby pokazać, jak się jej używa.

Dalsze zwiedzanie wzbudzało równie silne emocje. Klasztor, choć z pozoru wyglądał na miejsce modłów, był bardziej niebezpieczny niż pracownia uczonych opłacanych przez wrogów Rzymu.

- Trzymamy naszą działalność w ścisłej tajemnicy - powiedział Profuturus, kiedy wszyscy trzej wrócili już do jego gabinetu. - Władze kościelne nie wyraziłyby zgody na prowadzenie takich badań.

- Dla kogo pracujecie?

- Dla pewnego potężnego zgromadzenia, które cię wybrało i przed którym, być może, wkrótce staniesz. Żyjemy w czasach niezwykle trudnych dla Kościoła - podjął opat. - Ostatnimi laty wiele heretyckich sekt utopiono we krwi. To dobrze, zbrojne krucjaty w Europie nie są niecelowe, teraz jednak wiemy, że nie rozwiążą problemu. Myśl niewiernych wciąż rozlewa się po świecie jak zaraza. Na polu nauki heretycy są poważnymi przeciwnikami. My tutaj jesteśmy swoistą kuźnią idei. W tajemnicy badamy zjawiska, które potwierdzają dogmaty lub zaprzeczają im, a przez to mogą być wykorzystane przez naszych przeciwników. Rozumowanie i wiara teologów to za mało, żeby obronić Kościół. Dziś trzeba nam wiedzy odpowiadającej wiedzy naszych wrogów, musimy bowiem odeprzeć ich ataki, wykorzystujące naukę do udowodnienia braku spójności naszych Świętych Ksiąg. Herezja nie jest już polem walki nawiedzonych, którzy potrafią omotać łatwowierny lud - to sprawa uczonych, myślicieli, pragnących udowodnić istnienie Boga lub mu zaprzeczyć, nie chcą jednak po prostu wierzyć.

- Nie wiem, jak mógłbym pomóc w takiej walce - powiedział Aymard. - Nie mam odpowiedniego przygotowania.

- Nie ograniczamy się do pracy w laboratorium. Profuturus dał znak i „człowiek w czerni” wprowadził do gabinetu mnicha.

- Aymardzie, przedstawiam ci Drago Czanada.

Nowo przybyły powitał Profuturusa.

- Drago wrócił właśnie z Ariege - rzekł opat. - Opowiedz naszemu przyjacielowi o swej ostatniej misji.

- Dwie wioski w okolicy Sundnes kłóciły się o relikwie świętego z tamtych stron, ostatnio kanonizowanego. Tego rodzaju spory nie są rzadkością. Każda z wiosek utrzymywała, że jest w posiadaniu kompletnego szkieletu świętego.

- To dylemat, przed którym stanęliśmy już w szóstym wieku, kiedy to szło o relikwie świętego Benedykta z Nursji - wtrącił Profuturus. - Klasztory w Monte Cassino i Fleuris--sur-Loire domagały się, by ciało Benedykta pozostało w ich murach. Dzielili ją duża odległość - jeden znajdował się w Italii, drugi we Francji. Kościół mógł zatem spokojnie obserwować ten spór, któremu kres położyło nieprawdopodobne wprost



rozdrobienie dzielonych między świątynie szczątków świętego. Przypadek, którym zajmuje się Drago, jest trudniejszy - wioski ze sobą graniczą.

- Legitymizacja relikwii opiera się na cudach, jakie dokonują się w jej bliskości na wiernych - wtrącił Drago. -Przyznałem zatem rację jednej ze zwaśnionych stron - tej, która bardziej sprzyjała papieżowi, a potem zaaranżowałem cud, który stłumił wszelkie spory o autentyczność ciała świętego.

- Takie problemy Kościoła mogą wydawać się dziecinada - powiedział opat - jednak podobne konflikty często stają się zarzewiem groźnych buntów, którym przewodzą politycy dążący do podważenia autorytetu Rzymu... Nawet w przypadku mało znanego świętego, jak w Ariege, musimy działać ostrożnie i myśleć o wszystkim.

- Jutro wyruszam do miasteczka Gennanno, na ziemiach Spoleto - dodał Drago Czamad. - Musimy doprowadzić do odbudowy tamtejszego kościoła.

- To znacznie prostsze - stwierdził Aymard.

- Jesteś w błędzie - odparł Profuturus. - Gennanno to kraina wierna cesarzowi, naszemu przeciwnikowi, wrogo nastawiona wobec Rzymu. Tamtejsza wspólnota gani Kościół za jego domniemane bogactwo, niezgodne z nauką Ewangelii. Pragniemy przebudować i uświetnić skromną świątynię istniejącą w Gennanno. Nie możemy pozwolić sobie na przewóz znacznych sum, potrzebnych na ten cel biskupowi. Równałoby się to dolewaniu oliwy do ognia żalonych dysput na temat bogactwa Rzymu.

Drago zamyślił się i po chwili podjął:

- Dlatego wyruszam zorganizować cudowne objawienie. Przenajświętsza Paniienka pokaże się mieszkańcom i poleci im stanąć po stronie papieża. Aby ich zachęcić, wskaże miejsce, gdzie spoczywa zakopany dawno temu kufer złota. Mieszkańcy muszą jednak przeznaczyć pieniądze na odbudowę kościoła, dowodząc w ten sposób, iż stają po stronie Rzymu, a ich wiara jest głęboka.

- Polityka Kościoła ucieka się także do takich metod, synu - zakończył lakonicznie Profuturus. - Pragnę, byś wsparł działania Draga. To będzie twoja pierwsza misja i dowód wdzięczności wobec tych, którzy postanowili dać ci jeszcze jedną szansę. Będzie ci towarzyszył Dziękibogu... - wskazał „człowieka w czerni”.

„A więc taki przydomek nosi ta tajemnicza postać” - pomyślał Aymard.

- ...a także pewien znany ci młodzieniec, który wie wszystko o wydarzeniach w Gennanno - zakończył Profuturus.

„Człowiek w czerni" uchylił drzwi gabinetu i Aymard du Grand-Cellier ujrzał młodego Gilberta de Lorris.

26

Po rozmowie z siostrą Esklarmondą przeorysza Dana zaprowadziła Chuaqueta do składu, w którym przechowywano ruchomości rodziny Haquinów.

- Donacja Haquinów dla naszego klasztoru nastąpiła przed ośmiu laty - powiedziała. - Większość cennych przedmiotów spieniężyliśmy na cele dobroczynne. Pozostały jedynie dokumenty i pamiątki rodzinne. Wszystko się tu pomieszało. Będziesz musiał uważnie szukać. Przechowujemy także dary innych rodzin. Nie pomyśl się.

Chuaquet natrafiał tylko na bezwartościowe zapiski lub rodzinne dokumenty, w których nigdzie nie znalazł informacji o losach Romee Haquina. Jedyna karta, która przez chwilę wydała się wikariuszowi interesująca, zawierała ostatnią wolę pięciu braci Haquin. Każdy z nich zapisywał w testamencie swoją część spadku pozostałym przy życiu braciom. Wszyscy obrali życie duchowne i wyrzekli się dóbr doczesnych, lecz ojcowizna w Troyes miała pozostać w rękach rodu. Załączniki zawierały kilka późniejszych postanowień: Szymon, najstarszy z braci, pragnął, aby złote klejnoty przetopiono i przekazano wspólnocie Bagneux. Feliks opłacił jedną mszę rocznie przez trzydzieści lat, licząc od śmierci matki. Adam zrzekał się w roku 1242 wszelkich praw do spadku. Ręką Romee napisany był tylko krótki akapit: „Podobnie jak mój brat Adam zrzekam się prawa do spadku. Proszę jedynie tych, którzy mnie przeżyją, aby modlili się za mnie. Niechaj na mym grobie nie piszą nazwiska ni imienia, tylko te święte wersy: Dimitte nobis debita nostra.

To wszystko. Chuaquet raz jeszcze zerknął na datę ostatnich zapisków biskupa - rok 1248. Wtedy to Haquin opuścił Rzym i zamknął mroczny rozdział swego życia, aby przenosić się do kolejnych, małych i zapomnianych przez świat biskupstw.

Z nastaniem wieczoru przeorysza Dana poleciła umieścić relikwie Haquina w klasztornej sali recepcyjnej i zapalić świece przy kufrze, który zastępował trumnę. Izba służyła zwykle jako miejsce spotkań z siostrami z innych kongregacji. Tylko ona była skromnie zdobiona i nie tak surowa jak pozostałe wnętrza klasztoru. Długi dębowy stół otaczało dziewięć pięknie rzeźbionych krzeseł. Chuaquet spędził przy tym stole wiele godzin, rekonstruując szkielet biskupa. Ta makabryczna praca przypominała mu trud profesora Amelina, który składał ciała zamordowanych wyłowione z Montayou w Draguan. Teraz jemu przyszło odtworzyć to, co sam zniszczył mocnymi uderzeniami topora. Niełatwo

było to naprawić, a Chuaquet nie znał się na anatomii. Dana przyniosła prześcieradło, by posłużyło jako całun do okrycia szczątków.

Uroczystości pogrzebowe zostały przygotowane jak każdy zwykły pochówek. Nikt nie zważał na stan zwłok, a raczej szkieletu, nikt nie przypominał, że zmarły odszedł z tego padoku wiele tygodni temu.

W sobotę o zachodzie słońca - co wcześniej ustalono — siostra Esklarmonda opuściła swą celę, od stóp do głów okryta woalem z grubej krepy, który chronił ją przed światłem i spojrzzeniami ciekawskich, i udała się do sali recepcyjnej, gdzie stała trumna. Pragnęła dopełnić obyczaju nocnego czuwania przy zmarłym. Towarzyszył jej Chuaquet i matka przełożona.

Noc mijała pośród głębokiej ciszy. Troje zakonników modliło się bez wytchnienia. Mszę zaplanowano na wczesny ranek. Nazajutrz, tuż przed świtem, Esklarmonda przerwała modlitwę i niespodziewanie przemówiła.

Zagadkowe słowa tej kobiety wprawiły Chuaqueta w zakłopotanie. Mówiła o zmartwychwstaniu brata, o zbliżającym się końcu świata, którego on nie będzie już musiał przeżywać, o porażce jego misji, o nadziei, którą należało mimo wszystko zachować... Wikariusz nie rozumiał tych aluzji. Powtarzające się raz po raz słowo: apokalipsa wstrząsnęło nim.

- Mój brat - mówiła - wiedział, że dzień apokalipsy jest bliski...

W obecności Chuaqueta biskup Haquin nigdy nie poruszał tego tematu - wikariusz był tego pewien. Insynuacje Esklarmondy uznał więc za bezpodstawne. Problem końca świata był ulubionym tematem ludu i siewców złych nowin, ale Haquin nigdy się nad nim nie rozwodził...

Czy warto było zważać na gładzenie tej samotnicy? Esklarmonda twierdziła, że uczeni określili czas objawienia i apokalipsy, Haquin znał te daty... i że wszystko zostało przygotowane.

Rozgorączkowana, powtarzała słowa świętego Jana: tysiące lat oczekiwania na powrót Chrystusa, przebudzenie bestii, niebiańska Jerozolima, Sąd Ostateczny...

Chuaquet przypomniał sobie opowieści krążące o roku 1000 i 1033 - milenium Męki Pańskiej. Żaden znak nie potwierdził jednak przepowiedni ewangelistów o nadejściu apokalipsy.

Esklarmonda chyba przeniknęła myśli Chuaqueta i jego powątpiewanie.

- Nie zostało jednak powiedziane, czy apokalipsa nastąpi, licząc tysiąc lat od narodzin Chrystusa, czy od Jego zmartwychwstania... Nowa Jerozolima wyczekiwana przez ewangelistów w ostatnich dniach jest triumfem Kościoła... triumfem Kościoła! Sami to obliczcie...

Obliczenia? Kościół? Kościół nie narodził się wraz z Chrystusem ani Jego ukrzyżowaniem... Kiedy jednak narodziła się religia chrześcijańska? Jakże to ustalić? To absurd...

Chuaquet nic z tego nie rozumiał. A Haquin? Wikariusz przypomniał sobie dzień śmierci biskupa w Draguan i niezwykle obrazy na biurku przedstawiające apokaliptyczne wizje...

Mszę celebrowano w głównej kaplicy klasztoru Sióstr od Marty. Odprawił ją ksiądz Jehan, prior z Troyes.

Chuaquet poczuł się urażony, kiedy poinformowano go, że o obrzędku zostali powiadomieni ludzie z miasta i że mieli zająć się przygotowaniem grobu. Pragnął, aby o całej sprawie nie wiedział nikt poza mieszkankami klasztoru.

Chuaquet pozostał sam z księdzem i grabarzami. Nikt inny nie przybył na pogrzeb biskupa. Esklarmonda wróciła do celi zaraz po nabożeństwie żałobnym. Mniszki przystąpiły do swych codziennych zajęć.

Chuaquet patrzył, jak trumna Haquina powoli znika w czarnym dole. Na grobie ludzie ustawili kamień, na którym zgodnie z wolą zmarłego nie było nazwiska ani daty, tylko te słowa: / odpuść nam nasze winy.

Biskup Draguan zabrał do grobu swe tajemnice...

Chuaquet nie mógł wyjechać z Troyes. Od dnia jego przybycia do miasta śnieg sypał bez przerwy. Drogi były nieprzejezdne.

Wikariusz wyjaśnił przeoryszy, w jakim znalazł się położeniu. Od dnia tragicznej śmierci biskupa nie czuł się bezpieczny. Opowiedział o dziwnych zdarzeniach w Paryżu, o człowieku, który śledził każdy jego krok w drodze do Troyes, o szpiegu w oberży Pod Dziobem, o zagadkach z przeszłości biskupa i jego dziwnych powiązaniach. Prosił, aby zechciała uczynić odstępstwo od reguły zakonu zakazującej wstępu do klasztoru mężczyznom i udzieliła mu schronienia.

Matka przełożona wyraziła zgodę na jego pobyt w klasztorze, pod warunkiem że zamieszka z dala od cel zakonnicy i nie będzie się im pokazywał na oczy. Kontaktować się ze światem będzie za pośrednictwem Melanii, która zadba też o jego rzeczy i porządek w celi.

- Jeśli zachowa ojciec dyskrecję i uszanuje reguły wspólnoty, może pozostać w klasztorze aż do wiosny - rzekła.

Wikariusz podziękował matce przełożonej. Wiedział, że w murach starego fortu nic mu nie zagraża. Nikt nie odważy się zakłócić spokoju sióstr zakonnych.

- Nasza wspólnota Sióstr od Marty - powiedziała matka przełożona, aby go uspokoić - podlega bezpośrednio władzy papieża, podobnie jak kilka bliźniaczych kongregacji. Ani francuski kler, ani władze świeckie nie mogą nam nic zrobić, nie narażając się na poważny konflikt z Rzymem...

W Heurteloup już od wielu dni Henno Gui i jego towarzysze także czekali na ustanie śnieżycy. Pragnęli jak najprędzej podjąć przerwana penetrację podziemi. Henno Gui nigdy tego nie robił, ale teraz postanowił wtopić się w miejscową ludność. Zrzucił szatę kapłańską i przywdział pożyczony od Ma-bel strój jej męża. Ubrany w skóry połączone rzemieniami wyglądał jak dzikus. Ta przemiana zdumiała wieśniaków. Henno Gui poprosił kompanów, by uczynili to, co on.

Śnieżyce spowodowały, że normalne życie Heurteloup zamarło. Jak całe królestwo wioska zapadła w sen zimowy...

Aymard, Gibert, Drago Czanad i Dziękibogu także wpadli w szpony mrozu i padającego obficie śniegu. Zmierzali właśnie do Gennanno na ziemiach Spoleto. Wieźli duży kuferek wypełniony złotem - „dar Matki Boskiej”. Towarzyszyła im młoda komediantka imieniem Maud, wynajęta przez Profuturusa do roli zjawy podczas objawienia.

Gdy zbliżali się do Gennanno, śnieżycyca rozszalała się na dobre, uniemożliwiając im dalszą podróż. Utknęli w pasterskim szalasiu i czekali na poprawę pogody.

W biskupstwie Draguan, na kanonii, bracia Meault i Abel zaprzestali odprawiania nielicznych mszy, które dotąd celebrowali w zastępstwie biskupa i wikariusza dla ludności miasta. Postanowili odpieczętować list, który napisali nazajutrz po wyjeździe Henna Guiego i zniszczeniu archiwum biskupa, aby uzupełnić go informacją, iż szalony kapłan, który udał się do przeklętej wioski, jeśli nie padł pod ciosami dzikusów, najpewniej szczuł gdzieś na mrozie.

Żona zakrystiana Premierfaita przywdziała żałobę, utraciwszy nadzieję na powrót małżonka.

W Draguan, podobnie jak w całej Europie, wszyscy niecierpliwie czekali na nadejście wiosny, by wrócić do normalnego życia...

Tymczasem daleko od Draguan dziesięciu łuczników z Falvelli zajęło pozycje na wzgórzu Valpersa, spoglądającym na Rzym. Pełnili wartę od świtu do zmroku.

Mimo mrozu i śniegu od czterech dni wpatrywali się w niebo, trzymając w pogotowiu napięte haki z pierzastymi strzałami. Ta broń potrafiła wyrzucać strzały na imponującą odległość. Żołnierze stali nieruchomo, jak kocury czyhające na mysz.

Nagle jeden z nich błyskawicznie uniósł łuk. Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy... Strzała wzbijała się na zawrotną wysokość i z ogromną siłą uderzyła w szary punkcik, ledwie widoczny na pochmurnym niebie. Ofiara runęła na ziemię o dwieście metrów od myśliwego.

Żołnierz popędził przez zaspy. Ptak upadł po drugiej stronie zagajnika. Łucznik stracił sporo czasu, zanim go odnalazł.

Strzała przebiła gołębia na wylot. Ale człowiek nawet tego nie zauważył. Zdjął tylko żelazną obrączkę z lewej łapki ptaka. Znalazł cienki zwitek. Szybko przeczytał wiadomość i jego odrętwiała na mrozie twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Wypełnił zadanie.

Gołąb został wypuszczony z francuskiej legacji w Rzymie i miał dotrzeć do woliery arcybiskupstwa w Paryżu. Liścik, który niósł, wyszedł spod pióra ojca Merle i był adresowany do Koryntyna Tau, archiwisty. Przedstawiał podejrzenia ciężące na kancelarii laterańskiej oraz interesującą sprawę Romee de Haquina, biskupa Draguan, byłego członka tajemniczego konwentu Megiddo...

## CZEŚĆ TRZECIA

1

W połowie marca Enguerran du Grand-Cellier wszedł w posiadanie trzeciego majątku ziemskiego zakupionego na rzecz Rzymu. Od powrotu z Italii spędził w zamku Morvilliers zaledwie kilka dni. Z pisemnymi pełnomocnictwami kancelarii laterańskiej oraz rezerwą złota, która zdawała się niewyczerpana, przemierzał wzdłuż i wszerz królestwo, aby na swoje nazwisko skupować połacie ziemi wybranej przez swych nowych mocodawców. Jego poczynania wzbudzały różnorodne reakcje. Natykał się na zadłużonych panów, zrujnowanych kosztownymi wyprawami wojennymi i lichwiarskimi pożyczkami, którzy aż się palili, żeby znaleźć kupca na zadłużone dobra, i cieszyli się, widząc znamienitego rycerza zainteresowanego ich nabyciem, co więcej — rozrzutnie szafującego złotem. Byli też tacy, których przygniótł ciężar serwitutów. Wiele rodzinnych dóbr popadło w zależność od rosnącej liczby współ-seniorów.

System feudalny, od sześciu stuleci budowany na podbojach i przymierzach, rozpadał się. Król nie zezwalał już na podboje, a małżeństwa i spadki coraz mocniej uszczuplały ogromne niegdyś domeny. Podziału dokonywano nominalnie, nigdy nie dzielono ziemi. Aby kupić dobra rodu Grammonvard, Enguerran musiał uzyskać zgodę trzydziestu kuzynów, bratanków i zięciów, będących współwłaścicielami majątku. Każdy z nich pilnie potrzebował pieniędzy, ale dotąd nie potrafili się dogadać. Rodzinne waśnie gasły dopiero na widok Enguerranowego złota.

Wypytywany o motywy takiego postępowania, Grand-Cellier wyjaśniał, że ziemia wydaje mu się pewniejszą lokatą niż trzymanie oszczędności w domu. Za kilka lat - mówił z przekonaniem - problemy miną, a wówczas zainwestowane pieniądze przyniosą ogromne zyski. To wyjaśnienie zadowalało rozmówców i bez zwłoki sprzedawali mu swoje ziemie.

Lazurowy Rycerz był bohaterem okrytym sławą i bogatym. Jego ród cieszył się szacunkiem parów. Po całej wiernej Rzymowi Europie zaczęli krążyć posłańcy i dementować pogłoski na temat Aymarda i jego zakonu. Pisma kancelarii papieskiej sprawiały, że otwarty atak przeciw bratu Aymardowi byłby co najmniej nieostrożnością. Listy przywracające mu dobre imię nikogo nie oburzały, natomiast niezadowolenie wywołało wchłonięcie zakonu Aymarda przez dominikanów, także z rozkazu papieża. Wielu panów nierozważnie oddało swe domowe kaplice braciom początku, nie spodziewając się, że w ten sposób wpuszczają pod swój dach inkwizycję. Niektórzy odmówili nawet przedłużenia patentów swym dotychczasowym kapłanom.

Podróżując po Francji, Enguerran miał okazję przekonać się, jaką wrogość żywi rycerstwo do kapłanów. Nie oddawali już najmłodszych synów do seminariów, nie powierzali swych dzieci zakonom. Kler stracił powszechne zaufanie. Jego obyczajność, politykę i nadużycia oceniano coraz surowiej. Wielokrotnie Enguerran słyszał buntownicze słowa: Rzym to już nie Kościół, lecz Lateran! Kościół to już nie Chrystus, ale papież!

Lepiej rozumiał teraz potajemną działalność Artemidora, który uskarżał się na wrogość francuskich panów... zwłaszcza wówczas, gdy w grę wchodziła drażliwa kwestia przejmowania ziemi.

2

Enguerran zbliżał się do fortecy Belles-Feuilles, zimowej rezydencji pana na Beaulieu. Armand de Beaulieu był, jak on sam, znamienitym rycerzem wychowanym na wzorcach chrześcijanina rycerza, świętego Bernarda.

Kancelaria rzymska zleciła swemu słudze, aby zakupił położone w Ariege ziemie rodu Beaulieu. Enguerran liczył jak zwykle na swą sławę i złoto mocodawców i miał nadzieję dobić targu.

- Otrzymałem twą pisemną ofertę - rzekł Beaulieu.

Mężczyźni byli sami w zamkowej sali, ogrzewanej ogniem dużego kominka. Beaulieu był nieco młodszy od Enguerrana. Nosił długą ciemnoczerwoną szatę z obszernymi, marszczonymi rękawami i złocisty czepiec na wschodnią modłę. Bogaty strój pozwalał mniemać, że nie nękały go problemy finansowe, tak dotkliwe dla panów, z którymi Enguerran dotychczas się stykał.

- Pochlebia mi, iż jesteś tak bardzo zainteresowany moimi skromnymi dobrami na południu - rzekł. - Pochlebia, ale i zadziwia.

Enguerran wygłosił to samo wyjaśnienie co zwykle i postanowił inwestować w ziemię i powiększać dobra rodzinne. Otaczająca go sława rozwiewała wszelkie wątpliwości co do prawdziwości tych słów, a także prawość poczynań.

- Kwota, którą mi zaoferowałeś, znacznie przewyższa moje oczekiwania - powiedział otwarcie Beaulieu. - Nie odczuwam wprawdzie pilnej potrzeby wyzbycia się tych ziem, nigdy jednak nie rezygnuję ze zrobienia dobrego interesu.

Enguerran myślał już, że udało mu się załatwić tę sprawę.

- Niestety - podjął senior - zapewne wiesz, że niedawno zaręczyłem moją najstarszą córkę, Manon de Beaulieu, z jednym z bratanków króla.

Tego Grand-Cellier nie wiedział.

- W ten sposób moje dobra przechodzą na własność Korony, i poddane zostały inspekcji jako królewski posąg.

Pisma kancelarii nie informowały Enguerrana o tym planowanym małżeństwie.

- Powiadomiłem o twej propozycji seneszala - podjął Beaulieu. - Zechciej zrozumieć, że nie mogę udzielić ci odpowiedzi bez jego zgody i bez wiedzy mego przyszłego zięcia...

Starego rycerza ogarnął gniew. Czuł, że poczyniony już krok może okazać się niebezpieczny.

- Przy okazji dowiedziałem się - ciągnął Beaulieu - iż ostatnimi czasy w podobny sposób nabyłeś sporo ziemi. Nie obchodzą mnie twoje interesy, zaintrygowały jednak kilku możnych z Luwru. Dworskie plotki nie są zwykle groźne, ale zainteresowali się tobą także królewscy buchalterzy. Wiesz, jak łatwo rozgniewać króla, gdy sprawa dotyczy podatków i skarbcza. Szastasz złotem bez umiaru. Będziesz się musiał z tego wytłumaczyć. Toteż seneszal Rajmund de Montague przybędzie jutro do Belles-Feuilles. Prosił, abyś zechciał na niego poczekać, ponieważ pragnie zadać ci kilka pytań.

To był cios. Spotkanie z przedstawicielem króla mogło się okazać dla Enguerrana zgubne. Do jutra musi coś wymyślić, przewidzieć pytania seneszala i zρέcznie na nie odpowiadać, udowodnić, że złoto, którym płacił, było jego... Jako rycerz Enguerran gotów był lojalność wobec króla przypłacić życiem, lecz wiara i osobiste zobowiązanie kazały mu ciałem i duszą oddać się kancelarii papieskiej. Dwie takie przysięgi to dość, by pogrzebać honor najszlachetniejszego człowieka.

- Zechcesz zrobić mi przyjemność, pozostając dziś w zamku w moim towarzystwie? - zapytał Beaulieu. Enguerran przyjął zaproszenie.

- Bądź spokojny, skoro tylko spotkasz się z seneszalem, ja ze swej strony nie będę czynił trudności i zawrzemy umowę dotyczącą ziemi, która cię interesuje...

Beaulieu zawiesił głos i dodał:

- Rzecz jasna, jeśli król tego zechce...



W rejonie Troyes pogoda robiła się coraz łagodniejsza. Zima ustępowała. Rozmarzająca ziemia zamieniła się w błotniste bajoro, woń ozywających roślin zapowiadała nadejście wiosny.

Przybysz z daleka przez całą zimę tkwił tu, uwięziony pośród śniegów. Miał dość czasu, by nawiązać znajomości w mieście i w pełni wywiązać się z tajnej misji.

Dionizy Lenfant nie ruszył się z Troyes. Obserwował klasztor, w którym ukrywał się Chuaquet. Rzeczywiście przybył tu z tajną misją jako wysłannik Paryża - obawy poczciwego wikariusza z Draguan były słuszne. Lenfant deptał mu po piętach. W Troyes opłacił ludzi, by strzegli dróg wiodących z klasztoru i bram miasta. Przyglądał się bacznie wszystkim osobom opuszczającym klasztor Sióstr od Marty, ale wśród gromady mniszek wyruszających na pielgrzymkę nie było Chuaqueta. Mnich przebywał w dawnej warowni i nie ruszał się stamtąd na krok. Lenfant wiedział o tym od Melanii. Pracująca u zakonnic żona kościelnego szybko dała się omamić. Za kilka brzęczących monet codziennie zdawała mu relację o wszystkim, co dotyczyło jedyne go mężczyzny goszczącego pod dachem przeoryszy Dany. Lenfant dowiedział się, że wikariusz trzyma się z dala od wspólnoty i nie widuje się z siostrami. Jedyne wyjątek stanowi zakonnica żyjąca w zupełnej izolacji - z nią rozmawia bardzo często. Poza tym ciągle coś pisze. Melania, sprzątając jego celę, widziała zwoje pergaminu zapisane ręką Chuaqueta, ale nie umiała czytać i nie potrafiła powiedzieć Lenfantowi, co zawierają te zapiski. Nie miało to zresztą znaczenia - ważne, żeby mieć Chuaqueta na oku.

Gdy ustąpiły silne mrozy, Lenfant wysłał kuriera do biskupstwa w Paryżu. Wiedział, że nadejście wiosny skłoni wikariusza do wyjazdu i że należy działać szybko. Kurier przywiózł z Paryża wiadomość, że wkrótce do Troyes przybędzie emisariusz z pismem upoważniającym do wejścia na teren klasztoru i do rozmowy z Chuaquetem.

Toteż Dionizy Lenfant spokojnie czekał. Los sprawił, że zadanie, które mu zlecono, okazało się bardziej intratne, niż sądził.

Melania kończyła pracę w klasztorze w południe. W drodze do domu zaglądała na chwilę do Lenfanta, aby z nim pomówić i poinformować o najnowszych wydarzeniach. Szesnastego marca nie przyszła na spotkanie.

Dionizy czekał kilka godzin, ale Melania nie pojawiała się. Siedział w oberży Pod Dziobem zawiedziony i niespokojny. Zobaczył ją dopiero po zapadnięciu zmroku. Była potargana, miała rozpalone policzki, z trudem chwytła powietrze. Wyglądała na przerażoną.

- Zdemaskowali mnie - wybełkotała. - Zdemaskowali... Już wiedzą, że śledzę mnicha... Wypytywała mnie sama przeorysza... ona sama... przez cały dzień... cały dzień...

- A Chuaquet? Wie o tym?

- Nie. Dziś rano jego cela była pusta. Zniknęła pościel, bielizna, pergaminy. Obiegrałam cały klasztor. Na próżno. Ani śladu zakonnika. W panice nie zauważyłam, że obserwuje mnie przeorysza. Napadła na mnie jak furia.

- No i? Coś jej naopowiadała, idiotko?!

Melania spłoszyła i zwiesiła głowę.

- Wszystko - szepnęła. - Musiałam jej wszystko wyznać, panie. Pod przymusem...

Lenfant uderzył pięścią w stół.

- Gadaj! Co jej powiedziałaś?

- Wyznałam, że człowiek z miasta płaci mi za to, że opowiadam mu, co robi wikariusz, który ukrywa się w klasztorze. Nie mogłam wyjawić twego nazwiska, panie, bo go nie znam, ale powiedziałam, gdzie się spotykamy i jak pan wygląda.

- Kretynka! Co jeszcze?

- Przeorysza wykreśliła mnie z rejestru służby klasztornej i ku memu zdumieniu poleciła przekazać ci wiadomość.

- Wiadomość?

- Tak. - Melania kiwnęła głową. - Potem nie wolno mi się już z tobą widywać, jeśli pragnę zbawienia mej duszy i...

- Dobrze, dobrze - przerwał jej Lenfant. - Jaka to wiadomość?

- Powiedziała... powiedziała, że ojciec Chuaquet opuścił klasztor minionej nocy i bezpiecznie podąża szlakiem jemu tylko znanym... Potem dodała, że zapewne natrafisz na jego ślad, ale będzie już za późno.

- Za późno? Za późno na co?

- Tego mi nie powiedziała. Powtórzyła tylko dwa razy: tego dnia, kiedy go dopadniesz, panie, będzie już za późno...

Dionizy Lenfant był bliski rozpacz - nie otrzyma zapłaty - zakładnik wymknął mu się. Opuścił Troyes jeszcze tego wieczoru. Zatrzymał się w pobliskim miasteczku, aby tam oczekiwać na przybycie paryskiego emisariusza. Znalazł bezpieczne i dyskretne miejsce na spotkanie z przedstawicielem swych mocodawców.

Gdy wysłannik z Paryża wreszcie dotarł do miasteczka, Lenfant nie potrafił ukryć zdziwienia - nie tak go sobie wyobrażał: był niski, niepozorny i stary.

Wiadomość o ucieczce Chuaqueta rozgniewała emisariusza, którym był sam archiwista, Koryntyn Tau.

- Mój Boże - huknął - jakże go teraz odnajdziemy?!

Z biskupstwa Draguan schyłek zimy przeganiał demony, które nękały mieszkańców podczas mrozów. Ludzie wracali do codziennych zajęć. Mord dokonany na biskupie zszedł na dalszy plan. Teraz ważniejsze stały się wiosenne prace w polu, naprawa uszkodzonych dachów, parzenie bydła. O proboszczu Henno Guim, który zawitał tu na tak krótko w pierwszych dniach stycznia, już niemal zapomniano. Obraz dziwnego człowieka, który niespodziewanie zawitał do Draguan, nie zatarł się jedynie w pamięci zakonników Meaulta i Abła. Oni także, podobnie jak reszta mieszkańców, rozpoczęli wiosenne porządki: sprząтали dziedziniec i wietrzyli dom, niemal pozbawiony dopływu powietrza z powodu zabitych deskami okien.

Odkąd stopniały śniegi, czas dłużył im się coraz bardziej. Sekretny list, który chcieli wysłać od wyjazdu Henna Guiego, wciąż pozostawał w ich rękach. Nie mogli już dłużej czekać na powrót wikariusza Chuaqueta, a przede wszystkim na trzy jedyne konie biskupstwa.

Doznali ulgi, gdy do Draguan niespodziewanie powrócił chłop, którego zima zatrzymała w parafii na północy. Szkapka biednego chłopiny odpoczywała ledwie trzecią część godziny, potem Meault dosiadł jej i galopem opuścił miasto. Wieśniacy z rozdziawionymi ustami obserwowali desperacki wyczyn mnicha.

Pędził w kierunku Passier, siedziby arcybiskupstwa, któremu podlegało Draguan.

Passier było miastem liczącym ośmiuset mieszkańców, kontrolowanym przez dominikanów, a zatem przez inkwizycję. To właśnie tu, w starych murach fortu, kilkadziesiąt lat temu przeprowadzono proces katarów, który odbił się głośnym echem w całym świecie. W rejestrach raz po raz pojawiał się wyrok skazujący, od którego nie było odwołania, a na rynku niemal nie gasły stosy, na których płonęło więcej ludzkich ciał niż drewna. Passier miało baczenie na cały obszar od Albi po Tar-bes, łącznie z Muret i Sagan. Nadzorowano wszystko, każdą parafię, każdy dom, każde sumienie... Wszystko oprócz Draguan. Duchowni z Passier nigdy nie interesowali się tą diecezją - ani skandalicznymi zaniedbaniami Haquina, ani niesamowitymi wydarzeniami sprzed roku. Polityka dominikanów celowo pomijała tę ziemię, której posiadanie nie przynosiło zysków ani nie umacniało ich pozycji. Każdą skargę i prośbę pomijano milczeniem.

Nazwisko Jorge Ai, który władał trybunałami Passier, nie było obce mieszkańcom Draguan. Przed trzydziestu pięciu laty był przez dwa lata ich biskupem. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia lat. Porzucił tę marną posadę po cichu, na trzy kolejne lata pozostawiając swe owieczki osierocone. Tak było aż do przyjazdu Romee Haquina.

Człowiek ten miał obecnie pięćdziesiąt pięć lat. Bardziej się go bano, niż szanowano, bardziej słuchano, niż mu służono. W jego czarnych oczach błyskały iskry, jakie ciskać potrafią oczy Arabów, i to spojrzenie niepokoiło wiernych. Aja był bardzo skryty, nieprzystępny, otaczał się aurą tajemniczości, która była doskonałym instrumentem zastraszania, a tego właśnie pragnął.

A jednak to właśnie on, odkładając inne zajęcia, przyjął brata Meaulta z Draguan, skoro tylko stanął on w progu archidiecezji.

- Po co tu przyszedłeś? — rzucił obcesowo, gdy zostali sami. - Czyś postradał zmysły? Zapomniałeś o rozkazach?

- Wybacz, panie. - Meault pokłonił się do ziemi. - Nie mogłem postąpić inaczej. Od wielu tygodni próbowaliśmy przesłać wiadomości, lecz zima nam to uniemożliwiła.

- Mów szybko.

Zakonnik wyprostował się. Jednym tchem i w jednym zdaniu wypowiedział cały dramat swej parafii.

- Biskup Haquin ściągnął do Draguan młodego kapłana, aby wysłać go jako proboszcza do wioski przeklętych.

Na te słowa oczy Jorge Aja rozpały się jak główne.

- Co ty mi tu opowiadasz?!

- Prawdę. Żywiliśmy przekonanie, że pod waszym czujnym okiem nie dojdzie do tego. Tymczasem biskup w tajemnicy sprowadził tego młodego księdza. Chyba tylko wikariusz Chuaquet wiedział o jego staraniach. My niczego nie zauważyliśmy.

- Gdzie on teraz jest?

- W wiosce. Opuścił Draguan z górą dziesięć tygodni temu. Wyruszył w towarzystwie zakrystiana, który zeszłego roku odkrył zjawy z wioski.

- Macie od niego jakieś wieści?

- Żadnych. Może wcale nie dotarł do celu podróży. Zakrystian, który miał go tam zaprowadzić, też nie powrócił.

- Jak nazywa się ten ksiądz?

- Henno Gui. Przyjechał z Paryża. Przywiozłem informacje o nim, które przechowywał biskup.

Jorge Aja usiadł przy dużym biurku na giętych nogach. Na polerowanym blacie leżał manuskrypt - list, który otrzymał przed trzema dniami z kancelarii Artemidora na Lateranie. Kanclerz pisał, że wiadomość o śmierci biskupa Draguan dotarła do arcybiskupstwa w Paryżu, w Rzymie natomiast podjęto poszukiwania dotyczące przeszłości Haquina i jego pobytu w Stolicy Apostolskiej.

Aja poczuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Należało działać bardzo szybko. Szybciej, niż planował.

- Wyjdź - powiedział do Meaulta. - Daj mi informacje o tym księdzu i czekaj na instrukcje.

Mnich potulnie wręczył mu raport na temat Henna Guiego i wyszedł.

Aja przejrzał dokumenty, a potem nerwowo szarpnął sznur dzwonka. Do gabinetu wszedł młody sekretarz z tabliczką do pisania i linią do szyfrowania.

- Pisz - rzucił prałat.

Jorge Aja podyktował dwa długie listy ze szczegółowymi instrukcjami. W ten sposób wprowadził w czyn plan, nad którym pracował od chwili otrzymania wiadomości od Artemidora. Jeden list był adresowany do kancelarii na Lateranie. Adresat drugiego nazywał się Enguerran du Grand-Cellier i należało mu go doręczyć w zamku Morvilliers lub gdziekolwiek przebywał.

Oba listy Aja opatrzył pieczęciami biskupiego pierścienia: krzyżem i maską. Sekretarz zaszyfrował je i wręczył kurierom, którzy bez zwłoki wyruszyli w drogę.

Jorge Aja zawezwał Meaulta.

- Niezwłocznie wrócisz do Draguan. Zakonnik skłonił głowę na znak posłuszeństwa.

- Ale nie sam.

Aja przydzielił mu trzech zbrojnych ze swej straży.

- Zamieszkają w biskupstwie razem z wami. Mają wszelką władzę, rozumiesz?

- Ale...

- Tylko ja wydaję im rozkazy. Wkrótce przyślę większy oddział. Pozostań lojalny, a zdobędziesz fortunę. Idź już.

Wkrótce mnich Meault wyruszył do Draguan. Obok niego jechało trzech olbrzymów uzbrojonych po zęby, jakby szli na wojnę.

O brzasku 16 marca nieznajomy wjechał konno do miasteczka Sauxellanges.

Miejscowość położona w odległości trzydziestu siedmiu kilometrów od dużego miasta, jakim był Lyon, nie należała do często odwiedzanych.

Tajemniczy przybysz był dziwnie ubrany; ludzie zastanawiali się, czy to zubożały rycerz, czy zwykły ciura. Nosił brodę, a u pasa - długi miecz. Konia miał doskonałego - zwierzę było smukłe, silne i jeszcze młode.

Mężczyzna nie zatrzymał się ani przed oberżą, ani przed kościołem. Nie zwalniając, dojechał do bramy cmentarza, nieopodal starego kościółka, i zsiadł z konia. Szedł od grobu do grobu, ale zapewne nie znalazł tego, którego szukał, bo wszedł do świątyni, nie odpasawszy miecza. Znajdowało się tam kilka grobowców sług bożych i miejscowych dostojników. Obcy czytał wszystkie widniejące na nich inskrypcje. Na

widok jednej z nich twarz mu się rozjaśniła. Był to grobowiec symboliczny, ciała zmarłego nigdy bowiem nie odnaleziono.

Obcy podszedł bliżej. Przeczytał napis na białym kamieniu w ścianie: Ojciec Kosma.

- Czy mogą ci pomóc, synu?

Łagodny głos odbił się echem w nawie. Nieznajomy odwrócił się i stanął twarzą w twarz z drobnej postury księdzem w białym habicie.

- Jestem proboszczem Sauxellanges, nazywam się ojciec Franciszek - usłyszał. - Czego szukasz?

- Chciałbym zadać ojcu kilka pytań.

- Jeśli mamy rozmawiać w świątyni, musisz odpasać miecz.

Tylko możni mieli prawo wchodzić do kościoła z bronią. Obcy zawahał się, a potem rzekł:

- A zatem pogawędzimy na zewnątrz. Powiedział to władcym tonem i pierwszy ruszył w kierunku wyjścia.

- Słucham cię, synu - zaczął ksiądz, gdy znaleźli się za progiem kościoła.

- Szukam informacji na temat ojca Kośmy. Wiem, że urodził się w tej parafii.

- Kosma? Tak, to prawda... Nie znałem go, zmarł na długo przed moim przybyciem do tego miasta, lecz jego historia nie jest mi obca. Jesteś jego krewnym?

- Nie.

-- A zatem wysłannikiem jego rodziny?

- Nie.

- Domyślam się więc, że zaciekały cię krążące o nim pogłoski.

- Być może. Zechce ojciec opowiedzieć mi o nim?

- Cóż, ja wiem o jego życiu tylko to, co jest powszechnie wiadome. Niewiele nowego dowiesz się ode mnie. Kosma był proboszczem w diecezji leżącej na południe stąd, lecz nie znam nazwy tej wioski. Słyszałem wiele dobrego na temat jego pracy wśród wiernych. Niestety, ten dzielny mąż, jak wiele innych osób, padł ofiarą zarazy w latach dwudziestych. Choroba mocno go wyniszczyła, cudem jednak przeżył. Powrócił do swej parafii, tam jednak po kilku latach powtórnie zapadł na dzumę. Przybył do Sauxellanges, aby umrzeć w rodzinnych stronach, lecz jeszcze raz cud pozwolił mu wymknąć się dzumie.

Te słowa wprawiły podróżnego w głębokie zdumienie.

- Czy jest ojciec tego pewien?

- Z tego zrodziła się cała opowieść o nim - podjął ksiądz. - Kosma uznał pierwsze uzdrowienie za przejaw łaski pańskiej, ale za drugim razem było już inaczej.

- Co chce ksiądz przez to powiedzieć?

- Załóżmy, że choroba odmieniła umysł proboszcza. Nagle uznał swe dwukrotne wyzdrowienie za znak, za wezwanie do wypełnienia szczególnej misji, misji wielkiej wagi... Odtąd uważał się za istotę wybraną przez Pana, nieomal za świętego albo proroka. Ta przemiana dokonała się bardzo szybko. W ciągu kilku dni stał się innym człowiekiem, odmiennym od dobrego i skromnego proboszcza, jakim był. Opuścił Sauxellanges i wrócił do swych parafian, przekonany, że to wśród nich powinien wypełnić swą misję. Kiedy wyjechał, epidemia dżumy wybuchła także w naszym miasteczku...

- Twierdzi ksiądz, że ojciec Kosma powrócił do diecezji zaraz po powtórnym wyzdrowieniu?

- Tak powiadają, synu.

Ksiądz ciągnął:

- Nigdy już tu nie przyjechał. Później, aby uczcić jego lojalność wobec Kościoła i cudowny ponad wszelką wątpliwość charakter jego uzdrowień, mój poprzednik w poczuciu obowiązku kazał umieścić w kościele kamień z imieniem Kośmy i powierzył jego duszę miłosierdziu Pana Naszego.

Obcy skinął głową, dając w ten sposób znak, że dowiedział się już wszystkiego, o czym chciał wiedzieć. Wydobył z sakiewki trzy duże sztuki miedzi i dał proboszczowi.

- Na potrzeby parafii, ojczy Franciszku. Odwrócił się i podszedł do konia.

- Czy za tę ofiarę, synu - rzucił za nim ksiądz, ważąc w dłoni monety - mam odprawiać msze za duszę biednego ojca Kośmy?

Nieznajomy nie zatrzymał się. Wzruszył tylko ramionami i rzucił półgłosem:

- To już twoja sprawa, ojczy, na jaki cel je przeznaczysz.

Proboszcz Sauxellanges odprowadził go spojrzeniem. Nigdy nie odgadłby, kogo przed chwilą pożegnał. Ten trochę nieokrzesany samotnik, oschły i rzeczowy, w niczym nie przypominał bowiem człowieka, którym był jeszcze kilka tygodni temu - powściągliwego i posłusznego zakonnika.

Albowiem nieznajomy, który dziś z bronią u boku i pełną sakiewką pod płaszczem wszedł do kościoła, był wikariuszem Chuaquetem, byłym wiernym sługą i pomocnikiem biskupa Draguan.

Ostatnie porywy zimy Aymard du Grand-Cellier i jego kompani spędzili w Spoleto na stromych zboczach Monte Ratto. Długo przygotowywali objawienie Najświętszej Paniienki zgodnie z pomysłem Profuturusa. W czasie straszliwej zamieci zabłądzili w okolicach

Gennanno, ale na szczęście natknęli się na pasterza, który zaprowadził ich do swego szałas, z dala od ciekawskich spojrzeń.

- To nasz zwiadowca - wyjaśnił Drago Czanad, kierujący wyprawą.

- Zwiadowca? - zdziwił się Gilbert.

- Tak. Każdą naszą operację poprzedzamy szczegółowym rozpoznaniem terenu. Mamy na miejscu swojego człowieka. Dzięki niemu poznajemy miejscową ludność i wybieramy najskuteczniejsze metody działania.

- Często stosujecie takie metody...? Mam na myśli... takie widowiska jak objawienie.

- To się zdarza...

Gilbert de Lorris bez wahania uwierzył w polityczną konieczność wyprawy na Monte Ratto. Gennanno było niewielkim garnizonem na pograniczu cesarstwa, w pełni kontrolowanym przez antypapistów i ludzi cesarza. Młody żołnierz natychmiast pojął strategiczne znaczenie tego miejsca. Natomiast chęć nawrócenia mieszkańców wzbudzała jego poważne wątpliwości. „Może jednak - myślał - pozwoli zapobiec bezsensownym walkom i śmierci wielu ludzi. Lepiej uciec się do oszustwa niż dopuścić do rozlewu krwi”.

Gilberta bardzo ucieszyło spotkanie z Aymardem du Grand--Cellier. Mimo wszystko przywiązał się do tego zamkniętego w sobie, kryjącego dwie osobowości człowieka. Zresztą Aymard bardzo się zmienił. Przestrzegał praktyk religijnych, odprawiał nabożeństwa, a jego wiara była wręcz wzorowa. Gilbert nie wiedział, skąd wraca Aymard, nie miał pojęcia, co przeżył ten człowiek, w głębi ducha gratulował sobie jednak, że niewątpliwie przyczynił się do nawrócenia zbłąkanego zakonnika.

Aymard natychmiast poparł oszustwo na Monte Ratto, lecz ze zgoła innych przyczyn niż jego młody kompan. Uważał to za zbożne dzieło, wędrówkę ku dobroci krzyża, a także za sposób podziękowania tym, którzy wzięli na siebie trud ocalenia odszczepieńca, jakim był.

Gilbert chwilami rozpoznawał dawnego Aymarda, zwłaszcza gdy spoglądał na młodą Maud, komediantkę, która przybyła tu z nimi, żeby odegrać rolę Najświętszej Pani. Ta dziewczyna, przygotowując się do niezwykłego przedstawienia, budziła w pamięci Aymarda odległe wspomnienia o braciach początku, o bluźnierczym ślubie z Matką Bożą...

Kiedy nastały cieplejsze dni, Drago i jego ludzie przystąpili do realizacji planu. Dziękibogu, czyli „człowiek w czerni”, i komediantka pozostawali w ukryciu, w szałasie, inni wyruszyli do Gennanno. Podawali się za zaciekle antypapistów, uciekających przed prześladowaniami rzymskich agentów. Ten podstęp umożliwił im zbadanie nastrojów w mieście. Zrozumieli, że Gennanno to wysunięta baza przemysłników



srebra, broni, heretyckich obrazów i tekstów. Potwierdzało to informacje, jakie Rzym i Drago zebrali już dzięki raportom zwiadowcy.

Wmieszani w tłum, ani na chwilę nie zapominali o swych celach. Najważniejszym z nich było wybranie ofiary idealnej -kobiety lub mężczyzny - która mogłaby stać się świadkiem cudownego objawienia. Drago upodobał sobie pewnego owczarza. Był to prostaczek, człeczyna lękliwy i łatwowierny. Nazywał się Roubert.

Nadszedł czas realizacji przedsięwzięcia. Drago systematycznie podrzucał pierwszym kotnym tego roku owcom specjalne zioła. W efekcie na świat przychodziły zwierzaki na trzech albo pięciu nogach, o zdeformowanych kościach, bez runa, ślepe albo niezdolne do wysiłku. Takie przekleństwo spadające na całą owczarnię musiało wzbudzić strach w miasteczku... Ludzie obawiali się złych znaków, upatrując w nich diabelskich sztuczek.

Trzej agenci realizowali swe przedsięwzięcie, nie zwracając na siebie uwagi. Wykorzystując właściwości ziół i wywarów, do których dorzucali ołowiu, doprowadzili do zatrzymania moczu u krów i kóz. Zakażone zwierzęta dawały skwaśniałe albo cuchnące mleko. Bydło padało pośród przerażającego ryku i wycia. Kilka kropli płynu wpuszczonego do studni spowodowało zatrucie co czwartego mieszkańca miasteczka. Wszystko to wzmagало w ludziach lęk. Wróżyło nieuniknione straszliwe nieszczęścia...

Tymczasem Dziękibogu pracował nad przygotowaniem miejsca, w którym miał się wydarzyć cud. Razem z Drago wybrał położoną wysoko w górach polankę i wykopał rowy, w których miały nastąpić wybuchy i zapłonąć ogień.

Oszukańcze objawienie Matki Boskiej na Monte Ratto miało doprowadzić do odkrycia skarbu. Wybór kryjówki na złoto był jednym z najtrudniejszych problemów, przed jakim stanęli ludzie Drąga. Nie mogli po prostu wykopać jej z ziemi, bo świeżo wzruszony grunt wzbudziłby podejrzenia i w końcu ktoś domyśliłby się, że cud jest dziełem człowieka.

Dziękibogu znalazł rozwiązanie. Wysoko w górach natrafił pod lasem na strumyk, cicho szemrzący między skalistymi brzegami. Wybrał łatwe do wskazania miejsce, ale musiał je odpowiednio przygotować. Nieco powyżej bloku skalnego zmienił na pewien czas bieg strumienia. W wilgotnym piasku wygrzebał jamę, umocnił boki drewnianym szalunkiem i włożył do środka ciężki kuferek ze złotymi monetami. Były one dziewicze - bez nazwy, bez daty, bez żadnych znaków. Potem zburzył prowizoryczną tamę i skierował strumień do starego koryta.

Teraz należało zwabić wybranego na ofiarę Rouberta na alpejską polankę, gdzie miał się wydarzyć cud. Gilbert i Aymard obluzowali deskę

w ogrodzeniu, żeby upozorować ucieczkę owieczki, a w rzeczywistości wykradli ją. Pasterz szukał jej, ale nadaremnie. Przepadła bez śladu.

Cud zaplanowano za osiem dni. Komediantka Maud przymierzała zwiewne szaty i powtarzała sobie rolę, podczas gdy Dziękibogu rozmieszczał ładunki wybuchowe.

W dniu cudu Gilbert powiedział Roubertowi, że ktoś widział zbłąkaną owieczkę na górskiej polance. Pasterz, nie namyślając się długo, pobiegł wraz z dwoma braćmi we wskazane miejsce.

I rzeczywiście, owieczka spokojnie skubała sobie trawę na małej polance. Roubert z braćmi chcieli ją okrążyć i złapać, ale nie zrobili już ani kroku. Przed nimi wzniósł się nagle nad ziemią ogromny świetlisty obłok. Wrażenie było niesamowite. Owczarz i jego bracia stanęli jak wryci. Z obłoku wyłoniła się subtelna, zwiewna postać, której piękno ich olśniło. Mężczyźni padli na kolana. Rozpoznali świetliste oblicze, boskie rysy, po tysiącokrotnie utrwalone przez artystów na obrazach i rzeźbach, spoglądające na wiernych w każdym kościele.

Dziewica podeszła do nich, rozpędzając obłok rąbkiem zwiewnej szaty, i przemówiła łagodnym, słodkim głosem. Bracia nie uronili ani słowa. Zapamiętali wszystkie polecenia -mieli nakłonić swych ziomków do powrotu na właściwą drogę i okazania wierności rzymskim następcom świętego Piotra. Od tego zależało ocalenie Gennanno. Bunt trwał już za długo. Zjawa wyraziła żal, że nie ma tu dla niej odpowiedniego domu. Istniejący kościółek jest nędzny, zniszczony, zaniewany przez mieszkańców. Uskarżała się na wysłanników zła, którzy opętali dusze poczciwych wieśniaków, aby związać ich z cesarzem, diabłem wcielonym. Bolała nad nieustającymi oskarżeniami, które niesłusznie kierowano pod adresem Rzymu... Roubertowie muszą przemówić do serc swych współbraci! Objawiła im się, bo pragnie ich ocalić. A na pamiątkę tego spotkania przekaże im dar... Po dwakroć dokładnie tłumaczyła, gdzie od zarania dziejów spoczywa zatopiony skarb, który ma posłużyć dziełu odbudowy kościoła...

Mężczyźni nie śmieli nawet drgnąć, po ich policzkach spływały łzy. Gdy Najświętsza Paniienka udzieliła im już wszelkich pouczeń, znów z huku zrodził się obłok, jeszcze bardziej gęsty od poprzedniego, i Matka Chrystusa rozplynęła się w nim równie tajemniczo, jak się pojawiła. Obłok powoli rozwiął się i górską polankę znów była cicha.

I tylko pasąca się w dali owieczka, spłoszona hukiem, zniknęła gdzieś bez śladu.

Owczarz i jego bracia pobiegli, ile sił w nogach, do Gennanno, by opowiedzieć o objawieniu, nie pomijając żadnego szczegółu. Zgromadzeni ludzie początkowo nie chcieli dawać wiary ich słowom, ale Drago,

Aymard i Gilbert przekonali ich, że skoro Maria przemówiła, należy usłuchać.

Wszyscy mieszkańcy miasteczka wspinali się na Monte Ratto, do strumienia, gdzie według wskazań Marii był ukryty skarb. I oto zdarzył się pierwszy cud - w opisanym przez zjawę miejscu rzeczywiście sterczał ogromny kamień. Ale jak dostać się do skarbu, który jakimś cudownym sposobem znalazł się pod wodą? I oto Drago podsunął im myśl, aby zmienić bieg wody i wydobyć skarb z dna. W godzinę później dziesięciu mężczyzn znalazło w korycie strumienia kufer złota.

Na efekt nie trzeba było długo czekać. Wszyscy jak jeden mąż podporządkowali się zaleceniom Marii Dziewicy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w sercach najbardziej zatwardziałych odszczepieńców dokonała się przemiana. W małym kościółku najzgorzalsi wrogowie papieża błagali o przebaczenie i kierowali swe modły do Rzymu.

Akcja została uwieńczona sukcesem.

- Czy teraz opuścimy Gennanno? - zapytał Gilbert, zwracając się do Drağa Czanada.

- Wkrótce. Najpierw musimy zatrzeć ślady naszych poczynań. Potem zastąpią nas wysłannicy Lateranu.

Gilbert był zafascynowany. Stał się świadkiem niesamowitej przemiany. Trochę dymu i dużo złota - i oto runęło wszystko, co ludzie myśleli i w co wierzyli, wszystko, za co gotowi byli jeszcze tego samego ranka oddać życie. Pomyślał o Rzymie, o dostojnych kardynałach, którzy tak dobrze znali dusze swych wiernych, i dzięki temu potrafili zręcznie ich oszukiwać... Ileż razy w dziejach Kościoła wykorzystali w ten sposób ludzką łatwowierność?

5

W parafii Henna Guiego roztopy spowodowały znaczne podniesienie poziomu wody w rozlewiskach otaczających maleńką wioskę Heurteloup. Okolica znów stała się niezdrowa i cuchnąca. Porastające ją olchy i niskie trzciny sprawiały przygnębiające wrażenie.

Półtora kilometra od wioski przeklętych na przełaj przez las szedł szybkim krokiem chłopiec, okryty powiewającymi na wietrze łachmanami. Na szyi miał drewniany krzyż zawieszony na sznurku. Chłopcem tym był Lolek, syn Mabel. Prawie biegł, obserwując cienie drzew i wędrówkę słońca. W miarę jak w lesie gęstniał mrok, przyspieszał kroku. Gdy natrafiał na grzędawisko, wspinał się na drzewo i zwinnie przeskakując z gałęzi na gałąź, zsuwał się po pniu na suchy grunt. Ani na chwilę nie zwalniał kroku.

Niecały kilometr dalej natknął się na suchy i rzadziej porośnięty obszar. Jedną ścianę polany stanowiła lita skała ze szczeliną pośrodku, dość szeroką, by mógł się przez nią przecisnąć rosły mężczyzna. Lolek dotarł do celu swej leśnej wędrówki i odetchnął z ulgą.

Pod skałą czekał na niego Tobiasz. Stał wyprężony jak strażnik świątyni Diany, z krótką dzidą w ręku.

Lolka dzieliło od niego kilka kroków.

- Przybywasz punktualnie - powitał go Tobiasz.

Lolek uniósł głowę. Na skale ujrzał wilka, którego oswoił Trusty Czwartek. Wpatrywał się w chłopca dwojgiem różnobarwnych oczu.

- Czekamy na ciebie - powiedział Tobiasz i podał mu dzidę. - Będę szedł za tobą - dorzucił.

- Nie zabierzemy pochodni? Żadnego światła? - dopytywał się gorączkowo chłopiec.

- Nie. Wystarczy nam światło, które wpada przez szczelinę. Wszystko musi się zakończyć, zanim nastanie noc.

Lolek nabrał tchu. Chwycił mocniej dzidę i wsunął się w skalną szczelinę. Tobiasz uczynił to samo, podążając za nim.

Wilk nad ich głowami zniknął.

## 6

Pogodne dni sprawiły, że Henno i Tłusty Czwartek postanowili rozejrzeć się po okolicy. Olbrzym niósł naczynie z mlecznym płynem. Ksiądz trzymał w ręku trzciniową witkę. Szli, bacznie przypatrując się każdemu drzewu. Zatrzymywali się przy tych, które miały szerokie pnie ze zgrubieniami. Ksiądz moczył witkę w płynie i malował na korze krzyż. W ten sposób oznaczył rozległy obszar wokół Heurteloup. Od dłuższego czasu wykonywali tę tajemniczą operację, gdy biegnąc, ile sił w nogach, dogonił ich zadyszany kapłan.

- Szybko! - krzyknął. - Stało się nieszczęście.

Tobiasz był nieprzytomny. Miał zmiażdżoną połowę twarzy, zakrwawiony prawy bok, z nogi pozostał tylko kikut. Przy rannym zebrano się całe plemię. Lolek był blady i ledwie żywy. Niósł Tobiasza na rękach przez cały las, od pękniętej skały.

Od kilku dni chłopiec przechodził inicjację, rytuał przejścia do wieku dojrzałego. Egzamin przeprowadzał Tobiasz. Zasady od wieków były te same i wszyscy młodzieńcy musieli się poddać próbie. Pokonawszy wiele przeszkód, Lolek wypełniał tego dnia ostatnie zadanie: prawie bezbronny, miał wśliznąć się do kryjówki psa-wilka i przynieść jego ścierwo. Tę próbę przypłacił życiem niejeden chłopak z Heurteloup. Lecz dziś los zakłócił zwyczajny porządek rzeczy. Choć Lolek pierwszy wszedł do

groty i o kilka kroków wyprzedzał nauczyciela, to właśnie na tego drugiego rzuciły się szczenne wilczyce. Chłopak walczył z nimi, broniąc Tobiasza przed pazurami i zębami wilczyc. On sam nie został ugryziony ani nawet draśnięty.

Henno Gui obejrzał rannego i kazał przenieść go do swego szałas. Tam wraz z Florisem i Tłustym Czwartkiem przez wiele godzin trzymał się, aby ocalić życie najzagorzalszemu wrogowi, jakiego od dnia przyjazdu miał w Heurteloup. Nim nadeszła noc, kapłan zdołał zatamować krwawienie i opatrzyć rany. Chory był nieprzytomny. Pozostawało jedynie czekać, aż się ocknie albo wyzionie ducha.

Henno Gui i Floris modlili się o życie Tobiasza. Nie byli w tym osamotnieni. W wiosce, w innej chacie, Mabel i Lolek także żarliwie wypowiadali słowa psalmów w intencji rannego.

W srogie zimowe wieczory Henno Gui w tajemnicy nawrócił na chrystusową wiarę tych dwoje ludzi.

7

Nazajutrz po przybyciu do fortecy Beaulieu Enguerran du Grand-Cellier pod eskortą udał się do seneszała Rajmunda Montague, przedstawiciela pełnomocnego króla Francji, reprezentanta Korony i Rady. Spotkanie odbyło się w wielkiej sali audiencyjnej, gdzie zazwyczaj pan na Beaulieu zasiadał pośród swych poddanych i ferował wyroki w sprawach dotyczących dominium. Oczekujący Enguerrana mężczyzna nie zdjął podróżnej zbroi. Stał sztywno w butach do konnej jazdy, na jego twarzy malowały się skupienie i powaga. Enguerran zrozumiał, że seneszał nie fatygował się do fortecy tylko po to, by zebrać informacje dla buchalterów z Luwru, lecz aby przeprowadzić znacznie poważniejszą rozmowę.

- W ostatnich sześciu tygodniach - rzekł seneszał Montague - stałeś się, panie, właścicielem ziem Eliman, Chareuse, Pontarlean, Corteme i Plessis-sur-Haine, wydając łącznie na ten cel kwotę blisko dwustu tysięcy ecu.

Rycerza zdumiało, że królewscy urzędnicy tak szybko i tak dokładnie zgromadzili informacje dotyczące jego poczynań.

- To prawda - odparł.

Enguerran przedstawił argumenty, którymi zwykle uzasadniał swoje inwestycje.

- Skąd pochodzą tak ogromne sumy? - zapytał bez ogródek seneszał.

- Dwór doskonale wie, jakie zyski czerpię z handlu końmi... Dzięki hodowli udało mi się zgromadzić znaczny majątek i rozporządzam nim zgodnie z moją wolą.

- Panie, nikt nie wątpi w twą rycerską prawość. Wszelako królewscy rachmistrzowie żądają wyceny twych dóbr, przeprowadzonej wedle reguł Nowego Skarbu. Skoro zaś człek, którego imię okrywa sława, nie ma nic

do zatajenia, nie sprzeciwi się urzędniczym poczynaniom. Od dziś nie wolno ci dokonywać żadnych nowych transakcji. Na złoto, które przywiozłeś, zostanie nałożony sekwestr. Wszystkie wcześniejsze zakupy skontroluje komisja rekwizycji sądowej.

- Przed nadejściem lata pragnę dokonać kolejnych inwestycji - zaproponował Enguerran.

- Nie zakazujemy ci, panie, prowadzenia interesów - odparł seneszał. - Lecz żadnej transakcji nie wolno ci sfinalizować, możesz jedynie zawierać umowy wstępne. Żadna suma nie zostanie przekazana z twego skarbcza. Z chwilą zakończenia śledztwa będziesz mógł swobodnie wywiązać się z umów.

Enguerran opanował wzburzenie, które podsyciłoby podejrzliwość królewskiego urzędnika. Udał, że przyjmuje polecenia, jak przystało na człowieka rozważnego i uczciwego.

- Spełnię każdy rozkaz króla - rzekł, skłaniając głowę.

Pan na Beaulieu, pragnąc okazać Enguerranowi zaufanie, niezwłocznie zgodził się sprzedać mu swe dobra, za poręczenie mając tylko jego słowo. Tymczasem strażnicy seneszała przejęli dwie skrzynie złota, z którymi przyjechał Lazurowy Rycerz. Znajdowało się w nich z górą osiemdziesiąt tysięcy ecu z królewskiej mennicy.

Enguerran, urażony i rozgniewany jak nigdy dotąd, ruszył w drogę powrotną do zamku w Mondlliers. To, co się stało, mogło go drogo kosztować. Śledztwo mogło ujawnić jego przymierze z Rzymem i narazić na wielkie niebezpieczeństwo. Dalsza współpraca stała pod znakiem zapytania.

W Mondlliers czekała na niego wierna małżonka, Ilzonda. Jej jednej powierzył tajemnicę swego paktu z Artemidorem. Prawa i uczciwa kobieta zareagowała gniewem na jego wyznanie. Oddawanie na usługi rzymskich polityków Krzyża Tunisu zakrawało w jej oczach na zdradę. Choć stawką był honor nazwiska i dobre imię syna, Ilzonda nie potrafiła ukryć rozczarowania, że mąż - okryty sławą krzyżowiec - posunął się do takiego czynu.

Kiedy dowiedziała się o wydarzeniach w fortecy Beaulieu, jeszcze boleśniej odczuła niewierność małżonka wobec korony francuskiej. Poddała Enguerranowi pismo, które dostarczono przed dwoma dniami. Na woskowej pieczęci widniały maska i krzyż. Ilzonda już ją przełamała, jak zwykle, kiedy list pochodził od Jorge Ai, a dotarł pod nieobecność Enguerrana. Stary rycerz podłożył klucz do szyfrów i odczytał wiadomość od swego łącznika z Rzymem.

Nowe rozkazy Ai były jasne i precyzyjne. Grand-Cellier miał wstrzymać realizację wcześniejszych instrukcji. Cel jego misji pozostał ten

sam, zmianie uległa jednak lista ziem, które miał nabyć. Teraz pojawiło się na niej pięć nowych majątków. Wszystkie leżały między Awinionem a hrabstwem Tuluzy.

Ilzonda rozłożyła na stole dużą mapę przedstawiającą południe królestwa. Tak szczegółowe mapy były w tych czasach rzadkością. Enguerran otrzymał ją od Oreyaca z Tuluzy, gdy podczas ósmej krucjaty koordynowali działania oddziałów wojsk z Akwitanii i floty genueńskiej.

- Spójrz uważnie - rzekła, wskazując palcem ziemie wybrane przez Aję.

- Tych pięć majątków, na pozór bez większej wartości, graniczy z ziemiami należącymi - o czym oboje dobrze wiemy - do seniorów lub właścicieli pozostających na żołdzie Kościoła. Scalone, tworzą jakby korytarz, który sięga aż do Eimoges.

- Cóż z tego? - zapytał Enguerran.

- Chyba pojmujesz - odparła Ilzonda - iż pragnąc utworzyć sobie bezpieczną drogę ku sercu królestwa, nie można by lepiej dobrać posiadłości.

I rzeczywiście, śledząc wędrówkę palca Ilzondy, Enguerran ujrzał blisko dwieście pięćdziesiąt kilometrów drogi wiodącej przez sąsiadujące ze sobą dobra.

- Twoi nowi panowie mogliby wprowadzić do kraju całe garnizony, a król nawet by się nie spostrzegł... I cóż ty na to, wierny rycerzu Ludwika?

Enguerran nie odrywał oczu od mapy Oreyaca. Ilzonda trafnie to oceniła. Sięgnął po list Jorge Ai i uważnie przeczytał nazwy pięciu majątków, którymi miał się teraz zająć - Bastidon, ziemie Debras, posiadłość Meyer-l'Ane, Pichegris i wreszcie Calixte w małym biskupstwie Draguan...

8

W Rzymie, w swym gabinecie na Lateranie, kanclerz Artemidor odebrał list opatrzony pieczęcią Enguerrana du Grand--Cellier. Kurier, który ledwie trzymał się na nogach, przyniósł to pismo od Jorge Ai, jak wymagał tego tajny protokół pałacowy.

Biskup Passier donosił o obecności w Draguan młodego proboszcza, desygnowanego przez Romee de Haquina, a przybyłego tuż po jego śmierci. Do listu dołączono charakterystykę osoby oraz listy polecające, jakie ksiądz otrzymał. Artemidor kilkakrotnie przeczytał raport na temat Henna Guiego. Jorge Aja nalegał, aby kanclerz wydał rozkaz przesunięcia części garnizonu Falvella. Zbrojne oddziały powinny czekać na efekty kolejnych pertraktacji handlowych Enguerrana du Grand-Cellier, następnie zaś wkroczyć do Francji i dotrzeć do Draguan, aby raz na zawsze rozwiązać problem, który stanowił narastające zagrożenie.

- Prośby Ai są głęboko przemyślane - rzekł Favel de Bazan.

Artemidor skinał głową. Diakon ciągnął:

- W tej chwili jesteśmy na łasce Enguerrana du Grand-Cellier. Bez jego pomocy nie możemy podjąć działań na odpowiednią skalę. Wtargnięcie do Francji jest niebezpieczne... Czas wesprzeć Enguerrana i cierpliwie czekać, aż zakupi konieczne do podjęcia tej kampanii majątki... Kanclerz wstał.

- Niekoniecznie - rzekł. - Możemy posłużyć się jego synem Aymardem. Gdy tylko powróci z Monte Ratto, postawimy go na czele naszych wojsk, aby osobiście poprowadził je do Draguan.

- Jakie przyniesie nam to korzyści?

- Nazwisko Enguerrana - odparł kanclerz - wiele we Francji znaczy. Uprzedzimy działania Enguerrana seniora. Oddziały Aymarda zapuszczą się na interesujące nas ziemie. Jeśli ktoś go zatrzyma, będzie mógł śmiało powiedzieć, że tereny te wkrótce staną się własnością jego rodziny, albo udawać, że doszło do nieporozumienia. Jeśli będziemy działać szybko, już wkrótce nasze wojska dotrą do diecezji Draguan i unicestwią to, co tani jeszcze pozostało... Tym samym oczyszczenie Aymarda przyniesie nam korzyści wcześniej, niż oczekiwaliśmy...

9

W drugiej połowie zimy młody Floris de Meung wielokrotnie ukradkiem zapuszczał się w podziemne korytarze pod wioską, aby kopiować dziesiątki kart odnalezionych w grocie, składających się na świętą księgę kapłanów z Heurteloup. Henno Gui z rosnącą podejrzliwością przyglądał się dziejom swej parafii. Wnikliwa analiza rękopisu pogłębiła jego niepokój. Choć czynił dokładne i drobiazgowo zapiski, wciąż nie mógł uporządkować tropów, na które natrafił, ani odtworzyć spójnego obrazu dziejów Heurteloup. Natykał się albo na sprzeczności, albo na zjawiska i wydarzenia przerastające znaczenie tej osady na odludziu.

Reguły, na jakich opierała się mowa wieśniaków, były niemal identyczne ze stosowanymi przez autora manuskryptów. W zapiskach zawarte były główne motywy wierzeń - wielki pożar, święte rozlewiska... Teksty, które Henno Gui początkowo uznał za psalmy, w rzeczywistości opowiadały o piekielnych bestiach, które przybyły ukarać grzesznych, przepowiadały powstanie nowej rasy ludzkiej. Na stolcu Piotrowym miała zasiąść kobieta. Na Grób Pański w Jeruzalem miał spaść deszcz meteorytów i spalić go, Babilon miał się odrodzić z ruin, a ludzkość zdziesiątkować głód...

Kim był człowiek, który pisał te słowa, i jaki przyświecał mu cel - tego Henno Gui wciąż nie mógł dociec.



Po uleczeniu Tobiasza, uznanym za prawdziwy cud, proboszcz i Tłusty Czwartek powrócili nad rozlewiska, tam gdzie znaczyli wybrane drzewa białym krzyżem. Henno Gui nie poprzestał na wypytywaniu wieśniaków. Cała ich historia utkana była z legend i lęków, z którymi nie potrafili sobie poradzić. Postanowił zatem zweryfikować in vivo najsilniejsze wierzenia.

Zaczął od Pożaru. Od owej osławionej Ściany Płomieni, która dała początek temu ludowi...

Proboszcz i Tłusty Czwartek wyruszyli z toporami i zaczęli uderzać nimi w drzewa, które oznaczali wedle wieku. Wybierali rosnące w pobliżu rozlewisk, pamiętając o roli „świętych wód”, które dawno temu miały powstrzymać morze piekielnego ognia. Cięli głęboko, klinem, do miazgi drzewa. Obserwując jasne pierścienie, koncentryczne i regularne, Henno Gui naliczył, poczynając od kory, trzydzieści słoików. Kolejny był znacznie szerszy od pozostałych, szarawy. Następne słoiki miały już zabarwienie i układ takie jak poprzednie. Henno Gui odnajdywał poszarzały słoik niemal w każdym drzewie, o ile było dość stare. Zaczernienie stanowiło niezbity dowód - drzewo osmalił ogień, być może podczas Wielkiego Pożaru. Liczba słoików liczonych od kory była stała. Proboszcz ocenił, że od pożaru upłynęło około trzydziestu pięciu lat.

Zaledwie trzydzieści parę lat?

Henno Gui wszedł do chaty Mabel i Lolka.

- Powiedziałaś, że twój mąż był już niemłody, kiedy zabrała go śmierć?

- Tak było.

- Skoro tak, to o ile moje obliczenia są dokładne, był świadkiem wydarzeń, które sprawiły, że powstał wasz świat. Musiał przy tym być. Rzekłbym nawet, iż owa sławetna „powódź ognia”, która tak często pojawia się w waszych legendach, nie wydarzyła się w czasach przedpotopowych, co tak ochoczo powtarzacie, lecz za życia twego męża lub tuż przed jego narodzinami, a zatem żadnego z tamtych wydarzeń nie można było przed nim zataić.

- O to lepiej zapytaj kapłanów... - odparła zakłopotana Mabel. - Ja nic nie wiem...

Wstała i wyszła z chaty, dając do zrozumienia, aby podążał za nią. Zamyślona, powiodła go przez cmentarz, na którym pochowano Saszę, z tablicami nagrobnymi znaczone kreskami, na polanę pośród lasu, położoną w dolince pomiędzy łagodnie wznoszącymi się zboczami. Henno Gui był na tej polanie wiele razy, nie zauważył jednak niczego szczególnego.

- Wiem tylko to jedno - to wydarzyło się tutaj... Tak w każdym razie mówił mój mąż. Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie... Niewielu spośród nas wie dziś, co się naprawdę wydarzyło. Nasi przodkowie chcieli

zapomnieć o tamtych dniach i uznali, że dla naszego ludu początkiem jest Wielki Pożar.

Mabel stała nieruchomo, przypatrując się polanie.

- Właśnie w tym miejscu zebrała się cała wioska... - powiedziała. - Tu na ich oczach słońce zniknęło w biały dzień... rozległ się grzmot... płomienie ogarnęły las... spośród drzew wyłoniły się cztery demony.

- Demony?

- W diabelskich zbrojach, na ogromnych koniach... Znały duszę każdego wieśniaka i głośno opowiadały o ich grzechach. A potem przy pierwszym blasku nowego słońca nastąpiło objawienie.

- Jakie objawienie?

Mabel zwróciła twarz ku pagórkowi wznoszącemu się nad polaną.

- Ukazała się tam, na górze... wszyscy ją widzieli...

Lecz w chwili, gdy kobieta wskazała palcem wzgórze, nagle tam właśnie pojawiła się, jak za sprawą czarów, pośród całkowitej ciszy, jakaś sylwetka. Wizja była tak nieoczekiwana, że Mabel osunęła się na kolana.

Proboszcz, roztrzęsiony, wpatrywał się w postać. Stała nieruchomo na wprost nich, w czerwonej poświacie.

Henno Gui był za daleko, aby określić jej naturę - anioł, człowiek czy demon? Podszedł, nie odrywając oczu od mglistej postaci. Wkrótce mógł już dostrzec jej rysy. Był to mężczyzna. Stary. Bardzo stary. Henno Gui wspiał się po łagodnym zboczach. Gdy stanął na szczycie, ujrzał około piętnastu osób skupionych wokół dwóch wozów. Milczeli. Henno Gui zwrócił się ku starcowi. Dzieliło go od niego zaledwie parę metrów. Mężczyzna miał na sobie czerwoną szatę. Wywrócił załzawione oczy. Chwiał się. W rozpaczliwym wysiłku rozłożył ramiona, stracił równowagę i runął na ziemię.

10

Brat Chuaquet wjechał konno do Rzymu. Nosił nadal strój, w jakim pojawił się w Sauxellanges. Przed wyjazdem z klasztoru w Troyes całkowicie odmienił wygląd, postawę, a nawet sposób mówienia. Spalił habit, zapuścił brodę i zasłonił ledwie odrastające na tonsurze włosy obszernym czepcem. Nie sposób było go rozpoznać i to dawało mu przewagę. Przez długie tygodnie spędzone w zamknięciu za murami klasztoru Sióstr od Marty zakonnik z Draguan wiele się nauczył. Przede wszystkim stał się nieufny. W mrokach swej celi Esklarmonda, siostra Romee de Haquina, wbrew wszelkim oczekiwaniom, otworzyła się przed nieznanym. Chuaquet poznał tajemnicę spowijającą przeszłość jego zwierzchnika. Przed nim tylko przeorysza Dana wysłuchiwała zwierzeń samotnicy. Dane jednak wiązała tajemnica spowiedzi.

Od Esklarmondy Chuaquet dowiedział się, o czym pisał jej brat do Ałchera de Mozat, a także co wyznał siostrze, gdy po raz ostatni zajrzał do Troyes. Esklarmonda długo modliła się, zanim złamała ślub milczenia i wyznała wszystko Chuaquetowi.

I oto w jednej chwili przeszłość Haquina, jego rzymska młodość, odosobnienie w Draguan, rozpacz po odnalezieniu zwłok w Domines, a później sprawa przeklętej wioski i wreszcie tragiczna śmierć nabrały sensu i ogromnej wagi. Chuaquet przypomniał sobie natrętne pytania paryskiego archiwisty i historię dokumentów biskupstwa, mord na nieszczęsnym strażniku, który wyprowadził go z Paryża (zginął, bo ktoś pragnął odzyskać pozostałe listy Ałchera de Mozat). Nie zapomniał też dziwnej postaci Dionizego Lenfanta, który wciąż tkwił w Troyes, jak wynikało z informacji zdobytych przez przeoryszkę, czekał na Chuaqueta i śledził jego życie w klasztorze, sownie opłacając informatorów.

W celi u Sióstr od Marty Chuaquet postanowił spisać wyznania Esklarmondy. Sporządził dwa egzemplarze - pierwszy powierzył przeoryszy, aby ukryła go w bezpiecznym miejscu, drugi zabrał ze sobą. Wyjechał, gdy tylko poprawiła się pogoda. Ruszył tropem winnych spisku, który doprowadził do śmierci biskupa, aby publicznie ich zdemaskować. Dana udzieliła mu pomocy. Wspólnie przygotowali nocną ucieczkę. Przeorysza dała mu nowy przydzwiek, konia i sporo pieniędzy. Razem pracowali nad nową tożsamością mnicha i dokumentami. Chuaquet przeistoczył się w pana Anzelma de Troyes, kuzyna mniszki z domu zakonnego Świętej Scholastyki w Rzymie. Wyzbył się wszelkich manier i nawyków zakonnika, nosił pas i miecz. Miał ze sobą list polecający przeoryszy Dany do przełożonej od Świętej Scholastyki, matki Marii. W jej klasztorze Chuaquet miał znaleźć schronienie podczas pobytu w Rzymie.

Podróż z Troyes do Wiecznego Miasta zajęła mu trzy tygodnie. Przedstawiając się matce przełożonej, podał fałszywe nazwisko. Rozmawiali w domu modlitwy, w którym mieszkało dziesięć sióstr. List przeoryszy z Troyes zaskoczył matkę przełożoną z Rzymu. Nakazywała w nim udzielić schronienia i karmić przybysza. Matka przełożona znalazła się w kłopotcie - wszak to zakon żeński, ale nie mogła odmówić Danie. Zakon Świętej Scholastyki należał do tej samej kongregacji co Siostry od Marty, przełożona czuła się w obowiązku spełnić to bezprecedensowe żądanie.

- Po co przybywasz do Rzymu, panie de Troyes? - zapytała.

Wikariusz wyciągnął z kieszeni skrawek pergaminu.

- Po raz pierwszy bawię w tym mieście. Być może potrafi matka pomóc mi w odnalezieniu któregoś z tych osób...

Na tym skrawku widniały cztery nazwiska: Artemiusz de Malaparte, Arthuis de Beaune, Dominik Profuturus i Aures de Brayac. Przełożona odczytała je uważnie.

- Jeśli idzie o trzech pierwszych, nie wiem nawet, kim są. Natomiast czwarty jest tu dobrze znany, lecz nie pod tym imieniem. Jego funkcja i tytuł wymagały, aby przyjął nowe nazwisko. Dziś zwa go Artemidorem. Jest wielkim kanclerzem papieża i bez wątpienia najpotężniejszym człowiekiem w Rzymie. Aby się do niego dostać, trzeba przejść istną udrekę. Wierzaj mi, panie, że ten zamiar może okazać się nierealny.

- A zatem zostawiam to nazwisko tam, gdzie się teraz znajduje, na końcu listy - odparł Chuaquet. - Jeżeli uda mi się porozmawiać z trzema pierwszymi, Artemidor z pewnością sam do mnie przyjdzie.

11

Henno Gui pomógł dojść do siebie mężczyźnie, który osunął się na ziemię. Cała trupa, czekająca u stóp wzniesienia, zebrała się teraz wokół swego patriarchy i proboszcza. Było ich piętnaścioro, cudacznie ubranych i bardzo zmęczonych.

Byli wędrownymi komedianami.

Ich nagłe przybycie, wielość barw, gromadka tresowanych zwierząt - ten widok wprawił w osłupienie Henna, który od chwili przybycia do wioski nie widział nikogo oprócz stałych mieszkańców. Pełne życia twarze aktorów kontrastowały z posępnym nastrojem okolicy.

- Jestem proboszczem, nazywam się Henno Gui - wyjaśnił nieznanym, którzy bacznie mu się przypatrywali. - Zgubiliście się?

- Nie, ojciec - odparł jeden z nich. — Mniemam nawet, że wreszcie dotarliśmy do celu podróży.

Linoscoczek wyjaśnił proboszczowi, że trupa od jesieni przemierza rozległą krainę rozpościerającą się między Albi a Sarregnes. Spędzili na szlaku całą zimę, brnąc przez śniegi od wioski do wioski, od rzeki po rozlewiska. W ten sposób wypełniali ostatnie życzenia swego patriarchy, pragnącego powrócić do małej zagubionej krainy, gdzie w młodości zagrał w tajemniczym spektaklu. Wspomnienie tamtego dnia nigdy go nie opuszczało, tylko miejsce, gdzie rozegrała się akcja, zatarło się w jego pamięci. Tak oto wyprawił się ze swoją trupą na długą wędrówkę po kraju.

- To naprawdę tu? - wypytywał zaintrygowany Henno Gui. - Czy tego miejsca szukaliście?

Komedianci gestami i mimiką dali mu do zrozumienia, że starzec zdaje się o tym przekonany.

- Dlaczegoż jednak pragnął tu powrócić? - zapytał znowu proboszcz.

Ujrzał przed sobą piętnaście zakłopotanych twarzy, oczy wskazujące patriarchę i mówiące bez słów, że ten stary człowiek nigdy nie chciał wyjawić im całej prawdy...

Po kilku minutach patriarcha odzyskał dość sił, by podjąć próbę podniesienia się z ziemi. Dźwignęli go z trudem. Oczy mężczyzny nadal były zażawione i szeroko otwarte. Ze szczytu wzniesienia przypatrywał się okolicy.

- Jesteśmy na miejscu... to naprawdę tu - podjął. - Właśnie tu zagraliśmy... Stałem dokładnie tu, gdzie jestem w tej chwili, na szczycie pagórka... przed sobą miałem dwie pochodnie i dwa drzewka oliwne... A potem te konie i drzewa wokół...

- Jesteś tego pewien, ojcze? - zapytała najmłodsza komediantka z trupy.

- Najzupełniej - odparł stary człowiek. Henno Gui nie potrafił pojąć znaczenia tej opowieści. Po jakie лихо wędrowna trupa miałaby zapuszczać się do Heurteloup?

- Cóż tu robiliście? - zapytał. - Jaką odegrałeś rolę?

- Jaką rolę? - uśmiechnął się komediant. - Najpiękniejszą w całym moim życiu.

I jak przystało na wytrawnego człowieka teatru, który nie zapomniał swej sztuki, zawiesił na chwilę głos.

- To ja grałem Jezusa...

12

Nazajutrz po przybyciu do Rzymu Chuaquet wybrał się na leżące nad brzegiem Tybru wzgórze zwane Watykanem. Stała tam kaplica oraz kilka budynków, które planowano powiększyć, aby ulżyć zatłoczonemu Lateranowi. Przeniesiono tu już bibliotekę administracji Stolicy Świętego Piotra, w której gromadzono wszystkie akty i nominacje wydane przez Rzym. Tylko kler laterański oraz akredytowane osoby świeckie miały dostęp do tych dokumentów. Chuaquet posiadał zezwolenie, które zdobyła dla niego siostra przełożona od Świętej Scholastyki. Jej zgromadzenie, podobnie jak Siostry od Marty, podlegało bezpośrednio władzy papieża, z tym zaś wiązały się pewne ściśle określone przywileje.

Zaprzysiężeni i czujni bibliotekarze wprowadzili petenta, choć nosił rycerski strój.

Pośród pachnących świeżym drewnem regałów przybysz wyszukał osiem grubych tomów i rozłożył je na pulpicie. Przeglądał indeksy alfabetyczne, zerkając na listę zawierającą cztery nazwiska: Malaparte, Beaune, Profuturus i Aures de Brayac.

Najpierw Chuaquet znalazł Arthuisa de Beaune. Przy tym nazwisku widniało najwięcej odnośników. Arthuis, uczonego mnich, był autorem komentarzy do dzieł Aldobranda ze Sieny i jego odkryć dotyczących

świata zwierzęcego, w tym sławetnego „kręgu ognia skorpiona”, o którym tak wiele mówiło się przed czterdziestu laty. Ów mędrzec wciąż jeszcze żył. Pozostawał honorowym zwierzchnikiem szkoły przy kolegium kapitulnym na Lateranie. Chuaquet zapisał sobie pełną nazwę tej szkoły i podjął dalsze poszukiwania.

Malapartemu poświęcono wzmiankę w rozdziale o komisji nadzwyczajnej, powołanej przez Grzegorza IX w roku 1231 do rozpatrzenia kwestii Arystotelesa, o czym pisał Haquin w liście do Alchera de Mozat. Krótki panegiryk na temat Malapartego wywołał uśmiech na twarzy Chuaqueta. Tego świeckiego uczonego, w drodze wyróżnienia wyniesionego do rangi biskupa w roku 1235, opiewano jako mędrca i teologa. W karierze duchownej nie otrzymał żadnych funkcji, od dnia święceń aż do śmierci w roku 1266. Mimo to autor panegiryku bez komentarza i bez zdziwienia odnotował, iż w roku 1264 papież przyznał mu mitrę kardynalską, a także Order Świętego Piotra. Było to zaskakujące wobec człowieka, który oficjalnie nie wyróżnił się żadnymi nadzwyczajnymi czynami. Niewątpliwą zasługą Malapartego było chyba tylko utworzenie ochronki dla dzieci przy rzymskim Świętym Aniele, po jego śmierci powierzonej opiece jego córki Lucii.

Chuaquet zapisał nazwę i adres ochronki.

Dominik Profuturus był opatem dominikanów, związanym ze szkołą w Chartres. Jego imię pojawiało się w rejestrach nominacji zakonnych. Ostatnio skierowano go do Sainte-Lucie pod Ostią.

Jeśli idzie o Auresa de Brayac, to zgodnie z informacjami matki przełożonej kierował od roku 1274 kancelarią laterańską i używał imienia Artemidor. Znacząca pozycja polityczna tego człowieka wykluczała ujawnianie jakichkolwiek dotyczących go informacji.

Chuaquet zanotował kilka szczegółów, następnie zaś odstawił księgi na miejsce i opuścił bibliotekę.

13

W zadziwiających słowach starego komedianta na temat roli Jezusa nie pobrzmiwała ani nutka pychy, ani arogancja... Raczej gorycz.

- To ja zagrałem Chrystusa. Tę rolę powierzano mi już wcześniej - opowiadał aktor. - Los mi sprzyjał, obdarzywszy twarzą podobną do wyobrażenia Syna na kościelnych płótnach i krzyżach. Dzięki temu moja kariera zaczęła się od wielkich misterii prezentowanych na Wielkanoc w Bazylei i Rawennie...

Henno Gui musiał przyznać, że nawet teraz poryta zmarszczkami i pobladła, pociągła twarz starca o wystających kościach policzkowych przypomina oblicze znane z obrazów w każdym kościele.

Starzec ciężko westchnął. Przymknął oczy.

- To była wspaniała scena, zapewniam was - podjął. - Niepowtarzalna. Tu, wokół polany, płonęły potężne ognie...

- Ognie? - zapytał Henno Gui, którego ta historia coraz bardziej intrygowała. - Jakie ognie?

Mężczyzna otworzył oczy i wskazał siedem drzew.

- Wybrali duże, mocne drzewa. Podpalili siedem gałęzi każdego z nich. Po siedem. To było wspaniałe...

- Siedem drzew? I siedem gałęzi?... - powtarzał proboszcz. - Jak świeczniki Apokalipsy?

Stary człowiek spojrział na niego, uśmiechając się. Po raz pierwszy patrzył księdzu prosto w oczy.

- Ojczy, wszak my odegraliśmy tu Apokalipsę świętego Jana...

Henno Gui nie przypominał sobie, żeby jakiegokolwiek wyznanie zrobiło na nim podobne wrażenie. Ze zdumienia nie był w stanie wydobyć głosu.

14

W godzinę po wyjściu z biblioteki na Watykanie Chuaquet zapukał do drzwi ochronki matki Anny, opiekującej się sierotami z zamku Świętego Anioła. Przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem. Poprosił o rozmowę z przełożoną, Lucią de Malaparte. Czekał długo. Wreszcie stanął przed kobietą o łagodnej i uczciwej twarzy, znacznie młodszą, niż sądził.

- W czym mogę pomóc, panie? - zapytała.

- Przyszedłem, aby zadać kilka pytań dotyczących twego ojca, pani. Mój dawny mistrz pracował dla niego.

- Doprawdy? Jak się nazywa?

- Romee de Haquin. Pomagał mesire Malapartemu podczas prac komisji papieskiej w roku tysiąc dwieście trzydziestym pierwszym, w sprawie Arystotelesa.

- To nazwisko nie jest mi znane.

- Wiem jednak, że mój mistrz przez wiele lat pozostawał w służbie pani ojca, także po zakończeniu prac komisji.

- Doskonale znam działalność mego ojca. Nie przypominam sobie nazwiska Haquin.

Chuaquet zdawał się nie martwić słabą pamięcią czy niewiedzą kobiety.

- Czy ojciec pozostał w Rzymie po porażce komisji?

- Tak. Wraz z matką założył tę ochronkę.

- Czy jednocześnie poświęcał się także innej działalności?

- Nie, panie. Proponowano mu znaczące stanowiska w wielu krajach, lecz odmawiał. Ojciec był całym sercem oddany sierocińcowi.

- I nie są pani znane inne powody, które skłoniły go do pozostania w Rzymie?

- Panie, powiedziałam już, że przyczyną była ochronka matki Anny.

- Cóż...

Chuaquet nie wyglądał na przekonanego.

- Ojciec nigdy nie sprzeciwiał się decyzji papieża o rozwiązaniu komisji?

- Nie.

- Mniemam, iż przyjął ją z godnością i zawsze publicznie okazywał lojalność wobec głowy Kościoła.

- Tak, panie - odparła.

- Zdajesz się jednak nie wiedzieć, pani, że rankiem, w dniu podjęcia przez papieża tej decyzji, komisja podjęła pracę, lecz potajemnie. Wszyscy, którzy wierzyli w poglądy Arystotelesa, skupili się wokół twego ojca i, lekceważąc zakazy kościelne, zgłębiali myśli tego filozofa. Wkrótce zgromadzenie przekształciło się w tajne stowarzyszenie. Jego członkowie badali naturę człowieka i przyrodę zgodnie z nowymi zasadami, to znaczy - nie bacząc na dogmaty.

- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo - rzekła twardo Lucia.

- Ma pani do tego prawo. Powinna pani jednak wiedzieć, że jej ojciec stał na czele tej tajnej kongregacji aż do śmierci w roku tysiąc dwieście sześćdziesiątym szóstym, ja zaś mam powody uważać, że stowarzyszenie istnieje do dziś, że jest potężniejsze niż kiedykolwiek, a papież nadal o niczym nie wie.

- Potrafisz tego dowiedzieć, panie?

- Dowody, które posiadam, nie są twoją sprawą, pani.

- Po cóż zatem rozmawiasz ze mną? Czego chcesz się dowiedzieć, opowiadając mi o tym?

- Jesteś pani osobą szanowaną i znaną w wyższych kręgach. Proszę jedynie, abyś zechciała zainteresować się tym, o czym ci powiedziałem, i abyś nie wahała się zadawać pytań możliwych, z którymi się spotykasz. Wierzę, iż otwarcie poruszając tę kwestię, rychło dowiesz się więcej, niż ja wiem...

- Gdybym podjęła takie rozmowy, panie, wymienię twoje nazwisko.

- Uczyń tak, pani. Nazywam się Anzelm de Troyes, lecz nazwisko, które będzie ci pomocne, to Romee de Haquin, mój dawny mistrz. Zapamiętaj - Haquin...

15

Na wzgórzu nad polaną aktor snuł swą opowieść. Trupa skupiła się wokół niego. Komedianci również po raz pierwszy słuchali tej historii.

- Apokalipsa... scena, jakiej nikt nigdy nie widział...

Mówił słabym głosem, jak dawno temu zaangażowano jego i ówczesną małą trupę, aby odegrali całą tę długą scenę z ostatniej księgi Ewangelii. Jego chlebodawcy zdawali się od lat pracować nad tym przedstawieniem.



Nie oszczędzono środków na to przedsięwzięcie. Analizowano każdy wers świętego Jana i interpretowano go wizualnie. Stosowano ruchome dekoracje, fantastyczne kostiumy, różne sztuczki... Efekt był prawdziwszy od rzeczywistości.

- Ale po co? - przerwał Henno Gui. - Wszak ta scena jest straszliwym bluźnierstwem! Jak można było godzić się na występ?

- Wyjaśniono nam, że to eksperyment, który ma dla religii ogromne znaczenie - odparł komediant. - Jeśli idzie o mnie, przybyłem z trupą na miejsce w ostatniej chwili. Nie widziałem przygotowań ani nie byłem świadom, w jakim zmierzają kierunku. Kardynałowie odpowiedzialni za misteria nie tłumaczyli nam, jakie są ich zamiary.

- Kardynałowie?! - wykrzyknął proboszcz.

- Tak. Było ich kilku, towarzyszyli im uczeni teologowie - potwierdził.

Zapadło milczenie. Nikt nie śmiał przerwać ciszy.

Henno Gui poblądł.

Starzec wciąż spoglądał na polanę. Przed jego wyblakłymi oczyma przewijały się wspomnienia, na myśl o tamtych zdarzeniach serce biło mocniej i szybciej.

- Tak... To na pewno tu...

I wskazał polankę, na której wciąż klęczała Mabel.

- Przypominam sobie... Na łące zebrała się cała wioska... Właśnie w tę gromadę ludzi wpadli nasi czterej Jeźdźcy Apokalipsy na wspaniałych koniach, w piekielnych zbrojach... a potem pojawił się ten drobny proboszcz... tak, już wiem, to był proboszcz ze wsi...

- Proboszcz? - zapytał Henno Gui. - Wśród wieśniaków był proboszcz?

- Tak... dziwny człeczyna...

Wypowiedziawszy te słowa, komediant uniósł rękę i dotknął nią lewej piersi, jakby ktoś zadał mu cios. Jego twarz stężała. Znow zasłabł. Młoda komediantka wsparła go i niemal zaniósła na wymoszczony słomą wóz.

- Musimy przewieźć go do wsi - powiedziała. - Trzeba mu wytchnienia.

- Nawet o tym nie myślcie - odparł Henno Gui. - Idźcie za mną, wiem, gdzie można go tymczasem umieścić.

Wraz z Mabel, która ledwie doszła do siebie po szoku, zaprowadził całą trupę do parowu, który służył wieśniakom jako kryjówka. Śnieg stopniał, lecz dno krateru wciąż było dobrze osłonięte - trawy i mchy porastały ściany, do tej pory maskowane bielą śniegu.

Wejście do kryjówki rozbudziło w starcu kolejne wspomnienia.

- I tu także nic się nie zmieniło... - wyszeptał. - Właśnie tu poczyniliśmy wszelkie przygotowania...

- Tutaj? - zapytał Henno Gui. - Kto wam towarzyszył? Straże, wojsko?

- Nie - odparł komediant. - Tylko mnisi. Wielu mnichów... I psy... tak... przypominam sobie...

Proboszcz nie zdołał wyciągnąć nic więcej z aktora. Starzec był zbyt osłabiony, ledwie mówił. Komedianci podziękowali Hennowi i poczęli wnosić skrzynie do szałasów, potem zabrali się do gotowania stawy. Kapłan nakazał im nie opuszczać tego miejsca pod żadnym pozorem i wraz z Mabel wrócił do Heurteloup. Ją także zobowiązał do zachowania tajemnicy. O tym, co się wydarzyło, nikt nie mógł się dowiedzieć.

W drodze powrotnej Henno Gui myślał o tej fortecy sekretów, której bramy po raz pierwszy się przed nim uchylły. Wspominał dziwne szkice znalezione w zmurszałej skrzyni, broń Tobiasza, podziemia, które budowano zapewne po to, żeby dały schronienie w razie nowej apokalipsy, Wielki Pożar, wierzenia mieszkańców moczarów, nowy świat i ocalałą ludność, która tak długo odgradzała się w Heurteloup od reszty świata, dusze na zawsze naznaczone widokiem końca świata... Teatralnej apokalipsy!...

Wiele spraw widział teraz w nowym, lecz jakże niepokojącym świetle. Kardynałowie z Rzymu mieli swój udział w tragedii wioski zapomnianej przez ludzi... Zapomnianej celowo. Cóż wobec tych faktów znaczyła śmierć biskupa Haquina? Czy morderstwo miało związek z tą sprawą, czy miało posłużyć ukryciu przerażającej tajemnicy, której zgłębienia Haquin był już bliski? A skoro biskup przypłacił życiem odnalezienie wioski, czy i on, Henno Gui, pozostając w tym miejscu, nie narażał się na śmierć?

16

Aymard du Grand-Cellier, Gilbert de Lorris i Dziękibogu wyruszyli z Gennanno, ale nie dotarli do Rzymu. W drodze dogonił ich posłaniec kancelarii laterańskiej, który przekazał im nowe instrukcje. Nie oczekiwano odpowiedzi. Cała trójka rozstała się z Drago Czanadem i komediantką Maud, aby co koń wyskoczył pędzić znów na północ.

W okolicach Porcii, małej wioski przy granicy z królestwem Francji i ziemiami Awinionu, czekał na nich liczący dwustu żołnierzy oddział - cały uzbrojony po zęby garnizon Falvella. Szybko i dyskretnie, aby nikt niepowołany tego nie zauważył, żołnierze wzniesli drewniany fort. Gilbert z radością powitał dawnych kompanów. Tuż po przybyciu zostali wyposażeni i uzbrojeni jak na wojnę. Aymard nałożył zbroję na białą sutannę. Rękawy i fałdy habitu wystawały spod metalu. Nie chciał pozwolić, aby osłonięte jego tonsurę hełmem.

Dowódca oddziału wyjaśnił, że celem wyprawy jest mała francuska parafia, gdzie grupa heretyków występuje przeciwko Rzymowi. Należy czym prędzej zlikwidować źródło zarazy. Żołnierz mówił o tej wyprawie jak o krucjacie, pragnąc zjednać przychylność obu mężczyzn.

Spośród dwustu żołnierzy z Falvelli wybrano do udziału w ekspedycji trzydziestu trzech najlepszych.

W trzy dni po przyjeździe Aymarda i jego kompanów do Porcii ustawieni trójkami żołnierze przekroczyli wczesnym rankiem granicę francuską i rozpoczęli marsz na diecezję Dra-guan.

Szlak, którym podążał oddział, wiódł bocznymi drogami... Wkrótce wszyscy pojęli, że jest to tajna wyprawa.

Dowódca postawił na czele oddziału Aymarda du Grand--Cellier.

17

Nazajutrz po spotkaniu z Lucią Malaparte Chuaquet wyjechał do Ostii. Przed wieczorem zatrzymał się u bram klasztoru Świętej Łucji, nieopodal miasteczka noszącego imię świętej. Brama stała otworem, nikt nie strzegł murów, klasztor zdawał się opuszczony. A jednak nie wyglądał na ruinę. Mury były jeszcze zdrowe. Chwasty porosły dziedziniec, cele i sale ogólne, lecz nadal wyczuwało się niedawną obecność ludzi. Nic nie wskazywało, aby przyczyną porzucenia siedziby były atak lub grabież. Chuaquet szukał w kościele i na tympanach inskrypcji, wszystkie jednak zostały zatarte. Przeniesiono nawet cmentarz.

Chuaquet zawrócił do miasteczka. Po drodze natknął się na starego wieśniaka i zapytał go o los mnichów.

- Jak dawno odeszli?

- Z osiem lat temu, panie - rzekł mężczyzna. , - Znacie może opata ojca Profuturusa? Chłop pokręcił głową.

- Nikogo nie znamy. Zakonnicy wszystko trzymali w tajemnicy. Pierwszy raz widziałem takich mnichów... co nie czynią wokół ani dobra, ani zła...

- Co macie na myśli, ojczulku?

- Ano, kiedy w okolicy powstaje klasztor - wszyscy na tym zyskują. Braciszkowie dają pracę miejscowym rzemieślnikom, kupują nasze plony, dają chłopom zatrudnienie, obsiewają nowe pola, hodują bydło. A tu - nic. Nie mieliśmy żadnego kontaktu z mnichami. Wcale ich nie widywaliśmy. Nikt nigdy nie przekroczył furty tego klasztoru. Nawet proboszcz z Santa Lucia.

- Nie wiecie, dlaczego stąd odeszli? Chłop wzruszył ramionami.

- Tak jak nie wiem, po co tu przyszli! Odnowili klasztor w kilka miesięcy, posiedzieli dwa lata i już ich nie było! Od tej pory budynki stoją puste i żadna wspólnota się tu nie spieszy. Co za marnotrawstwo!

Chuaquet o nic już nie pytał. Przenocował w Santa Lucia i nazajutrz wrócił do Rzymu, aby zajrzeć do szkoły założonej przez Arthuisa de Beaune.

Zasięgnął języka, ale wśród doktorów i profesorów szkoły Arthuisa nie było. Chuaquet poprosił o rozmowę z Faramondem Młodszy, godnym uczniem mistrza i dyrektorem szkoły. Aby przyspieszyć spotkanie, Anzelm de Troyes przedstawił się jako szczodry dobroczyńca. Na widok kilku złotych monet natychmiast otwały się przed nim drzwi gabinetu Faramonda.

Chuaquet na początek wyraził podziw dla znamienitego twórcy szkoły.

- Jego sława obiegła świat — przyznał dyrektor. — Arthuis de Beaune zapisał się w dziejach ludzkości jako wspaniały uczonec, który każdym swym dziełem służy Panu Naszemu. To zaszczyt dla całego kolegium.

- Jego doświadczenie na skorpionach i pierścieniu ognia jest fascynujące.

- To pierwszy eksperyment, który kazał nam zastanowić się nad naturą zwierząt. Samobójstwo skorpiona. Zdumiewający czyn, jeśli uznać, iż tylko istota ludzka została obdarzona przez Boga świadomością, sumieniem i wolną wolą stanowienia o własnym życiu.

- Czy mistrz przeprowadził kiedyś podobne doświadczenie na człowieku?

Faramond udał, że nie pojmuje.

- Na człowieku?

- Tak. Te praktyki w laboratorium... Panie, nie wiesz, czy nigdy nie zapragnął wypróbować ich na istotach ludzkich? Człowiek stojący twarzą w twarz ze śmiercią, człowiek w obliczu pierwotnych lęków, człowiek a prawdy Ewangelii... Zdziwiający wynik doświadczenia na skorpionie musiał podsunąć mu wiele innych projektów o szerszym zakresie, prawda?

- Igraszki z ludzką świadomością byłyby bluźnierstwem! - obruszył się Faramond. - Arthuis de Beaune to człowiek wierzący, prawy chrześcijanin. Gdy wyniki jego badań naukowych kłócą się z moralnością albo wiarą, sam publicznie się ich wypiera.

- Hm... Ileż to lat ma dziś wasz mistrz?

- Wkrótce będzie obchodził osiemdziesiąte urodziny.

- Wspaniale! A gdzie można go znaleźć?

- Nasz mistrz dużo jeszcze pracuje. W szkole spędza tylko miesiąc w roku. Zawsze jest tu w czerwcu.

- A przez resztę roku?

- Tego nie wiem. Sądzymy, iż podróżuje po świecie lub może ma dom w spokojnej posiadłości, gdzie nikt nie przeszkadza mu w prowadzeniu badań.

- Co to za badania?

- Och, to wie tylko on - odparł dyrektor, uśmiechając się. - Przedstawi je w kolegium z nadejściem lata, jak co roku.

- Dobrze. Chuaquet wstał.

- A zatem wstrzymam się do czerwca z podjęciem decyzji o wsparciu waszej działalności - rzekł. - Dziękuję za wyjaśnienia.

Nieco zawiedziony, dyrektor pożegnał dobroczyńcę, na którego wsparcie trzeba będzie poczekać.

Przez najbliższe dni Chuaquet porządkował informacje, które udało mu się zebrać w Rzymie.

Pewnej nocy najlepszym piórem napisał list, który tym razem sygnował prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

O brzasku wyszedł.

Zgłosił się do legacji francuskiej, która mieściła się w niewielkim budynku, gdzie znajdowały się także siedziby dyplomatów królewskich i kleru francuskiego. Ambasadą kierował od niedawna ojciec Merle, pulchny i łysawy dominikanin. Dzięki pełnionej funkcji człowiek ten wiedział wszystko o kontaktach Rzymu z Paryżem. Chuaquet poprosił go o audiencję.

- W czym mogę ci pomóc, synu? - zapytał zakonnik.

- Wiem, że stąd wysyłane są najpilniejsze depesze do Francji i że jest to najbezpieczniejsza droga.

- Być może.

- Pragnę przesłać list do arcybiskupstwa w Paryżu. Ojciec Merle uniósł brwi.

- Czy to pismo urzędowe?

- Nie, ojcze, prywatne. Chciałbym, aby trafiło do rąk własnych archiwisty Koryntyna Tau z arcybiskupstwa. Chuaquet położył list na biurku.

- Dobrze - rzekł zakonnik. - Znasz jednak zasady, panie - każdy list musi zostać otwarty i przeczytany, zanim opieczujemy go pieczęciami legacji.

Chuaquet wzruszył ramionami.

- Czyń, co nakazuje ci powinność, ojcze - rzekł obojętnie.

A potem, nawet nie patrząc na dominikanina, bez słowa opuścił gabinet. Dominikanina zdumiała tak wielka arogancja. Złamał pieczęć i zaczął czytać. Już po pierwszych zdaniach zamarł wobec mnogości wielkiej wagi informacji przekazywanych Koryntynowi Tau. Autor listu oznajmiał, że wkrótce ujawni je...

289

Merle odwrócił kartę i spojrzał na nazwisko pod listem. Natychmiast wybiegł z gabinetu. Na ulicy rozglądał się przez chwilę, ale Chuaquet wtopił się w tłum przechodniów.

Młody Floris de Meung już dawno opuścił Heurteloup.

Wysłuchawszy wyznań starego komedianta, Henno Gui postanowił odesłać go do Draguan, aby powiadomił o wszystkim wikariusza Chuaqueta i nakłonił go do przybycia do wioski.

Floris skorzystał z okazji i zabrał węzełek z osobistymi rzeczami Premierfaita, aby je oddać żonie.

Henno Gui dał mu swe astronomiczne notatki poczynione w drodze z Draguan. Miały mu służyć jako wskazówka i doprowadzić do miasta.

Floris przemierzył trzy lasy i trzy doliny, które dzieliły Heurteloup od Draguan. Dotarł do miasta po pięciu dniach wędrówki.

Pytał o Chuaqueta, ale powiedziano mu, że wikariusz nie powrócił do biskupstwa. Nikt nie miał o nim wieści, zapewne wkrótce ktoś zastąpi go w biskupstwie.

Gdy zapytał o dom zakrystiana, wskazano mu chatę o płaskim dachu - tę samą, którą odwiedził Henno Gui. Floris ze zdumieniem stwierdził, że wdowa po Premierfaicie doskonale zniosła tajemnicze zniknięcie małżonka - zdażyła poślubić nowego zakrystiana! Właśnie złorzeczyła mężowi, stojąc w progu domu. Floris nie miał odwagi przerwać tej rodzinnej utarczki i wycofał się chyłkiem.

I właśnie wtedy, w poprzecznej uliczce, natknął się na dwie dziwne postacie, które patrzyły mu prosto w oczy, gdy się zbliżał. Chłopaka niemal przeraziło ich nagłe pojawienie się. Były to dwie dziewczynki. Stały ramię przy ramieniu, nieruchome, jakby czekały na Florisa.

- Dzień dobry - zagadnął.

- Dzień dobry - odpowiedziała starsza. - Czekaliśmy na ciebie.

Dziewczynki przedstawiły mu się. Jedna miała na imię Wilhelmina, druga Kretienotka.

Floris uśmiechnął się do nich.

- Na mnie? - zapytał zdziwiony. - Któż powiedział wam, że tu przyjdę?

Teraz uśmiech pojawił się na twarzy Wilhelminy.

- Te same błękitnawe istoty, które i ty widzisz w lesie. Ale ty nie słyszysz, co mówią...

Floris osłupiał. Zjawy? Dziwne boginki, które widywał, odkąd przybył do tej krainy? Czy to o nich mówiła ta dziewczynka?

- Choć nie poruszają ustami, nie są nieme - podjęła Wilhelmina. - Ich głosy są słyszalne dla tych, którzy potrafią słuchać, oto cała tajemnica.

W bezwiednym odruchu Floris wyciągnął rękę i musnął czoło dziewczynki, jakby chciał się upewnić, że jest prawdziwa.

- Ale... kim one są? - zapytał wzburzony. - Czy wy to wiecie?

Dziewczynki wzruszyły ramionami. Mała Kretienotka patrzyła na niego w milczeniu. Odpowiadała zawsze starsza.

- Nikt już nie wie, kim są. Pojawiają się w lesie od dawien dawna. Ludzie zastąpili je bogami, którzy przemawiają z pergaminu i których czczą, wcale ich nie znając... Niewielu z nas cieszy się jeszcze tą łaską, iż może oglądać boginki dawnych czasów. Pojawiają się, aby pomóc tym, których wybrały.

- Pomóc? - powtórzył Floris. Wilhelmina wskazała swą przyjaciółkę.

- Tylko Kretienotka widzi je i słyszy. Odkąd zaniemówiła. Chciały cię ostrzec, ale ty myślałeś, że to tylko zwidy! Floris pomyślał o Księdze snów.

- Ostrzec? - powtórzył. - Przed czym?

- To wiesz tylko ty - przemówiła niespodziewanie Kretienotka Paquin. - Otwórz szeroko oczy. Patrz uważnie.

Dziewczynki odeszły, śmiejąc się cichutko.

Floris przez długie minuty stał, nie ruszając się z miejsca. Zbiór Daniela nie kłamał. Coś się szykowało... Gdzieś czyhało ogromne zagrożenie... Nie miał wątpliwości, że spadnie ono na wioskę, w której Henno Gui... Może nawet teraz, pod jego nieobecność...

Floris odszedł szybkim krokiem. Był zasepiony. Rzucił tobolek pod drzwi wdowiej chaty i nie zatrzymując się, opuścił miasto.

Ze zwieszoną głową mijał krzyżówkę dróg do Domines i Befayt i stojącą przy niej kapliczkę z małą kamienną Madonną. Jak przewidywali, z nadejściem roztopów figurka znowu się rozpadła...

Gdyby w tej chwili Floris uważnie się rozejrzył, zauważyłby po lewej stronie, na drodze z Befayt, ciemną chmurę, która sunęła po ziemi.

Do Draguan nadciągali żołnierze Jorge Ai i oddział Aymarda.

Ale uczeń, pogrążony w rozmyślaniach o bliskim nieszczęściu, wybrał inną drogę. I niczego nie spostrzegł.

19

Henno Gui usiłował odtworzyć w myśli wszystkie elementy upozorowanej Apokalipsy i jej konsekwencje.

Odosobnienie wioski Heurteloup wynikało, rzecz jasna, z przyczyn naturalnych - teren był podmokły, bagienny, potem przyszły dwie epidemie dżumy, które na dobre odcięły osadę od świata, wreszcie pogłębiła je zbrodnia i na koniec oszustwo kleru.

Cała ta historia mogłaby pójść w zapomnienie, gdyby minionego roku pewien rycerz z dwójką dzieci nie zabłąkał się w te strony i gdyby miejscowa ludność nie uznała, że to demony, i nie cisnęła ich ciał do rzeki...

Książd próbował wydobyć więcej informacji od starego komedianta, który pozostał wraz ze swą trupą w kryjówce, ale nie udało mu się.

Mężczyzna konał, cierpiąc z powodu wyimaginowanej rany w boku, bez reszty pogrążony w świecie własnych myśli.

Jedyną osobą w wiosce, z którą Henno Gui odważył się podzielić swymi odkryciami, był Set. Okazał się dość bystry, aby wysłuchać tak dziwacznej opowieści, w żadnej mierze nieprzystającej do jego wyobrażeń historycznych i religijnych.

Ksiądz wyjaśnił mu, jak oszukano dawnych mieszkańców Heurteloup, w jaki sposób wmówiono im, że nadszedł koniec świata. Czy ludzie ci zdemaskowali mistyfikację? A może uwierzyli w ponurą komedię, którą przed nimi odegrano? Tego Henno Gui nie wiedział. Był jednak przekonany, iż inscenizacja tak wstrząsnęła społecznością, że nie mogła pozostać obojętna... Ogromna część ich obecnych wierzeń, wizja świata, słowa, które przekazali im przodkowie, dziwne obrzędy - wszystko to zrodziło się w wyniku tego potwornego wydarzenia.

Set słuchał, jak po omacku, dobierając słowa, tka całą tę kanwę faktów i domysłów. Przyznał, że wiele rzeczy się zgadza. Prawdziwa religia ich ojców rzeczywiście opierała się na założeniu, że świat nagle zmarł, a w sercu tego potwornego kresu tylko oni zdołali ocaleć, niczym wybrańcy bogów.

Set gotów był uwierzyć w opowieść proboszcza, przyznał jednak, że nie sposób przekazać tych informacji mieszkańcom wioski. Były zbyt brutalne, aby nie odrzucili ich ze wstrętem.

- Nie rozumiesz zatem, jakie konsekwencje może mieć dla was przeszłość?! - krzyknął Henno Gui. Set wzruszył ramionami.

- Cóż nam to da? - powiedział. - Twoje rewelacje wstrząsną umysłami, tak jak naszymi przodkami wstrząsnęła upozorowana Apokalipsa. Jeżeli to prawda... Czy tego chcemy? Nikt nie jest przygotowany na przyjęcie prawdy... Niechaj zatem ta prawda jeszcze trochę poczeka. Przecież, drogi przyjacielu, nikomu tu nie zawadzamy...

Henno Gui nie odpowiedział, ale Setowi nie udało się go przekonać. ;

;  
20

U bram Draguan, w szczerym polu, oddział pod dowództwem Aymarda du Grand-Cellier dołączył do wojsk Jorge Ai, nadciągających z Passier. W sumie do Draguan przybyło pięćdziesięciu ludzi.

Biskup Aja powitał Aymarda i Gilberta de Lorris, gdy ci zsiadali z koni. Poinformował ich o celu wyprawy na wioskę, przedstawiając uciekinierów z Heurteloup jako groźnych heretyków. Wiele szczegółów, jak na przykład bezczeszczenie krzyża, zmyślił. Przypisał mieszkańcom mord na trojgu niewinnych ludziach i śmierć Haquina. Jego opowieść wywarła na mężczyznach silne wrażenie. Chęć okazania posłuchu była w Aymardzie



tak silna jak wówczas, gdy urobił go Drona, Gilbert zaś był na tyle młody, że bezkrytycznie odnosił się do rozkazów, i aż palił się do walki.

Aja miał ukrytą w rękawicy szczegółową mapę Heurteloup i okolic, z zaznaczonymi kryjówkami. Była mocno sfatygowana...

21

W Rzymie brat Chuaquet pracował w swej celi, wciąż incognito. Gościł w klasztorze Świętej Scholastyki. Uzupełniał manuskrypt, którego oryginał pozostał w Troyes, pod opieką matki Dany.

Tego kwietniowego ranka jego pióro skrzypiało po szorstkim pergaminie, gdy ktoś cicho zapukał do drzwi. Zakonnik powiedział: „Wejść” i nawet nie podniósł głowy znad karty. Podczas pobytu u sióstr usługiwał mu młody oblat z pobliskiego klasztoru. Zakonnice nie mogły spotykać się z mężczyznami, matka przełożona poprosiła więc o pomoc męską kongregację.

Małe drewniane drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Chuaquet podniósł głowę, nie słysząc odgłosu stukających na posadzce drewniaków oblata ani szczęku naczyń, które co rano przynosił.

- Prowadzisz bardzo niebezpieczną grę, bracie Chuaquet - usłyszał dźwięczny głos za swoimi plecami.

Wikariusz z Draguan natychmiast się odwrócił i stanął twarzą w twarz z czterema mężczyznami. Trzej z nich ubrani byli w brązowe franciszkańskie burki, przewiązane w pasie grubym sznurem. Natknął się na nich Enguerran du Grand-Cellier i oni też zaprowadzili ojca Merle do kancelarii Bazana. Ci trzej franciszkanie byli najbardziej wpływowymi doradcami papieża. Lud, który zawsze wytropił każdą postać sceny politycznej, nazwał ich Trójcą Marcina. Nazywali się Fogell, Choble i Bydu.

Nieco na uboczu trzymał się Koryntyn Tau, archiwista z Paryża. Na jego widok Chuaquet począł gotować się do ucieczki lub walki.

- Nie obawiaj się, bracie - powiedział Fogell. - Przybyliśmy, aby ci pomóc.

Chuaquet zamknął manuskrypt i ukrył go za plecami.

- Pracujemy dla papieża Marcina i wyłącznie dla niego - perswadował cierpliwie franciszkanin. - Nie mamy nic wspólnego z ludźmi, którymi interesował się twój przełożony, biskup Haquin.

Chuaquet posepnie spojrział na Koryntyna Tau, który nieśmiało wszedł do celi.

- Dowiedziałem się, co ci się przytrafiło w Paryżu po naszym spotkaniu, bracie. Jestem zwyczajnym archiwistą, nie miałem pojęcia, że skrybowie śledzili każdy mój gest, słuchali każdego słowa. Nasza rozmowa o Draguan stała się przyczyną wszystkich twoich nieszczęść. Podążyli

twoim tropem i odnaleźli ciebie i mego strażnika. Szczęśliwie w oberży Pod Białym Sokołem... zamiast ciebie zginął zbój przebrany za mnicha. Lecz ja sądziłem, że wpadłeś w ręce tych zbirów, dlatego zwróciłem się do sierżanta i podałem mu twój rysopis. Nasz informator, Dionizy Lenfant, przypadkiem natrafił na twój ślad. Chłopaczyna nie miał pojęcia, kim jesteś, i nic nie wiedział o spisku, który przeciwko tobie uknuto. Zdołał powiadomić mnie o twoim pobycie w Troyes dopiero u schyłku zimy. Natychmiast się tam udałem, ty jednak zdążyłeś uciec.

- Podążaliśmy za tobą od dawna - podjął Fogell. - Wiemy, że byłeś w Santa Lucia i szukałeś Profuturusa. Niestety, watykańskie rejestry nie są wiarogodne: obecnie znalazłbyś go na drugim krańcu Italii, nad brzegiem Adriatyku, gdzie ma swą sekretną rezydencję. Wiemy również, że spotkałeś się z Lucią Malaparte. Twoje słowa okrutnie nią wstrząsnęły, trzeba było wielkiej cierpliwości, żeby ją uspokoić, nie wyjawiając zbyt wielu faktów. Miałaś jednak rację. Komisja z roku tysiąc dwieście trzydziestego pierwszego dała początek tragediom, które dotknęły diecezję Draguan, a jej ojciec istotnie kierował tajną organizacją aż do śmierci.

- Pracujemy nad tą sprawą, odkąd na papieskim stolcu zasiada Marcin Czwarty - dodał Choble. - Podczas ostatniego konklawe, przed jego elekcją, nasz papież konkurował z kardynałem Riccim, popieranym przez koalicję, która za wszelką cenę chciała zachować anonimowość. Obwołany papieżem, Marcin chciał poznać imiona swych anonimowych przeciwników, aby uwzględnić te dane w swej polityce. Dlatego wezwał nas do Lateranu i powierzył tę sprawę. Tak zaczęło się śledztwo, które prowadzimy. Z pokorą przyznajemy, że długo było bezowocne. Lecz twoje odkrycia, a także informacje Korynty-na Tau wiele wniosły do tej sprawy i bardzo nam pomogły. Twój list okazał się wspaniałą przynętą.

- Mój list? - zdziwił się Chuaquet. - Jaki list? Archiwista uśmiechnął się.

- Ten, który zabrałem ci w moim gabinecie - rzekł. - List Haquina, nie wiedzieć czemu wysłany z Rzymu... Fogell podjął:

- Od Haquina dotarliśmy do Malapartego, a od Malaparte-go - tu. Wiele ci zawdzięczamy, bracie Chuaquet.

Franciszkanin Bydu wyjął spod habitu gruby zwój dokumentów przewiązany konopnym sznurkiem. Chuaquet rozpoznał rękopis, który powierzył matce przełożonej zakonu Sióstr od Marty w Troyes, ten, w którym zapisał wyznania Esklarmondy dotyczące jej brata.

- Jak widzisz, nie jesteśmy kłamcami. Matka Dana służy tylko papieżowi. Nie oddałyby tych cennych zapisków ludziom, którym nie ufa.

- Co zamierzacie zrobić z tym listem? - zapytał Chuaquet.

- Napisałeś go własnoręcznie. Musisz się pod nim podpisać, abyśmy mogli wciągnąć go do dokumentacji i wykorzystać.

- Dlaczego ja? Przecież lada oficer może sygnować ten list.

- Tak, ale nam to nie wystarczy. Ten dokument zostanie przedstawiony wyłącznie Ojcu Świętemu. Marcin zechce poznać jego autora, nie należy bowiem do ludzi skłonnych bezkrytycznie wierzyć w słowo pisane. Żeby go przekonać o prawdziwości tych faktów, będziesz musiał przed nim stanąć i pod tajemnicą spowiedzi odpowiedzieć na pytania. Jak sam powiedziałeś, mamy ludzi skłonnych sygnować ten list dla dobra naszej sprawy, lecz żaden z nich nie byłby zdolny kłamać pod okiem Boga biskupowi Rzymu.

- Jeżeli to uczynię, dostanę tych, którzy zabili mojego biskupa?

- Zapewne tak.

- Czy może się to obrócić przeciwko mnie? Franciszkanie wymienili spojrzenia, nieco zakłopotani.

- Trudno wykluczyć taką ewentualność - rzekł Fogell. -Będę z tobą szczery: nikt z nas nie będzie bezpieczny, dopóki sprawcy nie zostaną osądzeni. Gdyby się okazało, że nasze dowody są niewystarczające, a przeciwnik zwietrzy zagrożenie i dowie się, o czym wiemy, to zanim zdążymy podjąć jakieś działania, zawiśnie nad nami poważne niebezpieczeństwo.

- Kiedy mogę stanąć przed papieżem?

- Niezwłocznie.

22

Stary Enguerran du Grand-Cellier kroczył drogą pokuty. Mimo przestróg małżonki postanowił dotrzymać przysięgi, jaką złożył w laterańskiej kancelarii Artemidora. Zabrał list Jorge Ai i udał się w drogę do pięciu majątków, które miał w tajemnicy nabyć dla Kościoła rzymskiego. Podczas każdej rozmowy brzmiały mu w uszach wieszczce słowa małżonki: „Zdradzasz swego króla!”. Ale Enguerran myślał o Krzyżu Tunezyjskim, pozostawionym w rękach ludzi z Rzymu. Nie mógł się już wycofać.

Wypełniwszy misję, powrócił przygnębiony do Mondlliers. Ostatnie miesiące strudziły go bardziej niż dwie zakończone klęską krucjaty u boku Ludwika. Z wiekiem coraz gorzej znosił podróże. Powrócił do domu jako człowiek stojący już jedną nogą w grobie. Krążyła nad nim śmierć, nie tylko fizyczna, ale i moralna. Enguerran musiał angażować swe dobre imię i sławę, aby zawrotnymi sumami nakłonić seniorów do sprzedania mu ziem, po których mogłyby wtargnąć do kraju italskie kohorty. Wypełnił zadanie. Wiedział, że teraz musi stawić czoło innym trudom, poddając się

śledztwu króla Francji. Przyszłość Lazurowego Rycerza malowała się w czarnych barwach. Nie mógł uzasadnić wszystkich swych zakupów. Enguerran du Grand-Cellier był tak przygnębiony, że brakło mu nawet sił, by przeklinać syna, którego postęпки pograżyły i jego...

Ilzonda powitała powracającego do zamku męża i podała mu puzderko. Enguerran poznał pieczęcie kancelarii rzymskiej. Znużony, przełamując niechęć, postanowił zapoznać się z kolejnym pismem Artemidora.

I oto nagle oczy starego człowieka rozbłysły. Ilzonda także się uśmiechała. Na dnie małego kuferka Enguerran ujrzał klejnot swego Krzyża Tunezyjskiego oraz tarczę herbową, która towarzyszyła mu od dnia chrztu! Do przesyłki załączono list skreślony ręką kanclerza Artemidora.

Gratulował i dziękował Enguerranowi za nieocenioną pomoc, udzieloną papieżowi oraz światowej wspólnotie chrześcijan. Zwalniał go z przysięgi wiążącej z rzymską konfraternią. Kanclerz zapewniał także, iż w każdej chwili udzieli mu wsparcia. Powiadomiono go o podejrzaniach i śledztwie prowadzonym przez Luwr. Dzięki pewnemu niepozornemu dokumentowi Artemidor rozwiązywał wszystkie problemy, z jakimi przyszłoby się zmierzyć staremu rycerzowi. Do własnoręcznie napisanego listu dołączał oficjalną umowę zawartą między Stolicą Apostolską a Enguerranem III du Grand-Cellier. Armia papieska nabywała w tej umowie wszystkie konie z jego stadniny, wyhodowane w ciągu piętnastu najbliższych lat. Du Grand-Cellier stawał się wyłącznym dostawcą rumaków dla stajni papieskich. Kontrakt, sprytnie antydatowany, opiewał na sumy w pełni pokrywające ogromne wydatki Lazurowego Rycerza i uwzględniał królewskie podatki, których uiszczenia domagał się Paryż. Ten wielkopański gest ratował honor Enguerrana.

Rycerz przeczytał kontrakt i uśmiechnął się, widząc złożony już pod nim własny podpis, opatrzony rodową pieczęcią. Falszerstwo było doskonałe, podpis i pieczęcie idealnie odtworzone...

Myśl starego człowieka pobiegła ku Artemidorowi. Za zimną maską kanclerza, za dystansem i bezwzględnością polityka poznawał Auresa de Brayac, przyjaciela z młodości, z lat spędzonych na Malcie, któremu po dwakroć ocalił życie.

Dziś Artemidor podarował przyjacielowi spokojny schyłek życia. Lazurowy Rycerz mógł czekać na śmierć w poczuciu godności krzyżowca z Tunisu, godności, której nigdy nie zatracił.

Spojrzał na małżonkę. W jego oczach nie było już znużenia. Miał dziwne, kojące przeczucie, że został oszczędzony, on jeden spośród wielu.

- Mamy to już za sobą - powiedział, tuląc do piersi Ilzondę. ,

Tymczasem w Rzymie Chuaquet w towarzystwie trzech franciszkanów przekraczał progi pałacu na Lateranie.

Przed rozmową z Ojcem Świętym wikariusz na powrót przywdział zakonne szaty i zabrał ze sobą gruby manuskrypt. Zaprowadzono go do prywatnej kaplicy papieża, gdzie samotnie oczekiwał na przybycie Marcina IV.

Był to mężczyzna około czterdziestki. Spoglądając na niego, można by pomyśleć, że jest łagodnym i dobrodusznym mnichem, który postanowił poświęcić się Bogu poprzez kontemplację. Ojciec Święty przywdział dziś swe najskromniejsze szaty - długą sutannę z surowego jedwabiu, a jako symbol władzy papieskiej jedynie przepiękny pektorał, i żadnych poza nim cennych atrybutów swej funkcji. Chcąc wysłuchać spowiedzi Chuaqueta, pojawił się w stroju zwykłego księdza.

W kaplicy nie było konfesjonału, toteż wikariusz musiał uklęknąć u stóp papieża i czynić wyznania w ostrym blasku dziesiątków świec, które oświetlały świątynię.

Po wstępnych formułach papież skierował rozmowę-spowiedź na sprawy poruszone w liście. Wikariusz z Draguan począł opowiadać o swym biskupie. Papież słuchał, przymknąwszy oczy.

Romee, syn Ponta de Haquin, wychowywał się wraz z braćmi i siostrą pod okiem matki w Troyes, z dala od zgiełku i zepsucia paryskiego dworu. Nabożna matka nie nakłaniała żadnego z synów do kariery rycerskiej - wszyscy zostali zakonnikami lub księżmi. Romee był najmłodszy i najzdolniejszy z braci. Po przyjęciu święceń diakona kontynuował naukę w najlepszych opactwach Europy. Odczuwał nienasycony głód wiedzy, jego lektury i studenckie notatki obejmowały dzieła autorów chrześcijańskich, teksty bogomiłów i szkoły chartryjskiej, a także irlandzkie pisma monastyczne... Takie wykształcenie mogłoby pogrążyć go w oczach inkwizytorów, gdyby stanął przed trybunałem... Jednak w roku 1230 poznał w Hiszpanii niejakiego Arthema Malaparte, człowieka wielkiego umysłu, starszego od Haquina i bardziej obeznanego ze światem. Tenże Malaparte wziął pod swe skrzydła młodego mola książkowego. Otworzył mu oczy na hierarchię nauk - od tych, które istniały od dawna, poprzez nowe, do których należało odnosić się z większą ostrożnością, po te wreszcie, które rozwijały się, często wyprzedzając swoją epokę, o których lepiej było wiele nie mówić.

Malaparte stał się mistrzem duchowym młodego Haquina. Zabrał go do Rzymu, dokąd został wezwany przez papieża, który powołał go do komisji badającej pisma Arystotelesa. Po głośnej porażce komisji obaj pozostali w

Rzymie, gdzie w tajemnicy kontynuowało działalność stowarzyszenie arystotelesowskie.

Pod kierunkiem Malapartego, przy wsparciu Romee de Haquina, prowadzono rozmaite eksperymenty. Bogactwo nieco chaotycznej wiedzy, jaką posiadał Haquin, przydało się w prowadzeniu badań. To on odszukał jedenaste wieczny tekst, w którym klerkowie odpowiadali na krytyki kierowane wobec prawd Ewangelii, podnoszące się w owych szczególnych latach, które nastąpiły po roku 1000 i 1033.

Apostoł Jan przepowiadał, iż koniec świata nastąpi w tysiąc lat po narodzinach Syna Bożego, lecz poza falą głodów i kilkoma konfliktami politycznymi nic się wówczas nie wydarzyło. Wielu teologów okazywało „rozczarowanie”, a nawet niepokój. Należało przywrócić wiarygodność owemu symbolicznemu tysiącleciu z Biblii, a najlepiej - raz na zawsze rozwikłać zagadkę pradawnego Janowego kalendarza. Tak właśnie uczyniono.

Znamienici doktorzy dowiedli, iż owych Tysiąc Lat oczekiwania na powrót Jezusa i Niebiańską Jeruzalem zaczyna się nie w dniu narodzin ani Męki Pańskiej, lecz z początkiem „panowania Syna”, czyli z chwilą oficjalnego powołania Kościoła Rzymskiego, co nastąpiło w roku 325, wraz ze sławetną donacją cesarza Konstantym. Władca ten postanowił u schyłku życia oddać chrześcijańskim biskupom Rzym, przekazać prawo samodzielnego zarządzania dobrami doczesnymi i pobierania podatków, czyniąc ich niezależnymi od władzy cesarskiej. Ta historyczna data wyznaczała narodziny Kościoła.

Tym w XI wieku klerkowie tłumaczyli, dlaczego nie nastąpił kataklizm zapowiadany na lata 1000 i 1033, a datę Sądu Ostatecznego przesuwali na rok 1325. Członkowie komisji z wielką powagą analizowali wnioski i ich bogatą argumentację. Prawdopodobieństwa nadejścia końca świata w zbliżającym się stuleciu nie należało lekceważyć. Natchnięci myślą Arystotelesa, postanowili przygotować się na taką ewentualność. Studia nad Pismem Świętym i Komentarzami już nie wystarczały - trzeba było poczynić dalsze kroki.

- Tak jak otoczyli skorpioną pierścieniem ognia, aby badać jego zachowanie i patrzeć, jak kona - mówił Chuaquet - tak postanowili wybrać wioskę, możliwie najbardziej odizolowaną od świata, i w ścisłej tajemnicy poddać ją Apokalipsie według świętego Jana.

Reakcje wieśniaków miały umożliwić głębsze zrozumienie zachowań chrześcijańskich mas, a przez to ewentualnie dokonanie zmian w ich kształceniu, aby lepiej przygotować ludzkość na ten dzień. Od planu upozorowania Apokalipsy wzięło swą nazwę tajne bractwo, które zajęło miejsce komisji - teraz nazywano je Konwentem Megiddo, od nazwy

biblijnego miasta, które miało paść ofiarą gniewu bożego w dniu Sądu Ostatecznego.

- Zadaniem Haquina było wyszukanie właściwego miejsca - ciągnął Chuaquet. - Przemierzył całą południową Francję. Aż roiło się tam od ognisk herezji, a w wiele miejsc trudno było dotrzeć z powodu wojny lub dżumy. Po dwóch latach poszukiwań i badań Haquin wybrał sześć miejscowości nadających się do przeprowadzenia eksperymentu na taką skalę. Przesłał wyniki do Rzymu, lecz w drodze powrotnej natknął się na jedno z owych bractw, które w tamtych czasach wędrowały po świecie, piętnując doczesne i duchowe wypaczenia kleru. Rozprawa o pysze i zaślepieniu uczonych wstrząsnęła nim do głębi. Wziął ją do siebie i nagle pojął ohydę czynu, któremu przygotowywał grunt. Zrozumiał, że odgrywając Apokalipsę, przypisują sobie Bogu należne prawo decyzji, a przede wszystkim łamią jeden z podstawowych nakazów: nie wodzić na pokuszenie.

Papież pokiwał głową, nie otwierając oczu.

- I właśnie wtedy Haquin postanowił odejść z Konwentu. Powiadomił o tym Malapartego, zapewniając go, że dotrzyma przysięgi, jaką złożył, i nigdy nie zdradzi tajemnic bractwa.

- Co robił potem?

- Przez dziesięć lat usiłował zapobiegać próbom przeprowadzenia eksperymentu. Wrócił do aktywnego życia na łonie Kościoła już jako biskup, którą to godność nadano mu w Rzymie. Kolejno prosił o kierowanie go do sześciu miejscowości, które sam wybrał. Za każdym razem udawało mu się zmusić ludzi Malapartego do zaniechania przygotowań i nie dopuścić do wybuchu skandalu. Obejmując szóste, ostatnie, biskupstwo Draguan, miał nadzieję, że osiągnął cel. Nigdzie nie ziściła się Apokalipsa. Gdyby Konwent obstawał przy zamiarze odegrania Apokalipsy z udziałem nieświadomych tego ludzi, musiałby znaleźć inną wioskę, której los nie obciążałby już jego sumienia. Przeżył tak trzydzieści lat w małym biskupstwie, spokojny i niemal szczęśliwy... Aż do dnia, kiedy z rzeki wyłowiono trzy ciała. Potem jego zakrystian odkrył istnienie trzynastej wsi na krańcach diecezji. Za czasów pracy dla Malapartego Haquin wybrał diecezję Draguan, nawet on jednak nie wiedział o zapomnianej przez świat wiosce. Wiadomość o wiosce, która wyłoniła się z nicości, była niczym cios w serce. Zrozumiał, że jego przezorne działania spełzły na niczym...

- Powiadasz, że eksperyment przeprowadzono w tej osadzie? - zapytał papież, otwierając nagle oczy.

- Jego Ekszelencja Haquin zapewne tak sądził - odparł Chuaquet.

- Lecz czy możemy tego dowieść? Czy my, dzisiaj, możemy to udowodnić? - nalegał.

- Nie wiem. Pewien młody ksiądz wyruszył tej zimy, aby zaopiekować się tamtejszymi wiernymi. On jeden zna odpowiedź.

- Dobrze. Mów dalej.

- Po odkryciu tej osady Haquin poczuł się zwolniony z przysięgi, którą złożył przed nieżyjącym od dawna mistrzem. Postanowił zwrócić się do przełożonych i pomóc w ujawnieniu prawdy. Zaniepokoił go brak reakcji na jego pisma. Musiał uciec się do intryg i działać dyskretnie. Chciał sprowadzić odpowiedniego kapłana, zdolnego udźwignąć ciężar zadania, które miałyby wziąć na swe barki. Romee Haquin czekał na tego chłopca z coraz większą niecierpliwością. On jednak przybył za późno. Zabójca nasłany przez Konwent wyprzedził go o kilka godzin i okrutnie zamordował biskupa Haquina, który stał się zbyt kłopotliwy...

Papież długo trwał w milczeniu. Historia Romee de Haquina pozwalała powiązać wszystkie rozproszone tropy oraz podejrzenia, które już od lat żywili trzej wierni mu franciszkanie. Trzeba było, aby prosty wiejski wikariusz, który zimą wyruszył w drogę, chcąc godnie pochować swego biskupa, pomógł w wydobyciu prawdy na jaw.

Marcin IV pobłogosławił mnicha, jak po zwyczajnej spowiedzi. Jego twarz zachowała wyraz spokoju i serdeczności. Chuaqueta zadziwiał ten ogrom opanowania i powściągliwości. Pomyślał o Henno Guim i ich rozmowie w Draguan.

- Dobrze uczyniłeś, synu - rzekł papież. - Bóg wysłuchał wszystkiego, co wyznałeś podczas spowiedzi świętej, i kocha cię za to.

Zamiast uczynić zwyczajowy znak krzyża i położyć rękę na ramieniu Chuaqueta Marcin IV nieoczekiwanie zdjął z szyi piękny krucyfiks i podarował go prostemu wikariuszowi. Chuaquet poczuł, że łzy napływają mu do oczu.

- Dziękuję - powiedział szczerze papież. Po chwili Chuaquet pozostał sam w papieskiej kaplicy.

24

Kanclerz Artemidor czekał, stojąc nieruchomo na tarasie Lateranu. Z tego wykładanego marmurowymi płytami dziedzińca, otoczonego balustradą wierną tradycjom antyku, rozciągała się niepowtarzalna panorama Rzymu. Kanclerz z kamienną twarzą przypatrywał się anonimowemu, kipiącemu życiu, które toczyło się u jego stóp. Dzień był piękny. Tylko na horyzoncie pojawiły się ciemniejsze, burzowe chmury. Słońce wręcz oślepiało. Kanclerz na króciutką chwilę zwrócił oczy na ognistą kulę. Przez długie sekundy miał przed oczyma świetliste kręgi, które powoli rozpląwały się nad dachami Rzymu.



Za jego plecami otworzyły się drzwi gabinetu. Fauvel de Bazan wszedł, niosąc pismo. Na twarzy sekretarza malowało się przerażenie. Podeszedł do zwierzchnika.

- Papież wie o wszystkim, Ekscelencjo. Kazał cię pilnie wezwać - powiedział ze ściśniętym gardłem.

- Dobrze.

Artemidor nawet się nie odwrócił.

- A zatem to już koniec? - szepnął diakon.

- Tak, Bazan. To koniec.

Dzwony katedry laterańskiej wybiły południe.

Kanclerz zmarszczył brwi.

- To będzie długi dzień.

Nie ruszał się. W oczach wciąż migotało mu czernią odbite światło słońca.

25

Wychodząc z papieskiej kaplicy, brat Chuaquet myślał już o drodze powrotnej do swej małej diecezji. Nie wiedział, jaka czeka go przyszłość, był jednak przekonany, że dobrze odegrał rolę, którą wyznaczył mu los.

Przed powrotem do klasztoru Świętej Scholastyki zakonnik przystanął na moście Grzegorza nad Tybrem, na wprost pełnego majestatu zamku Świętego Anioła. Legenda głosiła, że właśnie w tym miejscu pierwszy papież reformator, Grzegorz Wielki, doznał wizji - ukazał mu się chrześcijański rycerz, który stanął nad wieżą zamkową i wznosząc skrwawiony miecz, nakłaniał do ukarania skorumpowanego Kościoła szóstego stulecia i przywrócenia mu czystości pierwszych wieków. To objawienie stało się impulsem najgłębszego oczyszczenia świata chrześcijańskiego. Nowe zasady, nowi ludzie przywrócili Kościołowi pierwotny sens. Chuaquet rozmyślał przez chwilę nad tą odległą i symboliczną analogią między dwoma wiekami. Czy i on także, na miarę swych możliwości, pracował na rzecz oczyszczenia Kościoła z kilku choćby najbardziej odrażających sług?

W tej chwili wikariusz z Draguan, zapatrzony w wieżę Świętego Anioła, odniósł wrażenie, że i on, podobnie jak Grzegorz, ujrzał świetlistą postać z czerwonym mieczem.

Lecz ta wizja w niczym nie przypominała widzenia papieża, który żył w VI wieku...

Dwaj ludzie rzucili się na niego i wbili mu w brzuch długie sztylety. Chuaquet nie zdążył się nawet odwrócić, nie bronił się. Napastnicy unieśli go i przerzucili przez poręcz mostu Grzegorza. Wikariusz zniknął w mrocznych wodach Tybru.

Paryski archiwista, Koryntyn Tau, na czas pobytu w Rzymie zatrzymał się w legacji francuskiej. Kiedy spokojnie odpoczywał w swej celi, rzucili się na niego dwaj zakonnicy. Udusili go poduszką, na której leżał...

W tym samym czasie, w łaźni parowej w podziemiach budynku, ojciec Merle runął z poderżniętym gardłem na wilgotną marmurową posadzkę.

Trzej wierni Marcinowi franciszkanie uczestniczyli w południowym nabożeństwie. Celebrował je biskup Courtanes, zaufany człowiek papieża. W homilii mówił o wybaczeniu i nieustannym poszukiwaniu prawdy, świętym dążeniu, za które czeka nagroda na tamtym świecie. Gdy nadeszła pora aktu Łaski, kapłan podał trzem franciszkanom hostie przemienienia, „ciało Chrystusa”. Te trzy hostie były zatrute. Efekt był piorunujący. Pośród straszliwych konwulsji Fogell, Choble i Bydu skonali niemal w jednej chwili.

Marcin IV skupił się na modlitwie w swej prywatnej kaplicy, przygotowując się do starcia z Artemidorem. Chwile medytacji, gdy oddawał się Bogu, trwały na ogół zaledwie kilka minut.

Dziś jednak papież długo nie opuszczał kaplicy.

Ktoś zamienił wysokie białe świece. Smużki szarego dymu zatrwały papieża, gdy się modlił. Znalaziono go leżącego na posadzce. Ciało było już zimne.

Niewłócznie powiadomiony o tym fakcie, Artemidor polecił wszcząć śledztwo. Zwołał konklawe, aby wybrać nowego papieża.

26

Garnizon Jorge Ai niepostrzeżenie zajął pozycje na obrzeżach Heurteloup.

Przed odbudowanym wreszcie kościółkiem Henno Gui próbował uspokoić swego młodego ucznia. Powróciwszy przed dwoma dniami z Draguan, Floris nieustannie przepowiadał kataklizm i błagał swego nauczyciela, by czym prędzej opuścił wioskę.

Proboszcz nie chciał się na to zgodzić.

I właśnie gdy rozmawiali, w dali, w lesie, rozbrzmiał krzyk.

Henno Gui poderwał się na równe nogi. Krzyki dobiegały z kryjówki w parowie, gdzie zostawił komediantów.

Nagle deszcz płonących strzał spadł na wioskę. Ostrza trafiały w drewniane dachy, które zapalały się jak żagwie.

Potworny grzmot, niczym burza w trzewiach ziemi, wstrząsnął okolicą.

Wśród szczęku broni do Heurteloup wtargnęła horda jeźdźców.

W wąwozie walka była bezpardonowa. Zbrojni Jorge Ai, przy wsparciu oddziału Aymarda du Grand-Cellier, rozdzielili się na cztery grupy, mimo że do wymordowania komediantów wystarczyłaby jedna. Żołnierze na koniach wtargnęli do kryjówki na dnie parowu.

W szturmie uczestniczył Gilbert de Lorris. Tuląc głowę do karku rumaka, pędził naprzód. Nagle poczuł, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Był pewien, że gdzieś już widział człowieka, którego głowa spadła pod jego mieczem. Nagle młody żołnierz opuścił zbrojną rękę i rozejrzał się dookoła. Poznał te skrzynie, zwierzęta, oszalamiająco kolorowe stroje - to była trupa komediantów z oberży Romana! Zdławił krzyk. Ci ludzie nie byli przekłętymi heretykami, o których mu opowiadano. To pomyłka! Tragiczna pomyłka! Chciał, żeby ktoś go usłyszał, lecz cały oddział pędził i ciął na oślep. Pod naporem szturmujących żołnierzy Gilbert został wyrzucony z siodła. Runął między końskie kopyta i uciekających ludzi. Lekko oszołomiony, uniósł głowę i przez otwarte wejście do szałasów ujrzał dwie znajome twarze - starego aktora i dziewczyny, której uroda i słodycz zawróciły mu w głowie, kiedy zatrzymał się w oberży Romana.

Aby uniknąć stratowania, przeturlał się w kierunku szałasów. Dziewczyna wcisnęła się w kąt, za pryczę, na której leżał starzec. Uśmiechał się dziwnie i tak spokojnie, jakby nie słyszał bitewnej wrzawy. Nie żył.

Gdy Gilbert zdjął czarny hełm z głowy, dziewczyna poznała go. O parę kroków od nich ciosy padały coraz gęściej. Gilbert zobaczył, jak jego kompani podpalają rzeczy i ciała komediantów. Trup młodego Ptasznika, chłopca, który zatrzymał się przy trumnie biskupa, leżał pod końskimi kopytami, zwinięty jak tobołek. Nie wahając się dłużej, Gilbert dobył miecza i utorował sobie drogę, tnąc gałęzie, z których był spleciony szałas. Chwycił dziewczynę za rękę i nie zważając na protesty, wyciągnął ją z parowu.

Czterdziestu jeźdźców, którzy zaatakowali Heurteloup, wyłamywało drzwi i wdzierało się do chat z wyjątkową zaciekłością. Pośrodku wsi Henno ujrzał mnicha z ogromną pochodnią w ręce. Od jej płomienia podpalali gałęzie i mniejsze pochodnie, aby ciskać je na dachy chat. Tym mnichem był Aymard du Grand-Cellier. Na jego twarzy malowała się wściekłość, podsycana widokiem szalejącej wokół niego przemocy.

Żołnierze dokonywali rzezi. Opór wieśniaków na nic się nie zdał.

Wioska płonęła. Chaty waliły się jedna po drugiej. Największe po prostu zapadały się pod ziemię pośród potwornego trzasku.

Podziemne tunele waliły się pod ciężarem ruin. Wejścia do bocznych korytarzy zagradzały szczątki domostw i korzenie drzew. Wokół rozlegały się krzyki kobiet i dzieci. Lolek rzucił się w wir walki, by stanąć w obronie matki, ale padł, ugodzony włócznią w samo serce.

Nie było czasu na rozpacz ani próbę odwrócenia biegu wydarzeń. Henno Gui wpadł w tłum. Nad jego głową świstały strzały i kamienie.

Na polu bitwy postrach siał Tłusty Czwartek. Ogarnięty furia, ciał maczetą po końskich nogach, zwałął jeźdźców z siodła i dobijał ich, przebijając zbroje w miejscu, gdzie były najsłabsze. W pojedynkę rozprawił się z trzema napastnikami jednocześnie. Strzała, która ugodziła go poniżej lewego barku, tylko nieznacznie osłabiła jego ciosy. W ogniu walki nawet jej nie próbował wyrwać z rany. Wnet natknął się na godnego siebie przeciwnika. W pierwszej chwili olbrzym cofnął się na widok własnego sobowtóra, który wyłonił się z tumanów kurzu na polu bitewnym. Tłusty Czwartek stanął twarzą w twarz z Dziękibogu. Ten sam wzrost, niedźwiedzia postura, podobna, posępna i skryta twarz, no i przyrodzona siła. Wokół nich nagle wytworzyła się pustka. Walki trwały, ale to starcie zasługiwało na ustąpienie pola...

Mężczyźni runęli na siebie. To był straszliwy pojedynek. W końcu obaj odrzucili broń, by chwycić się za bary. Zwarli się i pierś w pierś tarzali się po ziemi, aż w końcu trudno było ich odróżnić. Wydawało się, że walka jest wyrównana, lecz strzała, która ugodziła Tłustego Czwartka, przechyliła szalę na stronę Dziękibogu. Dziękibogu chwycił ją i wcisnął głęboko w gardło przeciwnika. To perfidne posunięcie wyrwało z gardła olbrzyma bolesny okrzyk. Jego lewe ramię zdrętwiało, siłaczowi brakło tchu. Słabł. Mgła przesłoniła mu oczy. Przyklęknął i wtedy właśnie Dziękibogu zamachnął się, opuścił obosieczny topór i ściał głowę Tłustemu Czwartkowi. Zwycięzca nie miał czasu napawać się triumfem. Straszliwe uderzenie w skroń twardego jak skała obucha Agrykolusa powaliło go na ziemię o kilka kroków od Tłustego Czwartka.

Floris de Meung, podobnie jak jego mistrz oszołomiony tym nagłym i nieoczekiwanym atakiem, próbował uciec przed rzezią.. W pogoń za nim ruszyło dwóch uzbrojonych we włócznie jeźdźców. Chłopak popędził tam, gdzie las gęstniał. Prześladowcy zostawili konie, by tropić go pieszo. Floris kaleczył stopy i łydki, przeskakując błotniste kałuże i pędząc po obnażonych korzeniach. Dwukrotnie słyszał świst włóczni, która wbiła się w pień o kilka centymetrów od jego ucha. Żołnierze byli coraz bliżej. Chłopak był sam, bezbronny, nie miał nawet sztyletu, który pozostał w trzewiach żołnierza. Szczęk ostróg rozbrzmiewał tuż za jego plecami, coraz głośniejszy. I wówczas Floris dostrzegł delikatną, błękitną poświatę i wszystko nagle ucichło. Nie słyszał żadnych odgłosów za plecami. Nikt go nie gonił.

Chłopiec biegł jeszcze przez chwilę, zanim odważył się odwrócić. Żołnierze stali jak wryci, bez ruchu, oniemiaли z wrażenia, a może strachu. Floris uśmiechnął się. Od oprawców odgrodziły go tajemnicze driady, dziewczęta o zwiewnych kształtach, które już tak dobrze znał. Ich pojawienie się było równie nierzeczywiste jak poprzednio.

Żołnierze także widzieli boginki, które swymi przejrzystymi, delikatnymi ciałami zamknęły przed nimi drogę. Floris rozejrzał się wokół. Najważniejszej z boginek, tej, która do niego podeszła, nie było w gromadce powstrzymującej pościg. Chłopiec szukał jej wśród drzew. Pojawiła się nieopodal, na niewysokim wzniesieniu. Floris poznał ją po długich włosach, twarzyczce jak z masy perłowej i różowych ustach. Ten widok natychmiast go uspokoił. Panika zniknęła bez śladu, oddychał równo i spokojnie. Chciał podejść bliżej, ale zjawa rozłożyła ręce, jakby gotowała się zniknąć w poświacie. Jej obraz zmaćił się niczym tafla wody pod uderzeniem kamienia. Na jej miejscu pojawiła się inna postać, podobnego wzrostu, o włosach tej samej barwy... tylko jej pstra sukienka nie pasowała do nimfy. Wspięła się na pagórek i zajęła miejsce zjawy. Dziewczyna miała na sobie pozszywaną z kawałków kolorowych szmatek spódnicę. Rozglądała się na wszystkie strony, pełna życia, bardziej realna od tamtej.

Błękitna boginka uleciała.

Floris podszedł, zdumiony czarodziejskim ucieleśnieniem swych snów.

Dziewczyna patrzyła na Florisa, wystraszona, gotowa do ucieczki. Floris chciał ją zatrzymać, ale znowu usłyszał świst włóczni. Przeleciała nad jego głową i z ogromną siłą ugodziła w dziewczynę. Nie osunęła się niczym zjawa, lecz padła martwa na ziemię w kałuży krwi, która chlustała z jej brzucha. Dwa głosy splotły się w jednym okrzyku. Floris wbiegł na wzgórek. Przykucnął obok dziewczyny jednocześnie z Gilbertem. Obaj krzyczeli. Floris odwrócił się - driady zniknęły.

Pchani tym samym impulsem, Gilbert i Floris rzucili się na naddiegających żołnierzy Jorge Ai. Lorris miał miecz, Meung chwycił włócznię, która ugodziła komediantkę tak podobną do istoty z jego snów. Dwaj młodzieńcy roznieśli rycerzy Lateranu, których zapał bojowy osłabiło zdumienie wobec nieoczekiwanego przejścia Gilberta na stronę wroga.

Henno Gui wywijał pielgrzymim kosturem, rozdzielając ciosy. Torował sobie drogę, przebijając się przez oddział żołnierzy. Zdołał zwalić z koni wielu jeźdźców, niektórych ogłuszał, roztrzaskując ich hełmy. Kapłańskie szaty były mu tarczą. Żołnierze nie poważyli się zaatakować księdza. Uchylali się albo parowali ciosy, ale nie wdawali się z nim w walkę i nie chcieli go zranić. W ten sposób Henno Gui zdołał dotrzeć do niezwyklego mnicha-rycerza, który trzymał pochodnię, służąc ogniem innym walczącym. Aymard du Grand-Cellier przez cały ten czas siedział wyprostowany w siodle. Nawet nie osłonił hełmem głowy. Z głęboką pogardą spojrzął na zbliżającego się księdza. A Henno Gui nie tracił czasu

na próżne rozmowy, lecz natychmiast począł okładać kosturem konia i nogi Aymarda, by zrzucić go na ziemię.

Grand-Cellier uniósł głowę, cisnął pochodnię i obnażył miecz.

Dwaj słudzy Boga stoczyli walkę, której brutalność i gwałtowność oszałamiała. Drewniany kostur Henna dobrze odpierał ciosy miecza. Drzazgi latały nad głowami walczących niczym iskry. Choć Grand-Cellier był zaprawiony w boju i wypoczęty, proboszczowi sił dodawała desperacja. W każdy cios wkładał całą duszę, jakby nieznajomy z tonsurą uosabiał w jego oczach całe zło Kościoła, potworność wszystkich spisków, które zwróciły się przeciw Heurteloup i jego mieszkańcom.

Aymard się bronił. Miał przewagę - był lepiej uzbrojony.

Wierny kostur proboszcza, wciąż ścierając się na ostrzu miecza, robił się coraz cieńszy, aż wreszcie jego górna część odpadła. W dłoni Henna został tylko krótki kij z zaostrzonym jak u włóczni końcem. Aymard sądził, że rozbroił przeciwnika. Henno Gui zamachnął się i błyskawicznie wbił mu ostrze w gardło.

Aymard zwałił się na ziemię, dławiąc się własną krwią.

Po chwili Henna pojmało pięciu zbrojnych osiłków. Zawlekli go przed Jorge Aję. Proboszcz Heurteloup obrzucił pełnym nienawiści spojrzeniem biskupa wystrojonego jak kardynał w białe jedwabne rękawiczki, niestosowne w miejscu, gdzie płonęły chaty i ginęli ludzie.

Ciała poległych wieśniaków i komediantów zwalono na wielki stos. Henno Gui był świadkiem tego autodafe. Widział, jak płomienie pochłaniają wszystkich bohaterów jego opowieści: Lolka, Seta, Tobiasza, Mabel, Tłustego Czwartka, Agry-kolusa, resztę wieśniaków... Wraz z nimi spłonęły trupy żołnierzy Jorge Ai. Stos spowił gęsty, czarny dym. Ale Henno Gui nigdzie nie ujrzał żadnego boskiego oblicza, żadnego znaku, który Set mógłby zinterpretować, odprawiając swe ordalia...

Na koniec, kiedy ogień pochłoniął już wszystko, przysła kolej na niego.

Przywiązano go do wysokiego pala w białego w środek ogniska. Więzy, które go krępowały, szybko spłonęły. Zwykle tuż potem ciało osuwało się między rozpalone drwa. Ale nie dziś. Pośród czarnego dymu i iskiei Henro Gui stał wyprostowany jak wartownik...

I gdyby nie fakt, iż niemal nikt na świecie nie usłyszał nigdy o tych wydarzeniach, świadkowie skupieni wokół stosu mogliby z czystym sumieniem poświadczyć to, co następuje: ramiona palonego żywcem, oswobodzone z więzów, uniosły się powoli, rozłożyły w znak krzyża, a następnie splotły jak do modlitwy. Wszystko to działo się w morzu płomieni i pośród słupów dymu. Kiedy dłonie Henna zetknęły się, nastąpiła długa jak wieczność chwila, gdy wszystko zamarło... Ludzie patrzyli na niego, wstrzymując oddech.

Potem, jak strudzony człowiek, który poddaje się przeznaczeniu, ksiądz osunął się i zniknął w płomieniach.

Wioska Heurteloup została doszczętnie spalona. Potężna ściana ognia wzniesionego przez żołnierzy zmiotła wszystko, co pozostało po osławionych „przeklętych”, po zapomnianej przez Kościół garstce wieśniaków. Można by pomyśleć, że ów legendarny Wielki Pożar, który tak mocno zawładnął wyobraźnią grupy ludzi, że żyli w odrębnej rzeczywistości i wierze, nie był wspomnieniem, lecz przepowiednią.

Ten ogień pochłoniął wszystko.

Apokalipsa Konwentu Megiddo rozegrała się naprawdę.

## **Epilog**

Aneks sporządzony przez referenta biskupa, Sydoniusza Meliesse'a, oddelegowanego w procesie prowadzonym przez Beruliusza de Noy w sprawie zbrodni w diecezji Draguan, spisany 6 stycznia 1296 roku w Tarles w Sabarthes.

*Ja, Sydoniusz Meliesse, referent dworu i biskupa Passier, na wyłączne potrzeby procesu prowadzonego przez Jego Ekszelencję biskupa de Noy, otwartego w jego biskupstwie w Tarles 7 września roku 1290, a zakończonego dziś na tej samej ziemi i przez tego samego sędziego, zaświadczam, iż sprawozdanie z przebiegu procesu jest prawomocne. Zamyka ono sprawę Megiddo i przekazane zostało w całości do archiwum Świętej Inkwizycji.*

*Biskup Beruliusz de Noy przez z górą pięć lat prowadził proces w sprawie Draguan. Był to proces objęty ścisłą tajemnicą i tylko biskup, wikariusz Quentin oraz referent znali wszystkie kulisy sprawy, której początki sięgały roku 1233.*

*Badano okoliczności zbrodni popełnionej na podróży i jego dzieciach oraz na biskupie Haquinie. Wikariusz Chuaquet zniknął bez śladu. W cztery lata po zabójstwie kapłana komisarze dworu natrafili na zgliszczą wioski Heurteloup. Porośnięty trawą pagórek, jak się okazało, powstał z popiołów*

*ogromnego stosu. Według ekspertów z Tarles krył zwęglone kości trzydziestu mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie udało się ustalić tożsamości tych ludzi, podobnie jak ofiar wyłowionych z Montayou.*

*Co się zaś tyczy Romee de Haquina, biskupa Draguan, na temat jego przeszłości nie wiadomo było nic, poza tym jedynie, co zachowała wybiórcza i zwodnicza pamięć parafian.*

*Tajemnica „przeklętej parafii” sprowadzała się zatem do paru niejasnych i ponurych faktów. Prości ludzie wzbogacali opowieści*

historyjkami o diable, który maczał w tym palce, lecz i oni nie potrafili wyjaśnić całej zagadki. Tyle tajemniczych wydarzeń w jednym miejscu i niemal w tym samym czasie musiało, rzecz jasna, jakoś się ze sobą wiązać. Według jednych za wszystkim stał diabeł, według innych krył się za tym zagadkowy spisek. Któż jednak go uknuł, przeprowadził, a przede wszystkim - co chciał osiągnąć? Na te pytania odpowiedzieć mogli jedynie członkowie trybunału w Tarles.

Biskup zwrócił się do kilku osób, których związek z prowadzoną sprawą ustalił po drobiazgowych analizach. Byli to: Enguerran du Grand-Cellier, głuchy i niedowidzący starzec, który dokonywał żywota w zamku Moryilliers; Dionizy Lenfant, oszust, który bajdurzył coś o tropieniu mnicha z prowincji; Jorge Aja, zimny jak skała i jak skała tajemniczy; a także Floris de Meung i Gilbert de Lorris, dziwni młodzieńcy, których tropem trudno było podążać...

Kiedy wreszcie de Noy zdołał ściągnąć któregoś z tych ludzi na przesłuchanie, musiał użyć wszystkich arkanów inkwizytorskiej sztuki, żeby cokolwiek z nich wyciągnąć.

Cierpliwą pracą de Noy zdołał przewyciężyć trudności i dziś gmach Konwentu, mozolnie wznoszony przez Artemidora, bliski był upadku. Proces został zamknięty. Meliesse rozgrzał już wosk, aby opatrzyć pieczęciami dziewiętnaście grubych manuskryptów zawierających przebieg śledztwa. Ojciec inkwizytor z satysfakcją spoglądał na te dokumenty - samotnie stoczył walkę na miarę tytana. ; :

- Jedno tylko mnie niepokoi - rzekł nie do końca zadowolony Sydoniusz Meliesse, zwracając się do zwierzchnika, zanim przystąpił do nakładania pieczęci. - Naoczne świadectwo Jorge Ai na temat pierwszego sfingowanego objawienia nie jest wyczerpujące. Niewiele wiadomo o osobie Kośmy.

- Czego ci brak?

- Czy Kosma powrócił do Heurteloup?

- Nasze śledztwo nie skupiało się na szczegółach owego objawienia, aby jednak zaspokoić twą ciekawość, powiem to, czego się dowiedziałem poza tą salą. Ojciec Kosma naprawdę był taki, jak go opisał proboszcz Franciszek z Sauxellanges. Po powtórnym wyzdrowieniu doznał pewnego uszczerbku na umyśle. Biedaczysko uważał się za wybrańca bożego, nie wiedział jednak, na czym ma polegać jego misja. Powrócił do wioski, by z tym większym zapalem głosić słowo boże. Kiedy ludzie Megiddo podjęli przygotowania do inscenizacji apokalipsy, chcieli wykorzystać tego dziwaka. Przesyłali mu pisma powiadamiające o znakach wieszczących koniec świata. Kobieta została papieżem, Grób Pański splanął, głód i zaraza pustoszyły ziemię... W ten oto sposób przygotowali Kosmę i jego



owieczki do odegrania wyznaczonej im roli. Językiem, którym posługiwali się dzicy, gdy zawitał do nich Henno Gui, mówił ojciec Kosma, nieznający łaciny. Nauczył się zaledwie kilkudziesięciu podstawowych słów i zasad gramatyki, aby odczytywać listy z „nieba” i przekazywać ich treść wiernym w języku będącym przedziwną mieszaniną łaciny, francuskiego i langwedockiego.

- Jakże mógł niczego nie dostrzec? Wszak przygotowania do takiej inscenizacji nie odbyły się bez niczyjej wiedzy?

- Ludzie Megiddo osuszili niewielkie jezioro, dość daleko od wioski. Potem sprowadzili psy. Dużo psów. Uczynili z nich dzikie bestie, które rozszarpywały każdego, kto zapuścił się w pobliże ich kryjówek. Wieśniacy brali je za potwory rodem z piekła.

- A w dniu inscenizacji? Co zrobił wówczas ojciec Kosma?

- Listy działały swoje. Był gotów. Wierzył, że jego misja rozpocznie się w godzinie Sądu. Apokalipsa miała nastąpić wraz z zaćmieniem Słońca. Teologowie wszystko dokładnie zaplanowali. Tak przynajmniej sądzili.

- I co się stało?

- Gdy pojawili się Czterej Jeźdźcy Apokalipsy, Kosma i wieśniacy zbuntowali się.

- Zbuntowali?!

- Tak. Ludzie Megiddo przewidzieli każdy szczegół, nie wzięli jednak pod uwagę, że mogą stanąć twarzą w twarz z prawdziwymi chrześcijanami. Jeźdźcy poczęli wyrzucać im grzechy i ogłaszać sądy. Popelnili kardynalny błąd. Nie przewidzieli, że Kosma przygotował swych parafian. Wszyscy wyspiewali się i przyjęli komunię, mieli czyste sumienia.

- Co dalej?

- Zamiast uznać to za bluźnierstwo kleru, o bluźnierstwo oskarżył samego Chrystusa! Cisnął krzyż na ziemię, a gdy pojawił się komediant odgrywający rolę Jezusa, ugodził go w pierś włócznią i o mało nie zabił. Tak oto zakończyło się przedstawienie. Aby zemścić się za zmarnowany trud, a także żeby nie wyszła na jaw prawda o eksperymencie, ludzie Megiddo postanowili spalić i zrównać z ziemią wioskę Heurteloup. Lecz i tym razem nie w pełni im się powiodło. Gdy zapłonęły ognie, wieśniacy ujrzeni uciekające przed ogniem, porzucone na pastwę losu, psy. Instynkt kazał zwierzętom wskoczyć do wody, a potem schronić się na małej wyspce pośród bagien. Mężczyźni i kobiety poszli ich śladem. Ocalili nieliczni, wielu utonęło...

- A Kosma?

- Ocalał. Teraz jasno widział cel swej misji. Odrzucił naukę Kościoła i Chrystusa... Wierzył, że tylko on i garstka jego wiernych zostali wybrani,

*by żyć w świecie po apokalipsie. Dla tego nowego świata stworzył nową religię...*

*Zapadło milczenie. Meliesse spoglądał na stos manuskryptów.*

*- Wszak to wszystko ma ogromne znaczenie. Dlaczego nie ująć tych faktów w naszych raportach?*

*Na twarzy Beruliusza de Noy pojawił się przelotny uśmiech.*

*— W dniu powrotu Chrystusa na ziemię chrześcijanie, zamiast paść przed Nim na kolana, wypierają się Go i godzą weń włócznią?...*

*Pokręcił głową.*

*— O, nie... Nawet w raportach inkwizycji nikt nie waży się zamieścić tej historii...*